

magia, podróże, tajemnice, miłość

historie poza czasem i ponad czasem

*little boy
hearts for he beams
you know that
the birds are
step in the
the sun is
the sun is*

H.J. Rahlens

Nieskończoność

Literacki
EGMONT

Poza czasem

Nieskończoność

Holly-Jane Rahlens

Egmont Polska Sp. z o.o. (2013)

Jest rok 2264. Mroczna Zima już minęła. Średnia długość życia to sto pięćdziesiąt lat. Większość prac wykonują roboty. Ludzie posługują się mózgołączem, które pozwala im na zapisywanie wspomnień w globalnej bazie danych. Zaimk osobowy „ja” wyszedł z użycia. W tym technokratyzowanym społeczeństwie miłość jest czymś niepożądanym. Finn Nordstrom, dwudziestosześcioletni historyk i tłumacz martwego języka niemieckiego zostaje poproszony o zbadanie tajemniczego znaleziska – dziennika dziewczyny z XXI wieku. Tymczasem w innej czasoprzestrzeni Eliana odwiedza ulubioną berlińską księgarnię. Spotka w niej przystojnego mężczyznę, który nie wie... do czego służy guma do żucia. Co połączy tych dwoje? Niezwykła opowieść o uczuciu rodzącym się wbrew rozumowi.

H.J. Rahlens

Poza czasem *Nieskończoność*

Przekład
Anna Klingofer

Literacki
EGMONT

Tytuł oryginału: *EVERLASTING. Der Mann, der aus der Zeit fiel*

Originally published in German under the title EVERLASTING.

Der Mann, der aus der Zeit fiel

Copyright © 2012 by Rowohlt Verlag GmbH,

Reinbek bei Hamburg

Copyright © for the Polish edition by Egmont Polska Sp. z o.o.,

Warszawa 2013

Redakcja: Małgorzata Kuśnierz

Korekta: Anna Jutta-Walenko, Justyna Żebrowska

Projekt okładki: Katarzyna Borkowska, kb-design@o2.pl

Zdjęcia na okładce: © Arcangel Images. All rights reserved

Koordinacja produkcji: Jolanta Powierża

Wydawca prowadzący: Natalia Sikora

Przygotowanie pliku e-booka: Anita Pilewska

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Wydanie pierwsze, Warszawa 2013

Egmont Polska Sp. z o.o.

ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa

tel. 22 838 41 00

www.egmont.pl/ksiazki

ISBN 978-83-237-7734-2

Skład i łamanie: KATKA, Warszawa

Dla Noaha, jego przyjaciół, ich przyszłości...

Nota od tłumaczki

Powieść *Nieskończoność* została napisana w 2265 roku późnym północnoamerykańskim angielskim (Late North American English – L.N.A.E.). Niniejsza adaptacja na angielski z przełomu tysiącleci (ok. 2000–2020 roku) powstała w ramach „Obowiązkowego ćwiczenia z adaptacji 6”, wymaganego do uzyskania świadectwa ukończenia seminarium „Rozumienie etapów życia języka – angielski. Część III”. Niektóre wzmianki w obcych językach pozostawiono w oryginalnym brzmieniu, gdy nie znaleziono ich dzisiejszych odpowiedników. Wiedza na temat wymarłego niemieckiego może być pomocna, lecz nie jest konieczna. Tłumaczka jest wdzięczna swojemu mentorowi doktorowi Nelharowi N. Suiledowi za pomoc w wyjaśnieniu znaczenia kilku niejasnych fragmentów i słów.

Bella Tema Mo Wald

Wydział Języków Dawnych / UE-Berlin

4 czerwca 2450 roku

Rozdział 1

Wyspa

Finn nasunął na oczy transfokatory lunarne. Nad jego głową lekko skrzyło się ciemne wieczorne niebo. Dostrzegł gwiazdny ekspres wiozący pracowników na Marsa i dalej. A może wracali do domu na święta? Z tej odległości trudno było to stwierdzić. Widział tylko błyskające zielone reflektory pojazdu, który być może pozdrawiał w ten sposób statek wycieczkowy SunTeam, zapewne z kompletem pasażerów na pokładzie – spragnionych kosmicznych wrażeń amatorów skoków na bungee. Finn wzdrygnął się na samą myśl o tym. Nie przepadał za swobodnym spadaniem.

Setki tysięcy kilometrów niżej samolot startujący z miasta o jedenastej zbliżał się, lecąc wzdłuż wybrzeża. Zaczął bezszelestnie kołować, przeleciał nad głową Finna, po czym wylądował na północy, po drugiej stronie zatoki, na Outer New York Metroport.

Morze huczało. Fale odbijały się od brzegu i cofały. Woda podnosiła się i opadała.

Powietrze było wciąż ciężkie od skwaru gasnącego dnia, przesycone solą, morską bryzą i wonią jaśminu dochodzącą z ogrodu sąsiada. Finn pomyślał, że mógłby zasnąć tuna plaży, pod gwiazdami – był taki zmęczony. Nagle ocknął się, ponieważ obok jego bosej stopy przemknął krab, a za nim drugi. Coś musiało je wystraszyć. Usłyszał ciche kroki na piasku. Szelest tkaniny. Ktoś nadchodził. Finn odwrócił się... i ujrzał Rouge.

– Och! – zawołała zdumiona, lecz po chwili się roześmiała. – Finn! Co to jest, do cholery? Są straszne!

Finn wstał i zdjął ostrożnie transfokatory, aby ich nie rozciągnąć. Podeszedł do Rouge.

– Wybacz. Twoja wizyta jest nieoczekiwana.

Rzuciła sandały na piasek i przywitali się trzema cmoknięciami w powietrzu: prawy policzek, lewy, prawy. Dało się jednak wyczuć pewną niezręczność. Finn nie należał do miłośników niespodzianek, nawet tak oszałamiających jak Rouge Marie Moreau, elegancka i gibka, niczym smukła róża na tym cichym skrawku plaży na Fire Island.

– Niełatwo cię złapać – powiedziała i odgarnęła kosmyki z oczu. Ach, te oczy, stalowozielone i tak bystre, nigdy nic im nie umknęło. – Coś nie tak z twoim mózgołączem? – W blasku księżyca jej loki połyskiwały metaliczną, miedzianą czerwienią.

Finn potrząsnął głową.

– Nie. Jest wyłączone. Wszystko zostało wyłączone na kilka dni.

– Wszystko? – zapytała.

Usłyszał w jej głosie subtelną uwodzicielską nutę. Kiedyś się spotykali. Romans skończył się prawie tak szybko, jak się zaczął – Finn czuł, że nie byliby dobrą parą – ale pozostali przyjaciółmi, a nawet należeli do jednego zespołu. Ostatnio jednak zauważył delikatną zmianę w jej uczuciach. A może tylko mu się zdawało?

Rouge uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił uśmiech – choć z pewnym oporem. Poczwała jego wahanie.

– Co to takiego? – spytała już bez uwodzicielskiej nuty.

– Transfokatory lunarne. – Zmiana tematu ucieszyła go. Powtórzył nazwę, tym razem przeciągając głoski: – Transfokatory lunarne. – Wyraźnie delektował się brzmieniem tych słów.

Rouge jednak nie zwróciła na to uwagi.

– Należały do Mannu – ciągnął. – Prezent od naszego ojca. Znalazł je w sklepie z antykami, wiele lat temu. Były w jednej z szuflad Mannu. – Podał okulary Rouge, wskazując napis na wewnętrznej części oprawki. – Widzisz? Tu jest napisane: „Made in USA”. Czyli na pewno wykonano je przed dwa tysiące dziewięćdziesiątym piątym. Ojciec sądził, że mniej więcej w dwa tysiące trzydziestym.

– Hm – mruknęła Rouge, przyglądając się nieco topornym okularom. – Mają z górą dwieście trzydzieści lat. Wyprodukowano je w samym środku Mrocznej Zimy. – Obracała je w dłoniach. – Ponad połowa ludności świata umierała, a Amerykanie mimo to szukali nowych światów.

– To ma sens – odparł Finn, a w jego głosie słychać było lekkie zdenerwowanie. Często, zwłaszcza w obecności Rouge, musiał zajmować niewdzięczne stanowisko obrońcy ojczyzny. Lubił uważać się za Europejczyka, ale teraz bronił Amerykanów. – Myśleli, że zbliża się koniec świata. Dlaczego więc nie mieli szukać nowych?

– Racja – przyznała i znów skupiła się na okularach. – Nadal działają?

Zwisały z jej palców niczym zdechła mysz dyndająca na ogonie. I mniej więcej tak je traktowała.

– Tak – odrzekł. – Jako tako. Choć tylko do czterystu tysięcy kilometrów. Kilka minut temu obok Alpha Sextantis leciał gwiazdny ekspres. Ale trudno było powiedzieć, czy się zbliża, czy oddala.

– Przecież o wiele lepiej widzimy dzięki aplikacjom teleskopowym współpracującym z mózgołączem. Takim jak Skyze, C-Stars, AstroVu czy...

– Rouge, to tylko zabawka! – przerwał jej, jak zwykle zdumiony jej brakiem poczucia humoru. Uśmiechnął się do niej. – Chcesz spróbować?

Potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję. – Spojrzała na wieczorne niebo.

Finn przez chwilę nie był pewny, czy nie poczuła się urażona, ale zobaczył, że tylko starała się zlokalizować gwiazdny ekspres za pomocą mózgołącza.

– Widzisz go?

– Tak – powiedziała już po kilku chwilach. – Tam jest.

Zerknął na nią z podziwem. Rouge zdecydowanie najszybciej ze wszystkich znanych mu osób reagowała na impulsy mózgołącza. Była naprawdę genialna.

– Wraca do domu. Leci w naszą stronę – oznajmiła i spojrzała znów na Finna, czekając, aż ich oczy się spotkają. – Jak się czujesz? – spytała, gdy tak się stało.

Wziął głęboki oddech i popatrzył na morze. Czekala w milczeniu u jego boku, gdy on zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Było ciężko – odparł wreszcie. – Zwłaszcza po stracie Lulu i Mannu. Byliśmy sobie bardzo bliscy. Wszyscy troje. Nasi rodzice ciągle pracowali, więc kiedy Lulu była mała, byliśmy dla niej kimś więcej niż tylko starszymi braćmi. Opiekowaliśmy się nią. Nazywała nas Manny i Fanny.

– Fanny? – powtórzyła Rouge z rozbawieniem. – Jakoś to do ciebie nie pasuje.

Finn wrzucił ramionami i spojrzał na palec swojej stopy, którym natrafił na coś twardego. Podniósł kamień, spod którego wyleciała wałka.

– O, a ona co tu robi? – rzekł zaskoczony, wodząc za nią wzrokiem w bladym świetle księżyca.

Ważka krążyła przez chwilę wokół nich, szaleńczo machając fosforyzującymi skrzydełkami, po czym odleciała.

Finn odwrócił się do Rouge.

– Lulu uganiała się za nimi, gdy była malutka. Strasznie wtedy piszczała. Teraz bez niej w domu jest zbyt cicho. Jak każda nastolatka trajkotała jak katarynka.

– Katarynka? – zdziwiła się Rouge, która nie знаła tego słowa.

Mogłaby błyskawicznie znaleźć jego znaczenie za pomocą odpowiedniej aplikacji mózgołacza, ale wiedziała, że Finn lubił rzucać jej smakowite ciekawostki, a potem je wyjaśniać.

Uśmiechnął się.

– Katarynka to dawny instrument muzyczny, z osiemnastego wieku. Kręcąc korbką, mogłaś w kółko wygrywać jakąś melodię.

Niewiele można było zarzucić edukacji Rouge, lecz jej wiedza o historii kultury była szczątkowa, podobnie jak większości skupionych na swojej pracy europejskich naukowców. Finn dobrze o tym wiedział.

– Trajkotała jak katarynka – powtórzyła rozbawiona. – Rzeczywiście, trafne określenie.

Finn popatrzył znów na morze.

– Będzie brakowało Lulu. Bardzo. Wszystkich będzie brakowało.

Spojrzał na kamień, który wciąż trzymał w dłoni, i cisnął nim. Przyglądał się zniekształconemu odbiciu księżyca na powierzchni wody, która zmarszczyła się, gdy kamień prześlizgnął się po morskiej pianie, a potem zatonął. Spojrzał na Rouge.

– Mannu potrafił puszczać kaczki. Stawaliśmy tutaj i przyglądaliśmy się, czy kamień więcej razy odbije się od powierzchni. Zawsze wygrywał.

Czekała, aż znów się odezwie.

– Robił z tego niezłe przedstawienie – powiedział, nie odrywając wzroku od odbicia księżyca w morzu. – Schodziły się wszystkie dziewczyny z plaży, a on zdejmował koszulkę, prężąc mięśnie i pokazując owłosioną klatę, po czym rzucał kamieniem, który odbijał się dziesięć, może piętnaście razy, jeśli powierzchnia wody była gładka. Dziewczyny mdlały z wrażenia.

Spojrzał na Rouge.

– Trudno było mu dorównać. Ale ten brat go uwielbiał. Bezwarunkowo. – Próbował się uśmiechnąć, lecz zrezygnował i zagryzł wargę. – Dwadzieścia sześć lat to za mało, by stracić całą rodzinę. Wszyscy czworo odeszli. Ot tak.

Usłyszał westchnienie przyjaciółki.

– Sierota – rzucił gniewnie. – Finn Nordstrom, sierota.

Położyła dłoń na jego ramieniu. Poczuł jej ciepło przez cienką koszulkę.

– Wejdziemy do środka? – zapytała.

– Posiedźmy tu jeszcze przez chwilę.



Rouge miała na sobie zwiewną letnią sukienkę, ozdobioną mieniącym się niebieskozielonym

delikatnym wzorem. Światło księżycy eksponowało głęboko wycięty dekolt. Finn zobaczył idealnie okrągłą brązową plamkę na bladej skórze nad prawą piersią. Czyżby wcześniej nie zauważył znamienia czy też niedawno stworzyła je specjalnie na taki wieczór jak ten? Odwrócił wzrok.

Rouge starannie rozłożyła dół sukienki i usiadła na piasku. Wyprostowała długie, nieskończenie długie nogi, po czym zgrabnie skrzyżowała je pod sobą. Uczyniła to z taką gracją i oszczędnością ruchu, że Finnowi przypomniały się zabytkowe scyzoryki Solingen, wystawione w Muzeum Kultury Europejskiej w Berlinie, niedaleko jego akademika. Fascynujące, jak szybko jej nogi otworzyły się i złożyły. Szszsz.

Patrzyli na morze.

Finn uśmiechnął się w duchu. Cóż za porównanie – nogi Rouge i scyzoryk! Ale z drugiej strony zawsze wyczuwał w niej coś niebezpiecznego, prawie drapieżnego, jakby za chwilę miała zwabić go w pułapkę, schwytać tymi długimi kończynami i pożreć żywcem.

– Uśmiechasz się – zauważyła.

– Właściwie co cię tu sprowadza? – zapytał.

– Przysługa. Dla twojej uczelni.

Kolejna niespodzianka.

– Greifswald? Poprosili cię, żebyś przyjechała? Tutaj?

– Obawiają się, że możesz teraz zrezygnować z pracy. I wrócić do Ameryki Północnej.

– Mają powody do obaw! – rzekł. – Po ostatnich trzech miesiącach ten tłumacz zaczął już świrować.

– Świrować?

– Wariować. Tracić rozum.

– Świrować – powtórzyła i zamilkła na chwilę, jakby przeglądała się w lustrze i sprawdzała, czy słowo dobrze leży. – Mów dalej.

– Kazali nam sczytywać interpunkcję w tłumaczeniach komputerowych tych sprawozdań z działalności banku, które znaleźli parę lat temu. Sczytywać! Wydawałoby się, że te aplikacje powinny już radzić sobie z gramatyką. A poza tym to takie nudne!

Praca w Bibliotece Europejskiej w Greifswaldzie budziła w nim coraz większą frustrację. W końcu był biegłym tłumaczem dwóch języków na ojczysty angielski – wymarłego niemieckiego i nowego standardowego mandaryńskiego – specjalistą w odczytywaniu odręcznie sporządzonych dokumentów w języku niemieckim, a także znakomicie wykształconym, lecz cierpiącym z powodu niedostatku wyzwania historykiem zajmującym się kulturą popularną czasów przed okresem Mrocznej Zimy (1950–2018).

– Powinni nam zlecać prace nad wielkimi dziełami literatury – powiedział – a nie nad skonsolidowanym rachunkiem zysków i strat za pierwszy kwartał dwa tysiące siedemnastego roku Deutsche Banku. Takie zadania można by zostawiać sztucznej inteligencji. Kogo obchodzą błędy interpunkcyjne?

Rouge roześmiała się z sympatią.

– Jesteś młodszym historykiem, Finn. To twoja praca.

– A ty jesteś młodszym fizykiem. Ale czy każą ci siedzieć pod drzewem i czekać, aż jabłko spadnie

ci na głowę, żebyś mogła poteoretyzować na temat grawitacji?

Znów się roześmiała. Czasem łatwo ją było rozbawić. Gdyby nie wyłączył mózgołacza, zanotowałby żart. Teraz mógł mu wylecieć z pamięci.

– Przecież wszyscy mówili, że sprawozdania finansowe banku są skarbem kultury światowej – powiedziała.

Dokumenty wydobyte cztery lata wcześniej, w 2260 roku, wzbudziły sensację. Odkryto je pięćdziesiąt metrów pod ziemią w miejscu, gdzie niegdyś stała główna siedziba Deutsche Banku we Frankfurcie. Archeolodzy znaleźli w metalowych szafkach prawie trzydzieści metrów sześciennych napisanych po niemiecku sprawozdań finansowych banku, a samo to, że przetrwały Wielką Pożogę w 2050 roku, było cudem. Owszem, dzięki niej Europa pozbyła się epidemii niemieckiej dzumy, lecz niestety ogień pochłonął także większość dóbr kultury.

– Te sprawozdania bankowe mają być niby skarbem kultury światowej? Proszę cię... – skwitował Finn.

– Dobrze już, dobrze – powiedziała.

Odchyliła się, wsparła na łokciach i spojrzała na gwiazdy. Finn zrobił to samo.

– Ale na pewno Greifswald nie wysłał cię z Berlina do sennej nadmorskiej społeczności Nowego Jorku tylko dlatego, że obawia się utraty młodszego historyka, który potrafi tłumaczyć.

– Zgadza się – potwierdziła i rozprostowała nogi.

– To po co przyjechałaś?

Spojrzała na niego.

– Bałtyccy archeolodzy ze Stralsund znaleźli coś na półwyspie Fischland-Darß-Zingst.

– Znaleźli coś? – powtórzył i usiadł.

– Skrzynkę. Hermetycznie zamkniętą i wodoszczelną. Odporną na rdzę. I pył. Na wszystko. Używano takich na statkach na początku dwudziestego pierwszego wieku. Leżała na dnie Saaler Bodden niedaleko Wustrow.

– Na dnie Bodden? – Finn o mało się nie roześmiał.

Co za absurd! Jezioro Bodden było płytkie i niepozorne. Ani trochę nie przypominało głębokiego morza, na którego dnie powinny spoczywać wraki okrętów i pogrzebane z nimi skarby.

Krajobraz wokół Bodden, łańcuch słonych jezior połączonych z morzem na południowym wybrzeżu Bałtyku, niegdyś schronienie dla ptaków wędrownych i rezerwat przyrody, bardzo ucierpiał podczas Mrocznej Zimy. Jednak potem duża część Europy została ponownie zasiedlona, a niektóre z nadbrzeżnych rejonów Bałtyku zajęły społeczności trudniące się górnictwem morskim.

– Przecież ono jest takie płytkie – powiedział Finn. – Do dziś powinni już z niego wszystko wyłowić.

Rouge wzruszyła ramionami.

– W miejscu, gdzie znaleziono skrzynkę, jezioro ma przynajmniej sześć metrów głębokości. Okazało się, że przeleżała tam ponad dwieście lat. Natknęli się na nią przypadkiem w trakcie przygotowań terenu pod budowę.

Serce Finna zabiło szybciej.

– To jakieś ważne znalezisko? – zapytał, starając się zapanować nad oddechem.

– Skarb kultury światowej.

Finn usłyszał w jej głosie nieznaczny, bardzo delikatny cień kpiny, więc nie był pewien, czy to zdanie ekspertów, czy tylko Rouge się z nim droczy.

– Dlaczego? Jest tam coś wartego uwagi? – zapytał.

– Podobno to niewykluczone.

– A co to wszystko ma wspólnego z tym historykiem?

– W skrzynce coś było, Finn. Tekst napisany odręcznie po niemiecku. Trzeba go odczytać.

– Ale dlaczego ten tłumacz? I dlaczego wysłali ciebie? Skąd ten pośpiech? – Nic z tego nie rozumiał.

Rouge znów wzruszyła ramionami.

– Może się boją, że jeśli szybko nie zareagują, jakiś większy uniwersytet sprzątnie im to sprzed nosa. Najwyraźniej uznali, że poradzisz sobie z tym zadaniem. – Spojrzała na niego. – Może właśnie na coś takiego czekałeś.

Pewnie miała rację. Mało prawdopodobne, aby na dnie płytkiego słonego jeziora leżały sprawozdania bankowe. Zwłaszcza sporządzone odręcznie. Ale co to mogło być?

– Porozmawiasz o tej sprawie w Greifswaldzie? – zapytała Rouge.

– Tak. Oczywiście.

– Dobrze – rzekła i wstała. Strzepnęła piasek z dłoni. – Dyrektor Biblioteki Europejskiej czeka na twój telefon. Z samego rana.

Finn również wstał.

– Tak szybko? – Był wyraźnie zaskoczony.

– Szybciej, niż myślisz. Chodzi o jego poranek. Czyli za... – Lekko przekrzywiła głowę, otwierając zegar w mózgołacu. – Dwie godziny.

– Za dwie godziny?

Skinęła głową i ziewnęła.

– Jesteś zmęczona – zauważył Finn.

– Tak. Wejdziemy do środka?

Stali blisko siebie. Bardzo blisko. Znów zwrócił uwagę na znamię na jej prawej piersi, wznoszące się i opadające wraz z oddechem. Mógłby ją teraz przyciągnąć do siebie i pocałować.

Jednak nie zrobił tego.

– Tędy – powiedział, odwracając się i wskazując na duży drewniany dom na zachodzie. – Oto rezydencja Nordstromów.

Rouge wzięła sandały do ręki i podążyła za nim.

Rozdział 2

Dok-Dok

Z okazji holotransmisji Finn posprzątał w salonie. Dyrektor Biblioteki Europejskiej mógł zechcieć złożyć mu wizytę. W przypadku Dok-Doka, jak z lekką kpiną nazywali doktora doktora Rirkrita Sriwanichpooma jego podwładni, należało być gotowym na wszystko.

Rozsunął zasłony. Księżyc niczym wielki biały balon płynął po bezchmurnym niebie nad gładką powierzchnią Atlantyku. Doskonałe tło dla holotransmisji. Finn czuł narastające podekscytowanie. Co takiego znaleziono w skrzynce z Bodden? Czy mógł marzyć o „cudzie milenium”?

Ostatniego wielkiego odkrycia związanego z językiem niemieckim dokonano prawie sto trzydzieści lat wcześniej, w 2136 roku, na kontynencie północnoamerykańskim, w mieście Laguna Beach w prowincji kalifornijskiej. W domu z kruszącego się kamienia i tynku robotnicy przygotowujący ruinę do wyburzenia znaleźli stoczony przez korniki dębowy kufer, a w nim stalową skrzynkę. W środku znajdował się plik zapisanych odręcznym pismem kartek. Eksperci zajmujący się wymarłymi językami ustalili, że był to niemiecki zapisany pismem Kurrentschrift, używanym na przełomie XIX i XX wieku. Dalsze badania wykazały, że to oryginalny rękopis *Buddenbrooków* autorstwa zdobywcy Nagrody Nobla Thomasa Manna.

Kalifornijski Urząd do Spraw Skarbów Kultury przedstawił wiele ważnych argumentów przemawiających za zatrzymaniem manuskryptu w Ameryce Północnej – powołano się między innymi na to, że Thomas Mann przyjął amerykańskie obywatelstwo – lecz w końcu przekazano dokument do Archiwum Wymarłych Języków Biblioteki Europejskiej, gdzie jak przyznawał Finn, było jego miejsce. Obecnie trzymano go pod kluczem, lecz udostępniono jego wierną replikę, którą Finn zbadał i przeczytał – nie było to łatwe zadanie, ponieważ nawet dla paleografów specjalizujących się w niemieckim kurrenta była wyjątkowo trudna do odczytania, jeśli ktoś uczył się przede wszystkim późniejszych pism.

W każdym razie *Buddenbrookowie* naprawdę byli cudem milenium i tłumacz, któremu powierzono ten manuskrypt, mógł się czuć bardzo wyróżniony. Może Finnowi też się poszczęści.

Po drodze do kuchni minął schody wiodące na niższy poziom i zobaczył, że światło w pokoju Rouge jest zgaszone. Dotarło do niego, jak bardzo sam jest wyczerpany, lecz uleganie zmęczeniu nie należało do cech, które cenił Sriwanichpoom. Ponieważ nigdy nie zamienił z dyrektorem więcej niż kilka słów, nie chciał teraz zrobić na nim złego wrażenia. Zaparzył sobie zing, żeby pobudzić szare komórki, i wrócił do salonu. Połączył się z holokamerą, usiadł i czekał na telefon od Dok-Doka.



Doktor doktor Rirkrit Sriwanichpoom był fascynującą postacią. Wszystko w nim olśniewało patrzącego: jego prezencja, srebrne włosy zebrane w koński ogon, promienny uśmiech o barwie kości słoniowej, oczy, duże i błyszczące niczym tahitańskie szare perły, wybitna inteligencja, a nawet obuwie. Na stopach miał nowe przezroczyste, jakby szklane półbuty, które idealnie przylegały do połyskujących srebrnych skarpet.

Finn od razu zauważył buty Sriwanichpooma, ponieważ gdy jego hologram pojawił się w gabinecie, ze względu na pokaźne rozmiary nazywanym „salą tronową”, skrzyżowane nogi dyrektora spoczywały leniwie na blacie biurka.

– Pan Nordstrom! – rzekł dyrektor, wstając.

Podszedł do Finna, który podał przełożonemu dłoń na powitanie. Finn i Dok-Dok mogli uścisnąć jedynie powietrze – hologram jest w końcu tylko bezcielesnym obrazem – lecz mimo to wykonywali odpowiednie ruchy.

– Dzień dobry panu – powiedział Finn.

– Która jest u pana godzina? – Sriwanichpoom mówił nienaganną angielszczyzną, z tym oschłym nosowym akcentem charakterystycznym dla mieszkańców prowincji brytyjskiej, który cudzoziemcy, tacy jak on, opanowali do perfekcji.

– Hm... druga w nocy.

– Nocny marek z pana, prawda? – zachichotał dyrektor. Nie czekał na odpowiedź. – Proszę, niech pan usiądzie. – Wskazał na przezroczysty podwieszany stół z czterema pufami dookoła.

Finn, który nigdy wcześniej nie widział „sali tronowej”, ani osobiście, ani jako hologramu, potrzebował chwili na zapoznanie się z pomieszczeniem, zanim spoczął. Tak naprawdę usiadł na stołku w salonie własnego domu, lecz takie szczegóły nie miały znaczenia w stanie zanurzenia w trójwymiarowych obrazach.

Dyrektor podciągnął o centymetr nogawki białych spodni, usiadł i założył nogę na nogę. Jego szklany but prawie dotykał teraz twarzy Finna.

– Dobrze. To nie zajmie dużo czasu. Wie pan oczywiście, gdzie znaleziono skrzynkę?

– Tak. Na dnie jeziora Bodden.

– Zgadza się. Niedaleko Wustrow.

Ping! Na ekranie mózgołacza Finna wyświetliła się migająca ikona powiadomienia o wiadomości.

– Właśnie otrzymał pan dwa pliki – powiedział dyrektor. – Proszę na nie zerknąć.

Pierwszy zawierał fotografię zrobioną z pokładu łodzi. Finn zobaczył wodę i pusty pas ziemi, prawdopodobnie brzeg jeziora Bodden. Po lewej stronie rosło kilka topoli, a w tle widać było ruiny miasteczka, z wystającą z nich wieżą kościoła.

– Tam znaleziono skrzynkę – wyjaśnił Dok-Dok.

Drugi dokument zawierał fotografię czarnej skrzynki z rączką, przypominającej sztywne walizki z przełomu tysiącleci.

– Pamiętnik znaleziono właśnie w tej skrzynce – oznajmił dyrektor biblioteki.

Ikony powiadomień nagle zniknęły z mózgołacza Finna.

– Bardzo przepraszam – powiedział Dok-Dok, marszcząc brwi. – Pliki ulegają samozniszczeniu. Błąd programu. Jeśli będą panu znów potrzebne, po prostu proszę dać znać. Na czym skończyliśmy? Ach, tak. Wie pan, że pamiętnik został napisany odręcznie po niemiecku?

Finn skinął głową.

– Niestety – ciągnął Sriwanichpoom – niemiecki nie jest jedną ze specjalizacji tego dyrektora, do których należy włoski, francuski, rosyjski, wymarły niderlandzki i duński, oczywiście angielski i naturalnie jego ojczysty tajski, a zatem mógł tylko pobieżnie przejrzeć tekst. To jednak bardzo

ciekawa sprawa. Jeden z archeologów, tu w Stralsund, pewien doktor... hm... – Spojrzał na okno i wszedł do swojego mózgołacza. – O, jest. Pewien... doktor Beyer... specjalista od okresu Mrocznej Zimy... uważniej przyjrzał się treści, lecz nie czuł się wystarczająco kompetentny, aby ocenić jej znaczenie.

– Dlaczego? – zapytał Finn. – Ten tłumacz miał okazję współpracować z doktorem Beyerem. To wybitny ekspert do spraw Mrocznej Zimy.

– Niestety, nie specjalizuje się w kulturze popularnej przełomu tysiącleci. Dokument, który chcemy dziś panu przekazać, pochodzi z dwa tysiące trzeciego roku i został napisany przez osobę nastoletnią.

– Aha. – Finn nie potrafił stłumić rozczarowania.

Dokument napisany przez nastolatka? To na pewno nie był cud milenium.

– Wydaje się pan rozczarowany – stwierdził dyrektor. – Czyżby liczył pan na cud milenium?

Zaskoczony Finn wybuchnął śmiechem. Dyrektor słynał z niemal genialnej intuicji.

Sriwanichpoom też się roześmiał.

– Jest pan ambitnym człowiekiem, Finnie Nordstromie. To dobrze. W Archiwum Wymarłych Języków na dole powiedziano mi, że specjalizuje się pan w historii kultury początku dwudziestego pierwszego wieku oraz że posiada pan znakomite wyczucie kolokwialnego niemieckiego i angielskiego z przełomu tysiącleci, a znajomość tych języków będzie potrzebna przy tym projekcie.

– Ten tłumacz jest wdzięczny za szansę przedstawienia swoich umiejętności.

Dyrektor wstał.

– Pozwoli pan, że pokażę, co dla pana przygotowaliśmy. Sporządziliśmy wierną replikę dokumentu. Wiemy, że wy, historycy, wolicie wydruk od cyfrowych plików w mózgołaczu. Poza tym to praktyczne rozwiązanie w przypadku odręcznego pisma.

– Czy w skrzynce znajdował się tylko jeden dokument? – zapytał Finn.

– Wszystko po kolei – odparł dyrektor i żartobliwie pogroził mu palcem.

To była standardowa procedura. Sprawozdania Deutsche Banku także przekazywano mu po jednym. Zgodnie z porządkiem chronologicznym. Wszystko zawsze było zgodnie z porządkiem chronologicznym.

– Ale w skrzynce było kilka dokumentów? – nalegał Finn.

– Ten dyrektor nie może tego ujawnić – odpowiedział Sriwanichpoom chłodno, niemal wyniośle.

Cóż, to już nie była standardowa procedura. Tłumacze zwykle otrzymywali zwięzłą charakterystykę wielkości i rozległości swoich projektów.

Dyrektor biblioteki utrzymał spojrzenie Finna przez dłuższą chwilę. Jego wzrok wydał się Finnowi zimny, a nawet groźny. I miał niejasne wrażenie, że dyrektor kogoś mu przypomina. Tylko kogo?

Sriwanichpoom wstał i skinął głową w kierunku ściany. Rozsunęła się i ukazał się regał z książkami. Podeszedł do niego i wrócił z jedną. Miała różową okładkę. Jaskraworóżową. Kiedyś ten kolor nazywano *hot pink*. Albo neonowym różem. Był to brzydki, błyszczący, krzykliwy różowy plastik. A może winyl. Były na nim nadrukowane maleńkie czerwone serca. Serduszka i kwiatki, i motyle. Notatnik miał też niezbyt solidną niewielką kłódeczkę z wetkniętym w nią złotym kluczykiem, przez który przepleciono cienką satynową różową wstążkę. Finn nie wiedział, co ma o tym myśleć. Spojrzał na doktora doktora Rirkrita Sriwanichpooma.

– Co to jest? – zapytał.

– Pamiętnik – odparł dyrektor. – Oczywiście napisany odręcznie.

– Pamiętnik? – powtórzył zaskoczony Finn.

Finn zetknął się wcześniej z kilkoma starymi dziennikami. Ale żaden z nich nie przypominał tego. Większość miała elegancką skórzaną albo płócienną oprawę. Niektóre na okładkach czy grzbietach miały napis Moleskine® lub Filofax®. Przypomniał sobie, że kiedyś widział pamiętnik Anny Frank, z podobną kłódką i kluczykiem. Wszystkie oryginalne zapiski ofiary Zagłady przepadły niestety podczas Mrocznej Zimy, ale dwie reprodukcje jej pamiętnika w biało-czerwono-zieloną kratkę, zrekonstruowanego przez rękodzielników w 2003 roku, ocalono z gruzów Amsterdamu i teraz przechowywano w Bibliotece Europejskiej.

– Kto jest autorem? – zapytał Finn.

– Tego nie wiemy. Niektóre wpisy są sygnowane literą „E”. Prawdopodobnie autorką jest dziewczyna.

– Dziewczyna?

– Trzynastoletnia. Tak powiedział doktor... hm...

– Beyer?

– Tak. Tekst zaczyna się w dniu jej trzynastych urodzin.

Dziennik trzynastoletniej dziewczynki z początku dwudziestego pierwszego wieku? Raczej nie była to wielka literatura ani skarb kultury światowej. Chyba że byłyby to wczesne rozważania kogoś, kto później zdobył sławę. Ale jaka istniała na to szansa? Finnowi przemknęła przez głowę myśl, że może zbyt pochopnie zrezygnował z pracy nad sprawozdaniami Deutsche Banku.

– Mamy nadzieję, że imię autorki jest gdzieś w tekście – powiedział dyrektor, znów intuicyjnie odczytawszy myśli Finna. – Może znamy jej późniejsze dzieła. Oczywiście pańskim zadaniem będzie dotarcie do tego. Przeczytanie każdego słowa. Zbadanie każdego odniesienia. Gdzie mieszkała? Z jakiej pochodziła rodziny? Kim byli jej przyjaciele? Na pewno w środku znajdzie pan wskazówki. Mamy nadzieję, że już wkrótce. Sądzymy, że może to być ważny projekt. Kto wie, czy na jego podstawie nie uda się panu napisać pracy doktorskiej. Zamierza pan zdobyć stopień doktora, prawda?

– Tak, naturalnie. Ten historyk rozważał, aby najpierw przepracować rok lub dwa, podszlifować umiejętności badawcze.

– Bardzo dobrze. – Dyrektor wstał. – A zatem wszystko ustalone?

Pytanie zaskoczyło Finna.

– Czy musi pan otrzymać odpowiedź od razu?

Dok-Dok zmarszczył czoło.

– Ależ oczywiście. Inaczej po co byłaby ta holotransmisja?

Finn czuł się oszołomiony.

– Wobec tego dobrze. Zgadza się.

– Zarezerwowaliśmy dla pana bilet na dziś, czyli wtorek, na drugą po południu. Nowy Jork – Berlin. Szczegółowe informacje znajdzie pan w skrzynce odbiorczej. Oczekujemy pana w Greifswaldzie w środę rano. – Nagle dyrektor stanął tuż przed Finnem, w salonie Nordstromów. –

Ach! – rzekł, przyglądając się umeblowaniu pokoju. – Naprawdę urocze. W amerykańskim stylu z dwudziestego pierwszego wieku. – Podeszedł do okna. – Wspaniały widok. Księżyc na ziemi. – Odwrócił się do Finna i podał mu rękę. – A zatem do środy.

Zanim Finn zdążył uścisnąć dłoń z powietrzem, dyrektor Biblioteki Europejskiej zniknął.

Onyksowa szkatułka

Obudziło go słońce zaglądające przez okno. Przez chwilę leżał bez ruchu i obserwował wesoly taniec cieni w pokoju. Słuchał szumu fal przed domem, przybijających do brzegu i cofających się w głąb morza.

Spał tylko kilka godzin. Czuł się przytłoczony. Minęły zaledwie dwa tygodnie od śmierci jego rodziny, do tego wizyta Rouge, telefon od Dok-Doka, a teraz jeszcze to nowe zlecenie: różowy pamiętnik. Zbyt wiele i za szybko się działo. Przy odrobinie szczęścia może uda mu się odespać podczas dwuipółgodzinnego lotu.

Wydawało mu się, że usłyszał, jak Rouge porusza się w pokoju obok. Po cichu wstał i podszedł do otwartych drzwi. Jednak spała, słyszał jej miarowy oddech. Patrzył, jak jej nozdrza rozszerzają się i zwężają, rozszerzają i zwężają, a brązowa plamka nad prawą piersią unosi się i opada.

Rouge była piękna, gdy spała. Poranne różowawe światło wpadające przez żaluzje oświetlało długi łuk jej ramienia. Oddychała spokojnie, a rozrzucone na poduszce miedziane loki przypominały ognistą koronę. W tej chwili nawet mógłby sobie wyobrazić, że jest jego partnerką. Chociaż...

Nie. Rouge nigdy nie mogłaby nią zostać. Za bardzo różnili się temperamentem. Miała praktyczny umysł, bazujący na faktach, a jego był niezyciowy, unosił się na falach idei. Nie obchodziły jej sprawy dla niego ważne, a on nie miał pojęcia, co ją interesowało oprócz pracy – o której wiedział mniej niż zero. Fizycy kwantowi – „kwarki”, jak czule nazywał ich ogół społeczeństwa – rzadko mówili o swojej pracy, zwłaszcza tacy jak Rouge, którzy pracowali dla prestiżowego Instytutu Fizyki Stosowanej imienia Olgi Żukowej. Jak mógłby wychowywać dzieci z osobą, której pracy nie rozumiał, której myśli nie potrafił pojąć, a zainteresowań nie podzielał?

– Nauczysz się tego – powiedziała jego matka.

– Jesteś zbyt wybredny – dodał ojciec.

– Musisz zaliczyć więcej dziewczyn – radził mu Mannu.

– Każdy w końcu znajdzie kogoś dla siebie – rzekła Lulu. – Finn też.

Ale był już najwyższy czas, żeby coś zrobić. I tak był spóźniony. I to bardzo. Seks uważano za zdrowy i zachęcano do niego już od czternastego roku życia. Postulowano, by większość młodych ludzi znalazła partnera lub żeby im go przydzielono przed ukończeniem dwudziestego ósmego roku życia. Jeśli Finn sam nie znajdzie partnerki w ciągu roku, będzie musiał złożyć podanie o jej wyznaczenie. Wielu młodych dorosłych cieszyło się z przydziału partnera, ponieważ taką osobę poddawano wcześniej różnym testom, dzięki którym można było porównać i ocenić wszystko, od kompatybilności DNA, przez liczebność plemników, po nawyki żywieniowe. Jednak i to nie zapobiegło drastycznemu, niemalże fatalnemu w skutkach spadkowi płodności w ciągu ostatnich dwustu lat. Mimo szeroko rozpowszechnionej praktyki zapłodnienia in vitro spadek liczby urodzeń był ogólnoswiatowym problemem, zwłaszcza na kontynencie europejskim, gdzie rodziny takie jak Finna, z trojgiem dzieci pochodzących od tych samych rodziców, były zdecydowanym wyjątkiem. Pary nie posiadały się z radości, gdy urodziło im się chociaż jedno dziecko, a generalny globalny

rząd cieszył się, jeśli jedna na trzy pary doczekała się potomka. Teraz była to tylko jedna na pięć.

Ostrożnie, aby nie obudzić Rouge, Finn na palcach minął drzwi do jej sypialni i ruszył po schodach na górę, do pokoju na poddaszu.



Krwistoczerwone słońce pięło się po niebie na wschodzie, a plaża była skąpana w różowym blasku. Na południu Atlantyk mienił się metaliczną szarością, na północy widać było nieruchome wody Great South Bay. Na prawo od Finna, na zachodniej ścianie pokoju stała biblioteczka, którą zbudował jego ojciec, a matka wypełniła książkami. Po jej lewej stronie wisiało lustro.

Spojrzał na swoje odbicie. Ujrzał młodego mężczyznę, całkiem przystojnego, ale nie nadzwyczajnie, o opalonym ciele i przeciętnym wzroście mniej więcej dwóch metrów, o ciemnych sztywnych włosach, teraz rozczochranych, oczach czarnych jak onyksowa szkatułka stojąca na orzechowym stole i z dwudniowym zarostem na twarzy.

Finn podszedł do stołu. Leżały na nim rozrzucone różne przedmioty pochodzące z jego rodzinnego domu. Niektóre zamierzał wyrzucić lub oddać. Inne, jak czarną onyksową szkatułkę, transfokatory lunarne Mannu, pluszowego misia Lulu i raketę ojca do slapbacka, chciał zabrać do swojego mieszkania w Berlinie. Skrzynka z przyborami matki miała zostać tutaj. Była to duża drewniana skrzynka, którą przytaszczył na poddasze z warsztatu. Otworzył ją. Podobało mu się to, że rozkładała się po obu stronach na boki, niczym schodki, a na każdym poziomie znajdowała się przegródka z roztworami w buteleczkach i przyborami służącymi do naprawiania różnych rzeczy. Kwaśny zapach mieszanki olejów i chemikaliów przeniósł go w świat dzieciństwa. Finn doświadczył chwili upojnej słodyczy, jakby naprawdę znów był małym chłopcem i oglądał skarby ukryte w skrzynce. Z zachwytem odkrywał miękkie ściereczki do czyszczenia książek, niektóre wykonane z rzadko już produkowanych tkanin, takich jak wełna; były tam nici i dratwa do renowacji okładek książek, torba włókien z nieużywanego zestawu do robienia papieru, miękkie pędzelki do odkurzania kartek i szorstki papier o bardzo delikatnej piaskowej fakturze do usuwania kleksów z atramentu. Matka nazywała go papierem ściernym. Przedmiot zwany gumką służył do wymazywania szarych linii narysowanych ołówkiem. Pamiętał, jak matka pokazała mu ołówek. „Zrobiono go z drewna i grafitu, kiedyś takimi pisano”, oznajmiła. Skreśliła nim kilka znaków na wewnętrznej stronie skrzynki. „Tu jest napisane «Finn» – powiedziała. – Drukowanymi literami”. Wtedy jeszcze nie potrafił czytać, ale poczuł dumę. Te kreski oznaczały jego imię!

Finn pochylił się nad drewnianą skrzynką, żeby sprawdzić, czy jego imię wciąż tam jest. Znalazł je, choć bledsze, niż zapamiętał. Przesunął palcami po kreskach i ogarnęło go chwilowe uczucie pustki; oczy go zapiekły. Wiedział, że to z tęsknoty za matką, za rodziną, ale gdy to poczuł, czy też gdy sformułował tę myśl – natychmiast ją przełknął. Wprawdzie publiczne okazywanie żałoby nie było zabronione, a już na pewno mógł robić to, co chciał, we własnym domu, lecz wybuchy emocji zwykle uważano za niepokojące, czasem obraźliwe, a nawet niszczące. Rozpamiętywanie byłoby nierozsądne, zwłaszcza gdy Rouge była na dole.

Finn usiadł i uruchomił mózgołacze. Wcześniej na chwilę włączył internet podczas holotransmisji z Dok-Dokiem, lecz od kilku dni nie sprawdzał poczty. Jego przyjaciel, Renko Hoogeveen,

bibliotekarz z Biblioteki Europejskiej, bombardował go wiadomościami. W skrzynce odbiorczej Finn znalazł też bilety na dzisiejszy lot oraz raport Urzędu Aeronautyki dotyczący wypadku w kosmosie, w którym zginęła jego rodzina. On też miał z nimi lecieć, ale zatrzymały go obowiązki zawodowe. Co za ironia! Dzięki sprawozdaniom Deutsche Banku był teraz ostatnim żyjącym Nordstromem na wschodnim wybrzeżu.

Finn poczuł, jak wzbiera w nim znów jakieś posępne i nieprzyjemne uczucie – ale nagle usłyszał poruszenie piętro niżej. To Rouge się obudziła. Pewnie będzie chciała zjeść śniadanie. Poszedł do kuchni.

Poprosi kucharza Carla Canelli-NY-FireIs3 o przygotowanie świeżego posiłku na lunch. Może homara? Albo wieloryba z hodowli morskiej East End? Do Rouge chyba bardziej pasowałby rekin, pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Spojrzał w dal, na przeciwległy koniec zatoki. Niebo nad Long Island było bezchmurne. Otworzył aplikację C-Earth w mózgołęczu i dowiedział się, że dalej na wschodzie jest tak samo. To będzie dobry dzień na lot, pomyślał, miksując dwa lodowate koktajle z owoców leśnych i płatków owsianych. Jeden z nich wstawił do lodówki, a drugi wziął ze sobą i wrócił do stołu z orzechowego drewna.

Rodzinna legenda głosiła, że przodek Finna ze strony ojca, Florian Lawrence, zbudował ten stół własnymi rękami. Przez kolejne stulecia przekazywano go najstarszemu dziecku w pokoleniu, od Lawrence'ów, przez Scheinwaldów i Sopranów, po Nordstromów.

Według tej legendy Florian Lawrence przeżył chaos Mrocznej Zimy dzięki temu, że wraz z rodziną uciekł z Europy i popłynął łodzią z niemieckiego wybrzeża Bałtyku do Szwecji. Stamtąd udał się wodą do Norwegii, dalej do Islandii i na Grenlandię, aż w końcu przybył do Kanady. Jako jedyny z całej rodziny przeżył podróż. Niepokonany, wyruszył na południe wzdłuż wybrzeża, a w końcu znalazł sobie żonę i osiedlił się. W pewnym momencie zbudował stół. Z biegiem lat ów mebel stał się symbolem przetrwania rodu.

Projekt stołu był klasyczny: proste linie i gruby blat z ciemnego, prawie czarnego drewna orzechowego. Wyróżniały go zdobienia. W rogach stołu ręcznie namalowano słoneczniki wielkości niedużego talerza, z łodygą biegnącą wzdłuż nogi. Pośrodku blatu narysowane było słońce. Stół miał też ukrytą wysuwaną szufladę. Odkąd Finn sięgał pamięcią, znajdował się w niej jeden jedyny przedmiot, który przetrwał ucieczkę z Europy z Florianem: czarna onyksowa szkatułka.

Finn wziął ją do ręki.

Była niewielka, nie dłuższa od jego dłoni. Jej spód oraz wierzch wykonano z nieskazitelnego czarnego onyksu o lustrzanym połysku. Wieczko ozdobiono intarsją z motywem słoneczników.

Otworzył szkatułkę. W środku, na czarnej aksamitnej poduszeczce, spoczywało wieczne pióro i pierścionek.

Duży, przezroczysty, jasnożółty bursztyn najwyższej jakości obsadzono w kręgu małych czarnych kamieni szlachetnych – obsydianów – na srebrnej obrączce. W bursztynie tkwił uwięziony wielki, tłusty, nienaruszony trzmiel o doskonałym kształcie. Od wewnątrz pierścionek miał wygrawerowaną datę: 20.08.2018.

Wziął pióro do ręki. Pamiętał, jak go intrygowało w dzieciństwie. Pióra były przestarzałe, wyszły

z użytku ponad sto pięćdziesiąt lat wcześniej. Kto dziś jeszcze pisał odręcznie? Było to nawet bardziej archaiczne niż pisanie na klawiaturze. Wciąż można było znaleźć klawiatury w położonych na uboczu wioskach, ale nawet w dziczy przekazywanie sygnałów i obrazów przez mózgołące było normą dla większości osób, które przekroczyły wiek przedszkolny.

Musnął palcami gwiazdki zatopione w wypolerowanej czarnej oprawie pióra. Podobne przedmioty spotykano teraz zwykle jedynie w muzeach lub sklepikach z pamiątkami w koloniach Leśnych. Oprócz kustoszy muzeów jedynymi osobami, które używały piór, ołówków i kredek, nie mówiąc o związanych z nimi dawnych wynalazkach, takich jak grafit czy atrament, byli Leśni, którzy większości pozostałych wydawali się tak dziwni, że traktowano ich z pewnym lekceważeniem, jakby sami byli obiektami muzealnymi. Wiedli proste życie, ubierali się skromnie, rezygnowali z większości nowoczesnych udogodnień i sami uczyli swoje dzieci. Ich kolonie, hermetyczne społeczności, właściwie nieutrzymujące kontaktu ze światem zewnętrznym, były nieliczne: od czterech do sześciu na kontynent. Rodzice Finna w związku ze swoją pracą utrzymywali z nimi bliskie stosunki, zwłaszcza z klanem Aaronsonów-Aiello, rodziną drukarzy i wytwórców papieru ze Sternwood Forest, kanadyjskiej kolonii położonej na północ od Toronto.

Finn oglądał pióro. Zapomniał już, kiedy ostatni raz trzymał je w ręce. Było lżejsze, niż pamiętał. Jego ciężar wydał mu się idealny. Przetaczał je w tę i z powrotem na dłoni, podziwiając jego smukły kształt i ostrą elegancję pokrytej platyną stalówki z czternastokaratowego złota. Przesunął palcem po inskrypcji. Spojrzał z podziwem na kursywną czcionkę, połączone litery. Gdy był dzieckiem, nie umiał przeczytać słów. Tak naprawdę niewiele osób to potrafiło. Pismo kursywne, tak jak egipskie hieroglify, dla zwykłej osoby było niezrozumiałe. Już dawno zastąpiły je komputerowe drukowane litery.

To prawda, niektóre zawody wymagały umiejętności czytania pisma kursywnego. Bibliotekarze, archeolodzy, kustosze muzeów, paleografowie, tłumacze i historycy w swojej pracy często stykali się z odręcznie spisаныmi dokumentami. Teksty te zazwyczaj skanowano i odczytywano za pomocą aplikacji, które lepiej lub gorzej radziły sobie z czytaniem różnych rodzajów pisma, biorąc pod uwagę styl i indywidualne cechy. W przypadku niemieckiego rezultaty były niezadowolające. Do sprawnego działania programy te potrzebowały dosłownie tysięcy przykładów dobrego i złego pisma. Dopiero wtedy, z czasem, mogły odczytać wysoce zindywidualizowane pismo odręczne. Niestety Mroczna Zima zniszczyła praktycznie całą kulturę pisma odręcznego w Niemczech. Aplikacje po prostu nie miały dostępu do wystarczających zasobów informacji, aby dokładnie odczytywać dokumenty.

Dlatego też niewielką grupę badaczy przeszkolono w trakcie studiów, żeby potrafili czytać dokumenty spisane odręcznie w wymarłym niemieckim. Niektórzy z nich osiągnęli pewien poziom kompetencji. Jednak tylko nieliczni zapragnęli wziąć do ręki pióro, przyłożyć je do papieru i nauczyć się pisać. Finn nie był wyjątkiem.

Spojrzał na inskrypcję na wiecznym piórze przodka. Legenda głosiła, że pierwsza żona Floriana Lawrence'a, Alisa, podarowała mu to pióro i zleciła wygrawerowanie napisu. Z biegiem lat niektóre litery starły się, ale wciąż można było odczytać:

Dla F

w im wiecz miło

li

pień 201

Sierpień i co dalej? Mógł to być dowolny rok między 2011 a 2019, ale reszta była...

– Dzień dobry.

Zaskoczony Finn odwrócił się gwałtownie.

To była Rouge. Oczywiście. Roześmiała się.

– Rozmarzyłeś się – powiedziała.

Finn nie wiedział, czy było to pytanie, czy stwierdzenie, więc tylko się uśmiechnął. Zauważył, że jej miedziane włosy są potargane. Właśnie wyszła spod prysznic. Jedwabny szlafrok w kolorze oślepiającego królewskiego błękitu przylegał do mokrego ciała.

– Nie masz sanisuszarki – rzekła w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie.

– Nie. Tylko ręczniki. My, wyspiarze, zawsze byliśmy trochę staroświeccy.

– Co to takiego? – zapytała, sięgając po przedmiot, który trzymał w dłoni.

– Rodowe klejnoty.

Roześmiała się.

– Pióro. Jakie oryginalne. Z diamentami.

– Nie, to nie są diamenty. Platyna. Symbolizują gwiazdy.

Rouge powąchała pióro. Zdjęła skuwkę. Zbadała czubek stalówki opuszką palca wskazującego. Z powrotem nałożyła skuwkę. Była bardzo dokładna. Pewnie jak każdy kwark z Instytutu Olgi Żukowej. Musieli tacy być.

Rouge wskazała na inskrypcję.

– Co tu jest napisane?

– Brakuje niektórych liter. Ale napis mówi: „Dla Floriana, w imię wiecznej miłości, Alisa. Sierpień dwa tysiące któregoś roku”. Florian to przodek. Florian Lawrence. Cudem udało mu się uciec z Europy w dwa tysiące osiemnastym. Alisa była jego pierwszą żoną. Podobno zmarła podczas Mrocznej Zimy. Na dzumę. – Sięgnął po pióro. – W instytucie nie uczą was kursywy? – dodał, drocząc się z nią.

– W Instytucie Olgi Żukowej uczą nas myśleć. – Najwyraźniej zdała sobie sprawę z tego, że jej odpowiedź zabrzmiała opryskliwie, więc szybko dodała z uśmiechem: – Czytanie jest dla marzycieli. I poetów. – Oddała mu pióro. – W imię wiecznej miłości – mruknęła i przewróciła oczami.

Finn przypomniał sobie, jak w dzieciństwie zastanawiał się nad słowami: „W imię wiecznej miłości”. W szkole uczono ich, że miłość prowadziła do egotyzmu, zazdrości, obłędu, nieszczęść i wojen. Po co ktokolwiek miałby jej pragnąć „na wieczność”?

Oczywiście teraz już wiedział, że rozpacz i wojna nie zawsze wynikały z nieszczęśliwej miłości. Nauczyciele z pewnością przesadzali. Mimo to idea romantycznej miłości – o jakiej czytał na studiach w powieściach z dziewiętnastego, dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku – była

mu obca, podobnie jak wszystkim, których znał. Przez sto pięćdziesiąt lat, od zakończenia Mrocznej Zimy, głównym problemem ludzkości było przetrwanie. Ciężka praca dla dobra ogółu była koniecznością. Prokreacja stała się obowiązkiem – oczywiście nie oznaczało to, że ludzie zmienili się w automaty do rozmnażania. Człowiek był istotą społeczną, która dbała o innych ludzi. Dostrzegał wartość życia w harmonii, a nawet poświęcenia się wielkiej pasji. Tylko co miłość miała z tym wspólnego?

Z drugiej strony musiał przyznać, że romantyczna miłość wydawała mu się czasem wyjątkowo intrygująca.

– Finn? – odezwała się Rouge. – Znów śniesz na jawie.

Spojrzał na nią.

– Och. Przepraszam... Jesteś głodna?

– Umieram z głodu – odparła.

Finn znów usłyszał w jej głosie uwodzicielski ton. Odwrócił się i schował pióro do onyksowej szkatułki.

Rouge wzięła do ręki raketę do slapbacka i zaczęła ją oglądać.

– Należała do Artu – wyjaśnił Finn. – Grywaliśmy razem. – Brzmienie imienia ojca dziwnie na niego wpłynęło. Jego głos stał się ponury, chrapliwy. Przełknął z trudem ślinę. – Był świetny. Gdy byliśmy mali, grał jedną ręką przeciwko nam obu. „Artu Niepokonany kontra Chłopaki Nordstromów”, mawiał. Gdy miałem trzynaście lat, a Mannu piętnaście, w końcu go pokonaliśmy. Jeszcze nigdy tak się nie ucieszył. – Finn odchrząknął.

Rouge przyglądała mu się przez chwilę, po czym rzekła z naciskiem:

– Teraz masz nas, Finn. PAD jest twoją rodziną.

– Och, proszę cię. Jakbym czytał podręcznik wstępu do dorosłości!



Podręcznik dotyczący wstępu do dorosłości instalowano w mózgołacu w dniu osiemnastych urodzin. Wówczas, według globalnego rządu, młodzi ludzie oficjalnie wkraczali we wstępny okres przed osiągnięciem dorosłości i przeprowadzali się do specjalnych akademików, potocznie zwanych na całym świecie PAD-ami, od ich angielskiej nazwy: *Pre-Adult Dormitory*. „Witaj na nowej drodze, która doprowadzi cię do dorosłości – można było przeczytać we wstępie – w tych cudownych latach między osiemnastym a trzydziestym rokiem życia, kiedy już nie należysz do młodzieży, lecz nie uzyskałeś jeszcze statusu dorosłego. Wiesz, kim jesteś i kim chciałbyś się stać. Jesteś gotów rozwinąć skrzydła, wzbić się w powietrze i dołączyć do szeregów pracującej populacji. Czas opuścić rodzinę i znaleźć nową, w wyznaczonym akademiku. PAD jest teraz twoim nowym domem. Miłego pobytu!”.

Od tamtego dnia minęło zaledwie osiem lat. Lulu była wtedy ośmioletnią uczennicą, Mannu miał dwadzieścia lat i studiował prawo kosmiczne. Matka próbowała się uporać z renowacją trzydziestu trzech tomów Encyklopedii Britanniki w luksusowym wydaniu z 1993 roku, w piankowej skórzanej oprawie rozpadającej się na szwach. Ojciec właśnie otworzył sklep z antykami, z rzadkimi meblami z naturalnego drewna, wykonanymi w dwudziestym pierwszym wieku. A Finn pomyślnie zdał

egzaminu wstępne na Uniwersytet Europejski w Greifswaldzie. Uczelnia w Greifswaldzie była jedną z nielicznych na świecie, która posiadała nietknięty kampus, przystań dla wolnomyślicieli i twórczych dusz, gdzie ludzki kontakt studentów z mentorami ceniono wyżej niż dominujące gdzie indziej korzystanie ze sztucznej inteligencji i zdalnego dostępu. Od Berlina dzieliła ją tylko piętnastominutowa podróż bezpośrednim wahadłowcem SwiftShuttleX. Finn mieszkał w największej społeczności PAD na świecie. Akademik znajdował się w najmodniejszej dzielnicy Berlina, Märkisches Viertel. Na całym świecie nazywano go czule BAD PAD, ponieważ słynął z szalonych imprez, podczas których nie wylewało się za kołnierz.

Finn uśmiechnął się na myśl o tym, że jego dużą nową rodziną jest teraz BAD PAD, tygiel o powierzchni dziesięciu kilometrów kwadratowych, kipiący testosteronem i estrogenem ponad stu tysięcy młodych mężczyzn i kobiet, którzy pochodzili z całego świata, będących nieustannie w biegu, studiujących lub pracujących na stażu, spragnionych rozrywki i poszukujących odpowiedniego partnera życiowego. Rouge i Finn mieszkali w czteropokojowym apartamencie z Yolandą Abbas, terapeutką klonów, oraz inżynierem rowerowym Severinem Boxbergiem, w jednym z mniejszych budynków tworzących kompleks BAD PAD. Była to dwupiętrowa willa o nieregularnie rozmieszczonych oknach i balkonach osłoniętych białymi, pomarańczowymi, czerwonymi, niebieskimi, żółtymi i zielonymi markizami. Nazywano ją Rubikiem, ponieważ przypominała nieulożoną kostkę Rubika, łamigłówkę dla dzieci stworzoną trzysta lat wcześniej.

– Finn? – odezwała się łagodnie Rouge, przerywając jego zadumę. – Myślałeś już o tym, żeby zająć się sprawą memoklonów?

Potrząsnął głową.

Nie rezygnowała.

– Kiedy po raz ostatni zgrano wspomnienia twojej rodziny?

Ta informacja zapewne znajdowała się już w osobistym infobanku Finna. Jeszcze tam nie zaglądał.

– Rodzina Nordstromów nigdy nie dbała o skrupulatną archiwizację wspomnień – powiedział. – A poza tym Lulu była za mała na transfer pamięci. Mamy tylko jej genom i zawartość jej mózgołacza.

Zdaniem Finna zarówno zwykłe klony, jak i memoklony były źródłem samych problemów. Przez duże „P”.

Zwykłe klony, które rozwijały się w naturalny sposób i dojrzewały w łonie matki-dawczyni, powszechnie uznawano za zdrowe istoty ludzkie. Były po prostu bliźniętami – spóźnionymi o parę lat. W połowie dwudziestego pierwszego wieku hodowano je masowo do walki na froncie, a później, gdy władzę przejął globalny rząd, do odbudowy świata. Dla większości ludzi były obywatelami drugiej kategorii, aż w końcu rząd wycofał je z obiegu i włożył więcej wysiłku w tworzenie humanoidalnych androidów, pozbawionych typowo ludzkich raf emocjonalnych. Dalej tworzone zwykłe klony – zgodnie z surowymi prawami dotyczącymi klonowania – lecz wychowywano je w normalnych warunkach, a ich tożsamość ukrywano przed ogółem społeczeństwa. Prawo nakazywało jednak, aby po ukończeniu osiemnastu lat klon poznał swoje pochodzenie. Rzadko zdarzało się, że dobrze przyjmowały tę wiadomość, i bardzo cierpiały z powodu tego wiecznego piętna.

Memoklony natomiast, okrzyknięte pierwszym krokiem ku nieśmiertelności, były zupełnie inną

sprawą. Podobnie jak zwykły klon, memoklon otrzymywał DNA dawcy, lecz dodatkowo wgrzywano mu także jego wspomnienia. Szybko doprowadzano do jego dorosłości: osiągnięcie pełnej dojrzałości – trzydziestu pięciu lat – zajmowało mniej niż sześć miesięcy.

Podobnie jak w przypadku większości Europejczyków powyżej dwudziestego pierwszego roku życia, wspomnienia Finna zgrywano w ramach rutynowych badań medycznych podczas bezbolesnego zabiegu. Następnie przekazywano dane do pilnie strzeżonych neuroskarbców w prowincji szwajcarskiej, gdzie przechowywano je, gotowe do skopiowania na życzenie członka rodziny.

W założeniu memoklony miały być zdrowymi, wiernymi replikami dawcy, mniej więcej z chwili jego śmierci. W rzeczywistości miały dziury w pamięci i zwykle zaczynały szwankować przed upływem pięciu lat, co skutkowało poważną chorobą psychiczną, agresją i otępieniem. Większość memoklonów stawała się ciężarem dla siebie lub dla ludzi, którzy powołali je do życia. Przeważnie dożywały swoich dni uwięzione w specjalnych domach opieki.

– Nie, Finn, poczyniono wielkie postępy, jeśli chodzi o memoklony – powiedziała Rouge łagodnym tonem. – Reynaldo Torres z instytutu twierdzi, że jego żona jest prawie idealna.

– Prawie – rzekł Finn. – Ale nie do końca. To nie wystarczy. Poza tym jak długo będzie „prawie” idealna? Mówimy o istotach ludzkich, osobach, z którymi jesteśmy związani, na których nam zależy. I jak syn czy brat mógłby wskrzesić jednego członka rodziny, a innego nie? Młodsze historyka nie stać na trzy klony. I co z Lulu? Nie mamy jej wspomnień. Daj spokój! To niedorzeczny pomysł.

Wstrząśnięta wybuchem Finna Rouge przyglądała mu się przez chwilę, po czym odłożyła rakieta na stół. Przesunęła ręką nad blatem.

– Skarby światowej kultury à la Nordstrom – oznajmiła wesoło.

Finn poczuł ulgę, że zmieniła temat.

– Właściwie – powiedział – to tutaj znajdują się prawdziwe skarby. – Podeszedł do regału na zachodniej ścianie i otworzył jedno z ciemnych przeszklonych drzwiczek.

Podmuch chłodnego powietrza wpadł do pokoju.

– Och, zimno! – zawołała Rouge.

– To dla ochrony książek.

Rouge wyjęła pierwszą z brzegu książkę, najcieńszą, liczącą może sto stron. Przeczytała na głos zapisany drukowanymi literami tytuł:

– Kodeks illeistów.

Finn nie wiedział, czy książka rzeczywiście ją zainteresowała, ale otworzyła ją, więc docenił ten gest.

– Ile ta ma lat? – zapytała.

– Właściwie to jedna z najnowszych w kolekcji. – Pokazał jej notę copyrightową. Był to reprint z 2100 roku książki wydanej po raz pierwszy w 2020. – To podręcznik szkolny używany w Ameryce Północnej i Europie w pierwszych latach Mrocznej Zimy – ciągnął. – Dzieci nie mogły się przyzwyczać do rezygnacji z pierwszej osoby liczby pojedynczej.

Rouge otworzyła książkę na pierwszej stronie.

– „Wstęp z okazji osiemdziesiątej rocznicy wydania – przeczytała. – Illeizm, inaczej mówienie o sobie w trzeciej osobie, był powszechną praktyką w Piechocie Morskiej Stanów Zjednoczonych,

począwszy od lat trzydziestych dwudziestego wieku. Na obozach zachęcano rekrutów, aby mówili o sobie «ten rekrut», ponieważ osłabiała to tożsamość jednostki, a wspierało współpracę w korpusie i umacniało jego zintegrowanie”. – Spojrzała na niego. – Wiedziałaś o tym?

– To elementarna wiedza historyczna.

– „W dwa tysiące osiemnastym roku – czytała dalej – kiedy niemiecka dżuma dotarła na kontynent amerykański, pojawiła się konieczność, aby oddziały pilnujące prawa i porządku w całym kraju działały jako spójna całość. Nie tylko piechota morska, lecz teraz także policja, wojsko, marynarka, siły powietrzne i gwardia narodowa przyjęły zasady illeizmu w nadziei na utrzymanie więzi między oddziałami, aby łatwiej przyszło im ustanowić porządek w państwie. Co zaskakujące, to rozwiązanie się sprawdziło i wiele innych państw także przyjęło kodeks. Wkrótce jego zasady przeniknęły do mowy potocznej i zaimek «ja», zwłaszcza w germańskich i romańskich podgrupach języków indoeuropejskich, stracił znaczenie. Kiedy podczas pierwszych obrad generalnego globalnego rządu w dwa tysiące dziewięćdziesiątym piątym roku podkreślano znaczenie internacjonalizmu i globalnej kooperacji, używanie pierwszej osoby liczby pojedynczej uznano za faux pas w eleganckim towarzystwie”. – Głos Rouge przycichł.

Najwyraźniej zaczynała ją to nudzić.

– Znajdziesz tu podpowiedzi, jak ominąć pierwszą osobę liczby pojedynczej – rzekł Finn, pokazując jej spis treści. – Jak zastąpić „ja” zaimkiem „my”. Jak formułować pytania, zamiast wyrażać osobiste sądy. I tym podobne. To, co dla nas jest dziś drugą naturą. – Wziął od niej książkę i odłożył na miejsce. Poszedł do kuchni. – Mówiłaś, że jesteś głodna. Masz ochotę na koktajl z owoców leśnych?

– Jasne.



Rouge zachwycała się północnym światłem w kuchni.

– Jak poszła wczorajsza rozmowa? – zapytała.

Finn wzruszył ramionami.

– Ten historyk ma nadzieję, że postępuje słusznie. To pamiętnik. Napisany przez trzynastolatkę. Dziewczynkę.

– Ojej. Nie brzmi to zbyt intrygująco.

Finn wyjął z lodówki koktajl dla Rouge.

– Może się okazać, że jest inaczej. Zjesz później rybę na lunch? – zapytał. – Po drugiej stronie zatoki mamy hodowlę morską.

– Doskonale.

– Na co masz ochotę? Na homara? Wieloryba?

– Co powiesz na rekina? – zasugerowała.

Finn się roześmiał.

– Bingo! – zawołał.

– Bingo?

– To okrzyk wskazujący na wygraną w grze bingo. Czasem wyrażający też zadowolenie lub

zaskoczenie pozytywnym wynikiem. Z lat dwudziestych dwudziestego wieku. Źródło nieznane.

– Ale co jest w tym przypadku pozytywnym wynikiem?

– Ten znajomy domyślił się, że wybierzesz właśnie rekina – odparł. – Jesteś drapieżnikiem, Rouge Marie Moreau. Wszyscy to wiedzą.

Roześmiała się, upiła łyk koktajlu i spytała:

– A kto jest ofiarą?

Rozdział 4

Góra Lodowa

Po deszczowej nocy nastał słoneczny poranek. Greifswald skąpany był w złotym świetle. Powietrze pachniało mokrymi liśćmi, wilgotną ziemią, nadciągającą jesienną aurą i obietnicą. Finn zatrzymał się przy kiosku i poprosił robosprzedawcę o torebkę prażonych migdałów. Sygnał dźwiękowy powiadomił go, że czujnik pobrań wszedł do konta bankowego w jego mózgołęczu i zainkasował odpowiednią kwotę za przekąskę. Finn ruszył dalej z uśmiechem na ustach. Naprawdę, tak beztrudnie nie czuł się od wielu tygodni. Perspektywa nowego zlecenia – wymarzonej pracy! – poprawiła mu nastrój. Dziś miał dostać do ręki różowy pamiętnik, a raczej jego wierną replikę. Spojrzał na gmach Biblioteki Europejskiej.

Wzbijająca się ku niebu, górująca nad miejskim krajobrazem Greifswaldu biblioteka mieściła jedyny ogólnodostępny zbiór książek w północnej części kontynentu, łącznie siedemdziesiąt dwa miliony tomów – co i tak było niewielką liczbą w porównaniu z tym, co przepadło. Zbudowana przed stu pięćdziesięciu laty na miejscu zburzonej średniowiecznej kopuły, nazywana była Górą Lodową. Z pewnością ją przypominała: cała ze szkła i luster, trzysta dwadzieścia pięć metrów szerokości u podstawy, nieregularnie pochylona w górę, wznosiła się coraz wyżej spiralą, której zwieńczenie znajdowało się 99,79 metra nad poziomem morza. Otaczające ją budynki o czerwonych dachach wydawały się przy niej karzełkami. W środku, pomimo szkła, było niesamowicie ponuro i cicho, dźwięk kroków na białej marmurowej posadzce rozchodził się echem, głos odbijał się rykoszetem od ścian. Niewiele osób odwiedzało to miejsce. I podobnie jak w przypadku wszystkich gór lodowych, większa część Biblioteki Europejskiej znajdowała się pod powierzchnią, w tym przypadku pod ziemią, dwanaście pięter w dół. Magazyny zwane Katakumbami, ostatnie miejsce spoczynku książek w Europie, zbudowano tak, aby powstrzymać wdzierającą się coraz wyżej wodę, która pochodziła z prawdziwych topniejących gór lodowych.

Gabinet doktora doktora Rirkrita Sriwanichpooma mieścił się kilka pięter poniżej czubka Góry Lodowej. Finn dotarł najwyżej do sali bankietowej na piętnastym piętrze, gdzie co roku odbywała się impreza noworoczna biblioteki. Zwykle wjeżdżał na górę Szklaną Klatką, lecz teraz miał kilka wolnych minut, więc udał się tam drogą dla turystów, Korkociągiem, który wjeżdżał na szczyt powoli, spiralnym ruchem, po krętych schodach z widokiem na Greifswald w dole.

Po drodze obejrzał pokaz holograficzny oświetlający wspaniałe skarby znalezione w Archiwum Wymarłych Języków. I tak pozostała ich zaledwie żałosna garstka. Mroczna Zima była bezwzględna. Niemiecka dzuma, potem wojna, głód, upadek i Wielka Pożoga w 2050 roku spowodowały masową migrację Europejczyków, która doprowadziła do nieuniknionej śmierci języków tego kontynentu, między innymi niemieckiego, niderlandzkiego i duńskiego.

Niektóre przedmioty z najcenniejszych zbiorów archiwum miał okazję oglądać w ich oryginalnej formie jeszcze jako student mediewistyki. Między innymi egzemplarze Biblii Gutenberga. Inne studiował w formie ich wiernej repliki, na przykład pierwsze wydanie *Cierpień młodego Wertera* Goethego. Pewnego razu jego przyjaciel z biblioteki, Renko, pozwolił mu nawet przekartkować

oryginalny katalog wysyłkowy Quelle z 1992 roku. Oczywiście było to surowo zabronione, ponieważ ów katalog oraz pierwsze wydanie powieści *Doktor Norden* z 1973 roku, przykładu literatury wagonowej, należały do najbardziej znaczących dwudziestowiecznych znalezisk biblioteki.

Finn zszedł z ostatniego wyjścia Korkociągu na piętnastym piętrze i podjechał na górę Szklaną Klatkę. Serce mu łomotało, jakby trasę Korkociągu pokonał pieszo. Ono już wiedziało to, co do niego dopiero zaczynało docierać: od tego dnia jego życie nie będzie takie jak dawniej.



Finn został wprowadzony przez „salę tronową” do bibliotecznego gabinetu doktora doktora Sriwanichpooma, gdzie, co zabawne, nie widać było żadnych książek – z wyjątkiem jednej. Na szklanym stole leżał różowy pamiętnik. Dyrektor wziął go do ręki i podał Finnowi.

– Proszę otworzyć i się przyjrzeć. Nasze laboratorium poświęciło mu wiele czasu.

Finn otworzył wierną replikę na chybił trafił, gdzieś w środku. Litery były duże i pełne zawijasów, pismo rzeczywiście wyglądało na dziecięce.

– Duże i pełne zawijasów, prawda? – spytał dyrektor.

Finn spojrzał na niego. Przypomnił sobie o niezwykłym talencie dyrektora do czytania w myślach, który go niepokoił.

– Śmiało – zachęcił go Sriwanichpoom z szerokim uśmiechem. – Proszę nie przerywać.

Finn otworzył na pierwszej stronie i zmarszczył brwi. Zamiast kropek nad „i” autorka rysowała małe serduszka. A litery „o” przypominały uśmiechnięte buźki. W co on się wpakował? Papier był liniowany, cienki i kiepskiej jakości. Szeleścił w miejscach, gdzie użyto długopisu. Finn spojrzał na dyrektora.

– Laboratorium spisało się doskonale. Nawet kartki skrzypią i szeleszczą.

– Miło to słyszeć – powiedział Sriwanichpoom, ale wyraźnie było mu to obojętne. – Dobrze więc. Ten dyrektor ma dziś dużo pracy. Proszę go powiadomić, gdy odkryje pan imię autorki. Albo gdy zakończy pan odczytywanie dokumentu. Cokolwiek zdarzy się pierwsze. Dobrze?

– Oczywiście.

– To była dla mnie przyjemność – powiedział z tym swoim oschłym nosowym akcentem.

Finn odniósł wrażenie, że dyrektor tak naprawdę myśli coś zupełnie przeciwnego. I znów tknęło go, że ten człowiek kogoś mu przypomina.

Finn wstał i sięgnął po pamiętnik.

Mężczyźni wymienili uściski dłoni – tym razem osobiście.

– Och – dodał dyrektor – proszę przekazać serdeczne pozdrowienia od tego mężczyzny pańskiej uroczej... – zawahał się, jakby starał się dobrać odpowiednie słowo, i dokończył: – ...przyjaciółce.

– Proszę? – spytał Finn, niepewny, kogo tamten miał na myśli.

– Rouge – oznajmił dyrektor. – Rouge. Marie. Moreau. To imię do niej pasuje. Jest pańską... przyjaciółką, prawda?

– Tak, oczywiście – potwierdził Finn, czując, że dyrektor zamierza zastawić na niego pułapkę.

– A nie... partnerką? – rzucił dyrektor.

Oto i pułapka.

– Nie – odparł. – Nie.

– Dziwi mnie to. Ten mężczyzna miał wrażenie, że byliście kompatybilni pod względem fizycznym. Finn poczuł, że się czerwieni. Skąd Sriwanichpoom wiedział o nim i Rouge?

– Ile ma pan lat? – zapytał przełożony.

Finn był pewien, że dyrektor zna odpowiedź. Z trudem przełknął ślinę.

– Dwadzieścia sześć – odrzekł.

– Najwyższy czas, aby znalazł pan partnerkę, nie sądzi pan? Jeśli nie, będziemy musieli zrobić to za pana. Chcielibyśmy, aby członkom naszego personelu wiodło się jak najlepiej. Na wszystkich frontach.

Finn skinął głową.

– Tak, proszę pana.

– Proszę jej przekazać pozdrowienia od tego dyrektora.

– Ten mężczyzna z pewnością to uczyni. – Skierował się do wyjścia.

– Och! Finnie Nordstromie?

Czyżby kolejna pułapka? Finn odwrócił się i spojrzał na dyrektora.

– Proszę przyjąć od zespołu biblioteki wyrazy współczucia w związku ze śmiercią pańskiej rodziny. To musiała być ogromna strata.

– Tak – powiedział Finn. – Była. I jest. – Krótco skinął głową i wyszedł, a gdy znalazł się na zewnątrz, znów mógł zacząć oddychać.

Pamiętnik, pomyślał. Różowy winylowy pamiętnik. W serduszka. I uśmiechnięte buźki. Westchnął.

Różowy pamiętnik

Finn dodał zing do herbaty imbirowej, zaczekał, aż się rozpuści, zamieszał i ostrożnie spróbował. A! Gorące. Ale od razu poczuł się odświeżony i rześki. Otworzył pamiętnik i zabrał się do pracy.

Czwartek, 22 maja 2003

Dziś są moje urodziny (kończę trzynaście lat!) więc wstałam bardzo wcześnie, dokładnie o szóstej trzydziści (wszyscy tak wstaliśmy, nawet Robert!) ponieważ chciałam mieć czas na rozpakowanie prezentów przed wyjściem do szkoły a poza tym chciałam, żeby Tata zrobił na śniadanie swoją fantastyczną francuską grzanekę, którą mi obiecał, ale Mama powiedziała, że tylko jeśli przygotuję książki i rzeczy wieczorem i ubiorę się na czas, i nie będę się guzdrać więc spakowałam się i przygotowałam do wyjścia wczoraj wieczorem (choć był to oczywisty przykład szantażu ze strony Mamy!) i starannie dobrałam ubranie (żurawinowobrzoskwiniową batikową sukienkę z zielononiebieską lamówką, niebieskie legginsy, zielone skarpetki i pomarańczowe trampki) a ponieważ wysłuchałam prognozy pogody i wiedziałam, że dzisiaj znowu będzie chłodno i deszczowo, postanowiłam włożyć dżinsową kurtkę, ale najpierw musiałam zdrapać plamy z zaschniętego truskawkowego serka (na prawej górnej kieszeni, po niedzielnym obiedzie u ciotki Gesine) bo nie chciałam żeby Mama rzędziła że powinnam dbać o swoje ubrania i dawać przykład mojej młodszej siostrze Madeline która jest o dwa lata i dwa miesiące młodsza ode mnie i (jeśli chcecie znać prawdę) jest prawdziwą fleją.

Finn dobrnął do kropki na końcu zdania i wypuścił powietrze. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywał oddech, desperacko czekając na kropkę, która wreszcie się pojawiła, choć nieco gwałtownie, z tym krótkim i dość ostrym słowem: „fleja”. Zastanawiał się, czy cały pamiętnik jest utrzymany w takim oszałamiającym tempie i czy konieczne będzie poprawienie interpunkcji autorki. Wolał autentyczność, lecz drobna korekta mogłaby uczynić tekst bardziej przystępnym. Od tych wszystkich wtrąconych zdań zakręciło mu się w głowie. Z drugiej strony dziewczynka miała płynny styl. Treść była może nieco miętka, lecz tekst był dobrze napisany jak na trzynastolatkę. Ogólnie rzecz biorąc, wydawał się łatwy do przełożenia na angielski.

Finn upił łyk pobudzającego napoju i jeszcze raz uważnie przeczytał pierwsze zdanie. Widać było, że autorka dokładała wysiłku, by pisać starannie, nawet jeśli niektóre litery były rozmazane. Czy była to wina długopisu, czy może jej sporadycznego niedbalstwa? Finn szybko przekartkował pamiętnik, starając się nie wczytywać w tekst. Jak każda osoba żyjąca pod łagodnym panowaniem globalnego rządu, nauczył się unikać przeskakiwania do przodu – aksjomat globalnego rządu, „wszystko po kolei”, przenikał do wszelkich sfer życia.

W tym dokumencie użyto rozmaitych rodzajów tuszu i przyborów do pisania. Mimo smug litery – duże, z okrągłymi zawijasami – kreślono z wielką dbałością. Pamiętnik najwyraźniej był dla niej bardzo ważny. Tak, autorką była zdecydowanie dziewczynka, bo wspomina o sukience. Batikowej. Także serduszka zdradzały jej płeć. Zmarszczył czoło na widok małych „i” – bez wyjątku ozdobionych drobnymi serduszkami, pstrzającymi stronę niczym maleńkie odciski stóp w dawnych podręcznikach do nauki tańca.

Wpisy sygnowane były literą „E” – również na ostatniej stronie. Czy była to pierwsza litera imienia

autorki? Esperanza? W szkole znał wiele dziewcząt o imieniu Esperanza, symbolizującym nadzieję rodziców i społeczeństwa tracącego swoją ludzką populację. A może to jakieś staroświeckie niemieckie imię? Edeltraut? Elburg? Gdyby znał imię i miejsce zamieszkania tej dziewczynki, mógłby spróbować ustalić jej tożsamość.

Wrócił do pierwszej strony i jej wylewnego wstępu. Tylko Thomas Mann i pracownicy Deutsche Banku potrafili pisać dłuższe zdania niż ta trzynastolatka. Składało się ze stu osiemdziesięciu wyrazów. Siedemnaście razy użyła pierwszej osoby liczby pojedynczej. Ja to. Ja tamto. „E” wyraźnie była centrum własnego wszechświata. Czy w 2003 roku wszystkie dziewczynki były tak skupione na sobie? Finn czytał dalej.

Na pewno umieracie z ciekawości, co dostałam na urodziny, więc wam powiem.

Finn opanował odruch, aby przewrócić oczami. Owszem, czuł naukowe zainteresowanie tym, co dziewczynka dostała na urodziny, ale niekoniecznie umierał z ciekawości.

Oto co podarowali mi rodzice:

- *iMac! Mój własny! (To na pewno pomysł Taty!)*
- *różowo-czarna deskorolka z Princess Skull*
- *bon na trampki*
- *dwie bardzo stare (i pewnie okropnie nudne) książki: „Duma i uprzedzenie” Jane Austen i „Jane Eyre” Charlotte Brontë (genialny pomysł Mamy, jestem pewna)*
- *zestaw 10 metalicznych długopisów żelowych. Nazwałam je: Czarująca Czerwień, Magiczna Magenta, Rozkoszny Róż, Panna Pomarańczowa, Zuchwale Złoto, Samo Srebro, Bujny Błękit, Tęskny Turkus, Fikuśny Fiolet, Czysta Czerń*

Dziewczynka zapisała każdą z nazw odpowiednim metalicznym kolorem. Finn uśmiechnął się, rozbawiony jej upodobaniem do aliteracji.

Podniósł pamiętnik do światła. Metaliczne barwy zaślniły. Laboratorium rzeczywiście przyłożyło się do wykonania wiernej repliki. Powoli przesunął opuszkami palców po kartce, w tę i z powrotem, do góry i do dołu. Poczł maleńkie wzgórze i doliny, które długopis wyłobił w papierze setki lat wcześniej. Wiedział od matki, że tusz długopisu często się rozmazywał. Na przykład „i” na końcu słowa „trampki” prawie się zatarło. Co to właściwie było? Chodziło o skarpetki? A może spodnie? Przepuści to przez Cyklopa. Zawsze lepiej sprawdzić najpierw tam, zanim się zwróci do ważniaków w archiwach.

Finn przesłał przez mózgołacz hasła „iMac”, „Princess Skull” i „trampki” do największego zbioru informacji na świecie – wszystkowiedzącej Encyklopedii Universa, zwanej potocznie Cyklopem. Na wewnętrznym ekranie jego mózgołacza błyskawicznie wyświetliły się obrazy. Ach. Oczywiście. iMac. Komputer. Powinien to pamiętać z wykładów o historii informacji. A trampki, jak się okazało, były rodzajem obuwia wykonanego z płótna i gumy, modnego wśród młodzieży pod koniec dwudziestego i na początku dwudziestego pierwszego wieku. Niewyraźny film nagrany kamerą cyfrową przedstawiał związek trampek z Princess Skull: dziewczynka w czerwono-białych trampkach sięgających kostki trzymała w górze różową deskorolkę, prezentując jej wierzch do

kamery – zdobiła go czaszka w koronie. Pod nią znajdowały się skrzyżowane piszczele otoczone kwiatkami i serduszkami. Hasło zawierało odnośniki do mody gotyckiej, mody punkowej, mody pirackiej, mody mangowej, mody nastolatek w dwudziestym wieku... Lista była długa. Finn zapisał informację i czytał dalej.

Robert dał mi dwie płyty DVD: „Matrix” i „A.I. Sztuczna inteligencja”, chociaż specjalnie poprosiłam go o „Notting Hill” i „Dziennik Bridget Jones”. Powiedział, że mam kiepski gust. Odparłam: „Cóż, przynajmniej mam gust”. Mama powiedziała: „Dzieci, przestańcie się kłócić”, a Madeline powiedziała: „Jestem głodna”.

Mama dała mi prezent od Omy Uschi: flakon perfum Nieskończoność i usztywniany biustonosz, który jest na mnie trochę za duży, może o rozmiar. „Trzy rozmiary”, stwierdziła ze śmiechem Mama, kiedy go przymierzyłam, i sprawiła mi tym przykrość. Kiedy założyłam na niego koszulę nocną, nie było widać, że jest za duży (choć byłam trochę biuściasta). Madeline dźgnęła prawą miseczkę palcem wskazującym i zostało wgłębienie. „Wygląda jak krater”, powiedział Robert. „Jak po uderzeniu meteorytu!”. I wszyscy pokładali się ze śmiechu. Wszyscy oprócz mnie oczywiście. Nawet Tata się śmiał. Mama śmiała się tak, że aż się popłakała. „Usztywniany biustonosz!”, powiedziała. „Co ta Oma wymyśliła!”. Poczułam się naprawdę urażona, ponieważ prawdę mówiąc, jestem trochę płaska, i zrobiło mi się przykro. „Co jest nie tak z usztywnianym biustonoszem?”, zapytałam. A wtedy wszyscy zorientowali się, że to drażliwy temat, więc przestali się śmiać, ale widać było, że bardzo chcieli, ponieważ tak bardzo się starali powstrzymać, że w końcu znowu wybuchnęli śmiechem, a ja wybiegłam z salonu i ztrasnęłam drzwiami. I to mają być urodziny?! Też mi zabawa!

Ależ te dziewczynki w dwudziestym pierwszym wieku miały problemy! Finn zastanawiał się, czy dziś dziewczęta przejmowały się swoimi piersiami tak samo jak E. Teraz nie musiały się martwić, prawda? Po ukończeniu osiemnastego roku życia mogły po prostu wymienić je na inną parę.

Kilka minut po aferze z kraterem Tata zapukał do drzwi mojego pokoju i powiedział, że grzanka jest gotowa, więc poszłam do kuchni. I wszystko było okej. Zwłaszcza grzanka.

W szkole na przerwie Alexander Landuris wbił mi w plecy kostki palców i przekręcił je, kiedy usłyszał, że mam urodziny. To jak dotąd najbardziej oryginalny prezent urodzinowy. Ha.

Alexander naprawdę mi się podoba. Mniej więcej od zeszłego tygodnia. Mam nadzieję, że uda mi się go poderwać. Módlcie się za mnie.

Doskonale! Imię i nazwisko, które można sprawdzić. Alexander Landuris.

Po szkole przyszły trzy J: Johanna, Jill i Joya. Johanna podarowała mi jedną z tych satynowych torebek z Asia Shop na Kantstraße. Różowo-niebiesko-czerwoną, z wyhaftowanymi pagodami i kwiatami wiśni. Była pełna Hubby Bubby. A Joya dała mi najnowszy DSDS. „Kiedyś może mieć wartość kolekcjonerską”, powiedziała.

Finn zmarszczył brwi na widok nieznanego mu słów: „Hubba Bubba” i „DSDS”, po czym wraz z „Landuris, Alexander, Alex, Ali, Al, A.” przepuścił je przez Cyklopa. Od razu na wszystko otrzymał odpowiedź negatywną. W Cyklopie nie było ani jednej wzmianki o Landurisie w żadnym z podanych wariantów, za to wyświeśliła się sugestia, czy zamiast „DSDS” Finn nie miał jednak na myśli skrótu „DSD”, mogącego oznaczać wiele rzeczy, między innymi Deutsches Sprachdiplom, system Direct Stream Digital czy dopuszczalne saldo debetowe.

Finn zmarszczył czoło. „DSDS”, cokolwiek to było, albo wbrew przewidywaniom nie uzyskało „wartości kolekcjonerskiej”, albo wszelkie informacje na jego temat zostały pogrzebane pod gruzami

Mroczej Zimy. Wysłał do Renka, swojego przyjaciela bibliotekarza z Archiwum Wymarłych Języków, zapytanie o hasła: „DSDS”, „Hubba Bubba” i „Landuris”, a potem wstał, żeby zaparzyć kolejny zing. Gdy nalewał gorący płyn do kubka, nagle go olśniło: Asia Shop na Kantstraße! To była wskazówka, gdzie mieszkała dziewczynka!

Finn przesłał tę informację do Cyklopa i został nagrodzony listą miast, które w 2003 roku miały ulicę o nazwie Kantstraße. Było ich wiele, zbyt wiele. Począwszy od takich metropolii jak Berlin, Hamburg i Monachium, przez większe miasta jak Bonn, Hannover, Frankfurt, Lipsk i Drezno, po mniejsze miejscowości Ahlen i Willich i całe mnóstwo innych. Próba znalezienia właściwej Kantstraße przypominała szukanie igły w tunelu czasoprzestrzennym. Postanowił zaczekać na więcej danych.

Jill przyniosła mi ciasto czekoladowe, które sama upiekła. Było trochę koślawe, ale podczas jedzenia nie było tego widać. Robert zjadł dwa kawałki. (Jill chyba mu się podoba). A od wszystkich trzech J dostałam bilet na koncert Robbiego Williamsa. Zamiast urządzać przyjęcie, w sobotę Mama zawiezie nas do Heide Parku na moje urodziny. Nas = Jill, Joyę, Johannę i mnie + Madeline (która zawsze się przy nas płacze! Nie ma własnego życia?). Mają tam kolejkę górską o wysokości ponad 60 metrów. I mnóstwo innych atrakcji.

Finn wysłał zapytanie o Robbiego Williamsa i nie zdziwił się, gdy się okazało, że w Cyklopie nie ma konkretnych informacji o koncertach tego muzyka w Niemczech w 2003 roku. Dowiedział się, że „Heide Park” to park rozrywki pod Soltau, w niemieckim kraju związkowym Dolna Saksonia. Monachium wydawało się zbyt odległe na jednodniową wycieczkę. Może dziewczynka mieszkała niedaleko, w Hannoverze albo Hamburgu, w 2003 roku oddalonych tylko o godzinę jazdy samochodem. Podróż z Berlina trwałaby ponad trzy godziny. Spora wyprawa jak na jeden dzień, choć przypuszczał, że możliwa, jeśli ktoś miał odpowiednią motywację. Ahlen i Willich leżały całkiem blisko Soltau, ale czy w 2003 roku znajdowałyby się tam Asia Shop? I co to właściwie był za sklep?

Och, i zapomniałabym wam powiedzieć, że od Madeline dostałam na urodziny ten różowy pamiętnik. Podoba mi się, ponieważ ma zamek i kluczyk, ale różowy winyl ma dziwny zapach. Jak Barbie i Ken. Kiedy zapiszę te wszystkie kartki, kupię sobie prawdziwy skórzany pamiętnik. Skóra jest bardziej miękka i elegancka. I nie skrzypi. I o wiele przyjemniej pachnie. Wasza E

PS Nie lubię tego długopisu. Rozmazuje się.

PPS Pozbyłam się brzydkiego zapachu, spryskując pamiętnik odrobiną perfum, które dostałam od Omy Uschi. Teraz pachnie ładniej. Jak Nieskończoność.

Finn popijał zing. Nieskończoność... Zastanawiał się, jak pachniały te perfumy. Zbliżył pamiętnik do nosa i powąchał winylową okładkę. Nic nie poczuł, ale właściwie spodziewał się tego. Po dwustu pięćdziesięciu latach nie utrzymałby się żaden zapach. Nawet w hermetycznej skrzynce. A może jednak...?

Przerzucił pamiętnik, wachając kartki papieru. Znow nic. Zamknął go, podsunął do nosa i powąchał górną krawędź. Potem dolną. Okładkę. Nie, nic. Zaraz... chwileczkę. Górna krawędź wydzielala słabą, bardzo słabą woń. Czy to możliwe? Przesunął nosem wzdłuż brzegu kartki i głęboko zaciągnął się zapachem. Tak. Czyżby laboratorium znalazło zapach oryginalnego pamiętnika i odtworzyło go

w wiernej replice? Wysłał do laboratorium prośbę o próbkę zapachu, który utrzymał się na kartkach pamiętnika, i zapytał, czy były to perfumy o nazwie Nieskończoność. Znów podniósł pamiętnik do nosa, tym razem zaciągając się szybko i krótko...

– Co ty wyprawiasz?

Zaskoczony Finn uniósł wzrok. To Renko Hoogeveen wsunął głowę przez drzwi.

– Nie słyszałeś pukania, prawda? – zapytał Renko. – Zbyt zajęty wachaniem. No i? Coś, co poszerza świadomość?

– Wybacz – powiedział Finn z uśmiechem i wstał. – Wejdz. – Nie przepadał za niespodziankami, to prawda, ale Renko rzadko był tu niemile widziany. – Słyszałeś może o Nieskończoności? Perfumach? Z dwudziestego pierwszego wieku?

Renko podszedł do Finna, położył na pulpicie duży, oprawiony w skórę tom i przechylił głowę w prawo. Zawsze tak robił, gdy wchodził do swojego mózgołacza. Było to dziwne zachowanie, ale Finn zdążył się przyzwyczaić. Przez dłuższą chwilę Renko przeglądał swoją pamięć.

– Nie – odparł w końcu. – Ten bibliotekarz nigdy nie zetknął się z Nieskończonością. Wysłałeś pytanie do Cyklopa?

– Jeszcze nie.

– Zrób to. Na pewno coś znajdziesz. – Wskazał na skórzaną księgę. – Tu jest wzmianka o „Hubbie Bubbie”. Nie wolno nam tego skanować bez zezwolenia, ale ten bibliotekarz pomyślał, że wpadnie i ci to pokaże. Oczywiście to ściśle tajne – dodał ciszej. Wskazał na sterylizator do rąk. – Mogę?

Finn skinął głową.

Renko umył ręce i napromieniował je pod urządzeniem. Wrócił do oprawionego w skórę tomu. Ostrożnie go kartkował, aż znalazł to, czego szukał.

– Tutaj.

Finn pochylił się nad książką. Była to reklama z duńskiego magazynu z 1981 roku. Młoda dziewczyna o długich blond włosach, w kowbojskim kapeluszu, wydmuchiwała z ust ogromny różowy balon. Slogan głosił: *Stort, blødt og supersaftigt!*

– Ach! – wykrzyknął Finn. – To guma balonowa! Ten historyk czytał o gumie balonowej. Jasne. To ma sens. Hubba Bubba. Duża, miękka i supersoczysta.

Renko się roześmiał, a Finn podniósł wzrok i zauważył, że w okularach przyjaciela odbijają się delikatne promienie słońca, które próbowało przebić się przez chmury. Renko uszkodził prawe oko, gdy był dzieckiem (czy to dlatego, pomyślał Finn, zawsze przekrzywiał głowę na prawo?), i dopiero niedawno poddał się kolejnemu przeszczepowi gałki ocznej. Zalecono mu, aby przez kilka dni unikał słońca, stąd ciemne okulary. Ciekawe... Z jednej strony prowadzą wykopaliska na Marsie, zgrywają i kopiują ludzkie wspomnienia, klonują ludzi na prawo i lewo, praktycznie wskrzeszają umarłych z nowymi sercami, kończynami i śledzionami, a mimo to nie potrafią sobie poradzić z prawą gałką oczną Renka. Bez sensu. Staroświeckie okulary przeciwsłoneczne, z ciemnymi szklami w szylkretowej oprawce, nadawały jednak Renkowi czarującą, tajemniczą aurę.

– W tych okularach wyglądasz jak główny bohater celuloidów – stwierdził Finn.

– Ty też, z tym szorstkim zarostem – odparł Renko.

Na ekranie mózgołacza Finna pojawiła się migająca ikona powiadomienia. Stuknął w nią

i otworzył wiadomość. Przystojny, opalony facet o ciemnych oczach, zbyt krótko przystrzyżonych szpakowatych włosach i z jednodniowym zarostem szedł przez korytarz z wielu starych sal gier w kasynie w Las Vegas.

– Kto to? – zapytał Finn.

– To mógłbyś być ty, co? – odrzekł Renko. – Właśnie znaleźliśmy fragmenty celuloide z tym gościem w nieskatalogowanym kartonie w Katakumbach. Nie znamy nazwiska aktora. Ale bohater nazywa się Ocean.

Finn parsknął.

– Ten młody tłumacz nie ma siwizny.

– Za dwadzieścia lat będziesz miał, jeśli nie zaczniesz odpowiednio dbać o włosy.

Renko oczywiście miał rację.

Zwykle razem chodzili do fryzjera na zabiegi pielęgnacyjne, ale ostatnio kilka pominął, po wypadku rodziny. Zamawiali też jednodniowy zarost na policzkach, zgodnie z najnowszą modą z kontynentu południowoamerykańskiego. Zabieg, nazywany zarostowaniem, przeznaczony był dla mężczyzn znudzonych depilacją Gładki Gość, którzy pragnęli odzyskać zarost, ale nie chciało im się czekać, aż odrośnie, a potem o niego dbać, aby go utrzymać. Renko przekonał Finna, aby poddał się zabiegowi. Finn był całkiem zadowolony z efektu.

Renko zmrużył oczy i przyjrzał się szczęce kolegi.

– Naprawdę powinieneś coś zrobić z tym wystającym włosem – powiedział. Sięgnął do podbródka Finna i potrząsnął włoskiem, który był dłuższy od pozostałych. – Próbowaleś go przyciąć?

Finn skinął głową.

– Nic nie dało.

– Wystaje – ciągnął Renko. – Możesz poprosić fryzjera, żeby go usunął. Albo zażądaj zwrotu pieniędzy.

– To tylko drobna niedoskonałość – odparł Finn. – Powiedz, czymże jest piękno bez skazy?

– Szekspir?

– Nordstrom. W każdym razie... – postukał się w głowę w nawiązaniu do bohatera celuloide – nie widzę żadnego podobieństwa.

– Zapytaj Rouge.

Finn zdumiał się, że usłyszał jej imię. Nie pasowało do ich przekomarzań.

– Wyjechała – rzekł.

– Tak? A dokąd tym razem?

Finn wzruszył ramionami.

– Pojawia się i znika.

– Może by tak ciągle nie wyjeżdżała, gdybyś poświęcił jej więcej uwagi.

– O nie, ty też? Dok-Dok mnie o nią pytał. Zmówiliście się czy co?

– Już czas, Finn – powiedział poważnym tonem Renko. – To wszystko. A ona wyraźnie cię lubi.

Finn przewrócił oczami.

– Wyobraź to sobie! Jej umysł i twoje ciało! Jakie wspaniałe dzieci by z tego były! – Renko rubaszenie szturchnął przyjaciela biodrem. Finn odepchnął go ze śmiechem, a Renko z plaśnięciem

opadł na fotel. – Wiadomość z ostatniej chwili. Ten bibliotekarz otrzymał awans na głównego kustosza Zbioru Albumów.

– Świetnie! Od dawna marzyłeś o tym stanowisku.

– Oto jeszcze jedna wiadomość z ostatniej chwili: kwarki dość ostro działali w Katakumbach. Instytut zamówił wszystko, od Quantum Quirks Sterneborga po wierną replikę tego katalogu Quelle z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego.

– Po co fizykom katalog wysyłkowy?

Słońce w końcu przebiło się przez chmury i ostre promienie padły na okulary Renka. Odwrócił głowę, a Finn usiadł naprzeciwko niego.

– Jak się goi twoje oko?

– Wciąż jest trochę nadwrażliwe, ale przywrócono mi doskonały wzrok, dziękuję. Co najważniejsze, mózgołacz nie odrzuciło przeszczepu, więc jesteśmy zadowoleni. Tylko mama kręci nosem. Uważa, że oczy do siebie nie pasują. – Pochylił się do Finna i zdjął ciemne okulary. – A ty co sądzisz? – Wystawił język i zrobił słodkie oczy jak szczeniak.

Finn uważnie przyglądał się nowej błękitnej gałce ocznej Renka.

– Hm. Ciekawe. Włożyli ci żółte oko?

– Co?! – zawołał zaskoczony Renko, ale zorientował się, że Finn tylko żartował, i szturchnął go w ramię.

– Ałć! – krzyknął Finn, udając, że go to zabolalo.

Tak bardzo lubił Górę Lodową! Historycy z reguły pracowali w domu bądź tam, gdzie akurat fizycznie przebywali. On jednak miał słabość do pracy w bibliotece. Dobrze się czuł w swoim niewielkim gabinecie, z rozkoszą przechadzał się po Katakumbach i wdychał stęchły zapach starych książek. Lecz przede wszystkim lubił to, że zaglądał do niego Renko, którego praca wymagała obecności w bibliotece, albo że spotykali się na pogawędkę przy zaparzaczu do herbaty lub na lunchu w stołówce dla pracowników na siódmym piętrze. Finn potrzebował takiej więzi. Zastanawiał się dlaczego. Czy chodziło o izolację w młodości na Fire Island? Ciepło rodzinnego domu? Większość dzieci wychowywała się w wielopokoleniowych rodzinach w ogromnych internatach, zwykle prowadzonych w sposób biurokratyczny. Gdy Finn skończył szkołę i poszedł na studia, z zaskoczeniem odkrył, jak wyjątkowe było to, że wychował się w dwupokoleniowej rodzinie. Renko dorastał w internacie i nie miał bliskiej relacji z rodzicami. Finn często chciał porozmawiać z nim o różnicach w ich wychowaniu, ale nigdy nie było okazji. Nie był to jeden z tematów ich rozmów, które najczęściej dotyczyły pracy, książek i historii oraz najlepszych źródeł bibliograficznych służących do znalezienia informacji. Właściwie gdyby Renko był kobietą, tworzyliby z Finnem dobraną parę. Na szczęście nigdy nie czuli do siebie podobnego pociągu. Związki osób tej samej płci, choć nierzadkie, nie spotykały się z przychylnym przyjęciem, ponieważ wskaźnik urodzeń na świecie, zwłaszcza na kontynencie europejskim, drastycznie spadł. To z kolei przyspieszyło tempo badań interdyscyplinarnych w dziedzinie medycyny zajmującej się płodnością. Na subkontynencie testowano już sztuczną macicę i możliwość rozmnażania w obrębie jednej płci, lecz właściwie bez powodzenia. Chodziły słuchy, że następnym krokiem może być samozapłodnienie. Trudno to było sobie wyobrazić: ludzie mieliby się rozmnażać jak tasiemce, całkiem sami? Mogliby przegiąć

i wyprodukować za wiele potomstwa. Już teraz przewidywano, że w pokoleniu Finna oczekiwana długość życia wyniesie nie mniej niż sto pięćdziesiąt lat. Niektórzy mówili nawet, że w 2400 roku, za niespełna sto czterdzieści lat, jego pokolenie wciąż może żyć. Chciałby to wiedzieć na pewno. To by wszystko zmieniło – mógłby odłożyć pracę nad doktoratem na przynajmniej dwie dekady, prawda?

– Co cię tak rozbawiło? – zapytał Renko.

Finn oderwał się od swoich myśli.

– Och. Nic takiego.

– No więc?

Finn patrzył na niego w milczeniu.

– Przekąsimy coś jutro po ślabacku?

– Jasne – odparł Finn. – Gdzie?

– Jest takie nowe miejsce w Lipsku. Beta Bar. Nieziemski. Trzeba zarezerwować moduł.

W przeciwieństwie do wielu bibliotekarzy, którzy zazwyczaj byli odludkami i trwali przy dawnych nawykach, Renko zawsze śledził najnowsze trendy: od barów, przez gry, po gadżety i ciuchy. Różnił się nie tylko od innych bibliotekarzy, ale też od większości ludzi, których znał Finn. Właściwie od wszystkich, których znał. Był niezwykle otwarty i wydawał się bardziej cieszyć różnymi rzeczami. Zwłaszcza modnymi nowinkami. On pierwszy w Górze Lodowej miał przezroczyste buty (nawet przed Dok-Dokiem) i jednodniowy zarost na zamówienie. To on pokazał Finnowi pobudzający kryształowy zing odkryty w kwiatach zmutowanej himalajskiej szarotki. Niestety, niektóre z imprezowych ciągotek Renka wpędzały go w niezłe tarapaty. Dwa lata wcześniej stracił lewą nogę, ślizgając się po wodzie pod wpływem miękkiego narkotyku U4ic, gazu w spreju, nazywanego też JumbleJet. Miał szczęście, że nie stracił głowy – Bodyshop nie mógłby dać mu nowej, jak to zrobił z nogą. Z odciętą głową skończyła niestety jego partnerka Gemma, z którą zamierzał mieć dzieci. Nie udało się jej uratować; jej rodzice przywrócili ją do życia jako memoklon, lecz była niedoskonała, skłonna do depresji i agresji. Sześć miesięcy później popełniła samobójstwo. Od tamtego wydarzenia minął rok, a Renko wciąż poszukiwał nowej partnerki.

– Lipsk mi pasuje – powiedział Finn.

– Na tyłach baru jest świetne centrum gier.

– Renko!

– Dobra, dobra. Nieważne. Zapomnij, że w ogóle o tym wspomniałem.

Renko wiedział, że Finn podchodził z nieufnością do większości neurostymulujących gier, chociaż dobrze się bawili z serią „Podążaj za mną”, podróżując po Włoszech z Goethem w 1786 i po Heidelbergu z Markiem Twainem w 1878 roku. Lecz przez większość czasu Finn trzymał się z dala od gier. Jego niechęć sięgała okresu dzieciństwa. Pewnego razu on i Mannu zostali bezwiednie katapultowani do gry osadzonej w realiach Mrocznej Zimy: *Triumfy śmierci*. Stworzona z drobiazgową dokładnością na podstawie autentycznych dokumentów i relacji świadków, była jedną z najbardziej brutalnych neurostymulujących gier dla graczy powyżej dwudziestego pierwszego roku życia. Finn i Mannu mieli wtedy tylko sześć i osiem lat.

Pewnego letniego dnia pluskali się beztrósco nad brzegiem wody przed domem, kiedy bez ostrzeżenia zostali przerwani do zimnego, ciemnego miasta, nieprzypominającego niczego, co

widzieli do tej pory. Wzdłuż kanału leżały zwłoki; dotknięte dżumą chodzące szkielety snuły się po ulicach, szczury podgryzały im palce stóp. Nie wiedzieli, że wylądowali w Amsterdamie w lutym 2019 roku. Finn wpadł w histerię, gdy grupa podobnej do zombie młodzieży zaatakowała Mannu i teraz leżał umierający w kałuży własnej krwi.

Okazało się, że grupa znudzonych młodych ludzi to przestępcy. Ta konkretna banda, na której czele stał siedemnastoletni Maxim Capri, znana była z tego, że jej członkowie terroryzowali młodych plażowiczów mokrymi ręcznikami, którymi bili swoje ofiary. Tamtego dnia Maxim Capri wpadł na genialny pomysł, aby włamać się do mózgołaczy Finna i Mannu i sprawdzić, co się stanie, gdy wypuści się nieuzbrojone i bezradne dzieci na arenę *Triumfów śmierci*. Policyjne śledztwo wykazało, że opiekunka, która zajmowała się wtedy dziećmi Nordstromów, niejaka Sabine Ironhard, głupiutka młoda dziewczyna o twarzy będącej trądzikowym polem bitwy, częściowo ponosiła winę za tę sytuację. Gdy siedziała z młodymi bandytami na plaży, bezmyślnie zostawiła w swoim mózgołaczu otwarte pliki, w których znajdowały się kody logowania Finna i Mannu. Maxim, który był podłączony do jej sieci, znalazł je i wykorzystał. Kiedy Sabine zauważyła Mannu unoszącego się nieruchomo na wodzie i histerycznie krzyczącego obok niego Finna, zorientowała się, że coś jest nie tak. Na szczęście miała potrzebne środki, aby wyciągnąć majaczących chłopców z wody, zanim utonęli.

Fatalny incydent wywołał burzę. Młodych ludzi surowo ukarano i na nowo rozgorzała ciągnąca się od lat dyskusja na temat gier rozgrywanych w alternatywnej rzeczywistości.

– Żadnych gier, proszę – powiedział Finn. – I bez przegięć. Nie ma czasu na to, żeby wyhodowali nam nowe ręce i przyszyli je do piątku. To dzień roboczy. – Wskazał na swoje miejsce pracy.

Nowe niebieskie oko Renka skupiło się na różowym potworku leżącym na biurku Finna.

– Urocze! Różowe! – Wziął pamiętnik do ręki.

Finn poczuł ostre ukłucie – jakby ktoś szturchnął jego serce jednym z defibrylatorów z Muzeum Medycyny.

Renko otworzył pamiętnik.

– Ach tak. Odręcznie napisany.

Finn chciał wyrwać mu pamiętnik z rąk.

– Proszę, nie... – Zrobił krok w jego stronę.

Przyjaciel spojrzał na niego niepewnie.

– Przepraszam. To tajne?

– Nie. Dok-Dok nic nie mówił na ten temat, ale...

Renko przez chwilę przyglądał się przyjacielowi, po czym zamknął pamiętnik i odłożył na biurko.

– *Scusi*.

Tak, pomyślał Finn z ulgą, właśnie tam powinien leżeć.

Renko czekał przez chwilę, czy Finn coś powie, ale ponieważ ten milczał, odezwał się pierwszy.

– No i? Jakie to jest?

Serce Finna wciąż łomotało jak szalone.

– Trudno powiedzieć. Jest bardzo młoda. Najprawdopodobniej pochodzi z północnej części Niemiec. Oczytana. Ma dobrze opanowany język.

– I żuje Hubbę Bubbę.

Finn zmusił się do uśmiechu.

– Tak, to by było tyle, jeśli chodzi o dzisiejszy poranek. Tak. I dzięki za „supersaftigt”.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Renko, zwracając się znów do pulpitu. Ale nagle zatrzymał się i odwrócił. – Ach, prawda. Pytałeś o DSDDS. Ten bibliotekarz wciąż nad tym pracuje...

Na razie to tylko domysły, ale temu bibliotekarzowi wydaje się, że skoro mamy do czynienia z kulturą nastolatków, może być to jeden z narkotyków rozszerzających świadomość. Jak LSD, DMT, DOM.

Podobnie brzmi, prawda? DSDDS.

– Halucynogen? – rzucił Finn podniesionym głosem.

– Och, ty tak nie myślisz? – spytał rzeczowo Renko.

– Wykluczone! Ona ma tylko trzynaście lat!

– Te dzieciaki z początku dwudziestego pierwszego wieku były całkiem doświadczone. Nie trzymano ich pod kloszem jak dziś i...

– Absurd! – przerwał mu Finn. – A poza tym narkotyk nie może być przedmiotem kolekcjonerskim.

Renko zrobił wielkie oczy.

– Po co od razu podnosić głos? – Przez chwilę przyglądał się Finnowi, po czym dodał: – Ten bibliotekarz nie wiedział, że to przedmiot kolekcjonerski.

Finn dawno się tak nie wzburzył. Dlaczego tak bardzo pragnął chronić tę dziewczynkę? Cokolwiek za tym stało, nie była to przecież wina jego przyjaciela, prawda? Spróbował się opanować.

– Wybacz. Dok-Dok chce dostać ten raport jak najszybciej. To trochę wyczerpujące nerwowo.

– Nie pozwól, żeby wywierał na tobie presję. Wiele przeszedłeś.

Finn skinął głową.

– Masz rację. Przepraszam.

– Gdybyś miał jeszcze jakieś pytania, śmiało przesyłaj – powiedział Renko. – Ten bibliotekarz z radością ci pomoże. Widzimy się jutro na korce do slapbacka? O piątej?

– Doskonale – potwierdził Finn i otworzył drzwi, żeby wypuścić przyjaciela.

Wrócił do biurka, upił łyk imbirowego zinga i otworzył pamiętnik. Cholera!, pomyślał. Cholera. Wstał i znów podszedł do drzwi.

– Renko! – zawołał.

Przyjaciół odwrócił się gwałtownie na końcu korytarza.

– Tak?

– A Barbie? – zapytał Finn. – Wiesz może, kto to jest Barbie? Albo Ken?

Nieskończoność

Oparty o wezglowie łóżka Finn poprawiał tłumaczenie pamiętnika. W pokoju panował półmrok, okiennice były jeszcze zamknięte po nocy. Lubił pracować, gdy inni spali. Ale gdzieś ktoś czuwał, ponieważ nagle na ekranie jego mózgołacza zamigotała ikona odebranej wiadomości, ponagląca go: Otwórz! Natychmiast! Finn otworzył wiadomość.

To był Renko. „Przełom!”, donosił. Miał zmierzwiłone włosy, a na stole obok niego stała szklanka z parującym napojem. Pewnie przed chwilą wstał. „Kolega z Johannesburga znalazł wzmiankę o Alexandrze Landurisie w nieskatalogowanych zapiskach z prowincji południowoafrykańskiej”.

Według tych dokumentów Landuris, wykształcony inżynier systemów, urodzony 27 lipca 1989 roku w Berlinie, w Niemczech, został zatrzymany i aresztowany na granicy między RPA a Namibią 17 kwietnia 2020 roku. Następnie otrzymał zezwolenie na wjazd do kraju, gdzie ślad się urywa, a jego dalszy los jest nieznan.

Czy to był ten sam Alexander Landuris, który przyjacielsko szturchnął E w plecy w dniu jej trzynastych urodzin? W 2003 roku miałyby czternaście lat. Bardzo prawdopodobne, że to był on. I jak się okazuje, pochodził z Berlina. Czy to oznacza, że E także była z Berlina? Możliwe. To była bardzo dobra wiadomość.

Finn wysłał do kamery w pokoju sygnał, aby się włączyła, i skierował ją na siebie. Następnie wysłał sygnał do Renka, który niemal natychmiast pojawił się na ekranie jego mózgołacza.

– Dzięki – powiedział Finn.

– Nie ma sprawy – odparł Renko. – Posłuchaj jeszcze tego! Wiadomość z ostatniej chwili! Poznałem dziewczynę na SwiftShuttle. Nazywa się Gao Dongsheng-Johnson. Jest wspaniała. Studiuje inżynierię morską na Uniwersytecie Europejskim w Kopenhadze. Umówiliśmy się w ten piątek. W Blue Lagoon. Na lunch.

– Polecisz aż na Islandię, żeby się z nią spotkać?

– Pracuje przy jakimś projekcie na wybrzeżu.

– Na lunch?

– Mamy nadzieję, że wyniknie z tego coś więcej. – Gwizdnął niewinnie.

– No dobrze... Uważaj na to oko. Islandzkie słońce potrafi być okrutne. *Sjáumst!*

– Hm?

– To po islandzku „do widzenia”.

Kiedy się rozłączył, Finn usłyszał ciche kapanie wody w kabinie prysznicowej w łazience obok. Spojrzał na drewnianą skrzynkę z przyborami, należąca kiedyś do jego matki. Stała na podłodze, przy drzwiach do prysznica. Zamierzał zostawić ją w domu na Fire Island, ale nie mógł znieść myśli o rozstaniu z nią. I tak na skrzynce siedział teraz miś Lulu, obok leżały transfokatory Mannu, a rakietka ojca stała oparta o ścianę. Przypominało to jedną z artystycznych instalacji w Muzeum Kultury Europejskiej.

Pluszowy miś, jedna z tych staroświeckich zabawek, które nie mówiły, nie chodziły, nie śpiewały

ani nie myślały, należał kiedyś do Mannu, potem do Finna, a w końcu trafił w ręce Lulu. A jeszcze wcześniej bawiła się nim ich matka, gdy była małą dziewczynką. Był trochę zniszczony, ale futerko miało wciąż miękkie. Czy Finn doczeka się kiedyś własnych dzieci, które przygarną maskotkę?

Przypomniał mu się dzień, gdy miał jedenaście lat, a Lulu nie skończyła jeszcze roku. On i Mannu bawili się z siostrzyczką, małą zaślinioną klusieczką, na łóżku Finna. Siedziała i zaśmiewała się z min, które do niej stroili, kiedy nagle zauważyła coś za plecami chłopców. Wyciągnęła ramionka, ale straciła równowagę i się przewróciła. Podniosła się na kolana, podpierając się pulchnymi rączkami, i zaczęła raczkować – pierwszy raz w życiu. Sięgnęła prosto po misia, chwyciła go i już nie chciała wypuścić. Finn uznał to za znak, że od tej chwili zabawka należy do niej. Nagrali to wydarzenie, to, jak Lulu raczkowała, przytulała pluszaka i przyciskała jego pyszczek do swojej buzi. I te jej dziecięce piski podekscytowania, gaworzenie i...

Finn poczuł wzbierający w nim potworny ból, który pojawił się w piersi i teraz przesuwiał się w górę, do gardła, i przeciskał dalej. A potem wypełnił jego oczy i zalał je.

Przeraził się. Płakał! Nie płakał, odkąd był dzieckiem. Jak mógłby...

Usiadł. Musiał się skupić na czymś innym.

Podniósł zasłony i zobaczył spływające po szybie strugi deszczu.

Znow zaczął oddychać. I rozmyślać. Planować. Skończył tłumaczenie pamiętnika. Miał umówione spotkanie z doktorem doktorem Sriwanichpoomem o trzeciej. W Greifswaldzie. Podjedzie na stację wahadłowca SwiftShuttle rowerem. Nie. Robotaksówka w taki dzień była lepszym rozwiązaniem. Kolejny deszczowy dzień w Berlinie. Ale nie przeszkadzało mu to. Wiedział, że tak będzie, kiedy się tu przeprowadzał. Regulacja pogody była żmudnym i kosztownym przedsięwzięciem. Nie ma potrzeby, aby zmieniać Berlin w słoneczny wakacyjny raj. Włoży brązowy nieprzemakalny garnitur i brązowe buty. I kapelusz.

Uspokoił się. Wrócił na właściwy tor.

Rouge skończyła się myć. Finn usłyszał szum sanisuszarki, lecz niemal natychmiast nastąpiło po nim piskliwe biiip-biiip-biiip. O nie. Urządzenie znowu szwankowało. Wysłał do dozorczy Rubika prośbę o naprawę i wrócił do różowego pamiętnika. Podejrzewał, że jego spotkanie z Dok-Dokiem będzie miało coś wspólnego z odkryciem z Bodden. Czy dostanie następną część pamiętnika? Miał nadzieję, że tak. Przywiązał się już trochę do E i jej chaotycznych wynurzeń. Sriwanichpoom ucieszy się, gdy Finn mu powie, że odkrył, iż pochodziła z Berlina.

Podniósł wzrok. Rouge stała boso w drzwiach kuchni, w stringach i prawie nieistniejącym biustonoszu. Za plecami dziewczyny ujrzał jej kolegę kwarka, a czasem towarzysza łóżkowych igraszek, Jaydeepa Makhijaniego, który majstrował przy jakichś przyborach kuchennych.

– Śniesz na jawie? – zapytała Finna.

– Nie. Skądże. – Uśmiechnął się do niej.

– Finn, coś się stało z...

– Wiem – powiedział. – Piszcz. JoeJoe to sprawdzi.

– Masz zadowoloną minę – zauważyła.

– Wiadomość z ostatniej chwili. E najprawdopodobniej pochodzi z Berlina.

– E?

– Ta dziewczynka.

– Jaka dziewczynka?

Finn potrząsnął głową. Czy ona w ogóle go słuchała, kiedy opowiadał o swojej pracy?

– Z pamiętnika!

– Ach, no tak. – Przypomniała sobie. – Tajemnicza postać. Wciąż nie ma imienia?

– Nie. Ale znaleźliśmy informację o chłopcu z jej szkoły, o którym wspomina.

Rouge weszła do jego pokoju i oparła się o ścianę.

– Jaka ona jest? Ta E?

Jej nagłe zaciekawienie zaskoczyło Finna.

– Młodziutka – powiedział. – Przeważnie pisze o dziewczęcych sprawach. Banalnych drobiazgach.

Ale może to być miły dodatek do dziecięcej sekcji niemieckich archiwów. Strasznie dużo opowiada o chłopcach. Chciałabyś posłuchać? To bardzo zabawne. Przeczytam ci coś z początku września dwa tysiące trzeciego. Okej?

Skinęła głową.

– „Najpierw spotkałam w szkole Jonę, który powiedział mi, że Alex mnie nie lubi”. – Finn podniósł głos o oktawę, udając dziewczynkę. – „Na wuefie powiedziałam Joyi, że Jona mi powiedział, że Alex mnie nie lubi. Potem na francuskim Johanna powiedziała mi, że Ben jej powiedział, że Alex tak naprawdę mnie lubi. A potem na lunchu Joya powiedziała mi, że powiedziała Jonie, że Alex mi się podoba, ale że on, Jona, powiedział, że Alex mnie nie lubi, a Jona powiedział jej, że źle zrozumiałam i że Alex tak naprawdę mnie lubi. Ojej. Ale się porobiło”. – Finn śmiał się, czytając. – A dalej pisze: „Zastanawiałam się, czy nie powinnam po prostu sama zapytać Aleksa, czy mu się podobam. Ale teraz nawet nie jestem pewna, czy on mi się podoba, bo może wolę Bena. A Jona też jest całkiem słodki, chociaż Jill lubi Jonę, mimo że Jona lubi Johannę”.

Rouge potrząsnęła głową.

– O rety. Ciekawe, dlaczego w ogóle zachowano ten pamiętnik. Potomności się chyba na wiele nie przyda, co?

– Przecież jest zabawny! – Spojrzał na nią. – Nie śmiejesz się.

Rouge wzruszyła ramionami.

– Sriwanichpoom wydawał się sugerować, że oprócz tego może być coś jeszcze – powiedział. – Może właśnie to będzie coś, co przyda się potomności.

– Herbata gotowa! – zawołał Jaydeep.

Z łóżka Finn zobaczył swoich współlokatorów, Severina Boxberga i Yolandę Abbas, którzy też przygotowywali śniadanie. To był jedyny posiłek, który wszyscy przyrządzali samodzielnie. Lunchem i kolacją zajmowały się roboty.

– Herbaty? – spytała Rouge Finna.

Skinął głową, a przyjaciółka zniknęła w kuchni.

Przez ostatnich kilka dni Finn zastanawiał się, co dyrektor Biblioteki Europejskiej wiedział o pamiętniku z Bodden, o czym on jeszcze nie miał pojęcia. Na pewno Finn nie mógł być jedyną osobą, która czytała ten tekst. A jeśli znaleziono więcej dokumentów, dlaczego nie udostępniono mu od razu pozostałych, żeby miał obraz całości? Ustalona przez rząd zasada, nakazująca robić

„wszystko po kolei”, była słuszna, lecz imię E na pewno pojawiało się w innych dokumentach. Po co marnować czas i energię ludzi i robotów na szukanie wskazówek, które bez trudu można by znaleźć w tych tekstach? Może Sriwanichpoom tylko go sprawdzał, aby przekonać się, jak poradzi sobie z zadaniem, które mu powierzył. Ale po co?

– Tak właśnie myślisz? – zapytała Rouge, gdy wróciła z dwoma kubkami herbaty. – Twoim zdaniem jest więcej pamiętników?

– Być może. Tak. A reszta może okazać się właśnie tym, czego szukamy.

Rouge postawiła kubek z herbatą dla Finna na nocnej szafce i sięgnęła po leżący na niej pamiętnik.

– Po co ci papierowa książka? Nie możesz jej przeczytać w mózgołęczu? Po co robić bałagan?

– A ty czytasz książki w mózgołęczu? – zapytał, chociaż dobrze znał odpowiedź. – Na przykład powieści?

– Powieści? – powtórzyła z rozbawieniem.

– Otóż to. Ale może gdybyś miała jakąś przed oczami, wzięłabyś ją do ręki. Tak jak przed chwilą. – Uśmiechnął się do niej. – I może nawet byś ją otworzyła.

Patrzyła na niego, ale nic nie powiedziała.

– Trudno to wyjaśnić – rzekł, szukając odpowiednich słów. Trzymał książkę, jakby ją ważył. – Jeśli ten czytelnik mówi, że podoba mu się ciężar książki w dłoni, potrafisz to zrozumieć?

Wzruszyła ramionami.

Finn przesunął palcami po okładce.

– Albo jej dotyk?

Milczała.

Odłożył książkę i wziął do ręki inną. Miała białą okładkę z wytłoczonymi postaciami w erotycznych pozach, zdobieniami i labiryntem.

– Ta nosi tytuł *Wasserzeichen der Poesie*, czyli „Znak wodny poezji”. – Opuszkami palców potarł okładkę, po czym podał książkę Rouge. – Spróbuj.

Bez przekonania przesunęła palcami po tłoczeniach.

– I jak? – zapytał.

– Ciekawe. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Ale na pewno nie czytasz książki tylko dlatego, że ma ładną okładkę.

– To prawda – potwierdził. – Chociaż jest to część składowa tego doświadczenia. Ale owszem, przyznaję, ten czytelnik często się zastanawiał, dlaczego czyta, dlaczego tak chętnie przewraca kolejną kartkę, dlaczego tak pokrzepiające jest dla niego ciągle powracanie do bohaterów, jakby odwiedzał dawnych szkolnych kolegów, albo dlaczego ekscytują go spotkania z nowymi postaciami. Jediną właściwą odpowiedzią wydaje się ta, że pomijając czystą przyjemność płynącą z lektury, czytanie historii sprawia, że ten czytelnik nie czuje się samotny, wiedząc, że jego myśli i uczucia zostały już kiedyś pomyślane i przeżyte. Czytanie sprawia, że człowiek czuje się połączony z doświadczeniami innych i dzięki temu mniej dziwny.

Rouge przez chwilę patrzyła mu w oczy, po czym wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku.

– Jesteś poetą, prawda?

Był przekonany, że powiedziała to życzliwie, a jednak poczuł się tak, jakby go zganiła.

– Być może – odparł.

– Jedziemy dziś do Odessy. Do głównej siedziby Instytutu Olgi Żukowej.

Finn usiadł.

– Renko wspominał tydzień czy dwa tygodnie temu, że jakaś grupa kwarków plądruje Katakumby.

Zabieracie katalogi wysyłkowe i tym podobne.

Zachichotała.

– Bardzo możliwe. Dlaczego pytasz?

Próbował wyczytać z jej oczu, co ona myśli, ale było to praktycznie niewykonalne. Jakby starał się odcyfrować kurrentę.

– Właściwie – powiedział – ten przyjaciel był tylko ciekawy, czym dokładnie zajmujecie się w instytucie.

– Dokładnie? – zapytała ze śmiechem. – Chcesz się dowiedzieć, co dokładnie robi ta badaczka? Jesteś pewien? Czy nie wspominałeś mi kiedyś, że nauki ścisłe były w szkole twoim największym wrogiem?

– No dobrze, to mniej więcej – odparł. – Może być?

Usłyszeli dzwonek do drzwi.

– Tym razem ci się upiekło – rzekł i pogroził jej palcem. – To JoeJoe. – Zerknął pod koc. – Gdzieś tu były bokserki.

– To ciebie wybawił dzwonek. – Podniosła z podłogi jego bokserki, rzuciła mu i podeszła do drzwi.

– Może narzucić coś, zanim otworzysz. – Wskazał na wiszący przy drzwiach szlafrok kąpielowy.

– Po co? – zapytała rzeczowo.

Miała rację. Przecież dozorca JoeJoe, robot BER-MV-Rub1g, był tylko maszyną. W jego obecności nie musieli się przejmować stosownym strojem. Jednak najnowsza seria androidów tak do złudzenia przypominała ludzi, że było to niepokojące. Finn nie mógł się do nich przyzwyczaić, nie potrafił się zmusić, aby traktować je tak samo jak starą pralkę. Dlatego uważał, że należy zachować minimum przyzwoitości i założyć chociaż bokserki. Ale Rouge? O nie, jej to w ogóle nie obchodziło. Maszyna to maszyna, i tyle. Cóż, czego można się spodziewać po kwarku?

Rouge otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, JoeJoe – powiedziała tym bezbarwnym, precyzyjnym głosem, którym zwracano się do robotów i dzieci. – Dziękuję, że przyszedłeś.

Dozorca wszedł do środka.

JoeJoe był brodatym, roslym dwumetrowym gościem w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat. Miał na sobie koszulę w czerwono-czarną kratę, kombinezon i ciężkie buty. Kojarzył się Finnowi z drwalami z kanadyjskiej kolonii Sternwood Forest, którą w dzieciństwie co roku odwiedzał z ojcem i Mannu. Jej mieszkańcy utrzymywali się głównie z przemysłu drzewnego. Produkowali papier, drukowali książki na zamówienie i robili meble z drewna z własnego tartaku. Finna intrygowali zwłaszcza żyjący w kolonii drwale i kontrast między ich łagodnym sposobem bycia a widoczną siłą fizyczną.

– Witaj, Rouge Marie Moreau – powiedział JoeJoe.

Wypowiadał słowa, lekko oddzielając sylaby, jego ruchy były nieco spazmatyczne, a na brzuchu miał pas najeżony błyskającymi przyciskami. Celowo zbudowano go tak, aby łatwo było dostrzec, że ma się do czynienia ze sztuczną inteligencją, a nie z człowiekiem.

Rouge odwróciła się do dozorca plecami, aby zamknąć drzwi.

– No, no – powiedział JoeJoe, zerkając na jej prawie nagie pośladki – ślicznie dziś wyglądamy. – Odwróciła się, a jego spojrzenie powędrowało do góry, na jej piersi wylewające się z biustonosza. – W rzeczy samej! – dodał.

Rouge zachichotała.

– Dziękuję.

Finn pospiesznie do niego podszedł.

– Ekhm... Dzień dobry, JoeJoe.

– Och – rzekł rozkojarzony robot, odwracając się do Finna. – Witaj, Finnie Nordstromie. – Na chwilę zawiesił wzrok na nagim torsie młodego mężczyzny. – No, no – powiedział w końcu – my też ślicznie dziś wyglądamy.



Finn biegł promenadą w kierunku stacji wahadłowca SwiftShuttle, oddalonej dwadzieścia minut spacerem od akademika. Przed wyjściem z Rubika na próżno próbował złapać robotaksówkę, jedyny pojazd szybkiego transportu dozwolony w BAD PAD. Na promenadzie ciągnącej się wzdłuż parków panował tłok; sunęły nią sznury mieszkańców akademika zmierzających do pracy, na wykłady lub szkolenia, albo, jak w przypadku Rouge, do Odessy w prowincji rosyjskiej, na konferencję kwarków. Uciekali przed deszczem do taksówek, których po prostu nie starczyło dla wszystkich.

Choć modna i kipiąca energią, Märkisches Viertel nie miała porządnej infrastruktury. Ta część Berlina charakteryzowała się wyjątkową tymczasowością, młodzi mieszkańcy pojawiali się i wyjeżdżali, niewielu osiadało tu na stałe, dlatego też globalny rząd inwestował minimalne środki w jej utrzymanie. Brak robotaksówek był tylko jednym z dowodów zaniedbań lokalnych władz. Zepsuta sanisuszarka Finna stanowiła kolejny. Będzie musiał używać ręczników, dopóki Rubik nie uzbiera pieniędzy na nową.

Finn był spóźniony. JoeJoe go zatrzymał. Wystąpił niespodziewany błąd i robot bez przerwy powtarzał jedno zdanie: „No, no, ślicznie dziś wyglądamy. No, no, ślicznie dziś wyglądamy”, aż w końcu Finn wyłączył go i zaniósł do serwisu na tej samej przecznicy. A teraz, jeśli się nie pospieszy, spóźni się na SwiftShuttleX i będzie musiał polecieć lokalnym wahadłowcem. Rozejrzał się i zobaczył, że wszystkie rowery z publicznej wypożyczalni zostały wynajęte. Zaprogramował swój nawigator, aby zaprowadził go na stację jak najkrótszą trasą.

Zgodnie z jego wskazówkami Finn wchodził do kolejnych przejść dla pieszych i wychodził z nich, aż w końcu ruszył na skróty przez wystawę architektury krajobrazu przy Muzeum Kultury Europejskiej. Szybkim krokiem przemierzył swobodny ogród angielski z bujnym trawnikiem, altaną z półkopiłą, drzewami owocowymi, zegarem słonecznym i żywopłotami z cisów. Za żywopłotami znajdował się ogród wersalski, a w nim oranżeria, menażeria i ptaszarnia. Skręcił w lewo przy zachodniej bramie do niemieckiej kolekcji Gartenzwergen, gdzie zabytkowe krasnale drzemały,

odpoczywały i paliły fajki, a inne, mniej zabytkowe, tak naprawdę stworzone dla żartu, imprezowały, cudzołożyły i kto wie, co jeszcze robiły. W końcu Finn wskoczył na podziemną ekspresową ruchomą ścieżkę dla pieszych, która dowiozła go do miejsca oddalonego tylko o przecznicę od stacji SwiftShuttle.

Przez całą drogę poprawiał tłumaczenie pamiętnika. Chciał wysłać tekst Dok-Dokowi przed ich umówionym spotkaniem o trzeciej. Gdy dotarł do wpisu E o Nieskończoności, który zamieściła dwa dni po otrzymaniu flakonu perfum, zaczął się zastanawiać, dlaczego nie przeczytał Rouge tego fragmentu zamiast tamtego głupiutkiego, obsesyjnie krążącego wokół tematu chłopców. Finnowi podobała się spostrzegawcza i refleksyjna strona dziewczynki.

Środa, 28 maja 2003

W zeszłym tygodniu rozmawialiśmy na niemieckim o reklamach i o tym, jak nakłania się nas do zakupu różnych rzeczy przy użyciu sprytnych sloganów i nazw, odwołujących się do naszej podświadomości. Zastanawiałam się, co nazwa Nieskończoność miałyby oznaczać dla kogoś, kto może je kupić. Robert mówi, że to tylko kicz w przebraniu mądrze brzmiącego słowa. Chcą, żebyś pomyślała, że dzięki tym perfumom ktoś się w tobie zakocha i przysięgnie ci nieskończoną, wieczną miłość.

Nie mam pojęcia, czy miał rację, ale właściwie kogo obchodzi to, co mówi Robert? Moim zdaniem „Nieskończoność” ma oznaczać, że kobieta, która używa tego zapachu, będzie miała nieograniczone możliwości, jej perspektywy życiowe staną się bezkresne, a co najważniejsze: pozostanie w pamięci tych, którzy ją kochają, poza granicami czasu.

Oczywiście chciałabym wierzyć, że gdy już znajdę tego właściwego chłopaka, nasza miłość będzie wieczna, lecz jeszcze bardziej podoba mi się pomysł, że czas nie ma granic. Chciałabym, żebyśmy byli nieśmiertelni i żeby życie nigdy się nie kończyło, tylko trwało i trwało. Czy nieśmiertelność nie byłaby pokrzepiająca? Chciałabym myśleć, że ja i wszyscy, którzy są mi bliscy, jak Mama (chyba że wtedy, gdy jestem na nią zła) i Tata, i Madeline (mimo że jest wrzodem na wiecie czym), i Robert (mimo że jest panem przemądrzałym) jak gwiazdy na niebie będą trwali bez końca, przez całą wieczność.

Zapytałam Roberta, co o tym sądzi, a on powiedział, że nieskończoność jest bardzo skomplikowana, że gwiazdy mogą umrzeć i że nie jestem pierwszą osobą, która myśli o nieśmiertelności (co ty powiesz?), i że kiedy będę w jedenastej klasie, będę mogła napisać o tym pracę, jeśli wybiorę filozofię jako jeden z przedmiotów. Dzięki, stary.

Finn się zaśmiał. Dziewczynka miała poczucie humoru. Podobało mu się to.

Widział już stację. Wyglądało na to, że zdąży na ekspres. Jeszcze tylko kilka linijek do końca wpisu...

Tak czy inaczej, cokolwiek ma przekazywać nazwa Nieskończoność, lepiej się czuję, wiedząc, że po spryskaniu perfumami pamiętnik nie śmierdzi już winylem, ale pachnie jak coś, co może trwać wiecznie. Kto wie? Może mój pamiętnik i myśli, które w nim zapisuję, będą trwały wiecznie i zawsze.

Niesamowite, pomyślał Finn. Jakby przeczuwała, że pamiętnik ją przeżyje. Jakby wiedziała, że setki lat po jej śmierci jej słowa będą żyły dalej. To prawdziwa sensacja. Jeśli autorka okaże się ważną postacią historyczną albo pisarką – a jej proza już przedstawiała pewną wartość artystyczną – będzie głośno o tym pamiętniku. Doktor Rirkrit Sriwanichpoom...

Biiip! Biiip! Syrena mózgołacza wyrwała Finna z zadumy. Pusta robotaksówka zmierzała prosto na niego. Odskoczył na prawo – w ostatniej chwili! – a taksówka jak gdyby nigdy nic pojechała dalej.

Zdenerwowany usiadł na ławce. Czyżby zepsuł się czujnik antykolizyjny w jego mózgołaczku?

Taksówka po prostu powinna się przy nim zatrzymać, ale co ważniejsze, czujnik powinien go ostrzec o nadciągającym niebezpieczeństwie. Przecież mogła mu się stać krzywda! Finn wypełnił raport o zdarzeniu drogowym i rozejrzał się. Stacja znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Nie będzie żadnego problemu. Stał na rogu.

Museum Allee była ruchliwą ulicą. Przed wejściem na jezdnię spojrzął w lewo, w prawo i znów w lewo – nauczył się tego, gdy był małym chłopcem. Wszystkie dzieci uczono zasad ruchu drogowego, ponieważ mózgołące instalowano dopiero u sześciolatek – a z nawigacji i czujnika antykolizyjnego dzieci zaczynały korzystać po ukończeniu ósmego roku życia.

Finn bezpiecznie przeszedł na drugą stronę i bez problemu zdażył na lokalny SwiftShuttle do Prenzlau. Ale gdy tylko zajął miejsce w jednej z dźwiękoszczelnych jednoosobowych kabin na dolnym poziomie, jego mózgołące wyświetliło raport o błędzie: „Nieznany wirus! Rodzaj: Audiowirus umysłu. Źródło: Dozorca JoeJoe-BER-MV-Rub1g. Sugerowane rozwiązanie: Niezwłocznie zamknąć system. Znaleźć najbliższą klinikę”.

Wirus? Jak to się stało? Kto lub co zaraziło JoeJoe?

Ech. Pewnie nigdy się nie dowiedzą.

Lekko zirytowany Finn zapisał pamiętnik E, wysłał raport i kopię angielskiego tłumaczenia do Sriwanichpooma i właśnie inicjował zamykanie systemu, kiedy nagle jego mózgołące oszalało. Dopiero gdy pięćdziesiąt minut później dotarł do kliniki w Górze Lodowej, wirus w końcu przestał przewiercać się przez jego umysł i bez przerwy uderzać w niego, dokładnie tysiąc jedenaście razy, tym samym ciągiem wyrazów: „No, no, ślicznie dziś wyglądamy, no, no, ślicznie dziś wyglądamy...”.



Bolała go głowa. Była to naturalna reakcja na interwencję chirurgiczną w mózgołaczu. Na szczęście po pięciu minutach z masażerem Mildred-GFW-1oe11 w gabinecie odnowy biologicznej dla pracowników biblioteki Finn poczuł się może niezupełnie jak nowo narodzony, ale na tyle dobrze, żeby uporać się z dniem pracy. Na więcej nie mógł liczyć. Audiowirusy mózgołacza często pozostawiały lekki uraz.

Gdy jego mózgołące znów zaczęło działać, Finn otrzymał krótką wiadomość od laboratorium specjalizującego się w wiernych replikach. Informowano go, że zamówienie o numerze 231020 zostało zrealizowane. Kiedy Finn wszedł do swojego gabinetu, przesyłka już tam czekała. W wirze pracy nad tłumaczeniem pamiętnika całkiem o tym zapomniał. Były to perfumy E: wierna replika Nieskończoności oraz ich flakonu i pudełka z 2003 roku. Perfumy znajdowały się w prostym, a zarazem eleganckim przezroczystym szklanym flaconie o krótkiej szyjce, szerokości dwunastu, a wysokości czterech centymetrów. Umieszczona na przedniej części flakonu nazwa perfum napisana była lekko uniesioną, płynącą z gracją kursywną czcionką o lustrzanym połysku. Podkreślono ją symbolem nieskończoności, przypominającym przewróconą ósemkę. Same perfumy miały barwę koniaku.

Urocze, pomyślał Finn. Naprawdę urocze.

Wyciągnął dłoń, aby otworzyć flakon, i z zaskoczeniem zauważył, że drżą mu palce. Objął nimi zatyczkę i lekko pociągnął. Usłyszał ciche pyknięcie. Pod spodem znajdował się umieszczony

w szyjce flakonu srebrny atomizer z cienką rurką zanurzoną w płynie aż do dna buteleczki.

Finn zbliżył do niego nos. Bezskutecznie szukał odpowiednich słów na opisanie zapachu. Jeszcze nie zdążył użyć tych perfum, a już oczarowały go bogactwem woni, która była... Oszłamiająca? Nie, to brzmiało zbyt banalnie. Tajemnicza? Zachwycająca? Podniecająca? Tak, to wszystko naraz i jeszcze więcej. Była... Chwileczkę! Przecież laboratorium przysłało do jego mózgołacza notkę z opisem perfum. Otworzył ją.

„Nieskończoność otwiera świeża cytrusowa nuta – pisali – po której pojawia się środkowa nuta fiołka i cyklamenu. Jaśmin nadaje perfumom głęboki kwiatowy aromat. Łagodne i delikatne, kończą się drzewną nutą cedru i staroświecką nutą ambry z utrzymującym się śladem piżma”. Brzmiało to jak opis wina, a nie tej zniewalającej woni. Nie, ten opis nie oddawał jej należycie. Może gdyby spryskał perfumami powietrze i zaciągnął się ich pełnym zapachem, lepiej by je opisał?

Wziął do ręki prostokątny flakon, kciukiem nacisnął pompkę i... szszsz... wydał z siebie dźwięk atomizer, wypuszczając zachwycającą mgiełkę Nieskończoności prosto na jego twarz. Apsik.

W poszukiwaniu straconego czasu: gra

Niespokojny i podekscytowany zarazem Finn wjechał Korkociągiem na siódme piętro, gdzie w stołówce dla personelu miał się spotkać na podwieczorku z doktorem doktorem Sriwanichpoomem. Powitała go hostessa Henriette GFW-10e22, drobna brunetka w pastelowym adamaszkowym fartuszkowi kwiaty, przywodzącym na myśl Prowansję. Zaprowadziła Finna do Prywatnej Francuskiej Jadalni numer 5 i wskazała mu stolik.

Po raz pierwszy w życiu zaproszono go do *separée* w Górze Lodowej. Wiercił się nerwowo na krześle i rozglądał po słonecznej sali urządzonej w przyjemnym dla oka rustykalnym stylu, czekając na dyrektora Biblioteki Europejskiej, gdy do jego mózgołacza przesłano kartę deserów. Było tam wszystko: od magdalenek przez bezy po musy.

– A może wolałby pan kartę tortów i tart, *monsieur*? – zapytała Henriette, gdy dostrzegła jego wahanie. – Jeśli przewinie pan w dół, zobaczy pan, że podajemy też kruche ciastka, ptysie i desery owocowe z bitą śmietaną, a także sorbety i lody. – Mówiła z uroczym, choć typowym dla robotów kanciastym akcentem.

– Zaczekajmy może z zamówieniem na przybycie dyrektora – odparł.

– Proszę swobodnie zamawiać beze mnie – odezwał się męski głos.

Finn odwrócił się w kierunku, skąd dobiegał głos, i ujrzał siedzącego naprzeciwko niego Rirkrita Sriwanichpooma w nieskazitelnie białym jedwabnym garniturze. Obok stał imbryk z parującą herbatą i etażerka z zestawem niewielkich ciastek. Nie był to jednak dyrektor we własnej osobie, lecz jego hologram, w dodatku marnej jakości, którą zdradzała tęczowa poświata. Finn wstał, żeby podać rękę przełożonemu.

– Nie, nie – powiedział Sriwanichpoom. – Proszę usiąść. Jeśli będzie się pan za bardzo ruszał, obraz będzie mocniej migotał.

Finn usiadł.

– Przepraszam za tę holotransmisję – rzekł dyrektor. – Niespodziewanie wezwano nas na konferencję na subkontynencie.

Finn odpowiedział mu wyrozumiałym uśmiechem.

– W dodatku mamy dziś kłopoty z odbiorem. Nie możemy odebrać pańskiego obrazu, dlatego ten dyrektor je z panem podwieczorek w Greifswaldzie. Naprawdę! Już czas na komercjalizację teleportacji, nie uważa pan? Ale dopóki to nie nastąpi, dysponujemy tylko taką technologią. – Pochylił się do przodu. – Jest pan jakiś blady. A może to wina transmisji? – Zawołał do kogoś po jego lewej stronie, kogo nie było widać. – Mógłbyś zerknąć na kolory? Rozmówca tego dyrektora wygląda upiornie. – Odwrócił się ponownie do Finna, strzepnął Inianą serwetkę i zatknął ją za kołnierzyk jak śliniak.

Wtedy dotarło do Finna, kogo przypominał mu dyrektor: Maxima Capri, okrutnego chłopaka z plaży

na Fire Island, który bił mokrym ręcznikiem jego i Mannu. Durnia, który zhakował jego mózgołóczę i wysłał go do gry *Triumfy śmierci*.

– Wybrał pan już deser? – zapytał Sriwanichpoom.

– Jeszcze nie. – Finn pospiesznie przeglądał menu i pomyślał, że mógłby wziąć na próbę cynamonowy zing i...

– Dla tego pana cynamonowy zing – powiedział Sriwanichpoom do Henriette. A zwracając się do Finna, dodał: – Zgadza się?

Finn się zaczerwienił. To było bardzo niepokojące, że ten człowiek potrafił czytać w jego myślach.

– Proszę się nie martwić – rzekł Sriwanichpoom. – Ten człowiek nie potrafi czytać w pańskich myślach. Po prostu się domyślił. – Roześmiał się, wciągając wargi niczym rżący koń i odsłaniając idealne zęby, duże i ostre niczym u mięsożercy. Niektórzy woleli niedoskonałe zęby, na przykład szpary między dwoma przednimi siekaczami czy ułamany pierwszy ząb przedtrzonowy albo brakujący dolny kiel, i robili je na zamówienie, ponieważ ich zdaniem dodawały im uroku. Ale nie Sriwanichpoom. Urok nie był jego mocną stroną. – Może spróbuje pan *bavarois* – zaproponował. – Przyrządzają go z wyśmienitym kirschem.

Finn wahał się przez chwilę, chcąc zebrać myśli, ale dyrektor się niecierpliwił.

– Pospieszmy się, dobrze? – powiedział szorstkim, nosowym głosem. – Henriette, proszę przynieść temu młodemu człowiekowi truskawkowy *bavarois*, *savarin chantilly*, kawową eklerkę, miętowy *délice* i...

– Proszę – powiedział zdenerwowany Finn, podnosząc dłoń w geście sprzeciwu.

Nie był dzieckiem i bez problemu sam potrafił złożyć zamówienie. Dobrze, że hologram nie mógł wstać i zawiązać mu śliniaka na szyi!

A może się mylił? Finn nie uważał na wykładach z najnowszych technologii, lecz wydawało mu się to logicznie niemożliwe. W końcu hologram był tylko projekcją.

– Co się stało? Nie chce pan spróbować miętowego *délice*? – zapytał uszczypliwie Sriwanichpoom.

Finn zniósł protekcyjny ton dyrektora z największym wdziękiem, na jaki mógł się zdobyć.

– Nie, nie, w porządku, dziękuję. Po prostu za dużo tych deserów.

– Dobrze więc. – Skinieniem głowy dał znak Henriette, że może odejść.

Finn wiercił się na krześle.

– Pozwoli pan? – zapytał dyrektor, wskazując na swoją herbatę.

– Oczywiście – odrzekł Finn.

Sriwanichpoom podniósł delikatną filiżankę do ust i wypił łyk herbaty. Mały palec jego dłoni, świecący na czerwono, odstawał na bok. Tak się czasem działo w przypadku kiepskich hologramów. I małych palców.

Finn był dotkliwie świadomy ciszy panującej w niewielkim pomieszczeniu.

Sriwanichpoom wziął do ręki widelczyk deserowy, wycelował, nadział na niego tartaletkę z pomarańczą, leżącą bezradnie na talerzyku, i pochłonął ją w całości.

Finn poczuł spływające po karku krople potu.

Do jadalni weszła Henriette, przynosząc na tacy jego desery i zing.

Sriwanichpoom otarł usta brzegiem serwetki, następnie spojrzął na tłumacza, czekając, aż skupi na sobie jego pełną uwagę.

– Tak? – spytał zaniepokojony Finn.

– Pewnie zastanawia się pan, młody człowieku, dlaczego poproszono pana o przybycie tutaj.

Sposób, w jaki wypowiedział słowa „młody człowieku”, był niczym uderzenie mokrym ręcznikiem w ucho. Finn próbował zignorować pieczenie.

– Mamy dla pana propozycję – powiedział Sriwanichpoom.

Czy dyrektor Biblioteki Europejskiej proponuje teraz Finnowi tłumaczenie wszystkich tekstów z Bodden? Ta przedłużająca się niepewność była nie do zniesienia. Finn poczuł, że kręci mu się w głowie, zaschło mu też w gardle. Odchrząknął.

– Chciałby się pan czegoś napić? – zapytał Sriwanichpoom. – A co z pańskim zingiem?

– Ach, prawda – rzekł Finn, który zupełnie zapomniał o stojącym przed nim napoju. Z przyjemnością sięgnął po niego. Dzięki temu mógł też zebrać myśli. – Propozycję? – powtórzył.

Sriwanichpoom skinął głową, a następnie wbił widelczyk w *bavarois*.

Finn uznał to za sugestię, aby i on spróbował swoich deserów. Odkroił róg miętowego *délice*. Był przepyszny.

– Tak – powiedział Sriwanichpoom, znów ocierając usta serwetką. – Propozycję. Biblioteka Europejska bierze udział w opracowaniu nowej gry.

– Gry, mówi pan? – zdziwił się Finn.

Dyrektor pochylił się w jego stronę. Gdyby rzeczywiście siedział przy stoliku, Finn poczułby zapach kirschu z *bavarois* w jego oddechu.

– Tak – potwierdził dyrektor. – Gry. Kampusy Greifswaldu i Berlina pracują od pewnego czasu nad nową generacją najnowocześniejszych neurostymulujących narzędzi rozrywki dla studentów historii oraz każdego, kogo interesuje przeszłość i dokładne, sensoryczne zrozumienie wybranych okresów historii. Użytkownicy przekonają się, że będą one bardziej przypominały życie, będą wyjątkowo rzeczywiste i przyniosą im więcej satysfakcji i rozrywki niż cokolwiek, czego dotąd doświadczyli.

Finn był zdezorientowany. Do czego zmierzał dyrektor?

– Zapewne się pan zastanawia, do czego konkretnie zmierza ten dyrektor – powiedział Sriwanichpoom.

Znowu czytał mu w myślach. Finn uśmiechnął się do niego słabo i dokończył miętowy *délice*.

– Potrzebujemy testerów – wyjaśnił dyrektor po kolejnym łyku herbaty. – Mieliby sprawdzać zgodność krajobrazów i interakcji z ich historycznymi wzorcami. Ponadto będziemy oceniać reakcje testujących na różne sytuacje i bodźce, mierząc im ciśnienie krwi, poziom adrenaliny i tym podobne, aby zapewnić graczom bezpieczeństwo. Krótko mówiąc, mamy nadzieję, że zaciekawi to pana.

Finn wciąż był oszołomiony. Rzeczywiście, czasem twórcy gier prosili historyków o konsultację, lecz zdecydowanie nie należało to do jego specjalizacji, a poza tym nigdy go do tego nie ciągnęło. Większość gier w wirtualnej rzeczywistości miała niewiele wspólnego z poważnymi badaniami, a on był przecież poważnym badaczem.

– Mamy świadomość – powiedział Sriwanichpoom – że konsultowania gier nie ma w pańskim CV,

lecz przecież niejednokrotnie zdarzało się panu z przyjemnością podjąć wyzwanie, jakim była dobra gra, prawda? Na przykład *Podróżuj z Goethem*?

Finn był zaskoczony. Skąd Dok-Dok wiedział, w co grał? Czyżby miał dostęp do jego osobistych plików?

– Cóż... tak. Oczywiście – wyjąkał Finn. – Ale...

– Wobec tego skąd to wahanie? – Dyrektor zanurzył łyżeczkę w aksamitnym czekoladowym musie.

„Wahanie” nie było odpowiednim słowem. Finn czuł coś o wiele bardziej niepokojącego. Był to głęboki... lęk. Tak. Złe przeczucie. Skąd się brało? Czy chodziło o bliskie zetknięcie ze śmiercią w *Triumfach śmierci*? A może to sam Sriwanichpoom wydawał mu się taki mroczny? Zapewne było to jedno i drugie.

– Ten historyk nie jest ani doświadczonej, ani ambitnym użytkownikiem neurostymulujących gier w wirtualnej rzeczywistości – zaczął dyplomatycznie. – Zawsze najbardziej podobał mu się przycisk „Powrót do domu”. – Uśmiechnął się, aby zamaskować nieprzyjemne uczucie lęku.

– Doświadczenie i ambicja nie będą potrzebne w przypadku naszej nowej gry – odparł dyrektor. – Czy tylko to pana martwi?

– Nikt się niczym nie martwi – rzekł Finn wyraźnie zmartwiony. – Ten gracz po prostu nie lubi gier, w których niewinni ludzie zostają zastrzeleni albo posiekani czy wysadzeni w powietrze dla zabawy.

Łyżeczka Sriwanichpooma stuknęła z brzękiem o talerzyk.

– Ta gra ma charakter edukacyjny, jej celem jest uchwycenie codziennego życia w dawnych czasach – rzekł dobitnie. – Panie Nordstrom, posiada pan umiejętności i talent, którym przyglądamy się już od dłuższego czasu. Akcja jednej z gier toczy się w Berlinie na przełomie tysiącleci i kończy się tuż przed rozpoczęciem Mrocznej Zimy, w dwa tysiące osiemnastym roku. Pańskie doskonałe tłumaczenie pamiętnika dziewczynki pokazało nam, że gra odpowiada pańskim umiejętnościom i talentom i że pomógłby pan uczynić z niej lepsze narzędzie.

Sriwanichpoom miał zaiste makiaweliczny talent, pomyślał Finn, ponieważ poczuł, że mężczyzna wyraźnie mu schlebiał. Przez trzy lata zwierzchnicy zaniedbywali go i nie doceniali. A teraz w końcu zaczęli go zauważać.

– Ten historyk potrzebuje więcej informacji – ośmielił się powiedzieć Finn.

– Wobec tego otrzyma pan te informacje – odparł Sriwanichpoom z szerokim uśmiechem, odsłaniającym duże, ostre zęby. Znów sięgnął po mus. – Mmm... ciekawe. Naprawdę powinien pan tego spróbować. Może Henriette przyniesie panu mus czekoladowy?

– Nie, naprawdę. Ten gość jest całkiem zadowolony – zapewnił go Finn i zanurzył łyżeczkę w bitej śmietanie wieńczącej *savarin chantilly*, aby udowodnić, jak bardzo jest zadowolony.

– Nowa gra nosi tytuł *W poszukiwaniu straconego czasu* – powiedział Sriwanichpoom.

– Bardzo proustowskie.

– Bardzo – przyznał dyrektor. – W skrócie: *Projekt Czas*.

– A arena gry? – zapytał Finn.

– Głównie Berlin, ale częściowo też niemieckie wybrzeże Bałtyku. Lata od dwutysięcznego do dwa tysiące osiemnastego. Gracz odwiedza kolejne miejsca zgodnie z porządkiem chronologicznym. Pełne zanurzenie.

– Większość gier obiecuje „pełne zanurzenie”.

– Tej gry nie będzie pan w stanie odróżnić od rzeczywistości. Będzie pan głęboko zaangażowany we wszystkie wydarzenia. Mimo to nigdy pan nie zapomni, kim jest.

Finn był zaintrygowany. Jego problem z większością gier polegał na tym, że gdy już poznało się zasady i zrozumiało ich sedno, czuło się, że jednak jest to gra. Powtarzały się. Albo docierało się do niewidocznej ściany, gdzie gra się kończyła, następowała desynchronizacja i gracz nagle wracał do ostatniego punktu kontrolnego. W niektórych grach ryzyko było przekonująco rzeczywiste, lecz tło zawsze lekko rozmazane, niczym szara mgła przed oczami wyobraźni podpowiadająca: to tylko gra.

– Czy gracz posiada jakieś specjalne zdolności? – zapytał Finn.

Sriwanichpoom się roześmiał. Jego nieskazitelne zęby były teraz poplamione musem czekoladowym.

– Specjalne zdolności?

Finn uznał pytanie za całkowicie dopuszczalne.

– Tak. Czy gracz może się stać niewidzialny? Albo latać? Wspinać się po budynkach? Albo...

– Czytać w myślach? – dokończył Sriwanichpoom. – To pytanie zdradza pański młody wiek, Finnie Nordstromie. Nie. Gracz nie posiada żadnych specjalnych zdolności. Jest tylko człowiekiem. Proszę jednak pamiętać, że mózgołące gracza jest tam bezużyteczne. – Przerwał, aby dokończyć kolejne ciastko, coś żółtego, posypanego wiórkami pistacji. – Ale ma pan do pomocy partnera.

– Partnera?

– Tak. Towarzysza. Nie wkracza pan na arenę sam. Ma pan przyjaciela, który pilnuje, aby nie zboczył pan z toru. – Dyrektor wyciągnął się na tapicerowanym krześle, zamknął oczy i przez chwilę bawił się swoim siwym końskim ogonem, rozdzielając końce niektórych kosmyków. Po chwili wyprostował się. – Gdyby zgodził się pan na współpracę z nami przy tym projekcie, kogo wybrałby pan na swojego partnera? Musi być to ktoś, kto pana dobrze zna.

Pierwszym wyborem Finna byłby Mannu, jego brat, gdyby żył. Łączyła ich niecodzienna więź. Ale nawet myślenie o tym nie miało sensu. Oczywiście wybrałby Renka.

– Musi to być też osoba – ciągnął dyrektor – o doskonałym zdrowiu. – Pochylił się do przodu. – Niestety pański dobry przyjaciel Renko Hoogeveen jest właśnie w trakcie rekonwalescencji po przeszczepie oka. Nie może być testerem.

Mężczyźni wpatrywali się w siebie. Po chwili Rirkrit Sriwanichpoom rozchylił usta.

– A może...

– Nie – odparł Finn. – Ten mężczyzna nie wyobraża sobie, że mogłaby to zrobić.

– Ach – rzekł zadowolony dyrektor. – I kto tu teraz czyta w myślach?

– Domyśliłem się – odparł stanowczo Finn. – Jest kwarkiem. Ma ważniejsze rzeczy na głowie.

– Zdziwiłby się pan, jak oni potrafią docenić dobrą grę. Rouge Marie Moreau jest zapracowaną młodą kobietą, to prawda. Ale chwila wytchnienia raz na jakiś czas przynosi korzyści. – W jego głosie Finn usłyszał sprośną nutę i po raz pierwszy wpadło mu do głowy, że Rouge i dyrektor biblioteki mogą się znać lepiej, niż sądził.

Siedzieli i przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę z wyzwaniem w oczach, czekając, aby ten drugi się odezwał. W końcu Finn przerwał milczenie.

– Co właściwie jest celem tej gry? – zapytał.

Sriwanichpoom znów skupił się na sprawie do załatwienia.

– Proszę pamiętać, że to gra edukacyjna. Jej celem jest czerpanie przyjemności z doświadczenia podczas wypełniania zadań.

– Na przykład?

– Na początku zadania są proste. Przejść ulicą. Kupić mapę. Gra ma siedem poziomów, a ukończenie kolejnych zajmuje coraz więcej czasu i stają się one coraz bardziej skomplikowane. Przykładami trudniejszych zadań mogą być: Nawiąż rozmowę. Poznaj kogoś. Przyrządź trzydaniowy posiłek. Udaj się w podróż.

– Trzydaniowy posiłek? – wykrzyknął Finn prawie ze śmiechem. – Bez robopomocnika? To rzeczywiście kształzące!

– *Monsieur*? – odezwała się Henriette.

– Tak? – Finn odwrócił się do hostessy.

– *Czy monsieur życzy sobie jeszcze jeden zing? A może jakieś ciastko?*

– Dziękuję, Henriette – rzekł Rirkrit Sriwanichpoom. – Na razie to wszystko. – Henriette wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, a Sriwanichpoom spojrzał znów na Finna. – I co? Co pan powie?

Najwyraźniej Bibliotece Europejskiej zależało na tym, by się tego podjął. To prawda, chodziło o okres w historii, który znał najlepiej. Był odpowiednią osobą do wykonania tego zadania. To, czy Rouge się do tego nadawała, czy nie, było całkiem inną kwestią. A w grze jako takiej nie widział nic złego. Wydawała się nawet intrygująca, zwłaszcza że do tej pory twórcy gier rzadko interesowali się przełomem tysiącleci. Tylko... Tylko co? Co nie dawało mu spokoju?

E. Oczywiście. Co z E i dokumentami z Bodden? Co z jego prawdziwą pracą?

– Czyżby się pan niepokoił, że to zlecenie może pana odciągnąć od... prawdziwej pracy? – zapytał dyrektor, znów czując... nie, znając jego myśli.

Lęk powrócił. Skąd ten mężczyzna tak dobrze go znał?

– Dobrze się pan spisał przy tym tłumaczeniu, młody człowieku – powiedział Sriwanichpoom. – Jeśli zdecyduje się pan pomóc nam przy tej grze, nie odciągnie to pana od pracy, którą pan rozpoczął.

Czy to była łapówka? Finn nie wiedział, czy powinien się oburzyć, czy nie.

– Ten dyrektor zapewnia pana – oznajmił Sriwanichpoom w wielkim pokazie szczerości – że jeśli nam pan pomoże, otrzyma pan pamiętnik Eliany do odczytania.

Dreszcz, który przeszył ciało Finna, był tak gwałtowny, że przez chwilę wydawało mu się, że siła wyrzuci go z krzesła i wystrzeli przez dach Góry Lodowej niczym gwiazdny ekspres. Wypowiedział jej imię. Eliana. Każda sylaba była niczym porażenie prądem. E-lia-na. Od małego palca stopy w górę do każdej cebulki włosowej na głowie czuł szok, jaki wywołało jej imię. Eliana. Autorka pamiętnika miała imię.

– Zakładam, że pańskie milczenie oznacza „tak” – powiedział dyrektor.

Rirkrit Sriwanichpoom po raz ostatni otarł usta serwetką, następnie rozprostował ją, złożył na pół, potem na cztery, a wreszcie na osiem części, i położył na stole. Wstał.

Finn zrobił to samo.

Uścisnęli sobie dłonie w powietrzu i hologram zniknął.

Finn ruszył do wyjścia. Dopiero wtedy przyszło mu do głowy, że Sriwanichpoom mógł znać imię właścicielki pamiętnika od samego początku. Dlaczego wcześniej mu tego nie powiedział?

– Och, Finnie Nordstromie! – zawołał dyrektor.

Zaskoczony Finn obejrzał się gwałtownie.

Dyrektor wrócił. Zadarł swój hologramowy nos i wciągnął powietrze.

– Ładnego zapachu pan dziś użył.

Co takiego?, pomyślał Finn. Czy teraz hologramy mają też węch?

Rozdział 8

Podróżnicy mimo woli

– Wiercisz się – zauważyła Rouge, poprawiając na piersi pasek podniszczonej czarnej torebki, przełożony na ukos.

Szli z Finnem szybkim krokiem ruchomą ścieżką ekspresową numer 5, na dziewiątym podziemnym poziomie Instytutu Fizyki Stosowanej imienia Olgi Żukowej w Berlinie.

– To przez te džinsy – wyjaśnił Finn i podciągnął spodnie. – Są źle dopasowane. – Puścił je i znów się zsunęły, odsłaniając bokserki w jasną kratkę.

Nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Są za szerokie w pasie. A krok jest za nisko – stwierdziła Rouge.

– Trafne spostrzeżenie, Einsteinie, zaiste. W dziale odzieży na zamówienie nazwali ten styl luźnym.

Minęli po prawej stronie GoWay-22 P3.

– Jeszcze dwa skrzyżowania do R3 – oznajmiła Rouge. – I będziemy na miejscu. – Przyjrzała się paskowi Finna. – Nie możesz go zapiąć ciaśniej, żeby spodnie przestały spadać? – Przesunęła palcami po powierzchni paska, jakby szukała sekretnego guzika ukrytego pod metalowymi zdobieniami. – Co to jest? Przypominają naboje. Jak te w muzeum.

– To ćwieki. Przez nie pasek jest taki ciężki.

– Mógłbyś używać go jako broni. – Pociągnęła znów za pasek i pokręciła głową. – Te spodnie specjalnie wiszą tak nisko.

– Tak, tego się obawialiśmy, prawda? – Uśmiechnął się do niej krótko i podrapał się bezwiednie po czubku głowy, gdzie pojawiła się krostka, co czasem zdarzało się po pobraniu wspomnień.

Milczeli przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, dlaczego, u licha, zgodzili się wziąć udział w grze. Gdy zbliżyli się do Q3, Finn zaczął się drapać pod czarnym podkoszulkiem.

– Znowu się kręcisz – zauważyła Rouge.

– To przez ten materiał. Jest strasznie szorstki. – Obciągnął T-shirt i Rouge uważnie przyjrzała się nadrukowi na nim: COOL PEOPLE RIDE ELECTRIC.

– Czyli znali już elektryczne samochody, tak? – powiedziała. – Właściwie dlaczego wybrałeś dwa tysiące trzeci? Ma to jakiś związek z pamiętnikiem?

– Sriwanichpoom to zasugerował. Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej ze względu na pracę. Pełne zanurzenie. – Znów się podrapał. – Swędzi.

Rouge wzruszyła ramionami. Oprócz džinsowej minispódniczki – z tego samego szorstkiego niebieskoszarego materiału, z którego uszyto spodnie Finna – też miała na sobie czarny T-shirt. Ale jej on nie przeszkadzał. Finnowi też nie. Podobał mu się widok jej pępka między opierającą się na biodrach spódniczką a krótką koszulką. Niestety jej nogi opinała gruba czarna tkanina.

– Powiedziano mi, że to są legginsy – wyjaśniła Rouge, podążając za jego wzrokiem.

– A to? – zapytał, wskazując na czarno-białe buty.

– Chodzi ci o obuwie sportowe?

– Prawidłowo mówi się na nie „trampki” – odparł zadowolony z siebie.

– Trampki – powtórzyła.

Finn przyglądał się jej strojowi. Nie miała paska.

– Nie masz broni. To niesprawiedliwe.

– A właśnie że mam – powiedziała i wyciągnęła z torebki skórzaną portmonetkę. Wyglądała na ciężką. – Ty masz zabójcze ćwieki. Ta testerka ma zabójczą gotówkę. Można by tym zdzielić napastnika po głowie. – Otworzyła portmonetkę, potrząsnęła drobnymi i przerzuciła banknoty. – Monety i papierowe pieniądze. Przedziwne. – Wręczyła Finnowi banknot o nominale pięciuset euro. – Schowaj do kieszeni. Mówili, że powinieneś mieć przy sobie gotówkę.

Finn wsunął banknot do prawej kieszeni spodni.

Rouge włożyła portmonetkę z powrotem do torebki, wyciągnęła z niej skórzaną bransoletkę z ćwiekami i zapięła na nadgarstku.

– No, teraz lepiej – stwierdził. – W końcu jakaś prawdziwa broń. – Rouge zamarkowała cios karate, a Finn zrobił unik. Znowu zsunęły mu się spodnie. Podciągnął je. – Tak się kończy wybór stylu „miejski, swobodny, buntowniczy”.

– Następnym razem powinniśmy wybrać: „konserwatywny, nieoficjalny, wygodny”.

– Albo „korporacyjny, praktyczny, bogaty” – powiedział i zerknął na znoszone czarne trampki na swoich stopach.

Szli dalej w milczeniu ruchomą ścieżką. Finn przyglądał się ich postaciom w lustrze po lewej stronie. Loki Rouge zostały wyprostowane, skrócone i nastroszone. Wyglądała przez to jeszcze ostrzej niż zwykle. Ale to nic w porównaniu z jego włosami. Czuł się naprawdę dziwnie, widząc swoje odbicie w lustrze. Stylista nazwał fryzurę irokezem. Wzdłuż czubka głowy Finn miał postawiony na sztorc pas włosów, od czoła do karku, sztywny i wyprostowany niczym szczecina dzika. Na szczęście po bokach zostawiono mu jego gęste falujące włosy, lecz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wygląda jak rdzenni Amerykanie, Indianie, na celuloidzie *Szlak Irokezów*, który niedawno oglądał z Renkiem.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku, ubrany w brązowy sztruksowy garnitur, minął ich z lewej strony, zasłaniając widok. Niechcący otarł się o Finna, strącając z jego ramienia torbę.

– Bardzo przepraszam – powiedział mężczyzna. Zatrzymał się i podniósł ją. Zauważył Rouge. – Ach, *mademoiselle* Moreau.

– Profesor Grossmann – rzekła zaskoczona nieoczekiwanym spotkaniem. – To Finn Nordstrom. Finn, to profesor Judd W. Grossmann.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

Finn zauważył, że na widok ich strojów oczy mężczyzny zrobiły się okrągłe.

– Jedziemy do sali gier – wyjaśnił Finn.

– Doskonale – powiedział rozbawiony profesor. – Doskonale.

Finn zobaczył na szyi mężczyzny krawat bolo. Były modne dwadzieścia lat wcześniej, lecz ostatnio bardzo rzadko się je widywało. Ten składał się z zielonych skórzanych sznurków z brązowymi końcówkami oraz spinki z macicy perłowej osadzonej w brązie. Kamea przedstawiała dwa różowe flamingi w błękitnym stawie z zielonym drzewem w tle.

– Proszę wybaczyć – rzekł Grossmann – ale już późno! Do widzenia. – Odszedł szybkim krokiem.

– Szczerze mówiąc – zwrócił się Finn do Rouge, kiedy profesor znalazł się dość daleko – ten gracz nie rozumie, dlaczego musimy mieć na sobie te ubrania w drodze do sali gier. Dlaczego nie możemy zdecydować, jak chcemy wyglądać i jakich akcesoriów chcemy użyć, po rozpoczęciu gry? Zwykle tak się robi.

Rouge odpowiedziała mu krótkim uniesieniem ramion oznaczającym: nie mam pojęcia.

– I dlaczego musimy grać tutaj? W instytucie? Przecież mogliśmy testować grę w Rubiku – powiedział, rozglądając się po niedostępnej dla zwykłych śmiertelników części instytutu.

Był tu po raz pierwszy. Właściwie nigdy nie był nawet wewnątrz budynku, który berlińczycy nazywali czule Meduzą. Przezroczystry dach niższego poziomu w kształcie dzwonu, zrobiony z tekstylnych żagli i szkła, przypominał morskie meduzy. W środku oślepiające światła, ruchome ścieżki, jaskrawe kolory, rury, a wszystko symetryczne, zapierały dech w piersiach, lecz zarazem onieśmiały.

– Gramy tutaj, ponieważ będą nas monitorować – odpowiedziała takim tonem, jakby wyjaśniała mu to po raz dziesiąty. – Poza tym mamy tu najnowocześniejszą i najlepszą salę gier w Berlinie. – Wskazała na oddalającą się postać profesora Grossmanna. – On jest jednym z monitorujących.

– Kwark?

– Gry to jego hobby.

– Naprawdę? Pracowałeś już z nim kiedyś?

– Tak. Kilka razy.

– Ten przyjaciel zdziwił się, że w ogóle zgodziłaś się na udział w takiej grze, a teraz jeszcze dowiaduje się, że jesteś starą wyjadaczką! Aleś ty tajemnicza. Kto by pomyślał, że wy, kwarki, tak jaracie się grami, że instytut ma własną salę gier i...

– Jaracie się? – zapytała.

Finn uśmiechnął się szeroko.

– Oznacza to, że gry was ekscytują...

Ale Rouge już go nie słuchała. Jej wzrok powędrował do GoWay przed nimi.

– Jesteśmy na miejscu – mruknęła.

Zeszli z ekspresowej ścieżki.

Ujrzeni doktora doktora Rirkrita Sriwanichpooma.

Finn i Dok-Dok wymienili uściski dłoni. Z krwi i kości. Tym razem Sriwanichpoom nie wysłał hologramu, aby go zastąpił. Dyrektor biblioteki się uśmiechnął.

– Witam – powiedział, a Finna na chwilę ogarnęło dziwne uczucie, że być może właśnie popełnia najpoważniejszy błąd w swoim życiu.



– I na koniec pamiętajcie – rzekł profesor Grossmann – że nie wolno wam opuścić wyznaczonego obszaru gry. Na pierwszym poziomie jest to deptak handlowy w Berlinie, w... – zerknął do notatek – Charlottenburgu. Jakies pytania?

– Jaka jest data? – zapytał Finn. – Nasze stroje wskazują na lato.

– Zgadza się. Czwartek, czternasty sierpnia dwa tysiące trzeciego.

– A pora? – spytał ponownie Finn.

– Popołudnie. Wpół do piątej.

– A bieżące wydarzenia? Coś poważnego, o czym powinniśmy wiedzieć, co wydarzyło się tego dnia? Wybuch reaktora jądrowego albo...

– Proszę, panie Nordstrom! – przerwał mu ze zniecierpliwieniem Sriwanichpoom. – To tylko gra. Niech pan improwizuje. – Spojrzał na Grossmanna. – Ech, ci historycy!

Finn siedział na prostym metalowym krześle w sali gier. Rouge siedziała obok niego, trochę wyżej, na metalowym stołku. Odrobina światła ze studia monitorującego wkradała się do pomieszczenia. Ściany były czarne, jak w większości sal gier, lecz sufit był... nietypowy. Właściwie wcale go nie było. Przynajmniej Finn nie mógł go dostrzec. Nad ich głowami ziała czarna otchłań.

– Gotowi? – zapytał Sriwanichpoom.

– Jeszcze jedno pytanie, jeśli pan pozwoli – wtrącił Finn. – Co się właściwie stanie, jeśli wyjdziemy poza wyznaczony obszar? Jeżeli na przykład niechcący zboczymy? Czy zostaniemy natychmiast przeniesieni do punktu wyjścia? Czy też zostaniemy całkiem wyłączeni z gry i obudzimy się tutaj?

Profesor Grossmann był przyjaznym typem. Ojcowsko poklepał Finna po ramieniu.

– Ten koordynator projektu rozumie was, młodych, i waszą potrzebę łamania zasad, ale...

– Młodych? – zapytał Finn. – Dobiegamy trzydziestki!

– Ale nie jesteście jeszcze dorosłymi – odparł profesor Grossmann i spojrzał na Sriwanichpooma. Wymienili zagadkowe uśmiechy, a profesor zwrócił się teraz bezpośrednio do Finna: – Rozumiemy pragnienie złamania zasad. Ale nie jest to zalecane. Może się otworzyć nowy obszar, a jeśli nie będziecie mieli narzędzi, aby sobie z nim poradzić, spowoduje to nieskończoną liczbę problemów mogących prowadzić do fizycznego i... lub... emocjonalnego bólu.

Finn zmarszczył brwi.

– To brzmi ryzykownie.

– Krótko i węzłowato: tak – przyznał dobry profesor. – Ale nie dojdzie do tego. Mimo to musicie zrozumieć, że w tej grze wirtualna rzeczywistość staje się waszym prawdziwym, fizycznym światem do tego stopnia, że potencjalnie szkodliwe sytuacje w grze mogą mieć reperkusje w waszym prawdziwym życiu. – Zwrócił się do Rouge: – Na szczęście pańska partnerka pana poprowadzi. Jej postać została zaprogramowana tak, aby nie zboczył pan z kursu. Pańska postać natomiast jest zaprogramowana tak, aby jej słuchać.

– Ale właściwie dlaczego? – dopytywał Finn. Kątem oka zobaczył, jak Sriwanichpoom niespokojnie przestępuje z nogi na nogę, słysząc kolejne pytanie młodego historyka. – Dlaczego nie można ryzykować? – ciągnął. – Czy nie gramy w gry właśnie po to, aby doświadczać ryzyka? Czy nie na tym polega cały dreszczyk?

– Zgadza się, owszem – powiedział łagodnie Grossmann. – Gramy w gry, aby pozbyć się swoich demonów. Doświadczamy w grach tego, co prawdopodobnie zaszkodziłoby nam w prawdziwym życiu. I jest to ekscytujące. Jednak w tej konkretnej grze podejmujecie ryzyko dopiero na trzecim poziomie. Najpierw musicie się nauczyć dobrze bawić i zaaklimatyzować się w nowym otoczeniu.

– Przez cały czas zwracając uwagę na możliwe historyczne nieścisłości – dodał Sriwanichpoom. –

Wkracza pan na arenę przede wszystkim jako historyk. – Uśmiechnął się do niego. – Młodszy historyk.

– Tak – rzekł profesor. – I pamiętajcie, że nie wolno wam zaczynać rozmów z napotkanymi postaciami i że macie wrócić do punktu wyjścia trzydzieści minut po przybyciu.

– A co się stanie, jeżeli nie wrócimy do punktu wyjścia w ciągu trzydziestu minut? – zapytał Finn. – Co jeśli...

– Finn! – przerwała mu zirytowana Rouge. Dotąd nie wtrącała się do rozmowy, lecz teraz zobaczył, że ze zniecierpliwieniem kręci głową. – Chcą już zacząć.

– Ten gracz jest po prostu ciekawy! – odparł. – Dlaczego nie możemy grać dłużej?

– Organizm musi się przyzwyczaić do gry. Ale nie martwcie się. Nie stanie się nic, z czym sobie nie poradzicie – powiedział profesor Grossmann.

– Ale...

– Finnie Nordstromie! – Głos dyrektora zabrzmiał wyjątkowo zimno. – *Projekt Czas* jest jeszcze w fazie alfa. Chcemy, aby teraz trzymał się pan zasad, żebyśmy w przyszłości potrafili od nich odstąpić. – Ruszył do wyjścia. Przy drzwiach się odwrócił. – Jesteśmy gotowi?

– Ach, byłbym zapomniał – powiedział po chwili namysłu profesor Grossmann do Finna i Rouge. – Możecie nabyć w grze napój lub jakąś przekąskę. *Mademoiselle* Moreau, ma pani pełną portmonetkę. – Spojrzał na Finna, a następnie na Rouge, aby upewnić się, że skupił ich niepodzielną uwagę. – Jeśli nie macie więcej pytań, zacznijmy. Od tej chwili powstrzymajcie się od rozmowy, dopóki nie będziecie pewni, że jesteście na arenie gry. – Uśmiechnął się serdecznie do obojga. – Możemy?



Finn stracił poczucie czasu. Ile minut minęło od zamknięcia drzwi? I zapieczętowania ich? Minuta? A może pięć? Czy Rouge wciąż była obok? A może go przemieszczono? Najpierw wydawało mu się, że się unosi, jakby coś go ciągnęło do góry. Nagle stracił orientację. Widział tylko nieprzeniknioną czerń. Żadnych dźwięków z zewnątrz ani tu w sali. Żadnego światła, ruchu, podmuchu powietrza. Jakby zawieszono go w nicości, w próżni.

Wiedział, że zaraz coś się wydarzy. Czuł tę mieszankę lęku i podniecenia, którą znał z czasów, gdy jako młody chłopak surfował po falach na Fire Island. Nazywał ją „chwila przed”. Ten niepokojący moment, kiedy ostra fala, która najpierw wznosiła się na horyzoncie, a potem zbliżała się przerażającą ścianą wody, w końcu docierała do niego, a jej grzbiet zawijał się nad jego głową. Czy popłynie z nią? A może fala go zmiażdży?

Wtem coś usłyszał. Odwrócił głowę w kierunku źródła dźwięku. Był to cichy syk. Jakby coś zasysało powietrze przez maleńki otwór. Narastał. Finn miał wrażenie, że dźwięk wiruje i świszcze, i krąży jakby spiralnie. Nagle zrozumiał, że ten dźwięk był tak naprawdę w nim i że coś go rozciąga – coraz bardziej i bardziej – jakby w wyjątkowo długie spaghetti. Nagle – siup! – wessało go do otworu.

Znalazł się w tunelu bez początku i bez końca. Bez głębi. Potężny dreszcz przeszył jego ciało... Próbował się czegoś chwycić, czegokolwiek, stołka, Rouge, ale czuł jedynie przestrzeń. Spadał coraz

nżej i nżej, pewny, że zginie. Nagle coś go odwróciło i jakimś cudem zaczął się wznosić w nieważkości miękkiej jak aksamit. Jakby pływał w kałamarzu swojej matki pełnym granatowego atramentu. Z radością mógłby tu umrzeć.

Pojawił się oślepiający blask, błyskające noże, które przecinały powietrze wokół niego, i nagła eksplozja jaskrawego koloru. Wszędzie. Lecz teraz ściany zbliżały się ku niemu, z prawej, z lewej, sufit się obniżał, podłoga się podnosiła. Zaraz go zmiążdżą!

Otworzył oczy.



Finn ujrzał srebro. Nie. To była...

Zemdliło go. Zamknął oczy.

Po chwili znów je otworzył. Biel. Zobaczył biel.

Tak. Finn patrzył na białą ścianę z przecinającym ją na pół czarnym pasem. Po lewej i prawej stronie pasa zauważył... wycięcia? Skupił wzrok. Były to podwójne drzwi, rozsuwane pośrodku. Pas przebiegał w miejscu zetknięcia ich części. Po jego obu stronach znajdowały się klamki. Wpatrywał się w nie przez dłuższy czas, przynajmniej tak mu się wydawało.

Chwilę później Finn siedział w kucki, z głową w dłoniach, opierając łokcie o kolana. Przy uchu usłyszał cichutki rytmiczny stukot. Zorientował się, że to wskazówka sekundowa zegarka z dwudziestego pierwszego stulecia, który mu dali.

Spojrzał w dół. Wciąż miał na sobie dzinsy i czarne trampki. Podłoga była szara. I mokra. I poplamiona. Ubrudzona... błotem. Zobaczył okrągły dysk z otworami.

Co to za miejsce?

I ten zapach! Kwaśny. Ostry. Nieprzyjemny. Kojarzył mu się z... meduzą. Tak, z martwymi meduzami wyrzucanymi na brzeg na Fire Island, tymi przezroczytymi krążkami o gąbczastych wnętrznościach, rozkładającymi się na piasku w upalny letni dzień.

Wstał. Zakręciło mu się w głowie. Dostrzegł siedzącą obok niego i przypatrującą się mu Rouge. Wydawała się lekko ożywiona. Za jej plecami wisiało chyba lustro. Jej mina była... wyczekująca. Gdzie się znajdowali? W instytucie? Czy w grze? Wolno mu już się było odezwać?

Co to za miejsce?

Spojrzał w lewo. Znowu zawirowało mu w głowie. Obok, na wysokości biodra, zobaczył przymocowany do ściany aluminiowy drążek. Przytrzymał się go, aby odzyskać równowagę. Pół metra dalej na ścianie Finn ujrzał złożony z dużych liter napis: SZALET MIEJSKI.

To jakiś żart?

Spojrzał pod siebie. Siedział na czymś, co rzeczywiście wyglądało jak muszla klozetowa. Bardzo prymitywna. Biała. I plastikowa. I...

Ktoś zapukał do drzwi.

– Halo? Jest tam kto? – usłyszał wołanie kobiety. Zaczęła łomotać w drzwi. – Utopiłeś się w kiblu czy co?

Mówiła po niemiecku. Po drugiej stronie drzwi ktoś mówił wymarłym niemieckim!

Finn spojrzał na Rouge, która teraz stała i opierała się o... umywalkę?

– Finn, trzeba iść – powiedziała.

– To gra?

– Najwyraźniej. – Wskazała na ogromny kwadratowy przycisk z dwiema niebieskimi strzałkami.

Przeczytał napis: OTWÓRZ DRZWI.

– Powinniśmy nacisnąć – oznajmiła.

Wstał i nacisnął przycisk.

Drzwi zaczęły się rozsuwać na boki.

– Nareszcie! – krzyknął głos na zewnątrz.

Drzwi się otworzyły.

– Co u...? – zawołała kobieta, rozdziawiając usta. – Dwoje?

Kobieta przypominała robota, który zajmował się Rubikiem, gosposię Hilburg BER-MV-Rub3.

Była to niska jejmość o dorodnym biuście i szerokich biodrach. Miała na sobie jaskrawopomarańczowy kombinezon z odblaskowymi paskami na rękawach i w poprzek piersi. Do tego buty z czarnej gumy.

Obok niej stał metalowy pojemnik, podobny trochę do drewnianej skrzynki z przyborami, należącej do matki Finna. W dłoniach w rękawiczkach trzymała długi drewniany kij, może metrowej długości, zakończony grubymi bawełnianymi sznurkami, przypominającymi powrozy lub stryczki. To jest mop?, pomyślał Finn. Miała też wiadro. Niebieskie. I trzymała rolkę...? Przeczytał napis na etykiecie: „Papier toaletowy”.

– Ślepy jesteś czy co? – zapytała kobieta. – Nie umiesz czytać? Tu jest napisane: „Szalet miejski”, a nie: „Melina dla narkomanów”.

Miała srebro w ustach. I jeden złoty ząb. Złoty. Zdumiewające, pomyślał Finn.

– Co tam robiliście? – zapytała podejrzliwie, rozglądając się po toalecie, ale drzwi już się zamykały.

Kobieta zablokowała je stopą, po czym wyciągnęła pęk metalowych kluczy na łańcuchu i włożyła jeden z nich do dziurki od wewnętrznej strony kabiny. Drzwi znów się otworzyły.

– Na co się gapicie? – warknęła. – Chyba to ja powinnam się gapić.

– Finn – powiedziała łagodnie Rouge i pociągnęła go za ramię – chodźmy już.

– Możecie mnie wpuścić? – Pomarańczowa kobieta przepchnęła się obok nich do łazienki. – No naprawdę!

Drzwi zamknęły się za nią ze świstem.

A Finn znalazł się w samym środku Berlina przełomu tysiącleci.



Co za hałas! Nie do zniesienia. Finnowi szumiało w głowie. Czuł, jakby jego uszy wypełniły kulki lepkiego wosku. I te głosy dookoła. Natarczywe. Szybkie. Uderzyła go eksplozja muzyki, basowe dźwięki wbijały się w jego serce niczym śrut. Zaszczekał pies – a Finn miał wrażenie, że zdetonowano bomby.

Finn i Rouge przeszli kilka kroków i zaraz znaleźli się na zatłoczonym deptaku handlowym. Finn nigdy wcześniej nie widział takich tłumów na europejskiej ulicy. Dlaczego wszyscy mu się

przyglądali? Strumień kupujących rozstał się przed nim niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Przypomniał sobie, że kiedyś widział podobną scenę na celuloidzie.

– Dłaczego wszyscy na nas patrzą? – zapytał przyjaciółkę.

– Może tylko nam się wydaje? A poza tym jak się czujesz?

– Trochę mi się kręci w głowie. A ty jak?

Wzruszyła ramionami i usiadła na ławce, a Finn obok niej.

– Oddychaj – poinstruowała go.

Finn głęboko wciągnął powietrze przez nos. Zapach był oszałamiający. Gdzieś w pobliżu pieczono chleb. Z pobliskiego stoiska dotarła do niego wilgotna, słodka woń kwiatów. Dwaj nastoletni chłopcy szarpali się dla żartu o brązową butelkę, która w końcu wypadła im i się potłukła, a oni pobiegli dalej, rycząc ze śmiechu. Finn patrzył na pianistą strużkę na bruku. Poczłł gorzki zapach piwa.

Budynki były przysadziste i stłoczone, bez wyraźnego planu, miszmasz szkła i metalu, cegieł, cementu i drewna. Zastanawiał się, czy to właściwy styl dla tego okresu w historii. Odnotował w pamięci, żeby po zakończeniu gry dowiedzieć się więcej o architekturze deptaków handlowych.

Na twarzy czuł gorące promienie słońca.

– Załóż okulary przeciwsłoneczne, Finn – powiedziała beznamiętnie Rouge.

– Racja.

Finn otworzył torbę, znalazł okulary i wsunął je na nos.

Rouge też już założyła swoje.

Młody mężczyzna, właściwie jeszcze chłopak, o włosach sterczących do góry, lecz z ogoloną resztą głowy (on naprawdę wyglądał jak Indianie ze *Szlaku Irokezów!*), opadł ciężko na ławkę obok Finna i bezceremonialnie popchnął go w stronę Rouge.

– Ej, ty! – warknął. – Zrób mi tu trochę miejsca!

Finn się przestraszył. Spojrzał na Rouge. Chwyciła go za rękę.

– To tylko gra – szepnęła.

Jasne, pomyślał, to tylko gra. Nie ma się czego bać.

Ale wydawała się taka realna. Finn poczuł zapach skórzanych spodni chłopaka i jego potu. Słońce odbijało się w jego srebrnej biżuterii. W nosie miał kolczyk. I mnóstwo kolczyków w uszach. Miał też ćwiekowany pasek, taki sam jak Finna.

Chłopak zapalił papierosa. Finn znał papierosy z celuloidów. Otoczyły go kłęby dymu. Wciągnął jego zapach, który podrażnił mu nos, i rozkaszał się. Nastolatek rzucił mu nienawistne spojrzenie.

– Co jest? – zapytał. – Masz coś przeciwko szlugom?

– Chodźmy – powiedziała Rouge do Finna. – Mamy trochę czasu.

Finn wstał. W jednej chwili „otworzyły” mu się uszy, wosk się rozpuścił, głowa oczyściła – a dzinsy zsunęły.

– Gacie ci spadły! – zawył rozbawiony chłopak.

Finn podciągnął spodnie i ruszyli z Rouge na północ. Zauważył, że chodnik był zaśmiecony. Leżały na nim niedopałki. Papierki. Gazety. Torby foliowe. Obok przemknęła jakaś dziewczynka, jeszcze nie nastolatka. Sunęła, jakby w butach miała ukryte kółka.

Kilka kroków dalej mała dziewczynka na bujającym się słoniu huśtała się w górę i w dół, śmiejąc się w głos. Jej opiekunka mówiła do przenośnego telefonu. Widział je na celuloidach. Leśni nadal ich używali.

– Myślałam o spaghetti... – powiedziała. – I sałatce. Możesz kupić mleko? ...Tak. Chude.

Usłyszał bęben. Naprzeciwko niego, jakieś dwadzieścia metrów dalej, siedział na ziemi mężczyzna z ogoloną głową, w szafranowej szacie, który śpiewał i rytmicznie uderzał w zdobiony drewniany bęben. Wyglądał dokładnie tak jak tybetańscy mnisi, którzy przychodzili po meble do warsztatu jego ojca. Czy ich wygląd naprawdę nie zmienił się przez tyle stuleci? To może być nieścisłość w grze, pomyślał, żałując, że jego mózgołacz nie działa, by mógł to zanotować. Jeszcze coś. Co to było...? Ach, jasne. Architektura. Czy na pewno wiernie ją oddano? Bez mózgołacza trudno było cokolwiek zapamiętać.

Finn przystanął, żeby posłuchać mnicha. Medytacyjny śpiew i miarowy rytm bębna podziały na niego kojąco w tym zgiełku.

Podszedł jakiś mężczyzna z bujną brodą i długimi, gęstymi włosami. Miał na sobie gruby płaszcz, futrzaną czapkę i wysokie brązowe buty, jakby to był środek zimy. Pchał przed sobą ogromny metalowy kosz na kółkach, sięgający mu do pasa. W środku znajdowały się foliowe torby pełne ubrań i różnych przedmiotów. Finn poczuł od niego kwaśną woń.

– Macie parę centów? – zapytał mężczyzna, wyciągając do Finna plastikowy kubek.

Finn nie wiedział, jak ma zareagować, a Rouge wydawała się równie zakłopotana. Odwrócił się znów do brodatego mężczyzny, żeby zapytać, co sprzedaje, lecz tamten już odszedł na południe, w kierunku szaletu miejskiego. Finn przez chwilę przyglądał się budynkowi.

– Dziwny wybór na miejsce rozpoczęcia gry – powiedział do Rouge. – Jak myślisz, dlaczego startujemy z szaletu miejskiego?

– Ta testerka też się nad tym zastanawiała – odparła Rouge. – Może dlatego, że zapewnia prywatność?

– Ale po co nam prywatność? Moglibyśmy po prostu się pojawić. Nie?

Rouge wzruszyła ramionami.

– Może tutejsi ludzie uznaliby to za dziwne?

– Ale to przecież tylko gra! – Znów kątem oka dostrzegł brodatego mężczyznę. – Jak myślisz, co sprzedaje ten człowiek? Dlaczego prosi o pieniądze?

Rouge wzruszyła ramionami.

– Może wcale niczego nie sprzedaje i dlatego nie powinien prosić o pieniądze. Może to jakaś nieścisłość w grze.



Za szaletem miejskim deptak przecinała zatłoczona ulica. Chór klaksonów zwrócił uwagę Finna. Duże pojazdy na kołach – autobusy i ciężarówki – wlokły się ulicą. Mniejsze, automobile, jechały wciśnięte między nimi.

– Pójdziemy tam? – zapytał. – Ciekawe, dlaczego tak trąbią. Może to jakaś parada?

– Na pewno będzie dziwnie pachniało. – Rouge zatkała nos. – Paliwo kopalne.

Finn zobaczył, że brodaty mężczyzna podszedł do starszej kobiety, która szła wyjątkowo powoli, pchając przed sobą, tak jak tamten, coś niby wózek na czterech kółkach. Jej był jednak o wiele mniejszy i nie miał kosza. Finn pomyślał, że może to jakaś pomoc ułatwiająca poruszanie się. Patrzył, jak kobieta usiadła na tym urządzeniu, otworzyła torebkę, wyjęła z niej coś i podała brodatemu mężczyźnie. Pewnie pieniądze. Ale zasłoniła ją grupa przechodniów i nie zobaczył, co dostała w zamian.

Finn spojrzał na Rouge.

– Zdziwiałające! Naprawdę. Te szczegóły są fantastyczne. Jak oni to zrobili? Ktokolwiek to stworzył, jest geniuszem.

– Greifswald i Berlin ucieszą się, gdy to usłyszą.

– Charlottenburg! – powiedział. – Niewiarygodny!

Finn był tu raz w roku 2256. Przemysłowy Charlottenburg nie należał do dzielnic Berlina, w których regularnie bywano. Na terenie o wielkości dziesięciu kilometrów kwadratowych mieściły się setki fabryk, a wśród nich prawdopodobnie największa fabryka pojazdów transportowych na kontynencie europejskim – SprintX. Odwiedził SprintX na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie Europejskim w Greifswaldzie. Miło wspominał wystawę zabytkowych samochodów silnikowych w Muzeum Pojazdów przy ulicy KFZ, w charakterystycznym budynku, który przetrwał Mroczną Zimę. Ale ten Charlottenburg nie miał nic wspólnego z Charlottenburgiem, który znał.

Finn zauważył zbliżającą się do nich parę. Oboje trzymali w dłoniach brązowe rożki zwieńczone półstałymi kopczykami – jeden był żółtawy, drugi zielony – które lizali.

– Jak myślisz, co to jest? – zapytała Rouge. – Jogurt? Serek? Mus?

– Ten historyk uważa, że mogą to być lody. Kiedyś jedzono je w ten sposób. Możemy zapytać.

Podeszli do pary.

– Finn! – powiedziała Rouge. – Nie zaczynaj rozmowy. Jeszcze nie. Chodźmy w tę stronę. – Wskazała na północ.

Ominęli plac budowy. Po prawej stronie znaleźli ulicę. Tabliczka informowała: Goethestraße.

– Nareszcie jakaś znajoma nazwa – powiedział Finn.

– Goethe? – zapytała Rouge, pytająco mrużąc oczy.

Finn parsknął.

– Naprawdę musimy coś zrobić z twoim wykształceniem, Einsteinie. Goethe był jakby niemieckim Szekspirem.

– Szekspirem? – powtórzyła.

Finn otworzył szeroko usta.

Rouge się roześmiała.

– Finn, ta przyjaciółka się tylko z tobą droczy. Ale szczerze mówiąc, Szekspir nie jest teraz istotny. Ani Goethe. Musimy niedługo wracać. Mamy tylko kilka minut.

Zerknął na Goethestraße.

– Och, spójrz! – powiedział i ruszył ulicą.

– Finn, mieliśmy się trzymać deptaka! – zawołała za nim Rouge.

Finn przystanął przed prawie czterometrowym słupem z obrazkami i napisami. Odwrócił się do

Rouge, która podążała za nim.

– To *Litfaßsäule*. Reklamowano na nich produkty i usługi. Jeden z takich słupów ogłoszeniowych jest przedstawiony na okładce niemieckiej książki dla dzieci z lat trzydziestych dwudziestego wieku, należącej do naszych rodziców. Nasza matka nam ją czytała. *Emil i detektywi*.

Zatrzymał się, wspominając uroczy, dźwięczny głos matki. Gdy byli mali, on i Mannu siadywali jej na kolanach. A ona im czytała. I to jak czytała! Każda z postaci miała własny tembr głosu, wysokość, siłę, własny...

– Finn?

Spojrzał na Rouge.

– Ta testerka nalega, abyśmy wrócili na deptak. Naprawdę musimy – powiedziała łagodnie.

– Tylko jedną chwilę – odparł. – Proszę. – Spojrzał jeszcze raz na słup ogłoszeniowy i przesunął palcami po zdjęciu przedstawiającym pięciu mężczyzn. Odczytał na głos: – „Deep Purple. Koncert na żywo. Columbiahalle. 20 sierpnia”. – Część płachty papieru została oddarta i pod spodem przeczytał: – „Robbie Williams. Na żywo w Wuhlh...” – Odwrócił się nagle do Rouge. – Zdumiewające! Ten historyk zna Robbiego Williamsa. Tamta dziewczynka była na jego koncercie. – Oderwał jeszcze kawałek, aby odsłonić plakat znajdujący się pod spodem. – Spójrz! Widzisz?

Zobaczył datę: 8 lipca. Wuhlheide.

– Jaki szczegół! – powiedział Finn. – Niezwykłe!

Rouge pociągnęła go za rękę.

– Chodź już. Natychmiast!

Gdy wrócili na deptak, odkryli budkę z jedzeniem, z kubelkami pełnymi żółtych i zielonych półstałych kopczyków, które wcześniej widzieli. Szyld głosił: LODY.

– Masz rację! – powiedziała Rouge. – To lody. Wyglądają inaczej niż nasze. Spróbujemy?

– Tak – odrzekł Finn.

Ślinka mu ciekła. Pomyślał, że to niesamowite, iż gra sprawiła nawet to, że ślinił się na widok lodów.

– *Prego* – odezwał się mężczyzna za ladą. Był niski i krągły, miał śniadą cerę i ciemne włosy.

Finn od lat nie zamawiał jedzenia u żywego człowieka. Ostatni raz, gdy był chłopcem, na Fire Island. Ale teraz nawet tamtejsi sprzedawcy i kelnerzy byli w pełni zautomatyzowani.

– Dobrze, proszę pana – powiedział Finn, bardzo starając się być uprzejmym. – Z przyjemnością skosztowalibyśmy lodów.

Mężczyzna spojrzał na Finna, jakby miał do czynienia z obłąkanym memoklonem z domu opieki.

– Jasne – powiedział. – Nikt wam nie broni. – Uśmiechnął się szeroko. – *Turista?*

– Tak – potwierdziła Rouge. – Tak, zgadza się. Jesteśmy turystami.

– Skąd jesteście? – zapytał lodziarz z obcym akcentem.

Nie zaczęli rozmowy sami, prawda? Finnowi wolno było odpowiedzieć.

– Z kontynentu Ameryka Północna.

Mężczyzna spojrzał na niego podejrzliwie.

– Ma pan na myśli Stany Zjednoczone?

– Tak, tak, oczywiście – rzekł Finn, zrozumiawszy swój błąd.

– Ach, Ameryka. Mam tam kuzyna. W Chicago – powiedział sprzedawca. – Zna pan Chicago? Strasznie tam wieje.

– Finn – odezwała się Rouge. – Naprawdę musimy się pospieszyć. – Spojrzała na mężczyznę. – Wiśniowe.

– *Signorina*, spieszy się pani? Przecież jest pani na wakacjach!

Rouge rzuciła mu jedno ze swoich zabójczych spojrzeń.

– Ile gałek? – zapytał, tym razem bardzo rzeczowo.

– Tylko jedną – odparła.

– A pan, *signore*? – zwrócił się do Finna, podając rozek jego przyjaciółce.

– Jedną gałkę. Czekoladową – powiedział Finn, gdy Rouge ruszyła w kierunku szaletu miejskiego.

Mężczyzna podał Finnowi lody.

Finn oblizał je dookoła jednym ruchem języka.

– Pyszne – oznajmił.

– Finn – zawołała Rouge. – Chodź już!

– Lepiej pan się pospieszy. – Lodziarz się roześmiał. – Albo spóźni się pan na samolot do domu.

Finn podziękował mu i ruszył za Rouge. Przed sobą w oddali zobaczył mężczyznę z metalowym koszem i plastikowym kubkiem, zmierzającego w ich stronę.

– *Signore!* – zawołał za nim lodziarz. – *Signore!*

Finn się odwrócił.

– Nie tak szybko! Nie wiem, jak to jest w tej waszej Ameryce Północnej, ale mnie płacą za moje lody! Trzy euro, *per favore!*

– Och, *scusi* – powiedział Finn, a jego twarz z pewnością zrobiła się tak czerwona jak wiśniowe lody Rouge.

Jak mógł zapomnieć, że serwis bankowy mózgołacza nie działa w grze? Wręczył mężczyźnie banknot o nominale pięciuset euro, który miał w kieszeni.

– Nie ma pan drobniej? – zapytał mężczyzna.

– Nie. Przykro mi.

– *Mamma mia!* – Sprzedawca zaczął grzebać w kasetce, przeklinając pod nosem.

Finn czekał cierpliwie, ale Rouge podbiegła do niego.

– Finn, naprawdę musimy już iść!

W jej głosie usłyszał zaniepokojenie, którego nie znał. Odwrócił się, aby odejść, ale mężczyzna w zimowym płaszczu zagroził mu przejście.

– Ma pan jakieś drobne? – zapytał i podsunął kubek.

– Prędko! – powiedziała Rouge i odciągnęła Finna.

– *Signore!* – zawołał lodziarz, wymachując plikiem banknotów. – Pańska reszta! Pańska reszta!

– Proszę ją dać temu człowiekowi! – rzucił Finn, wskazując na mężczyznę z brodą. – Niech pan jemu da te pieniądze!

Kiedy Rouge wepchnęła Finna do szaletu miejskiego, a drzwi zaczęły się za nimi zamykać, dobiegło ich wołanie brodatego nieznajomego:

– Dziękuję! Bardzo panu dziękuję! Nigdy pana nie zapomnę! Do końca życia!

Jednak dopiero kiedy Finn trafił do tunelu i oślepiła go eksplozja jaskrawych barw, a potem płynął, leciał, spadał w próżnię i „chwile przed”, aż w końcu jakoś wylądował z powrotem w 2264 roku w instytucie, dotarło do niego, że dalej nie wie, co właściwie sprzedawał brodaty nieznajomy. To musiał być rzeczywiście jakiś błąd w grze.

Science fiction dla kochanków

Finn rozsiadł się wygodnie przy panoramicznym oknie z książką w ręce i czekał na śnieg, który miał spaść o 16.22.

Wcześniej tego dnia jeździł na nartach. Pogoda była idealna, zgodna z tym, czego oczekiwano od grudniowych dni w Alpach. Miękki jak puch śnieg był dziewiczo biały, słońce świeciło tak jasno, że niemal oślepiało, a wraz z upływem dnia niebo ciemniało i przybrało w końcu tak intensywny odcień błękitu, że Finnowi skojarzyło się z koloryzowanym niebem z pocztówek z kolekcji dwudziestowiecznych rękopisów w Górze Lodowej. Najbardziej podobał mu się zjazd na nartach przez sosnowy las, w którym panowała taka cisza, że słyszał tylko świst nart, chrzęst kijków, tu i ówdzie trzask gałązek łamiących się pod ciężarem śniegu i stłumiony szmer strumienia obok, płynącego pod cienką warstwą lodu.

Po lunchu Finn został w pokoju i po raz piąty czytał jedną ze swoich ulubionych książek, epicką opowieść o dorastaniu z 2199 roku, *Bongo na rzece Kuango* Arnauda Djatenga. Takie książki jak ta, wydrukowane specjalnie dla niego, były jednym z nielicznych luksusów, na które sobie pozwalał. (Narty były drugim). Tę dostał w prezencie od rodziców na szesnaste urodziny. Przeczytał ją na ekranie mózgołacza i tak bardzo mu się spodobała, że zapragnął poczuć ją w dłoniach. Rodzice zamówili książkę u Raoula Aaronsona. Raoul, wówczas dwudziestoletni, właśnie skończył sześciotygodniowy staż w sklepie z pamiątkami u Leśnych. Uczył się fachu drukarza u swojego ojca, od podstaw: od pracy drwała, przez renowację książek, ich sprzedaż w sklepie, aż po produkcję.

Finn znał Raoula niemal od urodzenia. Na coroczną wycieczkę do Sternwood Forest, kanadyjskiej kolonii Leśnych, Artu Nordstrom zabierał też Finna i Mannu i zostawiał ich u Lilly i Marty'ego Aaronsonów. Raoul był ich synem. Chłopcy spędzali razem całe dnie, nierozłączni. Gdy byli mali, bawili się razem. Gdy podrośli, chodzili na spacer, pływali w jednym z okolicznych jezior, oglądali celuloidy i flirtowali z dziewczętami z kolonii. Raoul, którego przodkowie pochodzili z Austrii, płynnie czytał i mówił po niemiecku, tak jak młodzi Nordstromowie. To właśnie tu Finn i Mannu słyszeli mieszkańców, którzy używali archaicznej pierwszej osoby liczby pojedynczej. Leśni używali zaimków „ja”, „mnie” i „mój”, a chłopcy Nordstromów oswoili się z ich brzmieniem, choć oczywiście nigdy nie ulegli pokusie, aby ich użyć.



Finn usłyszał świst wiatru za oknem. Niebo miało teraz pudrowobłękitny odcień, przetykany pomarańczowym i czerwonym jedwabiem. Pomyślał, że lada chwila pojawi się górską łuna i spadnie śnieg. Jego prababka ze strony matki, Lola, mawiała, że śnieg, który widziała w Górach Skalistych, gdy była małą dziewczynką, był delikatniejszy od tego, który padał zgodnie z planem World Weather Works. „Trzech rzeczy nie da się okiełznać – rzekła kiedyś do niego i Mannu. – Dzikiego konia, dziecka uczącego się chodzić i pogody”. Prababka Lola wiedziała jednak, że nie może powstrzymać postępu. Większość kataklizmów naturalnych odeszła w przeszłość – i to była dobra strona tego

medalu. Istniało oczywiście wiele regionów, gdzie nie trzeba było manipulować pogodą, lecz ośrodki turystyczne, takie jak Alpy, pozostawały pod stałą kontrolą w określonych miesiącach roku. Urlopowiczów uwodzono słońcem w ciągu dnia, a śniegiem wieczorem, chociaż w taki dzień jak ten, podczas zimowego przesilenia, specjalną atrakcją był śnieg o zachodzie słońca. Czyli o 16.22.

W gęstniejącej ciemności zobaczył wracającą ze stoku rodzinę: matkę, ojca i dwie córki. Dobiegło go ich ledwo słyszalne wesołe trajkotanie. „Gorąca czekolada!”, powiedziała starsza dziewczynka. „Z bitą śmietaną!”, dodała młodsza, podskakując i klaszcząc w dłonie. Biegała, śmiejąc się, wokół rodziców i siostry, aż w końcu ojciec podniósł ją i posadził sobie na ramionach.

Finn poczuł ucisk w gardle. Minęły prawie cztery miesiące, ale ból powrócił. Przełknął ślinę – musiał to powtórzyć kilka razy – i skupił się znów na książce, którą trzymał w dłoniach.

Doszedł do wniosku, że ilustracje Djatenga, śmiałe pomarańczowe i turkusowe pociągnięcia, ożywały na papierze i były bardziej świecące niż na ekranie mózgołacza. Raoul Aaronson i jego ojciec, drukarz Marty Aaronson, spisali się znakomicie. Najbardziej podobała mu się okładka. Litery i antylopa bongo unosząca się na powierzchni rzeki zostały wytłoczone. Przesunął palcami po tłoczeniu, które połaskotało go w opuszki.

Otworzył książkę. Pocieszała go świadomość, że Mannu i Lulu, a nawet jego przyjaciółka z dzieciństwa i pierwsza partnerka seksualna, Majida, kartkowali te same strony. Byli teraz częścią tej książki. Miała ona swoją historię, której nie mógł mieć żaden dokument mózgołacza. Otworzył na stronie czterdziestej siódmej, na której widniała plama od szklanki ze spicerem. To było w tej zwariowanej pekińskiej kawiarni niedaleko akademika, kiedy Mannu go odwiedził i się upił... Były tam też podkreślenia i uwagi Lulu. I na tej stronie. I na tamtej. Trzy lata wcześniej pojechał w odwiedziny do domu i dowiedział się, że zaznaczyła swoje ulubione fragmenty żółtym markerem ze skrzynki z przyborami matki. Niepomniernie się wtedy rozgniewał. „Oszpeciałaś ją!”, krzyczał, wyjątkowo ważny we własnym mniemaniu, na trzynastoletnią Lulu, czym doprowadził ją do płaczu. Powinien bardziej się kontrolować. Było nie było, teraz dobrze się czuł, wiedząc, że siostrze podobała się ta książka, a nawet uznał, że żółte podkreślenia znajdowały się we właściwych miejscach.

Finn zauważył nagłą zmianę na dworze; wszystko ucichło, jak wtedy, gdy dyrygent unosi pałeczkę, a widownia przestaje się wiercić, czekając na pierwsze dźwięki orkiestry. Podniósł wzrok, a chwilę później luna rozświetliła szczyt góry przejmująco pięknym różowym blaskiem.

Zaczął padać śnieg, początkowo powoli, drobnymi płatkami, spływającymi w dół jak piórka. Lecz wkrótce zrobiły się większe, spadały szybciej i gęściej. Zbierało się na burzę. Obserwował wirujący spektakl przez minutę lub dwie, a następnie odłożył książkę na pamiętnik Eliany i powieść Jane Austen, otulił się kocem i zamknął oczy...



Gdy się obudził, na dworze było ciemno. Burza śnieżna ustała, a krajobraz był oświetlony aksamitnym błękitem. Drzewa i krzewy zmieniły się w upiorne, bezkształtne postacie, ciężkie od śniegu. Na zewnątrz usłyszał skrobanie łopaty. To złota rączka hotelu, Henning-BAY-ELM-Schl23, odśnieżał ścieżkę.

Finn podniósł dłoń, aby włączyć światło, ale przypomniał sobie, że nie zsynchronizował mózgołacza z serwisem hotelowym, więc musiał ręcznie pstryknąć lampkę do czytania.

Otworzył pamiętnik Eliany.

Tydzień po ukończeniu pierwszego poziomu gry *Projekt Czas*, po przyjsciu do pracy ujrzał na swoim biurku nowy pamiętnik. Otrzymał wiadomość od doktora doktora Rirkrita Sriwanichpooma, w której dyrektor zwięzle wyjaśniał, że próbna gra na poziomie drugim została zaplanowana na pierwszy tydzień nowego roku, może wcześniej. Musieli najpierw zintegrować z grą dane otrzymane z doświadczeń jego i Rouge z pierwszego poziomu. Dalej pytał, czy wobec tego Finn mógłby tymczasem kontynuować pracę nad pamiętnikiem z Bodden. Finn uznał, że to dosyć niekonwencjonalne podejście, ale z drugiej strony nigdy przedtem nie testował gier i nie znał procedur ewaluacji. I oczywiście z przyjemnością wrócił do pracy nad pamiętnikiem Eliany.

Drugi pamiętnik był, zgodnie z marzeniem dziewczynki, oprawiony w delikatną, choć lekko podniszczoną cielecą skórę w kolorze wina i zamykany na skórzany pasek. Był elegancki, lecz stonowany, zupełnie nie przypominał pierwszego dziewczęcego pamiętnika. Zrobiony był z doskonałej jakości bezkwasowego, niechłonnącego atramentu grubego papieru i z łatwością można było stwierdzić, że lubiła w nim pisać. Jej pismo nabrało charakteru, wyglądało bardziej dorośle i mniej nieśmiało. A odkąd zaczęła podpisywać się imieniem „Eliana”, od połowy grudnia 2003 roku, Finn poczuł, że stała się zrównoważoną młodą damą, ponieważ jej podpis był zaskakująco prosty, bez dziwacznych pętelek i kwiatków, które czasem można było znaleźć w dokumentach z tamtego okresu. Zrezygnowała też z większości uśmiechniętych buziek i serduszek. Szkoda, ponieważ trochę się do nich przyzwyczyił.

Przed rozpoczęciem pracy nad tłumaczeniem, teraz już prawie ukończonym, Finn trzy razy przeczytał pamiętnik w poszukiwaniu wskazówek dotyczących nazwiska i pochodzenia jej rodziny, lecz nie znalazł zbyt wielu informacji, które pomogłyby mu w rozwiązaniu zagadki, nawet imion rodziców dziewczynki.

Miał nadzieję, że Renko znajdzie w archiwach akt urodzenia Eliany, z 22 maja 1990 roku. Imię „Eliana” nie było niespotykane, lecz z pewnością w tamtym okresie na tyle rzadkie, że znalazłby wpis bez nazwiska, na podstawie daty i nazwy miasta. Wielka Pożoga zniszczyła jednak tak wiele dokumentów, że było to praktycznie niemożliwe. Finn szukał nawet nazwiska jednej ze szkolnych koleżanek siostry Eliany – niejkiej Vivi Lindenberg, która dręczyła Madeline. Z poszukiwań nic nie wynikło, lecz ten wpis należał do ulubionych fragmentów Finna, a gdyby musiał powiedzieć, kiedy po raz pierwszy poczuł więź z tą dziewczynką, wskazałby właśnie to miejsce.

Środa, 17 września 2003

Poszłam do pokoju Madeline po korektor Super Sheriff, bo nie mogłam go znaleźć, a byłam pewna, że to ona go zabrała, bo zawsze to robi i nigdy nie oddaje, a to naprawdę mnie wkurza, bo jest mój, więc wbiegłam do jej pokoju bez pukania, a ona leżała na łóżku i płakała. Nie mogłam w to uwierzyć! Madeline nigdy nie płacze. Ta wesola, śliczna, zabawna Madeline, którą wszyscy kochają. Nawet ja ją kocham! Zrobiło mi się przykro, gdy zobaczyłam, jak tak płacze. W końcu jest moją siostrą i tak dalej, a ona mi powiedziała, że ta dziewczyna ze szkoły, ta wielka klucha, Vivi Lindenberg, poszturchiwała ją na wuefie, dręczyła i ona (Vivi) schowała jej (Madeline) trampki w śmietniku, a kiedy Madeline w końcu je znalazła, Vivi założyła jej (Madeline) kosz na głowę i wszystkie dziewczyny z klasy Vivi się śmiały, a Vivi powiedziała, że

jeśli ona (Madeline) na nią nakabluje, to ona i jej starszy brat Kevin spuszcza jej lanie. Znam Kevina, jest w mojej klasie i wydaje mu się, że jest fajny, i jest większy ode mnie, ma prawie dwa metry (!), ale mnie to nie obchodzi, bo poradzę sobie z nim i z Vivi i obronię Madeline, i to jej powiedziałam (Madeline). A to na pewno poprawiło jej humor. Ale chodzi o to, że Madeline musi wiedzieć, że ona też poradzi sobie z Vivi, więc muszę sprawić, żeby stała się twardsza. Ale nie powiem jej, że to robię. Sama musi do tego dojść. Dlatego tylko obiecałam jej, że już nikt nie będzie jej dręczył. I dałam jej chusteczkę, żeby wytarła oczy i pozbyła się glutów spod nosa, i humor jej się poprawił. Wtedy nawrzeszczałam na nią o korektor Super Sheriff i jak ona śmie brać go bez pytania i gdzie on do cholery jest? A wtedy ona wstała i wyrzuciła mnie z pokoju. Tak po prostu. I to ma być wdzięczność?

Finn uśmiechnął się szeroko. Ta dziewczynka posiadała rozwinięty zmysł ironii. Miał nadzieję, że po tym pamiętniku będzie mógł czytać inne jej teksty.

Tak wiele chciał się dowiedzieć – zwłaszcza co się dalej stało z nią i niejakim Teichgräberem, który pojawił się w jej życiu jakoś w 2004 roku. Alexander Landuris, który wbił jej kostki w plecy w dniu jej trzynastych urodzin, dawno zniknął. Podobnie jak Ben, który jak jej się kiedyś wydawało, bardzo się jej podobał. Teraz na tapecie był Moritz Teichgräber (którego niestety nie dało się odnaleźć).

23 marca 2004

Koncert z okazji pierwszego dnia wiosny wypadł bardzo dobrze. Wszyscy tak uważają. Herr Petersen powiedział, że byliśmy najlepszą orkiestrą kameralną ósmoklasistów, jaką dyrygował – bardzo dziękuję. Kiedy po raz pierwszy wręczył nam nuty, nikt nie przypuszczał, że kiedykolwiek nam się uda. W końcu to Vivaldi, a nie „Stary MacDonald”. Ale dobrze wyszło! To było ekscytujące, gdy wszyscy graliśmy razem, starając się słyszeć innych i być częścią całości. Najlepsze jednak było to, kiedy później Moritz Teichgräber podszedł i powiedział mi, że podobał mu się mój występ. Przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć. Prawie odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy nie mówi do kogoś innego. Jest taki popularny. I o rok starszy ode mnie. Właśnie skończył piętnaście lat. Ja skończę czternaście w maju. Tak czy inaczej, trochę się zagubiłam w jego oczach. Są bardzo ciemne. Wygląda trochę jak Robbie Williams, tylko młodszy. Zapytałam go, czy wybiera się na imprezę do Joyi w sobotę, bo wiedziałam, że go zaprosiła, a on odpowiedział, że postara się, ale nie jest pewny. Och, proszę! Żeby tylko przyszedł na imprezę Joyi. Jest taki cudowny!!!!!!

Określenie „cudowny” zbiło Finna z pantałyku. Nigdy wcześniej nie spotkał się z tym, aby ktoś tak powiedział o chłopcu lub mężczyźnie. Zanotował, żeby sprawdzić słowo w Cyklopie i dowiedzieć się, jak jego znaczenie ewoluowało przez stulecia.

Niedziela, 28 marca 2004

Moritz nie przyszedł wczoraj wieczorem na imprezę do Joyi. Ale był na niej Victor, jego najlepszy kumpel, który powiedział, że Moritz pojechał do Poczdamu na zjazd pływacki i dlatego go nie ma. Johanna powiedziała, że powinnam się cieszyć, że był na zjeździe pływackim, a nie na randce z kimś innym. Ale teraz nie zobaczę go przez jakieś trzy tygodnie, a kto wie, co się może wydarzyć przez trzy tygodnie. W poniedziałek jego klasa jedzie na cały tydzień do Londynu, a potem mamy dwa tygodnie przerwy wielkanocnej. (Mówiłam wam, że jedziemy do Omy Uschi, a potem w odwiedziny do kuzynki Miriam do Frankfurtu?). Johanna przyznała, że trzy tygodnie to dużo czasu, ale nie powinnam się martwić, bo zaprosi go na imprezę 23 kwietnia i wtedy będę mogła jeszcze raz spróbować. Znając moje szczęście, będzie miał wtedy kolejny zjazd pływacki. Albo, co gorsza, zdąży się zakochać w kimś innym.

Finn roześmiał się w głos. Znowu ta ironia, pomyślał. Ironia u tak młodej osoby była czymś

nietypowym. A nawet niezwykłym. I zachwycającym... A może większość młodych ludzi była ironiczna w dwudziestym pierwszym wieku? Może ironia jest czymś, co dzisiaj dłużej się rozwija?

Środa, 11 kwietnia 2004

W końcu dziś widziałam Moritza w szkole podczas przerwy obiadowej, ale tylko przez sekundę, bo powiedział, że musi iść do pracowni matematycznej, ponieważ w czwartek ma sprawdzian. Zapytał mnie, czy wybieram się na imprezę do Johanny w sobotę, a ja odparłam: „Przecież jest moją najlepszą przyjaciółką, co nie?”. On się roześmiał i powiedział: „Chyba mogę przyjść, tak mi się wydaje”. A ja powiedziałam: „Super”, a on powiedział: „Ładnie pachniesz”, a ja powiedziałam: „Naprawdę?”. A on wtedy pochylił się i wetknął nos w powietrze i powąchał je, i powiedział: „Mmm”, a ja powiedziałam: „Nieskończoność”, a on powiedział: „Co?”. A ja powiedziałam: „To moje perfumy. Nieskończoność”, a on powiedział: „Muszę już iść”, a ja powiedziałam: „To cześć”.

Chyba się zakochałam.

Finn zamknął pamiętnik. Wydaje jej się, że się zakochała? O co chodzi z tą miłością? Co miłość ma tu do rzeczy?

Wstał, zaparzył sobie duży kubek mocnej herbaty, usiadł, upił łyk, potem jeszcze jeden, wyjrzał na chwilę na zewnątrz, zobaczył, że znów zaczął padać śnieg, upił kolejny łyk herbaty, otworzył pamiętnik, zamknął go, wstał, wyciągnął z komody podróżną kosmetyczkę, a z niej małą cienką fiolkę. Usiadł znów na sofie, ostrożnie otworzył fiolkę i powąchał płyn o barwie koniaku... Nieskończoność... Ten smarkacz Moritz Teichgräber o niczym nie miał pojęcia. Perfumy były bardziej niż „ładne”. Były absolutnie... nie do odparcia... Woń wieczności.

Finn wąchał fiolkę przez kolejną minutę lub dwie, następnie zatkał ją, schował do kosmetyczki i dopił herbatę. Rozsiadł się wygodnie na sofie i otworzył pamiętnik na ostatnich dwóch stronach. Pismo było drobniutkie, litery stłoczone. Eliana zapewne od początku wiedziała, że tego dnia będzie miała dużo do opowiedzenia, i czuła się w obowiązku zmieścić to na ostatnich dwóch pustych stronach pamiętnika. Jeszcze nie przetłumaczył tego fragmentu. Zachował go na ostatek, ale nie tylko dlatego, że znajdował się na końcu czy był trudny do odczytania. Był też najtrudniejszy do przetłumaczenia pod względem emocjonalnym. To całe podekscytowanie, pomyślał. Te wszystkie obietnice.

Sobota, 24 kwietnia 2004

Moritz przyszedł wczoraj wieczorem na imprezę do Johanny. Oto co się wydarzyło.

Najpierw jakby ignorowaliśmy się nawzajem. Rozmawiał z chłopakami, a ja z koleżankami. Ale kiedy siedziałam w ciemnoczerwonym fotelu, usiadł obok mnie. Byliśmy ściśnięci, nasze uda się stykały i tak dalej, ponieważ fotel jest tak naprawdę przeznaczony dla jednej osoby. Rozmawialiśmy, głównie o niczym szczególnym, na przykład o Londynie i o tym, co robiliśmy podczas przerwy świątecznej, i tak dalej, kiedy starszy brat Johanny, David, który bawił się w DJ-a, puścił piosenkę Kelly Clarkson „A Moment Like This”. Uwielbiam tę piosenkę, więc powiedziałam: „Och, uwielbiam tę piosenkę”, a wtedy Moritz zapytał, czy mam ochotę zatańczyć. Zaczęłam chichotać, ponieważ nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej tańczyła wolny taniec z chłopakiem. Chyba uznał, że mój chichot oznacza „tak”, bo wziął mnie za rękę. Moja dłoń była cała spocona i trochę się zawstydziałam, ale pomyślałam, że może on też ma spoconą dłoń, i okazało się, że tak było, więc nie miało to znaczenia. Prawą ręką objął mnie w tali, a ja położyłam lewą dłoń na jego ramieniu i zaczęliśmy tańczyć. I zanim się zorientowałam, tańczyliśmy bardzo, bardzo blisko i wiedziałam, że serce bije mi bardzo szybko, ale jego też, i dziwnie było wiedzieć, że dwa serca biją tak szybko tak blisko siebie. A wtedy on coś do mnie powiedział, ale nie

usłyszałam co, i przyciągnął mnie bliżej i szepnął mi do ucha. Poczulałam na uchu jego gorący oddech, ale mile gorący, ekscytująco gorący. Moje ucho chyba nigdy nie czuło nic tak gorącego i ekscytującego jak jego usta. „Nieskończoność, tak?”, powiedział i musnął ustami moją szyję. A ja dostałam gęsiej skórki, na całym ciele, nie tylko na szyi. I powiedziałam: „Uhm. Oma Uschi dała mi je w zeszłym roku na urodziny”, a on odparł: „Masz fajną babcię”, a ja powiedziałam: „No”, a Kelly Clarkson śpiewała: „Nie mogę uwierzyć, że mi się to przydarzyło”, a ja też nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje, bo on mnie pocałował.

W skali od jednego do dziesięciu, gdzie dziesięć oznacza „zabójczo cudowny”, a jeden „już nigdy, przenigdy”, dałabym temu pocałunkowi może sześć i pół. Po pierwsze, Moritz jakby rzucił się na mnie, kiedy mnie całował, a ja prawie straciłam równowagę. A sam pocałunek był nieporadny. Jakby było w nim za dużo śliny, za dużo języka, za dużo zębów objających się o zęby i za silny smak piwa, które pił. Trochę się więc rozczarowałam. Właściwie bardzo się rozczarowałam. Później powiedziałam o tym Johannii, a ona powiedziała: „Szkoda, bo jest naprawdę cudowny”, a ja powiedziałam: „Powinnam się domyślić. Czego można się spodziewać po kimś, kto nazywa się Moritz Teichgräber?”.

Wystarczy. Teraz muszę się skupić na zdobyciu nowego pamiętnika, bo ten się prawie skończył, a poza tym muszę kupić prezent urodzinowy dla Roberta. Za chwilę idziemy na zakupy. Madeline i ja spotykamy się z Mamą na targu, gdzie ona spotyka się ze swoimi przyjaciółkami, Kobietami w Czerni, i w każdą sobotę pije z nimi latte. Poważnie. Nigdy nie widziałam ich ubranych w inne kolory! Czerń, czerń, czerń i czasem odrobina szarości.

Nieważne. Mama idzie ze mną i Madeline do Dusenhuber, żeby poszukać czegoś dla Roberta. Mama mówi, że powinniśmy wspierać małe księgarnie, a nie te wielkie sieciówki, które monopolizują rynek, ale ja powiedziałam, że Dusenhuber ma przyjemne skórzane sofy, na których można się wyciągnąć i czytać. „I mają też latte!”, powiedziałam. „Wspaniale”, powiedziała Mama i przewróciła oczami. „A do tego – powiedziałam – mają dział science fiction”. Chociaż muszę przyznać, że nie wyobrażam sobie, jak Robert czyta to wszystko. Samo spojrzenie na okładki przyprawia mnie o dreszcze. Zwłaszcza amerykańskich książek, a właśnie te najczęściej czyta Robert. Na wszystkich okładkach są napakowani faceci w opiętych koszulkach, którzy albo celują z broni, albo wymachują mieczami, a w tle zawsze coś wybucha. A jeśli na okładce jest już jakaś kobieta, to półnaga i z wielkim biustem, który zawsze wylewa się ze średniowiecznej kolczugi-gorsetu.

Finn nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Miała rację! Widział takie książki. Mieli kilka egzemplarzy w Górze Lodowej i w Nowej Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie. Istotnie, nie przedstawiały żadnej wartości artystycznej. I zwykle nie ukazywały też trafnie przyszłości.

Kolejna rzecz, której nie rozumiem: dlaczego na tych wszystkich książkach są średniowieczne symbole, skoro akcja dzieje się w przyszłości? Miecze i zbroje, i kolczugi. I dlaczego muszą być takie wojownicze? Zapytałam kiedyś Roberta, dlaczego tak jest. A on odpowiedział: „Bo science fiction jest dla facetów, a faceci lubią walkę”. To pewnie prawda. „Ale to nie fair – powiedziałam – bo nie miałabym nic przeciwko temu, żeby poczytać o przyszłości i różnych naukowych rzeczach. Ale kto chce czytać o wojnie i grach wojennych, i statkach kosmicznych, i potworach z kosmosu porywających ziemskie kobiety?”. A Robert powiedział: „Mówisz tak, bo jesteś dziewczyną”. Cóż, myślę, że powieść science fiction o miłości byłaby fajna. Robert mnie wyśmiał i powiedział: „Spróbuj. Napisz ją. Zobaczysz, czy ktoś ją przeczyta”. Może tak zrobię. Zatytułuję ją „Science fiction dla kochanków”, albo jakoś tak.

Tymczasem musimy znaleźć prezent dla Roberta. Powiedział, że chciałby dostać jakieś książki science fiction albo filmy science fiction do swojej kolekcji filmów, na przykład „Terminatora” czy „Odyseję kosmiczną: 2001”, więc pomyślałam, że kupię mu „Dziennik Bridget Jones” i „Notting Hill”.

Co przypomniało mi o tym, że w końcu zaczęłam czytać tę książkę, którą Mama dała mi na trzynaste urodziny – „Dumę i uprzedzenie”. Zdziwiłam się, gdy się okazało, że naprawdę mi się podoba! Uwielbiam Elizabeth Bennet i pana Darcy’ego. Mam tylko nadzieję, że będą razem.

*Powiedziałam do Mamy: „Jeśli się nie zejda na końcu, nie chcę jej czytać!”, a Mama powiedziała: „Przeczytaj!”.
Powiedziała mi, że BBC wyprodukowało sześcioczęściowy serial na podstawie książki i że można go dostać na DVD. Może właśnie to powinnam kupić Robertowi na urodziny!*

Pac! Coś uderzyło o szybę. Finn podniósł wzrok. Kolejne pacnięcie! Śnieżka.

Podszedł do okna. Gruby płaszcz śniegu przykrył niskie żywopłoty. Za nimi stał Renko i Gao Dongsheng-Johnson, jego nowa przyjaciółka. Udawali, że grają na nosie, i pokazywali mu języki jak durne dzieciaki. Finn sięgnął po pilota i otworzył okno.

– Wiadomość z ostatniej chwili! – zawołał Renko. – O...

– O dziewiątej odlatuje prom do Monachium! – przerwała mu Gao.

– Pomyśleliśmy, że zjemy obiad tu, w hotelu – ciągnął Renko – a potem sprawdzimy ten nowy klub Dates and Mates w Monachium.

Finn się zawahał. Wolałby zostać, poczytać i potłumaczyć, wstać wcześniej i...

– Och, Finnkins, nie waż się odmówić! – powiedziała Gao.



Gao zauważyła pamiątnik Eliany leżący na sofie.

– Jeśli nie pójdziesz z nami, Finnie Nordstromie, będziemy wiedzieli, że jakaś nastolatka, która nie żyje co najmniej od dwustu lat, jest dla ciebie ważniejsza niż...

– Niż co? – rzucił jej wyzwanie Finn z szerokim uśmiechem.

– Niż picie z nami! – powiedział Renko.

Finn się roześmiał.

– Jeśli tak to ująć, odpowiedź może być tylko jedna. – Zapiął kardigan, bo przy otwartym oknie był lodowaty ziąb.

– Ups, but mi się rozwiązał – powiedział Renko, schylając się za żywopłotem.

– I jak brzmi odpowiedź? – spytała Gao, kokieteryjnie przekrzywiając głowę.

Ponieważ była blondynką, na pierwszy rzut oka wyglądała na Europejkę. Ale po uważniejszym przyjrzeniu się można było dostrzec, że miała gęste, proste, lśniące włosy jak wielu Chińczyków. Także jej wysokie kości policzkowe, prosty nos i migdałowe oczy zdradzały azjatyckie pochodzenie.

– No i jak? – zapytała Gao z wielkim uśmiechem. – Idziesz?

Finn cieszył się, że Renko znalazł sobie przyjaciółkę. Gao była urocza i zabawna, chociaż czasami aż za bardzo. Kipiała entuzjazmem jak te zawadiackie hostessy na corocznych zjazdach tłumaczy. Ale hostessy latami uczyły się tej sztuki – to była ich praca. Ta młoda kobieta natomiast pewnie przedawkowała JollyBeans albo jedną z innych syntetycznych pigułek, które większość studentów zażywała po to, by dłużej i wydajniej pracować. Niektórzy oczywiście po prostu mieli nadmiar energii albo wysoki poziom testosteronu czy inne dysfunkcje wiążące się z wrogością – przeważnie starsi chłopcy i młodzi mężczyźni przed trzydziestką. Przepisywano im różne lekarstwa: kojące balsamy i pigułki na otwartość.

Finn był jedną z nielicznych osób w tym wieku, które praktycznie nic nie zażywały – oprócz spicera, raz na jakiś czas, i zingów oraz sporadycznie FunTab, które Renko dostawał od znajomego swojego znajomego z Kolumbii na kontynencie południowoamerykańskim.



– Jak brzmi twoja odpowiedź? – spytała znów Gao, słicznie się uśmiechając. – Idziesz czy nie?

– No cóż... – zaczął.

Renko poderwał się i... ziuuu! Cisnął w Finna śnieżką. Trafiła go w prawe ramię.

– Ałć! – zawołał Finn i rzucił się po pilota do okien. Za późno. Ziuuu! Kolejna śnieżka, tym razem od Gao, uderzyła go w kark. – Ał.

Renko znów wycelował.

Finn ze śmiechem podniósł ręce w geście poddania się.

– Dobra! Dobra! Umowa stoi! Jedziemy do Monachium!



Finn zasnął, czytając *Dumę i uprzedzenie*. Rzadko drzemał z książką w dłoni, ale czytał tekst Jane Austen na mózgołęczu i z jakiegoś powodu nie mógł powiększyć czcionki. Odcyfrowywanie małych literek było męczące, co w połączeniu z odurzającym alpejskim powietrzem, szalonymi tańcami w klubie Dates and Mates, morzem alkoholu i ogólną lekką nudą wieczoru nie pomagało w zachowaniu przytomności. Ale wiele godzin później, kiedy Finn obudził się i zobaczył kolejny przesadnie słoneczny poranek i błękitne niebo, mógł dokończyć lekturę powieści.

Czytał tę książkę przed laty, w szkole, na zajęciach z klasyki angielskiej, obok Szekspira, Karola Dickensa, J.K. Rowling i Oscara Wilde'a. Wówczas uznał, że jest nieco frywolną, błahą bajeczką z początku dziewiętnastego wieku, ale teraz przyszło mu do głowy, że mogła powstać jako satyra na romantyczną miłość i małżeństwo. Powieść miała ironiczny ton, którego taka młoda i niedoświadczona dziewczynka jak Eliana jeszcze nie potrafiła dostrzec. Pewnie zakochała się po uszy w przystojnym panu Darcym i miała nadzieję, że tak jak bohaterka książki, panna Elizabeth Bennet, znajdzie kiedyś prawdziwą miłość i dziesięć tysięcy funtów rocznie – bądź ich równowartość w euro.

Prawdziwa miłość. Co za głupota. A mimo to... Jakże intrygująca. Czy przebojowa, bystra młoda dama, taka jak panna Elizabeth Bennet, naprawdę mogłaby wyrzeć tak druzgocący wpływ na zrównoważonego, racjonalnego, pragmatycznego mężczyznę, takiego jak...

Ping! Migająca ikona powiadomienia wyrwała go z rozmyślań. Była to wiadomość od doktora doktora Rirkrita Sriwanichpooma. Poziom drugi jest gotowy. Czas wracać do Berlina.

Jak się robi balony

Finn wciąż nie potrafił zrozumieć, dlaczego w grze muszą nosić tematyczne kostiumy, lecz tym razem przynajmniej czuł się swobodnie w uszytych dla niego ubraniach. On i Rouge wybrali styl „konserwatywny, nieoficjalny, wygodny”, chociaż Finn nie mógł sobie wyobrazić, że nie będzie odstawał od otoczenia w skórzanej kurtce z wszytymi na ramionach poduszkami, która sprawiała, że wyglądał jak amerykański futbolista z połowy dwudziestego wieku. Nugatowe bawełniane spodnie z zakładkami z przodu były za to luźne i wygodne. Na szczęście nie opadały i nie odsłaniały bielizny. I dobrze, bo tym razem dali mu bardzo dziwne slipy, upstrzone tuzinem wydatnych czerwonych ust i napisami: „Kiss me!”.

– Czy na twojej bieliźnie też jest wszędzie „Kiss me”? – zapytał Rouge.

– Na szczęście nie.

– To dobrze.

– Ale za to mam napis „Eat Organic” – oznajmiła Rouge z uśmiechem.

Finn zastanawiał się nad sensem tego napisu, czekając, aż profesor Grossmann w sali obok uruchomi grę.

W skórzanej patchworkowej kurtce Rouge też przypominała futbolistę – co było dosyć niezręczne – ale poza tym, zdaniem Finna, wyglądała ponętnie w krótkiej, obcisłej czarnej spódniczce. Nie rozumiał wprawdzie, jak ktokolwiek mógł uznać tak krótką spódniczkę za konserwatywny strój, nie mówiąc już o wygodzie, ale jeśli Rouge to nie przeszkadzało, on też nie miał nic przeciwko temu.

Finn i Rouge wysłuchali instrukcji i dowiedzieli się, czego mogą się spodziewać na drugim poziomie. Wiele tygodni wcześniej Finn przystał na rok 2004 jako datę wyjściową. Tym razem punktem startowym miał być inny szalec miejski w Berlinie, oddalony mniej więcej o dwadzieścia minut spacerem od wyjścia z poprzedniego poziomu. Finnowi polecono kupić mapę, a potem znaleźć drogę do Wilmersdorfer Straße, deptaka handlowego w Charlottenburgu, który odwiedzili na pierwszym poziomie. On i Rouge mieli kupić coś do jedzenia, przynajmniej trzy razy nawiązać z kimś rozmowę i poznać dwie osoby przed opuszczeniem gry, co miało nastąpić w szalecie miejskim z poziomu pierwszego. Na to wszystko były dwie godziny.

– Gotowi? – zapytał przez głośnik profesor Grossmann.

W studiu zapadła ciemność. Zanim Finn się zorientował, został wessany z powrotem do gry
W poszukiwaniu straconego czasu.



Pierwszą myślą Finna była ta, że trafili do ruchliwej części miasta. Nawet zamknięty w czterech ścianach szaletu miejskiego słyszał dźwięki pojazdów silnikowych: trąbienie klaksonów, pisk hamulców, wycie syren, warkot i pryhanie silników. Gdy wyszedł na zewnątrz i uwolnił się od ohydnej woni moczu, poczuł zapach spalin paliwa kopalnego – ropy naftowej. A może ten chemiczny smród pochodził od czegoś innego? Był wszędzie. Zemdliło go i miał nadzieję, że nie zwymiotuje.

Odwrócił się plecami do ulicy i głęboko odetchnął. Na szczęście wiosnę czuje się w powietrzu, pomyślał, wdychając słodki świeży zapach. Chociaż było chłodno i mżyło, zauważył, że drzewa zielenią się młodymi liśćmi. Miał nadzieję na ciepły wiosenny dzień w maju lub czerwcu, lecz było zdecydowanie wcześniej.

– Mamy parasol – powiedziała Rouge. Jej dłoń zanurkowała w torbie i wyłoniła się z jedną z tych składanych staroświeckich parasolek z metalowymi drutami. – *Voilà!* – rzekła i nacisnęła przycisk. Ale nic się nie wydarzyło. Nacisnęła ponownie. Dalej nic. – Ojej – westchnęła. – W instytucie jeszcze działała.

Podczas gdy Rouge gmerała przy mechanizmie parasolki, Finn chłonał otoczenie, znów zachwycony precyzją gry i jej zapierającym dech w piersiach autentyzmem. Jego oczy przeskakiwały z restauracji na kawiarnię, z butiku na bar. I te samochody! I piętrowe autobusy! Widział je już wcześniej na niezliczonych zdjęciach, celuloidach, nagraniach wideo i w grach, ale tu wszystkie wydawały się takie realne. Czy to były prawdziwe sklepy? Czy tylko atrapy, jak na starych planach filmowych? Jaki świat by się otworzył, gdyby wszedł do tamtego sklepu z napisem „Gucci” albo kawiarni noszącej nazwę – kto by pomyślał! – „Einstein”? I tylu pędzących dokądś ludzi ich mijało. Czy zostali zaprogramowani z indywidualnymi potrzebami i pragnieniami, upodobaniami i niechęciami? Pomyślał, że chciałby ze wszystkimi zamienić słowo; ciekawiło go, czy każda z tych rozmów byłaby inna. A jeśli tak, w jaki sposób twórcom gry udało się osiągnąć taki poziom złożoności? Był skołowany z podekscytowania, tak bardzo pragnął się tego dowiedzieć.

– Ten gracz chciałby nawiązać rozmowę – odezwał się Finn.

– Wszystko po kolei – odparła Rouge. – Najpierw mapa. – W końcu udało jej się otworzyć parasolkę, chociaż dwa pręty były teraz wygięte w drugą stronę, a jeden niebezpiecznie wystawał, gotów wydłubać komuś oko. Wyjrzała spod parasolki i wskazała na niewielki sklepik pośrodku chodnika. – Myślisz, że mają tam mapy? – zapytała.

– Kiosk! – powiedział Finn.

Na tyłach szaletu miejskiego – a może to był front? – na stojaku wyłożono magazyny i gazety, a drewniane tablice reklamowały lody i butelkowane napoje. Finn mógłby na całe dwie godziny zostać tutaj, w tym właśnie miejscu, i nie ruszyć się o centymetr – tak bardzo ekscytowały go te wszystkie detale. W sklepiku było wszystko, od czekolady, komiksów i gumy do żucia – Hubby Bubby! – przez niemieckie flagi, misie w koszulkach z napisem „Berlin”, po mapy. Finn spojrzał na wybór gazet – i otworzył usta ze zdziwienia.

– A to dopiero! – wykrzyknął.

– Co się stało? – zapytała Rouge.

– Zobacz tę datę. – Wskazał na gazetę. – Dwudziesty czwarty kwietnia dwa tysiące czwartego!

Rouge patrzyła na niego bez słowa, nie wiedząc, o co mu chodzi.

– To data ostatniego wpisu w pamiętniku Eliany! Ma się spotkać z matką na targu, a potem pójść do księgarni po prezent urodzinowy dla brata. Niezły zbieg okoliczności, co nie?

Roześmiała się.

– Spędzasz za dużo czasu nad tym pamiętnikiem. Trzymajmy się, proszę, wytycznych. Profesor Grossmann na nas liczy. Potrzebna nam mapa. – Wskazała w kierunku kiosku. – Pójdiesz po nią?

Niemiecki nie jest mocną stroną tej kobiety.

– I co z tego? Przecież to tylko gra.

Rouge potrząsnęła głową.

– To byłaby strata czasu.

– Jak sobie życzysz.

Wzruszył ramionami i podszedł do kiosku. W okienku siedziała ze znudzoną miną kobieta koło pięćdziesiątki.

– Tak? – zapytała.

– Ten podróżnik chciałby kupić mapę – powiedział Finn.

Mówił powoli i wyraźnie, zadowolony ze swoich starań.

Kioskarka popatrzyła na niego i wychyliła się nad ladą, jakby szukała czegoś, co było poza zasięgiem jej wzroku.

– Jaki podróżnik? – zapytała.

– Ten podróżnik.

Zmrużyła oczy.

Finn się zaczerwienił.

– Och, najmocniej przepraszam – powiedział, gdy zrozumiał swój błąd. – Ten mężczyzna miał na myśli... chciał powiedzieć... Ja... – Przerwał na chwilę, odchrząknął, zebrał myśli. Czuł się jak uczeń wywołany nagle do tablicy, który nie zna odpowiedzi na pytanie. Tak niepokojące było dla niego używanie pierwszej osoby liczby pojedynczej. – To znaczy chciałbym...

– Chce pan mapę? – zapytała kobieta z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Tak – skapitulował.

– Jaką? Mapę Berlina? Mapę metra? Mapę Niemiec? Czy nocnych autobusów?

– Ten kupujący... To znaczy tak, poproszę. Chciałbym kupić mapę Berlina. Plan miasta.

Sięgnęła na półkę, zdjęła mapę i plasnęła nią o ladę.

– Mam tylko takie. – Finn zauważył, że wyglądała jak książka i tak się też otwierała. – To wszystko?

Wzrok Finna padł na stojak z gumami do żucia.

– Nie, ten kupujący... och... Poproszę Hubbę Bubbę.

– Jaki smak? – zapytała kioskarka i czytnikiem nabiła mapę na kasę.

– Smak? – powtórzył Finn.

Westchnęła.

– Czerwoną czy żółtą?

Finn był lekko zdezorientowany. Poza tym to były kolory, nie smaki.

– Może... czerwoną?

– Może? Czy na pewno?

– Tak, poproszę. Dziękuję.

Zeskanowała gumę i położyła ją na ladzie.

– Razem siedem euro i trzydzieści centów.

Finn wyciągnął portfel, zapłacił kioskarcie i wrócił do stojącej na rogu Rouge.

– Jesteśmy teraz właścicielami mapy Berlina – oznajmił, z dumą wręczając przyjaciółce zakup, niczym pies myśliwski, który rzuca martwego ptaka u stóp swego pana. – Panie i panowie, z radością przedstawiamy państwu, werble, proszę! – powiedział, naśladowując dźwięk bębnow – paczkę Hubby Bubby! – Pokazał Rouge gumę.

– Och – rzekła i wzięła ją do ręki.

Obejrzała opakowanie, przeczytała skład, powąchała, zmarszczyła nos i oddała ją Finnowi.

On też powąchał gumę. Miała chemiczny, niezbyt zachęcający słodki zapach.

– Otworzymy? – zapytał i w tej samej chwili po prawej stronie głośno zatrafił samochód. Finn rozejrzał się po zatłoczonym skrzyżowaniu. – Gdzie jesteśmy?

– Stoimy na rogu Kurfürstendamm i Schlüterstraße – odparła. – Co to właściwie jest ta guma balonowa?

Finn wzruszył ramionami.

– To coś słodkiego. Można ją żuć i robić z niej balony. Eliana dostała ją na urodziny od koleżanki. Może powinniśmy ją otworzyć później? Po lunchu? Na deser? – Finn schował gumę do kieszeni kurtki na piersi i otworzył plan miasta.

Czasem w pracy miał do czynienia z mapami. Pomyślał, że gdzieś w środku powinien się znajdować indeks ulic, oczywiście jeśli *Projekt Czas* był dopracowany w najdrobniejszym szczególe.

Nie mylił się. Na końcu był indeks.

Finn znalazł bulwar „Kurfürstendamm”, lecz miał problem z rozpracowaniem mechanizmu mapy. Składała się jak akordeon, prostopadle i poziomo. Można ją było czytać jak książkę, przewracając strony wzdłuż osi wschód–zachód, albo pociągnąć strony w dół i przejść do osi północ–południe. W indeksie sprawdził, że Kurfürstendamm znajdowała się w pozycji KL11, lecz KL leżało dokładnie na przecięciu dwóch stron, więc niełatwo było odczytać tę sekcję. Finn musiał składać i rozkładać mapę do góry i do dołu, aby znaleźć Kurfürstendamm, a potem w poprzek, ale nie mógł znaleźć 11, więc przewrócił dwie kartki, a wtedy mapa przypadkiem się rozłożyła i wszystkie strony otworzyły się naraz. W kwietniowej mżawce dziesięć minut zajęło Finnowi i Rouge złożenie jej z powrotem we właściwy sposób. Już mieli wyrzucić tę przeklętą mapę, gdy nagle Finn zauważył znajomą nazwę ulicy. Zszokowany podniósł wzrok.

– Kantstraße! – powiedział. – Tu jest Kantstraße! I to całkiem niedaleko! Tylko kilka przecznic stąd. – Pokazał Rouge długą ulicę, która przecinała na pół zachodnią część miasta. – Musimy tam pójść!

Kantstraße nie była ładna. Po obu stronach ulicy bez drzew stały w rzędzie szare i zmęczone budynki mieszkalne. Ale okolica okazała się ruchliwa, z małymi sklepikami ściśniętymi jeden obok drugiego wzdłuż chodnika, i można było tu wiele zobaczyć: chińską restaurację z wiszącymi w oknach martwymi kaczkami, wypożyczalnię filmów wideo z dosłownie tysiącami celuloidów na dyskach i studio pielęgnacji paznokci, gdzie przyklejano kobietom nowe paznokcie.

– Dziwne – skwitowała Rouge.

Finn zdumiał się na widok gmachu, w którym w jego czasach mieściło się Muzeum Pojazdów na ulicy KFZ. Okazało się, że KFZ dawniej nosiła nazwę Kantstraße. A może to był błąd? Będzie

musiał to sprawdzić.

Gmach był ciemny i wilgotny, cały w graffiti. Na parterze mieścił się warsztat samochodowy i stacja benzynowa, na górze zaś wielopoziomowy garaż. Finn zastanawiał się, czy ten charakterystyczny budynek, jeden z niewielu w Charlottenburgu, które przetrwały Mroczną Zimę, rzeczywiście tak wyglądał w 2004 roku.

Lecz najbardziej zdumiewającym odkryciem Finna, gdy zmierzali Kantstraße do deptaka handlowego i punktu wyjścia, okazał się sklep z azjatyckimi towarami: były tam wietnamskie lampiony, kambodżańskie kapcie, orientalna biżuteria, błyskotki z Hongkongu, japońskie kimona, chińskie jedwabne torby i sakiewki. Sklep był wypełniony po brzegi, przedmioty wyłożono także na chodniku, rozrzucone na stołach i na ulicy, jak na targu w prowincji chińskiej. Pośród tego radosnego bałaganu Finn ze zdumieniem dostrzegł taką samą torebkę, jaką Eliana dostała w prezencie na trzynaste urodziny: różowo-niebiesko-czerwoną, z wyhaftowanymi na niej pagodami i kwiatami wiśni.

Właśnie tam, w chwili gdy jego wzrok padł na haftowaną torebkę, Finn zrozumiał, jak działa gra *W poszukiwaniu straconego czasu*: jego myśli były najwyraźniej paliwem napędzającym grę, jak we śnie, gdy podświadomość śniącego wywołuje obrazy i tworzy z nich historie. Jego wyobraźnia stworzyła torebkę, Kantstraße, gumę do żucia, a nawet tę datę tego dnia – 24 kwietnia 2004 roku!

Ale jak to było możliwe, że Rouge doświadczała tego samego co on? Ona też widziała torebkę, gumę i ulicę.

Były to zdumiewające odkrycia, ale Finn szybko o nich zapomniał, ponieważ jego uwagę przykuła witryna sklepowa z pomocami ortopedycznymi, silikonowymi wkładkami do biustonoszy i protezami. Dla Finna i Rouge, którzy znali tylko naturalne części ciała wyhodowane z komórek macierzystych, drewniane protezy w witrynie wyglądały jak niezgrabne kończyny gigantycznej marionetki, a nie ludzkie ręce czy nogi. Gapili się na nie, aż usłyszeli dźwięk katarynki. Przed nimi, na następnym rogu, stał katarzyniarz i kręcił korbką instrumentu. Za nim słychać było zgiełk ulicznego targu.

Finn i Rouge skręcili w boczną uliczkę i podążyli za muzyką. Na rogu przed kawiarnią siedzieli ludzie, schowani przed kwietniową mżawką pod wielkimi parasolami.

– Trzy kawy latte i espresso – powiedziała kelnerka do czterech kobiet ubranych od stóp do głów w czerń, z ciemnoczerwonymi szminkami na ustach, w czarnych butach, z podekscytowaniem trajkoczących jedna przez drugą. Finn poczuł, jak wywraca mu się żołądek. Czyżby jego umysł stworzył i tę scenę? Czy Eliana nie wspomniała w swoim pamiętniku, że jej mama spotykała się na latte z przyjaciółkami, „Kobietami w Czerni”, w kawiarni na targu? Finn nie wiedział, czy gra jest coraz bardziej intrygująca, czy też coraz bardziej przerażająca. Przyszło mu do głowy, że w ciągu następnej godziny w pewnej chwili może nawet wymyślić Elianę. Ale jak dotąd nie minęła ich żadna dziewczynka w tym wieku – na szczęście! Naprawdę nie chciał spotkać Eliany, którą stworzył jego umysł. Była w porządku taka, jaka była: jako literacki głos trzynasto- i czternastolatki sprzed dwustu pięćdziesięciu lat.

Finn i Rouge minęli katarzyniarza. Grał *Dla Elizy* Beethovena, melodię, którą matka Finna często pogwizdywała podczas pracy. Niespiesznym krokiem weszli w jedną z alejek targu. Rouge przystanęła, aby obejrzeć kwiaty.

– Zastanawiałaś się, jak działa ta gra? – zapytał Finn.

Rouge podniosła wzrok i spojrzała na niego zdezorientowana.

– Nie, a dlaczego pytasz?

– Ten gracz podejrzewa, że gra korzysta z umysłu gracza numer jeden, budując i kształtując zdarzenia i ludzi z jego myśli. Istnieje stała struktura gry, ale podświadomość głównego gracza ją ubarwia.

– Brzmi to bardzo zawile.

– Doświadczyliśmy bardzo wielu zbiegów okoliczności. Każda zdrowa na umyśle osoba by to zauważyła. Ten historyk właśnie przetłumaczył fragment pamiętnika, którego akcja dzieje się dwudziestego czwartego kwietnia dwa tysiące czwartego roku, i abrakadabra!, to dzisiejsza data. A Eliana wspomniała w swoim pamiętniku o gumie Hubba Bubba. I guma się pojawiła. I Kantstraße. I to, że jej matka ze swoimi przyjaciółkami noszą czarne ubrania i siedzą przez całe popołudnie w kawiarni, popijając latte. I oto są. – Wskazał na kawiarnię po drugiej stronie ulicy.

– Ale widzimy też bardzo wiele rzeczy, o których Eliana nie wspomina, prawda?

– Tak. Ale to już prawdopodobnie są elementy struktury gry. Albo są zagrzebane głęboko w podświadomości tego mężczyzny i teraz stają się częścią gry.

Rouge patrzyła na niego bez słowa.

– Uważasz, że plotę banialuki?

– Możliwe. Ale najpierw bądź tak miły i wyjaśnij mi, co to znaczy.

Finn się uśmiechnął.

– Historia tego zwrotu sięga jeszcze czasów baroku... Ale powiem ci w skrócie. Wywodzi się z pewnej zakręconej historii o królownie Banialuce. Mówi się tak, gdy ktoś wygaduje głupstwa.

– Dzięki. Po powrocie do domu zostanie to dodane do osobistego słownika w mózgołacu tej uczennicy – rzekła. – Odpowiedź na twoje pytanie brzmi zatem „tak”. Twoja interpretacja gry to banialuki. – Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, po czym podniosła rękę, splótła palce na jego karku i przyciągnęła go do siebie. – Masz bujną wyobraźnię, Finnie Nordstromie. Ta przyjaciółka za to cię lubi i może dlatego właśnie ciebie wybrali do tej gry. Ale nie daj się ponieść wyobraźni.

Słońce przebijało się przez chmury i świeciło na Rouge, sprawiając, że blada skóra jej twarzy wydawała się niemalże przezroczysta. Rouge uśmiechnęła się do Finna, nie spuszczając z niego oczu. Podniósł dłoń i delikatnie pogładził ją po policzku. Musnął jej usta, a ona pocałowała jego palec. Patrzył, jak jego postać, czarny cień odbijający się w jej zielonych oczach, zbliża się coraz bardziej, gdy pochylił się do niej.

– Hiacynty! – zawołała kwiaciarka za nimi. – Żonkile! Tulipany! Tuzin za dwanaście euro!

Finn i Rouge wybuchnęli śmiechem, odsuwając się od siebie. Czar prysł.

– Poszukajmy czegoś ciepłego na lunch – powiedziała Rouge, zerkając na zegarek. – Za siedemdziesiąt siedem minut mamy być przy wyjściu.

Znalezienie czegoś na ciepło okazało się trudniejsze, niż zakładali. Na targu był szeroki wybór owoców i warzyw, ale większość gorących posiłków była mięsna – kiełbaski, hamburgery i grillowana wieprzowina – a Finn i Rouge nie mieli na nie ochoty, ponieważ jak wielu Europejczyków w tych czasach byli wegetarianami, niekiedy tylko jadającymi ryby. Już mieli

zrezygnować z poszukiwań, kupić pieczywo i ser i wrócić do stoiska, na którym jakaś kobieta dała im spróbować marmolady domowej roboty – „Pięć egzotycznych owoców”, jak ją nazwała – gdy usłyszeli wołanie mężczyzny:

– *Habibi!* Czaj?

Mężczyzna w okularach w drucianej oprawce, o długich kręconych włosach, stał za ladą jasnyniebieskiej budki. Na jej ścianie namalowano żółte litery tworzące napis: HAMMURABI. Pod nim widniał rysunek falafela.

– Dobry pomysł – powiedział Finn. – Kulki z fasoli i świeże warzywa.

Finn zamówił falafel z sosem sezamowym, Rouge z ostrym sosem mango. Oba były smaczne i równie dobre jak te, które do tej pory jedli. Wypili czaj, który dostali gratis, a pod koniec posiłku Finn obiecał właścicielowi o arabskich korzeniach, że wróci na kolejną kanapkę z falafelem, gdy następnym razem przyjdzie na targ.

– Znajomy numer jeden – powiedział zadowolony Finn do Rouge, gdy ruszyli alejką targową w stronę Wilmersdorfer Straße i punktu wyjścia z gry.

Uśmiechnęła się do niego, ale się nie odezwała.

– Coś ty taka markotna? – zapytał Finn. – Żle się czujesz?

– Ależ skąd. Po prostu tyle tu do przeżycia i obejrzenia. Poza tym ta testerka musi zachować czujność. Twoje bezpieczeństwo jest sprawą najwyższej wagi. Ale jedno jest niepokojące. Ta kobieta obserwowała inne kobiety na ulicy i tu na targu. Nikt nie nosi patchworkowych skórzanych kurtek z poduszkami na ramionach. Widziałeś takie kurтки jak nasze?

– Chyba nie.

– Właśnie. Ta testerka przypuszcza, że jesteśmy niemodnie ubrani.

– W takiej chwili myślisz o modzie? – wykrzyknął Finn.

– To może zadziałać na naszą niekorzyść.

– Nonsens! To tylko gra.

– Ale wyjątkowo czuła i potencjalnie niebezpieczna.

Finn miał inne sprawy na głowie. Musiał poznać kolejną osobę.

– Może znowu zobaczymy tego mężczyznę z brodą – powiedział. – Tego z wózkiem z koszem i torbami zakupowymi, który prosił nas o pieniądze. Pamiętasz? Może on zostanie naszym znajomym.

– Może – rzekła w zamyśleniu Rouge.

Szli dalej ulicą, Pestalozzistraße, a gdy dotarli do szaletu miejskiego na deptaku handlowym Wilmersdorferstraße, zostało im pięćdziesiąt pięć minut na rozejrzenie się po okolicy i poznanie kolejnej osoby.

Finn spojrzał na południe w kierunku Kantstraße, następnie na północ, w stronę Goethestraße. Mnich buddyjski znów śpiewał i uderzał w gong, lecz Finn pomyślał, że nie powinien przerywać mu medytacji tylko po to, żeby go poznać.

– Zniknął plac budowy – zauważyła Rouge. – Tam.

Finn i Rouge skierowali się w stronę Goethestraße, gdzie stał teraz nowy budynek, a jego pięciopiętrowa fasada zrobiona była ze szkła. W środku mieścił się przestronny salon optyczny, a obok niego, gdzie przelewał się ciągły strumień kupujących, była...

– Księgarnia! – wykrzyknął Finn.

I wtedy dostrzegł nazwę sklepu napisaną dużymi literami, krzyczącymi do niego z góry: DUSENHUBER.



Finn nigdy nie wyobrażał sobie takiej księgarni. W szkole uczyli się, że na przełomie tysiącleci książki straciły znaczenie. Tu zaś było wielu kupujących. I tyle książek. Wszędzie. Stały na regałach, leżały w stosach na stołach, w witrynach, przy kasach. Przcenione książki. Bestsellery. Książki na prezent. W twardej oprawie. W miękkiej. Tanie wydania. Albumy ze zdjęciami. Książki podróżnicze. Książki kucharskie. Ruchome schody wiozły kupujących coraz wyżej i wyżej, do kolejnych i kolejnych. A jednak w sklepie nie było czuć zapachu wilgoci, kurzu i pleśni, który Finn znał z bibliotek. Pachniało zupełnie inaczej, jak... jak co? Pachniało... nowym papierem. Tak. Pachniało nowością. Czystością. Dziewiczo. Jak księgarnie, do których zaglądał raz do roku z ojcem i Mannu w Kanadzie, w kolonii Sternwood Forest. Było...

Myśli Finna się urwały. A to co? Nagle poczuł jakąś inną woń. Zapach...

Odwrócił się gwałtownie. Na ruchomych schodach stopień za nim stał mężczyzna z niemowlęciem w chuście na piersi. Nie, to nie on. Woń płynęła z góry. Finn wszedł po schodach, przecisnął się obok Rouge i podążył za zapachem. Tak. Tutaj. Pachniało jak...

Szybko przebiegł wzrokiem po pierwszym górnym poziomie księgarni. Była to duża sala. Miała może sześćset metrów kwadratowych.

– Finn? – zapytała Rouge. – Wszystko w porządku?

On jednak ledwie ją usłyszał. Szedł za zapachem. Zapachem... perfum. Nieskończoność.

Minął stojak z powieściami, z thrillerami, kolejny z klasyką, jeden z literaturą kobiecą, kolejne z...

Była tam.

Stała tylko o kilka metrów od niego, przy regale pełnym anglojęzycznych książek. Wyglądała inaczej, niż się spodziewał, a zapach był teraz bardzo słaby, ale nie miało to znaczenia.

Podszedł do niej od tyłu.

Poczuła jego obecność i obejrzała się.

Kobieta miała może pięćdziesiąt lat, a przynajmniej tak wyobrażał sobie osobę pięćdziesięcioletnią w 2004 roku. Patrzyła na niego pięknymi brązowymi oczami, jej ciemne włosy były proste i lśniące, ostrzyżone na boba. Miała na sobie grubą czarną wełnianą pelerynę spiętą dużą srebrną broszką. Czarną wełnianą spódnicę. Czarne buty. Na jej ramieniu wisiała duża czarna skórzana torba. W jednej dłoni trzymała elegancką parasolkę, w drugiej książkę. Zauważył, że miała długie i wypielęgowane paznokcie. Uśmiechnęła się do niego.

– Niezbyt duży wybór, prawda? – powiedziała. – Ale chyba coś z tym zrobią, jeśli więcej osób będzie chciało kupować anglojęzyczne książki. Otworzyli tę księgarnię dopiero dwa tygodnie temu.

Finn nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Kiwał tylko głową i wdychał zapach Nieskończoności, który wydawał się unosić nad jej peleryną. Tak. To na pewno była Nieskończoność.

Kobieta odwróciła się do regału i przeglądała książki. Finn poszedł w jej ślady. Wiedział, że Rouge stoi obok niego, z lewej strony. Tak w ciszy minęła minuta. Nagle kobieta potrząsnęła głową

i wykrzyknęła:

– Co za nudny wybór! Tylko thrillery i babskie czytadła. I trochę klasyki. – Spojrzała na Finna i Rouge. – Chociaż to znalazłam. Nigdy tego nie czytałam. – Pokazała im książkę, którą trzymała w dłoni: *Zabić drozda*. – Znacie?

– Tak – odrzekł Finn, zachwycony, że może twierdząco odpowiedzieć na jej pytanie. – Tak! Ten czytelnik właściwie całkiem dobrze ją zna.

Spojrzała na niego. Zmrużyła oczy, ale na jej ustach błąkał się cień uśmiechu.

Finn zrozumiał, że użył trzeciej osoby.

– Tak – powtórzył zdenerwowany, zły na siebie. – Czytałem ją. Wiele lat temu, ale...

– Mamo? Ach, tu jesteś! – zawołał jakiś głos.

Był to młody głos.

Uroczy.

Głos nastolatki. Dziewczynki.

– No naprawdę! – powiedziała. – Wszędzie cię szukałyśmy!

Finn wiedział, kto to jest, jeszcze zanim spojrzał.

Odwrócił się i zobaczył ją.

Była szczupła. Ani wysoka, ani niska. Jej długie lśniące blond włosy były zebrane w gęsty falujący koński ogon. Wysunęło się z niego kilka niesfornych kosmyków, które łaskotały jej czoło i policzki, poruszając się lekko jak jedwabne nici na delikatnym wietrze. To ona była źródłem zapachu perfum. Oczywiście. Nieskończoność. Zakręciło mu się w głowie.

– Ćśś – powiedziała kobieta. – Strasznie krzyczysz.

– To nie biblioteka, mamó – odparła dziewczynka.

Kilka metrów za nią pojawiła się druga dziewczynka, zarumieniona po biegu. Najwyraźniej była to młodsza siostra tamtej, bardzo ładna, ale nie tak charyzmatyczna.

– Elli – zawołała. – Mam! Znalazłam. Tutaj! – Trzymała w górze dwie płyty DVD.

Elli. Eliana. To była ona. A raczej jej wizja.

– Mówiłam ci, żebyś nie nazywała mnie Elli – fuknęła na nią starsza dziewczynka. – Nie podoba mi się to.

– Przepraszam, Elli – powiedziała młodsza. Teatralnie przewróciła oczami. – Ups.

Starsza pacnęła ją delikatnie w głowę, podkreślając gest słowem: „Bam!”. Widać było, że wcale się nie złości.

Młodsza dziewczynka zachichotała.

– Doskonała robota, Sherlocku – pochwaliła siostrę Eliana, przyglądając się płytom DVD.

– Mogę? – Kobieta wzięła je i zerknęła na tytuły.

– W porządku? – zapytała młodsza.

– Czy o to prosił Robert? – upewniła się matka.

Robert, pomyślał Finn. Starszy brat.

– Tak! – potwierdziła mała.

Kobieta zauważyła, że Eliana trzyma w dłoni książkę. Była gruba i oprawiona w płótno w poziome paski o różnej szerokości, w mocnych kolorach: turkusowym, różowym, żółtym, pomarańczowym

i zielonym.

– Co to jest? – zainteresowała się kobieta.

– Nic takiego – odparła Eliana.

Wzruszyła ramionami i przełożyła książkę do drugiej ręki, z dala od ciekawskiego wzroku matki.

– No to zapłaćmy. – Kobieta zwróciła się do Finna i Rouge, nie zapomniała o nich. – *Ciao* – rzekła, odchodząc.

Eliana nagle zauważyła Finna i spojrzała na niego. Jej oczy – tak intensywnie ciemne – omiotły jego twarz. Stał bez ruchu, sparaliżowany. Niepokojący był widok kogoś o tak cudownie jasnych włosach i zarazem tak czarnych oczach.

– Eliana? Idziesz? – zapytała matka.

Położyła dłoń na ramieniu dziewczynki i skierowała ją we właściwą stronę, rzuciwszy Finnowi spojrzenie mówiące: „Ech, ta moja rozmarzona córka”.

Gdy cała trójka pomaszerowała do kasy, Finn usłyszał jeszcze pytanie młodszej dziewczynki:

– Kupisz mi na górze mleczny koktajl? W kawiarni?

– Ja chcę latte – powiedziała Eliana.

– Jesteś za młoda – odparła jej matka.

Znalazły się poza zasięgiem jego słuchu.

Finn zorientował się, że wstrzymuje oddech.

I uświadomił sobie, że Rouge stoi obok.

– To było mocne – powiedziała.

– A teraz mi wierzysz? – rzucił w odpowiedzi.



Finn nie mógł się skupić na książkach. Przez kilka minut udawał, że je przegląda, ale w końcu przestał stwarzać pozory.

– Może my też pójdziemy na górę i napijemy się czegoś – zasugerował. – Ten gracz umiera z ciekawości, co wymyśli, gdy znów je spotka.

– Ja też jestem ciekawa – rzekła Rouge.

Pojechali ruchomymi schodami na górę.

– Może powinniśmy powiedzieć profesorowi Grossmannowi o twoich podejrzeniach? – zastanawiała się Rouge. – Może coś w tym jest.

– Musimy, nie sądzisz? To nasza praca, prawda? Mamy im opowiedzieć o swoich doświadczeniach w tej grze.

Na najwyższym piętrze podążyli za znakami prowadzącymi do kawiarni znajdującej się za częścią sklepu z kalendarzami ściennymi na rok 2004 – na wyprzedazy. Wszystkie stoliki w przedniej części kawiarni były zajęte – nigdzie nie widzieli kobiety i jej córek. Po drugiej stronie lady stało więcej stolików, ale widok zasłaniała im lodówka i półki. Finn miał nadzieję, że cała trójka tam siedzi i że obok będzie wolny stolik. Poszczyliło mu się w obu przypadkach.



Finn i Rouge usiedli przy jedynym wolnym stoliku, obok kobiety z księgarni i jej dwóch córek.

– A więc znów się spotykamy – powiedziała kobieta. – Znalazł pan coś do czytania?

– Niestety nie – odparł Finn.

– Nie przepada pan za babskimi czytałkami, co?

Jest w niej coś przyjemnie kpiarskiego, pomyślał Finn.

– Jeszcze nie – odrzekł.

Nie do końca wiedział, czym są „babskie czytała”, ale zapamiętał, żeby to sprawdzić po wyjściu z gry.

– Och, mamó – odezwała się starsza dziewczynka – jesteś taką snobką!

– Eliano! – wykrzyknęła matka i rzuciła Finnowi i Rouge kolejne spojrzenie z serii: „Ach, ta moja córka”. – Gdzie się podziały twoje dobre maniery?

– Pewnie zostawiłam je na dole, w dziale z babskimi czytałkami – odparła Eliana. Teraz zwróciła się do Finna: – Jeśli książka ma mniej niż dwieście lat, nie jest dość dobra dla mojej mamy. Oczywiście to nie znaczy, że nie powinniśmy czytać klasyki.

– Oczywiście – powiedział i pomyślał, że młoda dama, którą stworzyła jego wyobraźnia, jest rozbijająca.

Jej młodsza siostra właśnie dopiła swój koktajl i siorbała słomką z dna szklanki.

– Madeline! – zbeształa ją matka.

Kolejna rzecz, jej imię: Madeline.

Dziewczynka przestała siorbać i spojrzała na Finna.

– Czytam Harry’ego Pottera – oznajmiła. – To klasyka, prawda?

– Stanie się nią – odparł. – Mogę cię zapewnić. Jestem o tym przekonany.

Rouge lekko kopnęła Finna pod stołem.

O co jej chodzi? Przecież to tylko gra.

– Co pan ostatnio czytał? – zapytała Madeline.

– *Dumę i uprzedzenie* – powiedział Finn.

– Naprawdę? – zdziwiła się Eliana, a jej oczy zrobiły się okrągłe z zachwytu. – Właśnie to czytam!

– Wiem – rzekł. – Wiem.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy wpatrywali się w niego. Wszyscy.

Oho, pomyślał Finn. Tym razem przesadził. Błędem było ujawnianie tak wielu informacji. Przez chwilę, może przez pół sekundy, niemal czuł, jakby został zdesynchronizowany i przerzucony znów do początku drugiego poziomu. Czekał na szok po odrzuceniu.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Wszyscy siedzieli na miejscu i wciąż mu się przypatrywali, czekając, co powie dalej.

– Oczywiście, że wiem – powiedział. – Wszystkie inteligentne dziewczęta w twoim wieku czytają Jane Austen.

– Zgadza się – potwierdziła matka.

Finn znów zaczął oddychać.

Eliana chwyciła szklankę matki i napiła się latte.

– Mm.

– Eliana – złażała ją matka – nie pij kawy, bo nie urośniesz.

– Masz gumę do żucia – zauważyła Madeline, wskazując na kieszonkę na piersi Finna.

– Ach, tak – potwierdził. Całkiem o niej zapomniał, ale teraz wyjął ją z kieszeni. – Chcesz?

Wyciągnęła rękę.

– Madeline! – skarciła ją matka. – Nie całą paczkę.

Dziewczynka zrobiła zawstydzoną minę.

– Może jedną, dziękuję – powiedziała, jakby stosując się do manier matki.

Finn odwinął papierek i z opakowania wypadło pięć kawałków.

Dziewczynki się roześmiały.

Podał jedną Madeline.

– Poczęstujesz się? – zapytał Elianę.

– Chętnie, dziękuję. – Wzięła jedną gumę.

Zwrócił się do ich matki.

– Mój Boże, nie! – zawołała kobieta.

Rouge zmarszczyła nos. Podobnie jak większość znanych mu osób francuskiego pochodzenia, była niezłą snobką, jeśli chodziło o jedzenie.

– A ja tak – oznajmił Finn, który czuł, że jest niezwykle dzielny.

Patrzył, jak dziewczynki żują różowe prostokąty i wydychają balony. Zdjął papierek i wrzucił sobie gumę do ust.

Była słodka i cierpka. Właściwie za słodka. I zbyt cierpka. I gumowa, jakby żuł jedną z gumek do wycierania ze skrzynki z przyborami swojej matki. Eliana zachichotała.

– Strasznie kwaśna, prawda?

– Owszem – przyznał, lecz słowo zabrzmiało dziwnie przez to coś, co miał teraz w ustach. Nieporadnie spróbował zrobić balona, ale mu się nie udało. Dziewczynki się roześmiały. – Jak się robi te balony? – zapytał.

– Musisz najpierw przeżuć gumę, aż zrobi się miękka – wyjaśniła Eliana.

Finn zaczął żuć intensywniej.

– Właśnie tak. Musisz ją przeżuć – powiedziała. – Trzeba się pozbyć tych małych kwaśnych kryształków. – Przez chwilę przyglądała się, jak to robi. – Zniknęły?

– Tak. Kwaśna słodycz prawie zniknęła. I kryształki też.

– To dobrze. – Eliana przemieszczała gumę w ustach, próbując znaleźć sposób na wyjaśnienie mu procedury krok po kroku. – Teraz językiem zwiń gumę w kulkę. Przytrzymuj podniebieniem. Dajesz radę?

– Chyba tak – odrzekł ze śmiechem, żując i zwijając gumę. – Tak, chyba mi się udało.

– A teraz przesun tę mięką kulkę tak, żeby znalazła się za zębami. Przednimi zębami, oczywiście. A potem trzeba ją spłaszczyć językiem, o tak. – Otworzyła usta i pokazała mu.

– Faj! – skrzywiła się Madeline.

Eliana nadmuchała balon, który pękł.

– Ups. Zdarza się.

Finn znów się roześmiał.

– Ten żujący nie sądzi, żeby mu się udało.

Eliana i Madeline nagle przestały żuć, przyglądając mu się bez słowa.

– Co powiedziałaś? – zapytała Eliana, chichocząc.

– Ten żujący... – zaczął, ale przerwał i szybko się poprawił. – Powiedziałem, że nie sądzę, żeby mi się udało. – Każde użycie pierwszej osoby było niczym lekki policzek. – Nie sądzę, żebym potrafił robić balony.

– Potrafisz – zapewniła go Eliana. – Musisz tylko przepchnąć język przez ten spłaszczony kawałek, a potem...

Finn przebił gumę językiem.

– No to teraz musisz zacząć od początku – oznajmiła Eliana ze śmiechem.

– A my musimy już iść – rzekła ich matka, postukując w zegarek.

– Dziękuję za lekcję – powiedział Finn. – Obiecuję, że będę ćwiczyć. Ale obawiam się, że na razie mi wystarczy. – Po tych słowach po prostu pozbył się kulki jednym szybkim przełknięciem.

– Och! – wykrzyknęły jednocześnie Eliana, Madeline i ich matka.

– On ją połknął! – zawołała ze zgrozą Madeline.

– Nie powinieneś tego robić – rzekła Eliana.

Jakby zaniepokojona, że teraz ona również połknie swoją gumę, wyjęła ją z ust, zawinęła w paperek i wyrzuciła do popielniczki.

– Nie wiedziałem. – Finn nagle pobladł.

– Och, nie – zmartwiła się Rouge. – Czy to niebezpieczne? – Dotąd milczała, więc jej niepokój wydał się szczególnie przejmujący.

– Och, nic się nie stało – uspokoiła ją matka dziewczynek. – Po prostu niech ci to nie wejdzie w nawyk. – Puściła oko do Finna. – Ale chyba tak się nie stanie. – Dopiła kawę. – Dobra, dziewczynki, czas stąd zmykać. – Zwróciła się do Finna i Rouge: – Fajnie się z wami rozmawiało. – Wstała. – Przyjechaliście do Berlina pozwiedzać?

– Tak – powiedział Finn i także wstał. – Zwiedzamy.

– Jesteśmy na wymianie studenckiej – dodała Rouge. – Z Greifswaldu.

Wymiana studencka? Greifswald? Finn spojrzał na Rouge, ale ona unikała kontaktu wzrokowego i bawiła się popielniczką. Obracała ją palcem i patrzyła, jak zawinięta w paperek guma Eliany obraca się wraz z nią.

Finn popatrzył na Madeline.

– Chcesz te ostatnie dwie gumy?

– Naprawdę? – zapytała.

– Pewnie. Od czego są przyjaciele, jeśli nie od dzielenia się gumą do żucia?

– Dzięki, koleś – powiedziała i wszyscy się roześmiali. Podała mu dłoń. – Miło cię było poznać. Madeline.

– Finn – rzekł. Podał rękę matce dziewczynek, która przedstawiła się jako Angelika, a następnie zwrócił się do Eliany: – Do widzenia...?

– Eliano. – Uśmiechnęła się do niego.

Będzie prawdziwą pięknoscią, pomyślał. A raczej była pięknoscią. A może...? Nieważne. Sytuacja

się komplikowała. Przecież Eliana była tylko wytworem jego wyobraźni.

– Do widzenia... Finn – rzekła Eliana. – Kiedy znów się spotkamy, chcę zobaczyć, jak robisz balony.

– Umowa stoi.

– Obiecujesz? – zapytała Madeline.

Skinął głową i wszyscy pomachali sobie na pożegnanie.

Kiedy dziewczynki i ich mama zniknęły z pola widzenia, Rouge odwróciła się do Finna.

– A zatem – powiedziała z widoczną ulgą – misja wypełniona. Poznałeś kolejną osobę.

– Nawet trzy – uściślił Finn.

Szczęśliwego Nowego Roku!

Finnowi nieprzyjemnie odbiło się gumą do żucia. Profesor Grossmann powiedział, że spodziewali się podobnych reakcji.

– Ale jak to możliwe? – zapytał Finn. – Przecież to była tylko wizja. Gdy wypijemy we śnie kieliszek wina, nie budzimy się na rauszu.

– Potęga sugestii w *Projekcie Czas* to siła, z którą trzeba się liczyć – odparł profesor. – Dlatego zachowanie ostrożności jest sprawą najwyższej wagi. – Mrugnął ojcowsko do Finna i poluzował wypolerowaną spinkę do krawata. Tego dnia założył piękny, elegancki krawat bolo ze spinką z topazem osadzonym w złocie i sznurkami z beżowej skóry, o złotych końcówkach. Z brązowym sztruksowym garniturem tworzył on przyjemną dla oka całość.

Finn podzielił się z profesorem swoimi przemyśleniami na temat gry. Starszy pan uśmiechał się, słuchając jego interpretacji, lecz nie chciał potwierdzić zasadności podejrzeń testera. Finn był zbyt zmęczony, żeby się upierać. Po wyjściu z gry dotarło do niego, jak bardzo wyczerpujący i oszałamiający był jej drugi poziom. Eliana z gry i Eliana z pamiętnika myliły mu się w myślach. A potem zasnął w pokoju do monitoringu podczas badania, które przeprowadzała asystentka profesora Grossmanna, nieśmiała dwudziestoparolatka, Yuka Shihomi. Profesor Grossmann przerwał im i natychmiast wysłał Finna do memolaboratorium na zgranie wspomnień, skąd robotakśówka odwiozła go do domu.

Finn padł na łóżko. Długo spał. Ale kiedy obudził się następnego ranka, nie czuł się wypoczęty, lecz dręczył go głęboki niepokój. Chciał porozmawiać z Rouge, aby pomogła mu uporządkować myśli dotyczące gry, ale była niedostępna. Tuż po zakończeniu poziomu drugiego wyjechała z Jaydeepem Makhijanim do pracy nad jakimś zadaniem. Nie chciał się z nią kontaktować. Bał się, że mogłaby opacznie odczytać jego zachowanie i pomyśleć, że ją podrywa. O mało się nie pocałowali w grze. Zniechęciło go to i tylko pogłębiło niepokój. Dobrze, że tego nie zrobili. Rouge miała w sobie pewien dystans. Tak, to chyba najlepsze określenie dla niej. Zdystansowana. Lecz właśnie ten jej dystans, ów genialny dar krytycznej obserwacji, prawdopodobnie pomógłby mu dotrzeć do źródeł jego niepokojów. Zaczeka do Nowego Roku i wtedy z nią porozmawia – Rirkrit Sriwanichpoom zaprosił ją na tradycyjną imprezę noworoczną w Górze Lodowej.

Następne dwa dni Finn spędził w akademiku. Czytał o księgarni Dusenhuber, szukał informacji o babskich czytadłach i o historii Kantstraße, przetrząsał źródła w poszukiwaniu innych drobiazgów, które znalazł w pamiętniku Eliany, i szlifował niemiecki, słuchając starych nagrań i oglądając celuloidy. Czuł, że jego niemiecki w grze brzmiał nieco topornie, nie tak swobodnie i naturalnie, jak by sobie życzył.

W trakcie tych wszystkich czynności jego myśli wciąż mimowolnie krążyły wokół gry *W poszukiwaniu straconego czasu*. Jaką jej część sam wymyślił? Ile stworzyli jej autorzy? Im więcej o tym rozmyślał, tym bardziej był przekonany, że to wszystko była tylko wizja podobna do snu. To był jedyny logiczny wniosek. Ale jak udało im się wydobyć te wszystkie obrazy z jego

podświadomości, ułożyć je w historię, a następnie przekazać tę wizję Rouge? Wyraźnie widział, że przeżywa jego sen tak samo jak on. Wydawało się to, obok gwarantowanego „pełnego zanurzenia”, prawdziwie nowatorską stroną tej gry.

O tym właśnie rozmyślał w drodze do Greifswaldu w Nowy Rok. Było ciemne i przenikliwie mroźne popołudnie. Kilkuminutowy spacer ze stacji SwiftShuttle do Góry Lodowej był koszmarny, od zimna mocno rozbolały go palce. Znow szwankowały rękawiczki. Będzie musiał zanieść je do solarno-termalnej stacji naprawczej. Kiedy dotarł do biblioteki, zostało mu jeszcze kilka minut do pierwszego noworocznego toastu, więc pomyślał, że rozgrzeje się zingiem.

Gdy znalazł się w swoim gabinecie, wyjął zing i imbir, przyrządził napój, zaczekał, aż się zaparzy, i właśnie miał usiąść, aby odpowiedzieć na kilka wiadomości w mózgołączcu, gdy jego wzrok padł na leżący po drugiej stronie biurka przedmiot. Finn był tak zaskoczony, że nie trafił w krzesło i upadł na podłogę. Pozostał tam dłuższą chwilę. Może kilka minut. Dusił się, słyszał nawet swój ciężki oddech, gdy próbował nabrać powietrza. Miał lepkie od potu dłonie, pokój wirował wokół niego. Zamknął oczy i siedział na podłodze, walcząc z mdłościami, pewny, że to jakiś kawał albo gra ostatnich szarych świateł tego popołudnia, sączących się przez okno. Zaczekał, aż tętno mu się uspokoi, wstał i spojrzał jeszcze raz.

Wciąż tam leżał. Pamiętnik Eliany. Ten, który miała w dłoni w księgarni Dusenhuber.

Był to gruby notatnik, taki sam jak ten, który widział w grze, oprawiony w płótno w poziome paski o różnej szerokości, w mocnych barwach: turkusowe, różowe, żółte, pomarańczowe i zielone, teraz spłowiałe ze starości.

Co to miało znaczyć? W jaki sposób ten notatnik, będący przecież tylko wizją w grze, trafił tutaj? Czy to jakiś żart Rouge? Albo profesora Grossmanna? Czy przeglądali jego wspomnienia? To było surowo zabronione! W jaką grę on, ona, oni, ktokolwiek, grali? A może istniało inne wyjaśnienie?

Drżącymi palcami otworzył notatnik. Tak – to był jej pamiętnik. Zobaczył równe pismo Eliany. Zaczął czytać.

Niedziela, 25 kwietnia 2004

Uwielbiam ten nowy pamiętnik. Papier nie jest wprawdzie tak delikatny i kremowy jak ten w skórzanym pamiętniku od Taty, ale jest grubszy i bardziej błyszczący. Stalówka wiecznego pióra przyjemnie się po nim ślizga. Jakbym jeździła na łyżwach wczesnym rankiem na Eisstadion, zanim przyjdą tłumy, a lód robi się chropowaty. Powierzchnia jest taka gładka i śliska. I uwielbiam dźwięk, który wydają kartki, gdy przewracam je w tę i z powrotem albo gdy drapię po nich paznokciami. Przynęłam pamiętnik do uszu i słuchałam, przewracając strony. Robert mówi, że papier jest moim fetyszem. Musiałam sprawdzić znaczenie tego słowa, a teraz myślę, że owszem, może rzeczywiście papier jest moim fetyszem.

Wczoraj poszliśmy do Dusenhuber po prezent urodzinowy dla Roberta i tam go znalazłam (ten notatnik). Później poszliśmy do kawiarni na górze i wypiliśmy truskawkowe smoothie. I spotkałyśmy tam dwie przedziwne osoby. Studentów na wymianie. Ich niemiecki był taki...

Finn poczuł, jak fala gorąca zalewa całe jego ciało. Zaczął się trząść i nie mógł nad tym zapanować. Kolana mu podskakiwały, jakby żyły własnym życiem. Próbował je przytrzymać dłońmi, ale skurcze mięśni nie ustawały. Usiadł więc i tylko patrzył na swoje nogi, aż w końcu wstał i gwałtownym ruchem otworzył okno. Mroźny powiew wdarł się do gabinetu. Poczul szczypanie na

twarzy. Stał tak przez kilka chwil, wdychając lodowate powietrze, po czym odwrócił się szybko i chwycił pamiętnik.

I spotkałyśmy tam dwie przedziwne osoby. Studentów na wymianie. Ich niemiecki był taki zabawny. Trochę sztuczny i oficjalny. Ona prawie się nie odzywała. Ale była przepiękna, chociaż trochę zimna. Miała takie fantastyczne rude włosy. Jak miedź. I kręcone. On był...

Niemożliwe. To nie może być prawda.

On był dziwny. Miły, naprawdę uroczy, ale strasznie poważny. W dodatku gapił się na mnie przez cały czas. Dobra, nie przez cały czas. Ale strasznie dużo. Pokazałam mu, jak robić balony z gumy, a on połknął gumę! Mama powiedziała...

Finn drżał. Zamknął okno, oparł czoło o szybę ze sztucznego szkła i spojrzał na czerwone dachy Greifswaldu w zapadającym zmierzchu. Nie spał. Tego był pewny. To nie był sen. A on nie był w grze. Musi istnieć racjonalne wyjaśnienie. Musi. To jakiś żart. Bardzo wymyślny żart, ale jednak żart.

*Mama powiedziała, że był uroczy. Nie znoszę, gdy używa tego słowa. Uważa, że skoro pracuje w branży filmowej, wie, co dzisiejsze dziewczyny uważają za urocze. „Uroczy – powiedziała później do Taty – ale jakby z innego świata. Było w nim coś wiecznego. Stara dusza. Jakiś taki smutny. Uduchowiony. I te jego ciuchy. O matko!”. Potem poszła do swojego atelier i wróciła z katalogiem *Quelle* z sezonu wiosna/lato 1992, którym pomaga sobie przy projektowaniu kostiumów do tego wschodnio-zachodniego filmu, przy którym teraz pracuje, a który zaczyna się w 1989 i kończy w 2003 roku. I pokazała nam patchworkową skórzaną kurtkę z poduszkami na ramionach jak stąd do Reykjavíku, a ja nie mogłam w to uwierzyć, ale naprawdę to była ta sama kurtka, którą miała na sobie rudowłosa kobieta. A potem Mama znalazła i jego kurtkę w katalogu! Pilotkę. Też z wypchanymi ramionami. I jego koszulkę polo w paski. Zabawne!*

Później Mama pozwoliła nam, mnie i Madeline, przejrzeć katalog. Nie uwierzylibyście, co tam jest. Naszą ulubioną częścią była męska bielizna. Pękałyśmy ze śmiechu, gdy zobaczyłyśmy męskie slipki z napisami „Kiss me” i wzorem z czerwonymi ustami. To dopiero byłby najlepszy prezent urodzinowy dla Roberta!

Finn zamknął pamiętnik i wyszedł z gabinetu.



Sala bankietowa była, tak jak się spodziewał, zatłoczona. Góra Lodowa słyęła ze swojego noworocznego przyjęcia; zabiegano o zaproszenia, tłumy gości przybywały wcześniej i wychodziły późno. Finn przegapił powitalne słowa Rirkrita Sriwanichpooma; już otwierano butelki, szampan się lał. Rozejrzał się. Niełatwo byłoby znaleźć Rouge wśród setek krążących wokół postaci, lecz Dok-Dok w bieli zawsze przyciągał wzrok. Był pewien, że stoją gdzieś razem. Nie widząc tu ani dyrektora, ani przyjaciółki, przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia: międzynarodowej sali konferencyjnej, którą zmieniono w parkiet do cichego rytmu. Tancerze kołysali się, wirowali i falowali w prawie zupełnej ciszy do noworocznej składanki emitowanej równocześnie na całym świecie w mózgołączach. Ich ciała poruszały się razem niczym olbrzymi jedwabny spadochron wydymający się na wietrze.

– Finnkins! – zawołała Gao.

Tańczyła z Renkiem, który wyciągnął rękę, aby chwycić za połę marynarki mijającego ich szybkim

krokiem Finna, ale nie udało mu się. Nie był pewien, czy przyjaciel w ogóle to zauważył. Finn go widział, ale nie chciał, aby cokolwiek go rozproszyło, nie teraz, ponieważ za salą konferencyjną, na ogrzewanym tarasie, ujrzał oślepiająco białą postać Dok-Doka. Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że dyrektor rozmawia z Rouge, Jaydeepem i profesorem Grossmannem.

Pierwszy zauważył go Jaydeep. Musnął dłonią ramię Rouge, która gwałtownie się odwróciła. Po niej doktor doktor Sriwanichpoom. Na końcu profesor Grossmann. Wtedy Finn podszedł do nich.

– Dzień dobry – powiedział Finn i krótko skinął głową. – Możemy zamienić słówko? – zwrócił się do Rouge.

– Ale my właśnie... – zaczęła, lecz zaraz przerwała.

Finn pomyślał, że musiała wyczytać coś z jego twarzy albo usłyszała coś w jego głosie, ponieważ spojrzała na Jaydeepa, potem na dyrektora i na profesora i rzuciła tylko:

– Porozmawiamy później.



Finn szedł szybkim krokiem przed nią. Rouge podbiegała, żeby za nim nadążyć. Jej przezroczyście szpilki stukwały na twardej posadzce z białego marmuru. Goście odwracali głowy i przyglądali się pędzącej parze. Skąd ten pośpiech?, wydawały się pytać ich oczy.

– Co się stało, Finn? – zapytała Rouge.

Bał się odezwać. Bał się, że głos go zawiedzie. Albo że co gorsza, rozplacze się.

Minęli ciąg pomieszczeń, wjechali Korkociągiem kilka pięter w górę, a po wyjściu przesiedli się do Szklanej Klatki. Wysiedli z niej na piętrze Finna. Otworzył drzwi.

W gabinecie było ciemno. Zapalił światło. Notatnik leżał tam, gdzie go zostawił. Podszedł do biurka i wziął go do ręki. Dłoń mu drżała.

– Wiesz coś o tym? – zapytał.

Rouge milczała. Finn patrzył, jak jej pierś wznosi się i opada. Zaczerpnęła powietrza. I wypuściła je.

Przełknął z trudem, czekając na jej odpowiedź.

– To nie była gra – odezwał się męski głos.

Finn i Rouge spojrzeli na zwieńczone łukiem drzwi.

W progu stał profesor Grossmann.

– Nie grał pan w żadną grę, panie Nordstrom – powiedział. – Podróżował pan w czasie.

Idź za głosem serca

Finn leżał na piasku. Czuł gorące promienie słońca na twarzy. Był to jeden z tych przedziwnych styczniowych dni, które pamiętał z dzieciństwa: nagła, krótka fala wiosennego ciepła wciśnięta w mroźną zimową pogodę. Jego ojciec wracał szybowcem do domu na lunch i urządzali piknik na plaży, zdejmowali skarpetki, zanurzali palce w wodzie i... Aaaa! W powietrzu czuło się ciepło, ale woda była przeraźliwie zimna.

Następnego dnia miał nadciągnąć zimny front, ostre nadbrzeżne wiatry, może nawet śnieg. Usłyszał skrzek mew i przypomniał sobie, jak Lulu się za nimi uganiała. Biegała za wszystkim, co miało skrzydła – tylko po to, żeby zobaczyć, jak wzbija się w niebo. Piszcziała z czystej radości i żałowała, że nie potrafi latać. Cóż za ironia, że zginęła w katastrofie lotniczej – choć kiedy o tym pomyślał, radość, którą kiedyś czuła, już zaczęto jej odbierać. Od szóstego roku życia uczono dzieci powściągliwości; indoktrynowano je, aby przyjęły wyciszoną pragmatyczną postawę, obowiązującą w społeczeństwie, w którym żyły – proces ten zwykle kończył się przed trzydziestym rokiem życia.

Finn usiadł i odwrócił twarz na północ, do zatoki, uciekając od słońca.

Co miał o tym wszystkim myśleć?

On i Rouge nie grali w grę.

Podróżowali w czasie.



– Podróż w czasie? – zawołał Finn. Nadal trzymał w dłoni pamiętnik dziewczynki.

– Zgadza się – potwierdził profesor Grossmann. – Krótko i węzłowato: tak. Podróżował pan w czasie.

– Ale... – Finn opadł na krzesło.

– Tak?

– Ale...

Grossmann i Rouge usiedli naprzeciwko niego.

– Ale... jak to...? – zapytał Finn.

– Pyta pan, jak to działa? – odrzekł profesor.

– To też, ale...

– Nie tak łatwo to...

– Nie. Jak to możliwe?!

– Trudno panu w to uwierzyć?

– Tak!

– To fizyka, panie Nordstrom – rzekł wyraźnie urażony profesor Grossmann. – Bardzo zaawansowana fizyka. Niczego pana nie nauczyli w szkole? Nie uczył się pan o czasoprzestrzeni, o czwartym wymiarze, czarnych dziurach i...

– Tak, ale... – wybełkotał.

– Nie śledzi pan najnowszych wiadomości? Co pana zdaniem, u licha, robimy tu w tym instytucie przez cały czas? – Profesor się roześmiał.

Finn podniósł ręce w geście poddania się.

Rouge tylko siedziała i czekała, aż Finn upora się z myślami siejącymi zamęt w jego głowie. Wiedziała, że to dla niego niełatwa sytuacja.

– Proszę pana – odezwał się wreszcie Finn. – Ten mężczyzna po prostu nigdy by nie przypuszczał, że za jego czasów on...

– On co?

– Sam to robi.

– Jak pan widzi, życie jest pełne niespodzianek.

– Ale... dlaczego...?

– Co: dlaczego? – zapytał profesor Grossmann.

– Dlaczego... – zaczął Finn, ale zrezygnował.

Za dużo tu było znaków zapytania.

– Dlaczego pan? – zapytał życzliwie profesor, starając się intuicyjnie odgadnąć myśli młodego historyka. – Czy to chciałby pan wiedzieć? Dlaczego wybraliśmy właśnie pana?

– Tak! – potwierdził Finn. – Tak! Otóż to! – Jego głos wzbił się o dwie oktawy. – Dlaczego nie kogoś, kto zna się na fizyce? Jak pan. Albo Jaydeep Makhijani. Albo... – Spojrzał na Rouge. – Wiedziałaś o wszystkim, prawda? – Poczul ukłucie gniewu.

Rouge wierciła się nerwowo na krześle i unikała jego spojrzenia.

– To jej praca – powiedział profesor. – Chyba może to pan zrozumieć? Zobowiązała się dochowac tajemnicy. – Uśmiechnął się do Finna. – Pytał pan, dlaczego...

– Dlaczego pan? – odezwał się nosowy głos. – Czy to chce pan wiedzieć?

Spojrzel na drzwi. W progu stał teraz doktor doktor Rirkrit Sriwanichpoom. Trzymał butelkę szampana i cztery kieliszki na wysokich nóżkach.

– Młody człowieku – rzekł, wchodząc do pomieszczenia – zapewne nawet przez chwilę nie uważał pan, że to był tylko kaprys z naszej strony. – Jego głos był tak ostry, tak zimny, że z pewnością mógłby potłuc te kieliszki. – Mieliśmy swoje powody. Po co, u licha, wysyłalibyśmy właśnie pana, gdybyśmy nie musieli? – Rozejrzał się po pokoju. Zmarszczył nos. – Trochę ciasny ten gabinet, prawda? Nie ma stołu konferencyjnego?

Finn patrzył na niego bez słowa.

– Cóż, biurko musi wystarczyć. – Sriwanichpoom położył okulary na blacie. Za jego plecami Finn zobaczył, że właśnie zaczął padać śnieg. – Możemy? – zapytał dyrektor.

Podniósł butelkę i rzucił zebrany promienny uśmiech.

– Zaczekaj chwilę z bąbelkami, Rirkrit, jeśli możesz – powiedział profesor Grossmann. Zwrócił się znów do Finna: – Pyta pan, dlaczego wybraliśmy właśnie pana.

Poluzował krawat, mocując się przez chwilę ze spinką, a Finn pomyślał, że profesor chyba się denerwuje. Dzisiejszy krawat miał sznurki z turkusowej skóry, o srebrnych końcówkach. Być może z jaszczurki, pomyślał Finn. Zdobienie ze srebra było rdzennie amerykańskie, z zawilim motywem. Postać śpiącego wojownika na koniu została wycięta w ciemnoniebieskim lapis-lazuli i umieszczona

na tle z koralowych i turkusowych kamieni, mającym przedstawiać zachód słońca nad brzegiem wody.

– Od pewnego czasu – ciągnął profesor – pracujemy tu w instytucie nad projektem podróżowania w czasie do przeszłości, aby sprawdzić, jak można to wykorzystać na naszą korzyść w teraźniejszości i w przyszłości. Doktor doktor Sriwanichpoom pomagał nam od strony historycznej i jest wtajemniczony w naszą pracę. A *mademoiselle* Moreau napisze rozprawę doktorską na podstawie naszych eksperymentów. Jeśli zgodzi się pan z nami współpracować, będzie prowadzić wywiady z panem, tak jakby sprawozdania po zakończeniu misji. Oczywiście wszyscy w jej opublikowanej pracy pozostaną anonimowi. – Uśmiechnął się do Rouge i przerwał, aby zebrać myśli. – Nasza praca jest oparta na domysłach – podjął. – I niestety, jak w przypadku wszystkich eksperymentów naukowych, napotkaliśmy już pewne komplikacje. Ale ostatnio pojawiła się nadzieja, że nasza hipoteza może się jednak okazać trafna. Aby to zbadać, musieliśmy znaleźć testera z bardzo określonym zestawem kwalifikacji. I wskazano nam pańską osobę, panie Nordstrom.

– A o jakich kwalifikacjach mowa? – Wyjaśnienie profesora zabrzmiało nieco zbyt gładko i Finn poczuł się nieswojo.

Dobry profesor rozluźnił teraz kołnierzyk. Tak, wyraźnie się denerwuje, pomyślał Finn.

– Prowadzimy badania na terenie Berlina i w północnej części Niemiec w latach tuż przed rozpoczęciem się Mrocznej Zimy. Niemcy na początku dwudziestego pierwszego wieku stanowią fascynujący temat badań dla historyków, archeologów, kulturoznawców i naukowców. Ale jak pan dobrze wie, ten temat jest już niemodny. Dziś niewielu naukowców oddaje się badaniom nad Niemcami z przełomu tysiącleci. Pan, panie Nordstrom, należy do garstki akademików, którzy nie tylko rozumieją popularną niemiecką kulturę z tego okresu, ale także mówią w tym języku. Było to niezwykle istotne dla naszego projektu.

– A co z doktorem Beyerem ze Stralsund?

– Wybitny człowiek – powiedział doktor doktor Sriwanichpoom. – Ale niestety młodość była warunkiem koniecznym w przypadku tego projektu. Potrzebowaliśmy kogoś przed trzydziestką.

– A dlaczego nie Rina Stehn czy Chrissi Nowman z Hamburga? – zasugerował Finn.

– Urocze kobiety! – rzekł dyrektor biblioteki. – Ale to było zadanie dla mężczyzny.

– I dodajmy – wtrąciła Rouge – że chodziło o kogoś, kto ma przyjemny wygląd i pewną ogładę.

Finn się zarumienił. Uważał się za zupełnie zwyczajnego mężczyznę.

– Dlaczego nie Renko Hoogeveen?

– Niestety – powiedział Sriwanichpoom – warunkiem zasadniczym był też dobry stan zdrowia. Jak wspomniano wcześniej, podczas naszej pierwszej odprawy do *Projektu Czas*, pański przyjaciel ma poważne problemy zdrowotne. – Podniósł butelkę szampana. – Możemy?

Profesor skinął głową i spojrzał na Finna.

– Krótko i węzłowato: uznaliśmy, że jest pan tym jedynym.



Nad brzegiem wody było teraz chłodniej. O wiele chłodniej. Chmury, smugi różu na fioletowym niebie, płynęły nad zachodzącym słońcem. Piasek stracił żar dnia. Plaża leżała pod peleryną

fioletowego światła, a za nią lśniły grzywy fal. Jaki piękny widok, pomyślał Finn. Tak piękny, że aż sprawiał mu ból.

Dmuchięła bryza. Finn otulił się kardiganem.

Mógł wrócić tutaj, na Fire Island, prawda? Mógł rzucić pracę w Greifswaldzie, otworzyć sklep ojca na wybrzeżu Rockaway i sprzedawać ręcznie wykonane drewniane meble z dwudziestego pierwszego wieku tybetańskim mnichom i zamożnym wdowom. Mógł też podjąć pracę jako nauczyciel niemieckiego w jednej ze szkół w jakimś mieście. W Nowym Jorku albo w Bostonie. Albo w Waszyngtonie. Miałyby łatwy dojazd. Ale czy chciał uczyć? I czy ktoś chciałby go zatrudnić? Niemiecki nie należał do popularnych języków. Nawet łacina miała więcej wielbicieli.

Spojrzał w dal, na morze.

Co miał o tym wszystkim myśleć?



W Greifswaldzie zapadła noc. Z okna swojego gabinetu Finn widział miasto w dole, oprószone białym śniegiem. Słyszał stłumione głosy grupy gości wychodzących z przyjęcia w Bibliotece Europejskiej. Śpiewali radosną noworoczną piosenkę.

– Tak, panie Nordstrom – powiedział profesor Grossmann – pomyśleliśmy, że jest pan tym jedynym.

– Tym jedynym?

– Jedynym, który może uratować nasz projekt. To niebezpieczne zadanie, fakt, ale jest to heroiczne przedsięwzięcie.

– Co za nedorzeczny pomysł – oburzył się Finn. – Ten mężczyzna nie jest bohaterem i nie chce nim zostać.

– Nie docenia pan siebie – rzekł profesor.

Wystrzelił korek. Szampan popłynął po zielonej szyjce butelki i do kieliszka, który trzymał Sriwanichpoom.

Rouge spojrzała na Finna.

– Wiemy, że to dla ciebie niełatwe. Prosimy tylko, żebyś nam zaufał.

– Zaufać wam? Proście o bardzo wiele. Wysłaliście tego przyjaciela na bezsensowną misję do... do szaletu miejskiego w dwa tysiące trzecim. – Głos mu się załamał. – I wy mówicie, że mam wam zaufać?

– To nie była bezsensowna misja – zaprotestował Grossmann.

– Ale to był szalet miejski.

Rouge, Grossmann i Sriwanichpoom wybuchnęli śmiechem. Grossmann tak się zaśmiewał, że jego krawat kołysał się w tę i z powrotem.

– Ma pan jednak poczucie humoru, młody człowieku – rzekł w końcu Sriwanichpoom. – Zdecydowanie. Naprawdę przydałby się nam ktoś z poczuciem humoru.

– Nie zdradziliśmy cię, Finn – powiedziała bez emocji Rouge.

Finn spojrzał na nią.

– Wy... ryzykowaliście życie tego przyjaciela. Przebraliście go jak jakąś lalkę. Wy... zrobiliście

mu irokeza. Wy...

– Co takiego? – zapytał profesor Grossmann. – Jakiego irokeza?

– Skopiowaliście go komórka po komórce – ciągnął Finn, nie zważając na pytanie profesora. – Przenieśliście go, teleportowaliście, zrekonstruowaliście, komórka po komórce...

– Finn – odezwała się Rouge – chciałbyś się dowiedzieć, jak to zrobiliśmy? Bo to było zupełnie tak, jak...

– Nie! – Poderwał się gwałtownie. – Nie! Ten mężczyzna nie chce wiedzieć! To zbyt zagmatwane. I przerażające. – Szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

– Nie możemy zaprzeczyć – powiedział profesor. – Rzeczywiście, to trochę przerażające. Ale większe niebezpieczeństwo leży w przeszłości, nie w procesie przenoszenia pana tam i z powrotem. Chociaż i to jest obciążone pewnym ryzykiem.

Sriwanichpoom nalewał właśnie szampan do kieliszków, ale na chwilę podniósł wzrok.

– A gdzie pański duch przygody, młody człowieku? Pańska, nazwijmy to, „niespotykana poetycka natura”, pozwoliła nam myśleć, że okaże pan większy entuzjazm. Czy sam pan nie powiedział podczas pierwszej odprawy do *Projektu Czas*: „Dlaczego nie można ryzykować?”. Nie mówił pan: „Czy nie gramy w gry właśnie po to, aby doświadczać ryzyka? Czy nie na tym polega cały dreszczyk?”.

Finnowi nie podobało się to, że rzucono mu w twarz jego własne słowa.

– Ale to nie jest gra – odparł. – Po co więc te wszystkie banialuki o tym, że to gra, skoro nią nie była?

– Banialuki? – zapytał Sriwanichpoom.

– Oszukaliście mnie! – rzekł Finn. Czy musiał im tłumaczyć, co to „banialuki”? Był pewien, że wiedzą, o co chodzi. Albo Rouge mogła im wysłać wyjaśnienie przez mózgołacze. – Ten mężczyzna czuje się nabrany.

– Przepraszamy za to – powiedział profesor, całkiem szczerze, trzeba przyznać. – Być może powinniśmy mówić wprost od samego początku. Ale nigdy nic nie wiadomo. Po fakcie zawsze widzi się więcej. – Próbował znaleźć odpowiednie słowa. – Problem polega na tym, że niektórzy nie najlepiej reagują na podróż w czasie, gdy znają prawdę. Za bardzo się tym martwią. Wracają rozbici. Pełni niepokoju. Mają bóle głowy, problemy z żołądkiem, bóle stawów, nic śmiertelnego oczywiście, ale to utrudnia badania i prowadzi do niepotrzebnych opóźnień. Czasem więc lepiej im nic nie mówić. – Profesor przetarł czoło wymiętą chustką, którą wyjął z kieszeni. – Uznaliśmy, że najlepiej będzie upewnić się, że jesteśmy na właściwej drodze, zanim ujawnimy prawdę. Chcieliśmy pozostawić sobie możliwość wyboru. I nie chcieliśmy pana wystraszyć.

Sriwanichpoom rozdał kieliszki.

– Ani też pozwolić, by się pan podekscytował – dodał. – Po co się ekscytować czymś, co może nie wypalić?

– Ekscytować?

– Większość młodych mężczyzn w pana wieku byłaby zachwycona, gdyby mogła wybrać się w podróż w czasie – wyjaśnił Sriwanichpoom. – Szczerze mówiąc, nie rozumiemy, dlaczego pana to nie ekscytuje.

Finn, który dotąd nerwowo chodził po gabinecie, przystanął na chwilę. Mieli rację. Większość młodych mężczyzn rzeczywiście ucieszyłaby się z podróży w czasie. Trzeba przyznać, że było to względnie bezbolesne doświadczenie, można powiedzieć, że nawet przyjemne, a także całkiem kształcące. Ale nie o to chodziło, prawda? Cała ta sprawa pozostawiła go z poczuciem niepokoju. Było w niej mnóstwo sprzeczności. I tak wiele pytań wymagających obszerniejszych odpowiedzi.

– Ale – ciągnął Rirkrit Sriwanichpoom – mieliśmy rację, chcąc zostawić sobie otwarte furtki. Najwyraźniej nie chce pan się podjąć tego zadania.

Rouge posłała mu spojrzenie pełne wyrzutu.

Sriwanichpoom udał, że tego nie zauważył, i podniósł kieliszek, aby wznieść toast. Odrobina szampana wylała się, a kilka kropel skapnęło na pamiętnik. Finn rzucił się do biurka, niechcący przewrócił krzesło, pospiesznie otworzył szufladę, wyciągnął ściereczkę i osuszył pamiętnik. Grossmann, Sriwanichpoom i Rouge siedzieli z otwartymi ustami, zdumieni jego szaleńczym występem. Przez kilka chwil panowało milczenie, a zebrani tylko zerkali po sobie kątem oka. Zapadła taka cisza, że słychać było musowanie szampana w kieliszkach.

W końcu Finn przerwał milczenie.

– A co z pamiętnikiem? – zapytał. – O co w tym wszystkim chodzi? Wiedzieliście, że opisała nasze spotkanie?

– Podejrzewaliśmy to – odparł profesor Grossmann – na podstawie pańskiego zachowania. Kiedy się dowiedzieliśmy, że wpadliście na siebie w księgarni, pomyśleliśmy, że może się tak stać. Ale co możemy powiedzieć? To był przypadek. Los. Takie rzeczy się zdarzają. Może pan winić księgarnię Dusenhuber.

– Dusenhuber?

– Dziwna nazwa – rzekł Sriwanichpoom. – Zasługują na to, aby ich obwiniać.

Finn pomyślał, że kto jak kto, ale Rirkrit Sriwanichpoom nie powinien kpić z nazw. Uważał też, że nie powinni tak lekko do tego podchodzić.

– Co łączy pamiętnik i wasz projekt? – zapytał.

Profesor Grossmann przyjrzał mu się badawczo.

– Spodziewaliśmy się tego pytania. – Westchnął ciężko. – Panie Nordstrom, będziemy z panem zupełnie szczerzy. To śliska sprawa.



Nadchodził przypływ. Zapadła noc. Finn spojrział na niebo. Wydawało mu się, że każda gwiazda – a było ich nieskończenie wiele – odpowiada na jego pytanie: co teraz?

Może powinien przyłączyć się do Leśnych z kanadyjskiej kolonii Sternwood Forest. Ale musiałby mieć pewność. Nieufnie podchodzili do konwertytów. Gdyby zdecydował się z nimi zamieszkać, musiałby zrezygnować z dotychczasowego życia i jego wygód – Cyklopa, sanisuszarek, wahadłowców, robotaksówek, pewnie zingów, mózgołacza, ubrań, a nawet jednodniowego zarostu. Nie był próżny, ale podobał mu się ten delikatny zarost na policzkach – nawet jeśli jeden gruby włos uparcie wystawał. Czy mógłby przywyknąć do codziennego golenia, gdyby przerwał zabiegi? Miałby książki i drewnianą chatę, kominek na drewno, komputer i przenośny aparat służący do komunikacji,

ale właściwie zostałyby całkiem odcięty od wszystkich, których znał, i wszystkiego, z czym dorastał: domu, gdzie mieszkał duch jego rodziny, i wyspy, którą kochał. I czy był stworzony do bycia drwalem? Albo sprzedawcą w sklepie z pamiątkami w kolonii Leśnych?

Za wiele pytań. Zbyt wiele odpowiedzi. Za wiele gwiazd.

Finn wstał i ruszył z powrotem do domu.



– Tak, to śliska sprawa – powiedział profesor Grossmann.

Wstał i zsunął marynarkę. Pod pachami miał mokre plamy potu. Usiadł i wytarł kark chustką.

– Może otworzymy okno? – zapytał Finn.

Podniósł dłoń, a okno uchyliło się i do środka wtargnęło chłodne powietrze. Na zewnątrz zobaczyli niewielki samolot, który opadł na lądowisko biblioteki i wysiadł z niego pewnie tuzin pasażerów, rozmawiających głośno po włosku.

– Ach – rzekł doktor doktor Rirkrit Sriwanichpoom. – Nasi goście z Biblioteki Europejskiej w Bolonii. Czy moglibyśmy przejść do następnych kwestii? Ten dyrektor ma zobowiązania.

– Dlaczego jest to „śliska sprawa”? – zapytał Finn. – Czy przeniesiemy się do przeszłości i zmienimy bieg zdarzeń? Albo...

Sriwanichpoom parsknął wyniośle.

– Nie mów głupstw, chłopcze! To nonsens rodem z dwudziestowiecznego science fiction!

Rouge westchnęła. Z pewnością uważała, że Dok-Dok przesadza.

– Panie Nordstrom – powiedział przyjaźnie profesor, łagodząc ostrą uwagę dyrektora – ten mit zawsze cieszył się popularnością. Ale dziś wiemy, że istnieją prawa fizyki, które chronią przeszłość. Nie możemy jej zmienić. Nieważne, co zrobimy, zawsze będziemy w jakiś sposób powstrzymywani przed odwróceniem czegoś, co już się wydarzyło. Może się wydawać, że coś zmieniło się na chwilę, ale planeta wszystko wyprostuje. Nawet jeżeli celowo przeniesiemy się do przeszłości, aby ją zmienić, prawa współczesnej fizyki po prostu nie pozwolą nam na ingerencję.

– A więc kiedy przenosimy się w przeszłość i wchodzimy z nią w interakcję, stajemy się tylko częścią przeszłości?

– Doskonale – rzekł profesor. – Tak. Doskonale. Ten profesor nie mógłby tego lepiej ująć. Krótko i...

– Węzłowato? – dokończył Finn, który zorientował się już, że zwrot „krótko i węzłowato” był jednym z ulubionych zwrotów profesora – prawdopodobnie dlatego, że spędzał on tyle czasu na upraszczaniu złożonych zjawisk.

– Wypijemy za to? – zapytał Sriwanichpoom, sięgając po kieliszek.

– A gdybyśmy na przykład – ciągnął Finn, bardziej zaintrygowany niż spragniony – powiedzieli komuś, będąc w Berlinie w dwa tysiące czwartym roku, że przybyliśmy z przyszłości? To mogłoby zmienić ich spojrzenie na różne kwestie, prawda?

– Z pewnością! – powiedział Sriwanichpoom i odstawił kieliszek z powrotem. – Pomyśleliby, że mają do czynienia z wariatami! A gdyby ta osoba jednak w to uwierzyła, inni uznaliby, że ona zwariowała!

Rouge i Grossmann zareagowali lekkim uśmiechem na tę próbę żartu ze strony dyrektora.

– Ale – podjął Finn, próbując złożyć to wszystko w logiczną całość – jeśli ktoś z naszej przyszłości, powiedzmy z roku trzytysięcznego, podróżował w czasie i pojawił się tu, w Berlinie, pierwszego stycznia dwa tysiące dwieście sześćdziesiątego piątego roku i oświadczył, że przybył z przyszłości, czy uznalibyśmy go za wariata?

– Panie Nordstrom – odezwał się profesor, rzucając mu znużone spojrzenie – doceniamy pański wkład w to fascynujące zagadnienie. Jeśli nadal będzie pan zaintrygowany filozofią podróży w czasie, Instytut Olgi Żukowej oferuje szereg warsztatów dla laików. Ale na razie trzymajmy się przez chwilę tematu. Doktor doktor Sriwanichpoom chciałby wrócić na przyjęcie.

– Owszem – przytaknął dyrektor biblioteki i poprawił swój koński ogon.

– Powtórzmy: nasz projekt ma na celu zbadanie przeszłości, aby sprawdzić, w jaki sposób może nam to pomóc w przyszłości. – Profesor spojrział na Finna. – Nadażę pan?

– Tak – potwierdził Finn.

– Wracając do śliskiego problemu – rzekł Sriwanichpoom. – Tej dziewczyny.

Finnowi nie podobał się sposób, w jaki dyrektor powiedział „ta dziewczyna”. Przecież miała imię! Dyrektor mrugnął do Finna.

– Nie spodobało się panu, że została nazwana „tą dziewczyną”, prawda?

Finn poczuł, że się czerwieni. Niech szlag trafi tego faceta. Znowu grzebał w jego głowie.

– Pańska reakcja dobrze pokazuje, dlaczego sprawa jest śliska – powiedział profesor Grossmann. – Mamy do czynienia z istotami ludzkimi i z uczuciami. Jesteśmy skrajnie logicznymi i praktycznymi ludźmi, ale mamy uczucia, nawet jeśli są one powściągane. Kiedy my, podobnie jak pan, panie Nordstrom, spotykamy kogoś, zaczynamy się nad nim zastanawiać. W kwestii, którą się tu zajmujemy, wyraźnie odczuwa pan jakiś rodzaj więzi z tą młodą damą, co powoduje, że zaczyna pan jej bronić. A ona nawet pisze o panu w swoim pamiętniku. Dlatego powiedzieliśmy, że to śliska sprawa.

Sriwanichpoom bawił się swoim końskim ogonem, rozdzielając kosmyki.

– *Mademoiselle* Moreau wspomniała, że dziewczyna jest niezłą laską.

– Rirkrit! – obruszyła się Rouge. – Musisz prowokować? – Spojrzała na Finna. – Powiedziałam, że jest urocza.

Sriwanichpoom odrzucił koński ogon na miejsce i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając duże zęby mięsożercy.

– Na szczęście ona o panu zapomni – powiedział profesor do Finna. – A pan zapomni o niej. Z czasem oboje zapomnicie, że to zdarzenie miało miejsce. Ale co ważniejsze, ziemia o nim zapomni. – Rozsiadł się wygodnie na krześle. – Takie rzeczy ciągle się zdarzają. To drobne zakłócenia, niczym małe krostki, które same się goją. Nie ma się czym przejmować.

Finnowi nie podobało się to, że profesor mówił o Elianie, jakby była kosmiczną czkawką. Wydawało mu się to w pewien sposób niewłaściwe.

– Ale – odezwał się Sriwanichpoom – fakt, że sprawy zrobiły się nieco „śliskie” czy „przerażające”, jak pan to ujął, nie oznacza, że ma pan nam nie pomóc przy tym projekcie.

– Absolutnie! – zawołał profesor, rozpromieniając się. – Oferta jest nadal aktualna. A więc jeśli zdecyduje się pan nam pomóc, musi się pan liczyć z tym, że takie rzeczy mogą się zdarzać. Będzie to

trochę ryzykowne.

Finn czuł się przytłoczony. Docierało do niego zbyt wiele informacji naraz.

– Na czym miałyby polegać ta „pomoc?” – zapytał. – Nadal nie sprecyzowaliście jasno, co ten podróżnik w czasie miałby robić, gdy dotrze na miejsce.

– Panie Nordstrom, i tym razem będziemy z panem szczerzy – powiedział poważnym tonem profesor. – To niebezpieczna misja. Nie tylko fizycznie, ale też w znacznej mierze stoi w sprzeczności z tym, czego pan się uczył, i ze wszystkim, co reprezentujemy.

Finn przełknął ślinę.

– Oto misja, krótko i węzłowato. – Profesor spojrzał Finnowi w oczy. – Niech pan idzie za głosem serca.

Finn patrzył na niego bez słowa. Co to niby miało znaczyć? To była najgłupsza rzecz, jaką słyszał w życiu.

– Iść za głosem tego serca? – powtórzył, poklepując się po lewej stronie piersi. – A jak się to robi?

– Właśnie tego, panie Nordstrom, chcielibyśmy się dowiedzieć. Przyjmujemy, że oznacza to działanie zgodne z instynktem.

– Instynktem?

– Weźmy taki przykład. Podobnie jak większość Europejczyków, nie jada pan mięsa. Ale jeśli przypadkiem poczuje pan zapach steku z polędwicy i pocieknie panu ślina, niech się pan nie powstrzymuje i skosztuje steku. Niech pan sprawdzi, dokąd to pana zaprowadzi. Inny przykład. Idzie pan ulicą. Pańska mapa mówi, że należy skręcić w prawo, ale pan uważa, że w lewo będzie ciekawiej. Niech pan pójdzie w lewo. – Profesor Grossmann znów pochylił się do przodu. – I niech pan podchodzi do swoich decyzji z pasją.

– Z pasją?

– Niech pan okaże entuzjazm – powiedział doktor doktor Sriwanichpoom.

– Niech pan ulegnie swoim emocjom – dodał profesor. Ojcowskim gestem otoczył ramię Finna. – Naszym zdaniem potrafi pan to zrobić. Pytanie brzmi, czy pan uważa, że może to zrobić?

– Ale po co? – zapytał Finn. – Jaki jest tego cel?

– Zaufaj nam, Finn – powiedziała Rouge. – Dowiesz się, gdy nadejdzie pora.

– Chcemy, aby pan to przemyślał – rzekł profesor. – Niech pan weźmie wolne, wybierze się na krótki urlop, pojedzie na kilka dni do domu do Ameryki Północnej, jeśli pan chce. – Spojrzał na dyrektora biblioteki. – Oczywiście, jeśli doktor doktor Sriwanichpoom się zgodzi.

– Nie ma problemu – potwierdził Sriwanichpoom. – To my go zatrudniamy. Wpiszemy to jako przygotowania do pracy w terenie. – Uśmiechnął się do Finna. – Panie Nordstrom, z radością potraktujemy te działania w terenie jako główny element badań do pańskiej pracy doktorskiej na temat historii dwudziestego pierwszego wieku.

– Proszę się przespać z tematem, panie Nordstrom – rzekł Grossmann.

– Co się stanie, jeśli ten mężczyzna uzna, że nie może tego zrobić? – zapytał Finn, który gwałtownie zapragnął poznać wszystkie możliwe opcje. – Albo jeśli nie zechce... podejść do tego z pasją?

– Oczywiście nie możemy pana zmusić, aby nam pan pomógł – odparł Grossmann.

– Nie żebyśmy nie chcieli – dodał Sriwanichpoom z szelmowskim uśmiechem.

– Rirkrit – wtrąciła Rouge – daj spokój!

Dok-Dok nie zwrócił na nią uwagi. Ciągnął z uśmiechem:

– Cóż... Jeśli nie zgodzi się pan na współpracę z nami przy tym projekcie, poprosimy, aby dokończył pan tłumaczenie tego pamiętnika, i na tym koniec. I... – dodał, wskazując na pamiętnik w paski leżący na biurku Finna – to będzie koniec Eliany. A potem... – urwał.

– Co potem? – zapytał Finn.

– A potem wrócimy do zwykłego trybu, oczywiście. – Ujął kieliszek. – Mamy mnóstwo sprawozdań Deutsche Banku w pogotowiu. – Uśmiechnął się do Finna i podniósł kieliszek do ust. – Na zdrowie.

Rozdział 13

Co teraz?

Piasek był zimny. Finn wstał i wrócił do domu. Nie musiał podejmować decyzji od razu. Pytanie „Co teraz?” mogło chwilę poczekać. Zastanowi się po kolacji.

Szef kuchni Carlo Canelli uprzejmie przyrządził mu kolację. Android był własnością grupy mieszkańców Fire Island, którzy wspólnie o niego dbali i uważali go za prawdziwy skarb. Jego kuchnię, zwłaszcza *talento* do włoskich potraw, powszechnie podziwiano. Dziś przygotował *vermicelli* z przegrzebkami i sałatkę ze świeżych warzyw.

Finn zaniósł kolację do pokoju na poddaszu i usiadł przy dużym stole z orzechowego drewna zdobionym motywem słonecznika. Pośrodku stołu, gdzie ćwierć tysiąclecia wcześniej namalowano słońce, leżała wierna replika pasiastego pamiętnika Eliany. Nie spojrzał na niego od Nowego Roku. Prawie tydzień. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, dlaczego tak bardzo wahał się, czy otworzyć pamiętnik i przeczytać go – po prostu się bał. Czuł, że odpowiedź na jego pytanie – co teraz? – znajdowała się gdzieś na tych stronach, a on nie chciał jej poznać. Jeszcze nie. Wszystko było wciąż zbyt zagadkowe.

Ale gdy siedział tak i jadł w samotności, wydarzyło się coś niesamowitego. Nagle ostatni promień słońca przedarł się przez chmurę i padł na pamiętnik. Finnowi przez chwilę zdawało się, jakby otworzył się w nim jakiś portal. Poczul, jak przenika go niezwykle słodkie uczucie, wypełniające każdy zakamarek jego ciała, i unosi go coraz wyżej i wyżej, niczym balon wznoszący się nad morzem, radośnie podskakujący i odlatujący na wietrze. Wiedział, że tym uczuciem była radość. I po raz pierwszy pozwolił sobie na niezwykłą myśl: dziewczynka, którą spotkał, żyje. A świadomość, że Eliana naprawdę żyła, nawet jeśli nie tutaj, to przynajmniej gdzieś, napełniła go radością.

Tak więc zjadł makaron. I sałatkę. Wypił kieliszek wina. Obejrzał pamiętnik. Poczul strach. I radość. Sięgnął po pamiętnik. Otworzył go.

Jeszcze raz przeczytał pierwszy wpis o ich spotkaniu w księgarni Dusenhuber i zaczął czytać następny.

Wtorek, 26 kwietnia 2004

Robert skończył dzisiaj szesnaście lat. Po kolacji powiedział, że idzie ze znajomymi na piwo. Mama nie była tym zachwycona, zwłaszcza że następnego dnia miał iść do szkoły. „Mam już szesnaście lat! To legalne! Wolno mi!”, wrzeszczał. A wtedy Tata powiedział: „No, no, zaczyna się. Szesnaście, a zachowuje się, jakby miał dwadzieścia jeden”. A potem powiedział do Roberta: „Masz wrócić o jedenastej. Zrozumiano?”. Ale Robert wrócił dopiero po północy. Zadzwoił domofonem (i mnie obudził! – Madeline to przespala). Drzwi na dole były zamknięte na klucz i nie mógł ich otworzyć, nawet swoim kluczem – był tak pijany! Szkoda, że nie widzieliście, jak wytoczył się z windy i wtoczył do mieszkania! „Szesnaście, a zachowuje się, jakby miał dwadzieścia jeden?”, powiedziała Mama. „Chyba jakbyś miał sześć!”. Właściwie było to całkiem zabawne, bo Robert wyglądał dokładnie tak jak ci w telewizji albo w filmach, gdy są pijani, nie mogą iść prosto, bełkoczą albo bardzo się starają wyglądać tak, jakby nie byli pijani, co oczywiście sprawia, że wszyscy widzą, że są. W dodatku było widać, że zaraz zwymiotuje. Chwiejnym krokiem ruszył w kierunku łazienki, ale nie zdążył i zwymiotował na nowy dywan Gabbeh w salonie. Tata zaprowadził go pod prysznic, umył i wsadził do łóżka. Chyba nie trzeba mówić, że

Robert ma szlaban – do końca życia! A dziś po południu musiał zanieść dywan do pralni. I musi zapłacić za pranie z własnych pieniędzy. Obiecuję, że kiedy skończę szesnaście lat, nie upiję się piwem. Wolę wino.

Czwartek, 27 kwietnia 2004

Ani wczoraj, ani dziś nie wydarzyło się nic szczególnego, chociaż dostaliśmy z powrotem nasze sprawdziany z angielskiego. Dostałam 2–. To druga najlepsza ocena. David Kaplan dostał 2+ (ale jego ojciec jest z Anglii!). Tata powiedział, że sprawdzian był za trudny, skoro tyle osób dostało złe stopnie, a Mama powiedziała, że pytanie z džinsami było podchwytliwe. Musieliśmy przetłumaczyć na angielski zdanie: „Wann hast du dir die schöne Jeans gekauft?”. Napisałam: „When did you buy this beautiful jeans?”. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: „When did you buy those beautiful jeans?”, ale skąd mieliśmy wiedzieć, że džinsy po angielsku są w liczbie mnogiej? To przecież tylko jedna para, prawda? „Ale ma dwie nogawki – powiedziała Mama – a poza tym jeśli chcesz wyjechać do Ameryki w jedenastej klasie, to jedno z tych słów, których powinnaś się nauczyć”. A potem ja powiedziałam: „Ale przecież człowiek też ma dwie nogi, a jest w liczbie pojedynczej, a nie «those man»”. A ona powiedziała: „Po prostu się naucz”. Dzięki za wsparcie, Mamo.

Finn nalał sobie kolejny kieliszek wina. Czy był rozczarowany? Tak, chyba tak. Zrozumiał, że w duchu miał nadzieję, że przeczyta więcej na swój temat, i że zrobił silniejsze wrażenie na Elianie w Dusenhuber. Ale najwyraźniej było inaczej. Wspomniała o nim w pierwszym wpisie, i tyle. Zapomniała o nim, tak jak przewidział profesor Grossmann.

Przekartkował pamiętnik. Zauważył, że pismo Eliany często zmieniało styl. Czasem było drobne i okrągłe, czasem duże i zamaszyste, czasem pochylone w prawo, innym razem w lewo. Jednego dnia było maleńkie i trudne do odczytania, następnego idealnie czytelne, albo koślawe i niechlujne, a później ostre. Wyglądało to tak, jakby próbowała różnych charakterów pisma, szukając tego, który najbardziej jej odpowiada. Pomyślał, że właściwie dlaczego nie? Młodość jest zarezerwowana na takie poszukiwania, prawda? Za każdym razem gdy Eliana dotykała piórem strony, szukała swojej tożsamości.

Finn otworzył na ostatniej stronie, aby zobaczyć, kiedy kończył się pamiętnik. Z trudem odcyfrował datę: 9... czerwca... 2005. A zatem autorka miała piętnaście lat i dwa tygodnie. Pamiętnik obejmował rok i prawie dwa miesiące. Ale zostało dwadzieścia pustych stron. Dlaczego przestała pisać? Czy w ogóle zarzuciła pisanie pamiętnika? Czy dlatego Dok-Dok powiedział: „I na tym się skończy?”. I czy oznaczało to, że dyrektor czytał pamiętnik?

Finn zmrużył oczy i przyglądał się stronie. Pismo Eliany było właściwie nieczytelne. To było do niej niepodobne. Jakby nie obchodziło jej to, jakby pamiętnik przestał się liczyć. Nie powinien przeskakiwać do przodu, ale zaczął odcyfrowywać tekst, litera po literze. Szło mu powoli.

9 czerwca 2005

Nie ma już o czym pisać. Wszystko zostało powiedziane. Czekamy. Oma Uschi mówi, że pisanie może pomóc, ale nie jestem w stanie pisać. Boli mnie głowa.

Coś się wydarzyło. Na co czekali? Już chciał przewrócić kartkę, ale się pohamował. Powinien czytać zgodnie z porządkiem chronologicznym. Po kolei, strona po stronie, dzień po dniu. Krok po kroku. Cofnął się do kwietnia 2004 roku. Przeczytał kilka stron: o szkole, o zauroczeniach, o próbach przed szkolnymi koncertami, filmach, które widziała Eliana, płycie CD, którą kupiła dla...

Przerwał czytanie.

Dlaczego przestała pisać 9 czerwca 2005 roku?

Nie mógł się powstrzymać. Wrócił na ostatnią stronę.

„Wszystko zostało powiedziane. Czekamy”. O co jej chodziło? Cofnął się o jeden wpis.

8 czerwca 2005

Mama i Tata właśnie wrócili do domu. Mama powiedziała, że weźmie tylko czyste ubrania i jedzie do szpitala. Nie miała makijażu i zauważyłam zmarszczki pod jej oczami. Zrobiło mi się jej żal.

Tata usiadł przed telewizorem i włączył wiadomości Tagesthemen, ale nie oglądał, tylko wpatrywał się w ekran. Poszłam do swojego pokoju, a chwilę później usłyszałam, jak Oma Uschi wchodzi do salonu. „Zrobiłam ci kanapkę z pasztetową”, powiedziała. A potem nic nie słyszałam. A potem powiedziała: „Rudi, musisz coś zjeść”. Wyszła z pokoju. A potem usłyszałam dziwny dźwięk. Najpierw nie wiedziałam, co to jest. Brzmiało jak jakieś zwierzę. Ale zrozumiałam, że to Tata. Płakał. Nigdy wcześniej nie słyszałam go płaczącego. To było okropne. Nie mogłam...

Finn przerwał czytanie i cofnął się o jedną stronę.

Wtorek, 7 czerwca 2005

Nie poszliśmy dziś do szkoły. Tata, Robert i ja odebraliśmy Omę Uschi z dworca Zoo i pojechaliśmy prosto do szpitala. Kiedy przyszlismy, Mama akurat rozmawiała na korytarzu z lekarzem. Kiwnęła głową, że możemy wejść do środka. Tata i Oma Uschi zostali na zewnątrz, a Robert i ja...

Finn przerwał w połowie akapitu. Kto był w szpitalu? Madeline? Cofnął się jeszcze o kilka dni i przebiegł wzrokiem tekst.

Sobota, 4 czerwca 2005

Dzisiaj znowu było strasznie zimno. Johanna i ja nie pływałyśmy do Lochowdamm, odkąd... i włączył ogrzewanie, ale Tata powiedział... Więc pojechaliśmy na deskorolkach do... Całkiem zapomniałam, że mam skończyć „Romea i Julię”... upiekła to swoje przekoszone... muszę się wypisać. Muszę się uczyć do... Buziaki, Eliana

Cokolwiek się wydarzyło, miało miejsce po 4 czerwca. Palce Finna gorączkowo przekartkowały pamiętnik znów do niedzieli, 5 czerwca. Rzucił okiem na tekst.

Znowu pada deszcz! ...Przyszedł kolega Roberta, Philipp, i... w drużynie pływackiej... ponieważ jest naprawdę śliczny i... Jego była dziewczyna Renée... na lody na Adenauer Platz...

Nie. Coś musiało się wydarzyć następnego dnia. Finn o mało nie wyrwał kartki, gdy zamasyście otworzył pamiętnik na 6 czerwca.

6.6

Madeline miała wypadek. Na rowerze. Wracała do domu z lekcji gry na pianinie. Ale tylko tyle wiemy. Mama i Tata są w szpitalu. Mówią, że zadzwonią od razu, gdy się czegoś dowiedzą. Robert powiedział, że jeśli wiadomości będą złe, to nie zadzwonią.

Finn usiadł. Jak bardzo poszkodowana została Madeline w poniedziałek, 6 czerwca? Czy ją bolało? Czy wyzdrowiała? A może tragicznie zmarła? Co się stało po 9 czerwca? Czy po tym jest jeszcze następny pamiętnik, który może to wyjaśnić? Jeśli tak, to czy doktor doktor Sriwanichpoom

dałby mu go teraz? Pewnie nie. Jak mógłby się dowiedzieć, co się stało – natychmiast? Może Renko potrafiłby mu pomóc. Ale przecież nie znają nawet nazwiska tej rodziny. W Dusenhuber nie przyszło mu do głowy, żeby zapytać Elianę o nazwisko. Dlaczego miałby to zrobić? Myślał, że to tylko gra, a dziewczynka jest wytworem jego wyobraźni.

Przeszedł do wtorku, 7 czerwca. Tu wpis był dłuższy.

Kiedy przyszliśmy, Mama akurat rozmawiała na korytarzu z lekarzem. Kiwnęła głową, że możemy wejść do środka. Tata i Oma Uschi zostali na zewnątrz, a Robert i ja weszliśmy sami.

Madeline wydawała się taka mała, gdy leżała tam z tymi wszystkimi drutami i szynami, i tą całą aparaturą, a wszystko piszczalo. Powiedziałam: „Cześć, Madeline, to ja i Robert”, a ona otworzyła oczy i zobaczyła nas, patrzyła prosto na nas, tylko patrzyła, bardzo cicho, ale jakby jej wzrok był skupiony na czymś innym. Wyciągnęłam dłoń, żeby wziąć ją za rękę, ale była pod kocem, którym ją szczelnie otulono, i bałam się jej dotknąć, żeby jej to nie zabolalo. Pochyliłam się więc tylko i pocałowałam ją w czoło, a Robert zrobił to samo. Na sekundę skupiła wzrok na mnie i na Robertcie i pomyślałam, że wygląda, jakby się bała. Naprawdę bała. To tak bolalo, gdy widziałam ją w takim stanie. Rozplakałam się. Robert też.

A Madeline zamknęła oczy.

Robert i ja siedzieliśmy tam przez chwilę, przytuleni do siebie, a potem weszła Mama z Tatą i Omą Uschi i wszyscy staliśmy razem, i tuliliśmy się, a Madeline spała.

Finn zamknął pamiętnik, włączył mózgołacze i zadzwonił do Renka Hoogeveena. Trzy dni później Renko wydobył z archiwów nekrolog z 15 czerwca 2005 roku, z berlińskiej gazety „Der Tagesspiegel”. Dotyczył Madeline Lorenz (14 listopada 1992 – 9 czerwca 2005).

Dwa tygodnie później, 22 stycznia 2265 roku, Finn znalazł się z powrotem w szalecie miejskim.

Mucha na ścianie

Finn bał się pogrzebu. W jego czasach nie były czymś nieznanym, lecz nigdy w żadnym nie uczestniczył. Jego główne źródło informacji o takich wydarzeniach stanowiły celuloidy. Stąd wiedział, że to głęboko przejmujące wydarzenie.

Mimo lęku Finn czuł, że pogrzeb Madeline przyniesie odpowiedź na pytanie: co teraz? Głos, niczym natrętny audiowirus mózgołacza, wślizgiwał się do jego myśli i wyslizgiwał z nich: idź-tam-a-się-dowiedz-idź-tam-a-się-dowiedz. Co konkretnie miałby zrobić, gdy dotrze na miejsce, czy w ogóle znalazłby Elianę i mógł z nią porozmawiać – tego nie wiedział. Pomyślał, że mało prawdopodobne, aby w ogóle go pamiętała. Zakładał, że pewnie tylko stałby z tyłu i obserwował rozwój wydarzeń.

Profesor Judd Grossmann maglował Finna w sprawie jego postanowienia, podkreślając, że jeśli znów spotka młodą damę, sprawy mogą stać się „śliskie”. Finn przyznał, że jego decyzja nie była racjonalna i że właściwie to szalony pomysł, ocierający się nawet o mistycyzm. „To zagadka”, powiedział, ale zapewnił, że jest przekonany, że musi to zrobić.

W Instytucie Olgi Żukowej nie sprzeciwiono się jego decyzji, co więcej, wyglądało na to, że są zadowoleni z jego odpowiedzi.

Podczas przygotowań do następnej i przyszłych podróży w czasie – łącznie zaplanowano jeszcze cztery – poddano Finna serii testów i ćwiczeń. Niektóre z nich były okropne. Symulacja „biernego palenia” – polegająca na spożywaniu posiłku w niewielkim pomieszczeniu, gdzie co druga osoba paliła papierosa – była wyjątkowo nieprzyjemna, bolesna dla oczu, stanowiła torturę dla płuc i gardła, nie wspominając o zapachu, którym przesiąknęły włosy i ubranie Finna. Ale ta próba ogniowa była konieczna. Inne ćwiczenia okazały się mniej uciążliwe, ale za to wyczerpujące, na przykład jazda na rowerze z wykorzystaniem wyłącznie siły ludzkich mięśni, przez godzinę bez przerwy! Finn znosił to wszystko cierpliwie, ponieważ czuł, że żadna z tych rzeczy nie była tak koszmarna jak powrót do monotonii i nudy sprawozdań finansowych Deutsche Banku.

Finn przeszedł intensywny kurs praw fizyki związanych z przemieszczaniem się w czasie istot żywych, a także obiektów nieożywionych, o nazwie „Obecny stan podróży w czasie”, ale niewiele z niego zrozumiał. A na te nieliczne pytania, które zadawał, nie otrzymał satysfakcjonującej odpowiedzi. Dlaczego trafiamy do szaletów miejskich? Co sprawia, że nie lądujemy na głowie osoby siedzącej na toalecie? Co powstrzymuje nas od wyjścia z zakrzywienia czasu w środku, dajmy na to, akwarium pełnego rekinów? Dlaczego bierzemy ze sobą przedmioty do przeszłości, ale nie możemy zabrać pamiątek i/lub ludzi z powrotem do przyszłości? Czy możemy przenieść się do własnej przeszłości i spotkać z młodszą wersją siebie? Czy możliwe jest wylądowanie na równoległej ziemi?

W odpowiedzi na pierwsze trzy pytania Finna profesor Grossmann wdał się w długie i zawile wyjaśnienia dotyczące działania niewielkiego urządzenia nazywanego Muchą („Mucha na ścianie”), strumieniowanego do przeszłości w celu zapisania interakcji i ruchu w określonej przestrzeni i w określonym czasie, umożliwiającego zaplanowanie wejścia i wyjścia. Ale Finn niewiele z tego

zrozumiał i w końcu decyzja, którą podjął osiem lat wcześniej, aby na główny kierunek studiów nie wybierać nauk ścisłych ani technologii, została ugruntowana. Pytania, na które nie otrzymał odpowiedzi, trafiły do poczekalni. „Wybaczy pan, panie Nordstrom – powiedział profesor – ale żeby zrozumieć odpowiedzi na inne pytania, będzie pan potrzebował bardziej zaawansowanych kursów z matematyki i fizyki”.

Trzecia podróż Finna do Berlina przełomu tysiącleci została zaplanowana jako sześciogodzinna wyprawa, lecz Rouge, która i tym razem miała mu towarzyszyć, złożyła wniosek o przedłużenie jej o dwie godziny. Uzasadniła go potrzebą pójścia na zakupy.

Kiedyś Finn nieroztropnie wspomniał przyjaciółce, że matka Eliany, projektantka kostiumów do celuloidów, podejrzliwie zerknęła na ubrania, które mieli na sobie owego kwietniowego dnia 2004 roku w księgarni Dusenhuber. Rouge to nie rozbawiło, ponieważ była perfekcjonistką nie tylko w pracy. Uważała się za nowoczesną, modną młodą kobietę. Nalegała, żeby na tę podróż ubrali się odpowiednio i stylowo.

Uznała też, że potrzebują sprzętu do komunikacji. Czekali ich długi dzień i mogli się rozdzielić. Ponieważ podczas podróży w czasie ich mózgołacza nie działały, Rouge uznała, że sprawą najwyższej wagi jest posiadanie środków umożliwiających kontakt, a więc musieli kupić telefony komórkowe. To wszystko potrwa, twierdziła. Profesor Grossmann dał im dodatkowe dwie godziny i podkreślił, że przedłużenie wyprawy nie stanowiłoby problemu dla doświadczonej podróżniczki, takiej jak Rouge, ale mogłoby być trudne dla Finna i spowodować nadmierne zmęczenie, migrenę, zawroty głowy, a nawet coś gorszego. Finn wzruszył ramionami: cokolwiek służyło projektowi, było dobre i dla niego.



Rouge i Finn przybyli do Berlina o czasie. Wylądowali w szalecie miejskim na rogu Kurfürstendamm i Schlüterstraße w upalny dzień 21 czerwca 2005 roku o dziesiątej rano. Dokonali szybkiego, ale udanego zakupu w dwóch butikach i jednym sklepie z obuwiami, od razu przebrali się w nowe ubrania, ale potem opóźnił ich dostawca usług telekomunikacyjnych. Dzięki Jil Sander i Hugonowi Bossowi Finn i Rouge dostali od ambitnego przedstawiciela sieci komórkowej etykietkę zamożnych, niedoświadczonych, czyli naiwnych rosyjskich turystów. Wcisnął im dwa smartfony, każdy za sześćset euro, z dwuletnią umową. Dokładnie wyjaśnił rozmaite cechy telefonu komórkowego i bezlik taryf (Finn uznał, że to bardziej skomplikowane niż wyjaśnienia profesora Grossmanna dotyczące podróży w czasie), kiedy pewien sfrustrowany klient stojący za nimi w kolejce zaczął błagać ich, aby po prostu poszli do producenta kawy za rogiem, gdzie za bezcen mogą kupić telefony na kartę. Pytanie, dlaczego producent kawy sprzedawał telefony komórkowe, pozostało bez odpowiedzi, ale Rouge była zadowolona z zakupionych komórek, Finn z opanowania umiejętności prowadzenia rozmowy po niemiecku i użycia pierwszej osoby liczby pojedynczej, a oboje z kolumbijskiej kawy, którą wypili dla pobudzenia.

Chociaż Finn sprawdził w Cyklopie i zapamiętał trasę do dworca Zoo, gdzie jak powiedzieli im zwiadowcy Grossmanna, mogli znaleźć zamykane szafki i na czas podróży zostawić w nich swoje ubrania, szli bardzo powoli. Słońce paliło, od nowych butów zrobiły im się pęcherze i dwa razy

musieli się zatrzymać, żeby napić się wody. Kiedy schowali ubrania do szafek i kupili sobie po sałatce na wynos, byli już spóźnieni. Złapali pociąg do stacji Wannsee i starali się czerpać przyjemność z trzęsącej przejażdżki. Zjedli sałatki i skonfigurowali swoje telefony, oszołomieni prymitywną technologią. Bez problemu znaleźli taksówkę pod dworcem Wannsee i pojechali nią na cmentarz w Stahnsdorf. Niestety, okazało się, że spóźnili się o czterdzieści pięć minut. Żadne z nich nie cieszyło się z opóźnienia w planie, ale doszli do wniosku, że i tak nic z tym nie mogą zrobić. Poza tym nikt na nich nie czekał. Co do Finna, był tylko muchą na ścianie.



Kaplica była pełna. Wszystkie rzędy drewnianych ławek zostały zajęte, żałobnicy tłoczyli się z tyłu. Kaplice, znajdujące się pod ochroną władz jako zabytki ocalałe po Mrocznej Zimie, nadal istniały w czasach Finna, ale nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek do którejś zaglądał. W Złotym Wieku Pragmatyzmu niewiele było miejsca dla Boga. Prawdopodobnie wciąż istnieli wierzący mężczyźni i kobiety – świat był przecież ogromny – ale praktykowali swoją wiarę w ciszy.

Kobieta w skromnej sukience, mniej więcej czterdziestoletnia, przemawiała z ambony, kiedy Finn i Rouge wsunęli się do kaplicy. We wnętrzu z brązowego drewna, z małymi oknami, panował półmrok i było chłodniej niż na dworze. Mimo to powietrze było ciężkie – przesycone wonią zbyt wielu kwiatów i ogromną siłą smutku żałobników, smutku tak wszechogarniającego, że Finn musiał włożyć całą energię w to, aby się przed nim ochronić. Ale była to potężna siła. Kolejne szloch nadkruszały broniący go mur.

Finn ledwie słyszał słowa kobiety. W pewnej chwili zorientował się, że podsumowuje swoją mowę. Mówiła wolniej, zdławionym głosem.

– Była cudownym dzieckiem i drogą przyjaciółką dla kolegów z klasy. – Wykrzywiła usta, starając się powstrzymać płacz. – Puste krzesło Madeline w naszej klasie zawsze będzie nam przypominać o jej radości i wielkim sercu. Nigdy jej nie zapomnimy.

Kobieta, jak się okazało nauczycielka Madeline, o mało się nie potknęła, gdy pośpiesznie schodziła z ambony. Wróciła na ławkę, gdzie siedzieli przytuleni do siebie jej uczniowie. Od razu przyjęli ją w środek.

Nagle jakby znikąd rozbrzmiała muzyka. Zebrani wstali i zwrócili się do środkowego przejścia, gdzie Finn ujrzał matkę Eliany, która weszła z mężem u boku. Był to wysoki mężczyzna, o gęstych siwych włosach i plecach tak wyprostowanych, że Finn miał wrażenie, że w jego garnitur wszyta jest tyczka.

Po nich weszła Eliana z ciemnowłosym chłopcem. To pewnie Robert, pomyślał Finn.

Eliana urosła – oczywiście. Już nie była dzieckiem. Ale nie była też jeszcze kobietą. Na pierwszy rzut oka wydawała się opanowana, gdy mijała żałobników. Dostrzegł jednak, że jej wzrok jest skupiony na jakimś punkcie przed nią. Pomyślał, że boi się spojrzeć na przybyłych, na twarze przyjaciół i rodziny, i poczuł jej bezbronność.

Muzyka wypełniła pomieszczenie, każdy zakamarek kościelnych ławek, każdą komórkę ciał zebranych. Finn zorientował się, że to aria ze suity numer 3 Bacha. Słyszał ją już wcześniej, ale nigdy w takim wykonaniu. Nigdy nie było w niej takiego poczucia opuszczenia, nigdy nie brzmiała tak

żałośnię, nigdy nie miała takiej siły jak teraz, kiedy wszyscy żałobnicy przynosili na nią swą rozpacz.

Finn był w potrzasku. Zrozumiał, że nie zdoła od tego uciec, że w końcu coś w nim pękło, i się poddał. Muzyka wdarła się do środka, wypełniła go, opętała. A z nią pojawił się jego własny smutek.

Co dziwne, zrozumiał, że prawdopodobnie dlatego tu przyjechał – aby opłakiwać własnych zmarłych.



Było gorąco, Finna bolała głowa i zobaczył, że cały krawat ma mokry od łez. Znalazł kamienną ławkę z dala od ścieżki i usiadł. Płakał.

Był sam.

W końcu to do niego dotarło.

Odeszli. Wszyscy.

Na zawsze.

Jego rodzina zostawiła go samego.

Nigdy już nie usłyszy matki czytającej na głos książkę ani nie zagra w slapbacka z ojcem. Nigdy już nie będzie puszczać kaczek z Mannu na plaży ani przyglądać się, jak Lulu ugania się za uciekającą ważką.

Odeszli.

Tęsknił za nimi. Okropnie.

Szlochał, świadomy ptaków przefruających z drzewa na nagrobek i na żywopłot, much brzęczących przy jego uchu, palących promieni słońca. Słyszał stłumione głosy i chrzęst kroków za drzewami. A nad nim, niczym duszne, ciężkie, gorące czerwcowe powietrze, wisiało straszne pytanie: co zrobi teraz, gdy został sam?

Finn siedział, oddychał, opłakiwał zmarłych... aż do jego uszu dotarło glissando harfy. A może tylko mu się zdawało? Czyżby wiadomość z nieba? Rozejrzał się i zauważył mrugające światełko w kieszeni marynarki. Ach! Komórka.

– Halo? – odebrał, spodziewając się usłyszeć ducha Madeline albo swojej siostry Lulu.

– Finn – odezwała się Rouge. – Jeśli spojrzysz dalej na ścieżkę, zobaczysz swoją przyjaciółkę.

Podniósł wzrok i ujrzał Rouge, która pomachała do niego.

– Powinieneś złożyć kondolencje – powiedziała. – Już czas.



Rodzina Lorenzów stała w cieniu dębu, a żałobnicy czekali w kolejce. Finn i Rouge ustawili się za dwoma młodymi mężczyznami. Dzieci z klasy Madeline stanęły za nimi.

– Frau Martin powiedziała, że Madeline została skremowana – powiedziała jedna z dziewczynek.

– Straszne – szepnęła jej koleżanka. – Jej całe ciało zmieściło się do tej... do tej małej wazy.

– To urna. Frau Martin tak powiedziała. Zakopali ją pod drzewem. Między korzeniami.

– Okropne. – Dziewczynka się wzdrygnęła.

Finn widział, jak żałobnicy przed nimi podchodzą do drzewa, wrzucają kwiaty do niewielkiego

otworu w ziemi, a potem obejmują matkę Madeline albo ściskają jej dłoń i powtarzają to wobec ojca zmarłej, Roberta i Eliany.

– Nie mamy kwiatów – powiedział do Rouge.

– Nie wszyscy mają.

Finnowi łomotało serce. Martwił się, że Eliana go nie pozna i poczuje się zawiedziony. Albo pozna go, ale popatrzy na niego obojętnie i też poczuje się zawiedziony. Albo nie będzie wiedział, co powiedzieć, i ona poczuje się zawiedziona. Albo...

Przyszła ich kolej. Rouge i Finn podeszli do miejsca pochówku. Otwór był wąski, a urna prawie niewidoczna pod całunem z kwiatów. Finn podał rękę matce dziewczynek.

– Proszę przyjąć od nas wyrazy współczucia – powiedział.

Spojrzała na niego i skinęła głową. Nie poznała go. Uścisnęła dłoń Rouge, skinęła krótko do jej rudych loków i już miała zwrócić się do następnej osoby w kolejce, gdy w jej oczach pojawił się błysk. Spojrzała jeszcze raz na Finna i jego też rozpoznała. Znow ujęła jego dłoń.

– Dziękuję – rzekła.

Finn skinął głową i przeszedł do ojca Madeline, ale on stał tyłem do niego i z kimś rozmawiał. Finn zwrócił się do Roberta, który nie patrząc, chwycił jego dłoń, i przyszła kolej na nią, Elianę. Spojrzała na niego i podała mu rękę.

Minęła straszna sekunda niepewności... Twarz Eliany niczego nie zdradzała. Już miał przejść dalej, kiedy...

– Finn? – odezwała się cicho. W jej głosie zabrzmiała nuta zaskoczenia i ciepła, i... zaciekawienia. – Finn.

Jak to możliwe, że wciąż go pamięta? Finn poczuł, że krew uderza mu do uszu. Jej szum ogłuszył go na chwilę.

Eliana wciąż trzymała jego dłoń.

– Przyszedłeś – powiedziała.

Pomyślał, że jej oczy są ciemniejsze, niż to zapamiętał. A włosy bardziej złote.

Spojrzała na koniec kolejki, a potem znow na niego.

– Mógłbyś chwilę zaczekać? – zapytała. – Już prawie skończyliśmy.



Eliana zorganizowała transport dla Finna i Rouge. Podwieźli ich do miasta dwaj chłopcy, którzy stali przed nimi w kolejce, koledzy Roberta. Leopold, kierowca, i Philipp, młodszy z nich, rozmawiali o zbliżających się wakacjach. Philipp wybierał się na Kretę z dwojgiem znajomych, a Leopold do Toskanii z rodziną swojej dziewczyny. Słuchając ich paplaniny, Finn zrozumiał, że i on był w podróży, i to naprawdę niezwyklej. Spełniało się marzenie historyka, zwiedzał świat, który dotąd tylko sobie wyobrażał, a teraz, dzięki łutowi szczęścia, mógł go zobaczyć na własne oczy.

Finn i Rouge prawie ze sobą nie rozmawiali. Było za gorąco, a poza tym bali się, że niechcący zdradzą jakieś tajne informacje. Poza tym Rouge baczenie obserwowała drogę. Nie ufała Leopoldowi jako kierowcy ani automobilowi obsługiwawanemu ręcznie i wydzielającemu zapach paliw kopalnych.

Eliana zaprosiła Rouge i Finna do mieszkania Lorenzów na lunch. Odmówili. Uważali, że nie mają

prawa dołączać do rodziny zmarłej w tak poważnej i intymnej chwili. I choć matka Eliany, Angelika, była przyjazna, czuli, że tak naprawdę jest przeciwna ich obecności. Ojciec Eliany, Rudi, wydawał się zdystansowany i nie mieli jeszcze szansy go poznać.

Ale Eliana nalegała.

– Przyjechaliście z tak daleka – powiedziała. – Musicie przyjść.

Finn zastanawiał się, co by pomyślała, gdyby się dowiedziała, z jak daleka przybyli.

– Poza tym – dodała Eliana – muszę wam coś pokazać.

Finn był ciekaw, co takiego chciała mu pokazać. Tymczasem przyglądał się niemieckiej autostradzie, którą mknęli z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

– Hej, chcecie trochę trawy? – zapytał niespodziewanie Finna i Rouge młodszy z chłopaków, Philipp, wyrwając Finna z rozmyślań.

– Trawy? – Finn nie mógł pojąć, dlaczego ten chłopak proponował im niejadalne rośliny...

– Koszmarny ten pogrzeb – ciągnął chłopak. – Koszmarny. Taki słodki dzieciak. – Spojrzał na Finna. – Chcesz? Ja mam ochotę.

Finn przyglądał się, jak chłopak wyciąga przezroczystą foliową torebkę z tytoniem i skręca papierosa.

Ach, a więc tytoń kolokwialnie nazywano trawą, pomyślał Finn. Nie wiedział. Ucieszył się, że on i Rouge tak pilnie ćwiczyli bierne palenie. Przygotował się na męki.

Nie trzeba mówić, że Finn był zaskoczony, gdy zorientował się, że cienki papieros, którego skręcił Philipp, wcale nie pachniał jak tytoń, który testowali w instytucie. Właściwie miał całkiem przyjemny zapach, jak palone zioła, lecz pieprzny i ostry. Jak spicer!

– Hm? – zapytał chłopak.

Zaciągnął się i podał papierosa Finnowi.

Finn i Rouge odmówili. Była 14.35. Mieli jeszcze trzy godziny do powrotu. Musieli zachować czujność. Oparli się o siedzenie i radośnie wdychali biernie dym – tak jak ich nauczono.



Samochód skręcił w przyjemnie senną ulicę w Charlottenburgu. Był tam niewielki zacieniony skwer z kilkoma ławkami na rogu, kino, kawiarnia, kiosk z gazetami i sklep spożywczy. Finn spojrzał na znak z nazwą ulicy. Giesebrechtstraße. Sprawdzi w Cyklopie po powrocie do domu. Kiedy Renko znalazł nekrolog informujący o śmierci Madeline, przepuścili imię i nazwisko „Eliana Lorenz” przez Cyklopa, ale niczego nie znaleźli. Renko wciąż nad tym pracował, lecz nie nastawiali się na to, że cokolwiek znajdą. Za dużo przepadło. To nie musiało oznaczać, że Eliana nie przeżyła Mrocznej Zimy. Może zmieniła nazwisko, wyszła za mąż, wyjechała na wschód, na przykład do Szanghaju. Może Gao była jedną z jej potomkiń.

Może.



Lorenzowie mieszkali na najwyższym piętrze zadbanego budynku z przełomu wieków. Pod samym dachem było gorąco, być może nawet cieplej niż na zewnątrz, ale w dwóch wannach moczyło się

mnóstwo butelek wody, a inne chłodziły się w lodówce.

– Tak tu cicho – powiedział Philipp, gdy weszli do mieszkania.

Finn uważał, że to całkiem przyjemne. Jak na imprezie w akademiku, tylko bez robopomocy.

Philipp zaprowadził Finna i Rouge do pokoju Roberta, gdzie zebrali się nastoletni goście, kuzyni z Hamburga i przyjaciele Roberta i Eliany. Finn poznał „trzy J”: Joyę, Johannę i Jill, i dwie koleżanki Madeline. Była to smutna okazja, ale Finn był zachwycony, że może przebywać z tymi młodymi ludźmi, obserwować, jak włącza się staroświecki monitor komputera, pić ze szklanki z prawdziwego szkła, siedzieć na jednym z tych szwedzkich obrotowych krzeseł pokazywanych w dziale skandynawskim stałej wystawy w Muzeum Kultury Europejskiej.

– Finn?

Odwrócił się. To była Eliana. Upięła włosy do góry, ale pojedyncze kosmyki wymknęły się ze spinki.

– Mogę ci coś pokazać? – zapytała. – W pokoju Madeline.

Finn spojrzał na Rouge. Rozmawiała po francusku z Philippem i Leopoldem, ale pochwyciła spojrzenie Finna i skinęła głową.



Na ścianach pokoju Madeline wisiały zdjęcia koni i jednego czy dwóch aktorów, których Finn znał z celuloidów, oraz młodych mężczyzn grających na instrumentach muzycznych. Pokój był pełen dziewczęcych drobiazgów, zabałaganiony, bardzo różowy i całkiem inny od stonowanych, funkcjonalnych dziecięcych pokoiów, które znał Finn.

Eliana podeszła do okna i zasunęła kwieciste zasłony dwoma szybkimi ruchami ręki.

– Późnym popołudniem słońce świeci prosto tutaj – wyjaśniła.

Podeszła do biurka Madeline, gdzie piętrzyły się notatniki i papiery, leżały otwarte książki z oślimi rogami, a na straży stały dwa kubki z motywami z Londynu: ze strażnikiem gwardii królewskiej w wielkiej futrzanej czapce na jednym i z Big Benem (oczywiście przed rekonstrukcją) na drugim, oba pełne długopisów i ołówków.

– Spójrz – powiedziała Eliana – to właśnie chciałam ci pokazać.

Wzięła do ręki małe pudełko mieszczące się w jej dłoni. Miało kształt miniaturowego kufierka, a może skrzyni ze skarbem. Jego zewnętrzna część była czarna i ozdobiona delikatnymi ilustracjami w różnych kolorach. Przedstawiała karetę zaprzężoną w konie, dżentelmena w cylindrze i damę w czepku.

– Tu były miniaturowe pralinki – wyjaśniła Eliana. – Z Wiednia. Madeline zachowała pudełko, gdy zjadła czekoladki. A potem włożyła do niego to. – Otworzyła je. W środku Finn zobaczył ciasno umoszczone dwa kawałki gumy do żucia Hubba Bubba. – Pamiętasz? – zapytała.

Finn był naprawdę zdumiony.

– Ależ oczywiście!

– Zachowała je. I włożyła tutaj. Kiedyś zapytałam ją, dlaczego to zrobiła. Powiedziała, że sama nie wie. „Może na potem, kiedy znowu nas odwiedzi”, dodała. – Eliana spojrzała na Finna. – Coś nam obiecałeś, pamiętasz? Następnym razem, gdy się spotkamy, pokażesz nam, jak robisz balony.

Finn się uśmiechnął.

– Pamiętam.

– Potrafisz?

– Co?

– Robić balony.

– Och, obawiam się, że nie – odparł.

Wydawała się rozczarowana.

– Chciałabyś, żebym spróbował? – zapytał, pragnąc sprawić jej przyjemność.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Tak. Może mnie to rozśmieszy.

Finn wiele by dał, żeby ją rozśmieszyć.

– Z przyjemnością spróbuję... Którąś z tych? – spytał, wskazując na pudełko i gumę.

– Chyba tak. Okej, weź – odrzekła cicho.

Finn zanurzył kciuk i palec wskazujący w maleńkim pudełku, pogmerał przez chwilę, aby dobrze chwycić gumę, co było niełatwym zadaniem dla męskiej dłoni, i w końcu wydobyl górny kawałek. Odwrócił się do Eliany z triumfalnym uśmiechem i... zobaczył, że jej twarz jest mokra od łez. Cała twarz.

– Przepraszam – szepnęła. – Przepraszam. – Kręciła głową. – Wybacz. Nie chciałam się rozplakać.

Naprawdę przepraszam.

Finn nie miał pojęcia, co się stało. Miał tylko nadzieję, że on nie zrobił nic złego. Kręciła głową tak gwałtownie, że włosy z tyłu wysuwały się spod spinki. Chciał wyciągnąć rękę i je poprawić, ale się nie ośmielił.

– Nie wiem, który kawałek – powiedziała, nie mogąc opanować szlochu. – Nie wiem który.

Nie rozumiał.

– Mam wziąć drugi kawałek? – zapytał ostrożnie. – Nie ten?

Jej ramiona zaczęły się trząść.

– Nie. Nie wiem. – Próbowała otrzeć łzy, ale ciągle napływały następne. – Nic już nie wiem.

Rozpacz Eliany była niepokojąca. Finn pomyślał, że powinna usiąść. Odłożył pudełko i gumę na biurko i zaprowadził ją do łóżka Madeline. Usiadł obok niej. Z nocnej szafki uśmiechał się do nich zegar z myszką.

Siedzieli tak jedno obok drugiego. Tym razem pachniała kokosem, nie Nieskończonością. Może to szampon?

Patrzyła na niego przez chwilę, ale w końcu odwróciła wzrok.

– Czuję się okropnie – powiedziała. – Po prostu okropnie.

Skinął głową, aby mówiła dalej.

– Miesiąc czy dwa temu – ciągnęła – siedziałam sama w domu. Chora. Przeziębiona. I... i nagle poczułam ochotę na coś słodkiego. – Nabrała głęboko powietrza i powoli wypuściła je ustami. Łzy wciąż ciurkiem płynęły jej po twarzy. – Nie mogłam niczego znaleźć. – Spojrzała na niego i wciągnęła łzy przez nos. – Mama była na jednej z tych swoich diet. – Przewróciła oczami i przez chwilę wyglądała, jak gdyby miała się roześmiać. Jednak tego nie zrobiła. – Wzięłam kawałek gumy

Madeline. Twojej gumy. Nie powinnam. Ale wzięłam.

Wstała i zaczęła grzebać w kieszeni. Wyciągnęła chusteczkę higieniczną. Usiadła. Przez chwilę wpatrywała się w chusteczkę, po czym spojrzała na Finna.

– Była naprawdę twarda. Ta guma. O mało nie połamałam na niej zębów. – Zachichotała krótko, miętosząc chusteczkę w palcach. – Ale później poczułam straszne wyrzuty sumienia, więc ubrałam się, zesłam na dół i kupiłam nową paczkę. I włożyłam nowy kawałek do pudełka Madeline. – Znow się rozplakała. – Nigdy jej o tym nie powiedziałam. Zawsze wierzyła, że oba kawałki są twoje. – Wytarła nos. – Dlatego teraz nie wiem, który kawałek powinieneś żuć.

Finn patrzył na nią. Co mógłby powiedzieć, żeby ją pocieszyć?

W pokoju było tak cicho, że słyszał, jak wskazówka sekundowa zegara przesuwająca się od ucha myszki do jej nosa, a potem do ust.

– Chyba powinienem wziąć oba kawałki. Jeden z nich jest mój.

Zdumiewające, jak ból po prostu ześlizgnął się z twarzy Eliany.

– Jasne! – zawołała. – Dlaczego sama na to nie wpadłam? Oczywiście!

Śmiała się i płakała jednocześnie. Wyjęła z kieszeni kolejną chusteczkę i wytarła oczy.

– Oczywiście. Po prostu weź...

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym otworzyły się i wsunęła się przez nie czyjaś głowa.

– Tata – powiedziała Eliana.

Finn zerwał się, gdy wszedł Herr Lorenz.

– Wydawało mi się, że słyszę tu głosy – rzekł mężczyzna.

Eliana podeszła do ojca.

– Pokazywałam Finnowi pokój Madeline. – Wytarła nos. – Trochę się rozkleiłam.

Finn też się zbliżył. Nie był pewien, czy powinien uścisnąć dłoń mężczyzny, ale ponieważ Herr Lorenz nie wyciągnął ręki, Finn uznał, że nie jest to konieczne.

Dwaj mężczyźni przyglądali się sobie. Finn stwierdził, że pan Lorenz jest przystojny, o błękitnym oczu tak intensywnym jak czerń oczu Eliany. Wiedział, że jest życzliwy i inteligentny. Tak pisała o nim Eliana i Finn to zobaczył. A jednak wyraźnie wyczuł coś twardego w wyrazie jego twarzy, ponurym i zastygłym. Smutek, pomyślał. To musi być okropne stracić dziecko, patrzeć, jak umiera, wiedzieć, że cierpi i się boi.

– Czy już się dziś spotkaliśmy? – zapytał Herr Lorenz, mrużąc oczy.

– Nie sędzę – odparł Finn.

Ojciec Eliany podszedł do niego.

– Przepraszam, nie dosłyszałem imienia.

– Finn.

– Finn?

Eliana wzięła ojca pod rękę.

– Poznaliśmy Finna i jego dziewczynę Rouge w zeszłym roku w Dusenhuber. Mama, Madeline...

Finn się zdenerwował.

– Ona nie jest moją...

Spojrzeli na niego.

Z trudem przełknął ślinę.

– Nie jest moją dziewczyną. My... jesteśmy tylko znajomymi ze studiów.

– Rouge? – zapytał Herr Lorenz.

Finn skinął głową.

Herr Lorenz potarł czoło.

Finn od razu poczuł się jak intruz. Powinien wyjść. Ruszył w stronę drzwi.

– Chyba już czas...

– Chwileczkę. – Herr Lorenz uśmiechnął się do niego słabo. – Czy to nie pan połknął gumę do żucia w księgarskiej kawiarni?

– Obawiam się, że tak – potwierdził Finn.

Poczuł, jak na jego usta wypływa uśmiech, ale szybko go powstrzymał. Czy wypadało się uśmiechać przy tak poważnej okazji?

– Zrobił pan spore wrażenie na dziewczynkach. Madeline zachowała pańską gumę. W tym pudełeczku. Ona... – Oczy napełniły mu się łzami i przez chwilę Finn myślał, że ojciec Eliany się rozpłacze. Ale on ścisnął nos kciukiem i palcem wskazującym i wyprostował się jeszcze bardziej niż zwykle. – Czy widział pan księgę kondolencyjną?

– Księgę kondolencyjną? Nie, chyba nie.

– Jest w moim gabinecie.



– Ile tu książek! – wykrzyknął Finn.

Gabinet Herr Lorenza był królestwem książek. Znajdowały się na każdej płaskiej powierzchni.

Robert, brat Eliany, i jakiś chłopak w jego wieku, oparty o drewniany pulpit, spojrzeli na niego.

– Nigdy nie widziałem u nikogo w domu tylu książek! – powiedział Finn, przebiegając wzrokiem od półki do półki.

– No. Ale spróbuj tu jakąś znaleźć – rzekł Robert.

Ma szczerą twarz, pomyślał Finn, tak jak dziewczynki i ich matka.

– Robert. Max. To jest Finn... ee... – Eliana zwróciła się do Finna: – Jak masz na nazwisko?

– Nordstrom.

– Dobrze więc, panie Nordstrom – powiedział Herr Lorenz, wskazując na dużą otwartą księgę leżącą na pulpicie – czy mógłby się pan wpisać do księgi kondolencyjnej?

Wpisać się do księgi kondolencyjnej? Finn nigdy w życiu nie napisał nawet swojego imienia! Ale gdy chwilowa panika minęła, pomyślał, że może uda mu się z tego wymigać. Czy większość podpisów, które widział w pracy, nie wyglądała jak nieczytelne bazgroły?

Pewnym krokiem podszedł do pulpitu i spojrział na księgę.

Rety, ale się wpakował! W kłopoty przez duże „K”. Goście nie tylko się podpisywali, ale było też miejsce na imię i nazwisko oraz adres. Były tam dziesiątki nazwisk, a wszystkie napisano porządnie i czytelnie. Większość zapisano kursywą, inne drukowanymi literami. Czy potrafił pisać drukowanymi? Pewnie tak. Było to łatwiejsze niż pełna zawijasów kursywa.

Żołądek mu się ścisnął, gdy sięgał po pióro. Czuł na sobie cztery pary oczu, aż uszy zaczęły mu się

pocić. Uszy! Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek spościły mu się uszy.

Zdjął skuwkę pióra.

Wieczne pióro przypominało to z onyksowej szkatułki jego przodka. Miało taki sam ciężar i też było czarne i wypolerowane. Finn starał się przypomnieć sobie, w jaki sposób aktorzy z celuloidów trzymali pióra. Włożył je pomiędzy kciuk a palec wskazujący. Tyle pamiętał. Ale czy powinien trzymać pióro prosto do góry? A może lekko pod kątem? Prostopadle do kartki wydało mu się najlepszym rozwiązaniem. Pochylił się nad pulpitem, a w jego wyobraźni pojawił się wyraźny obraz gilotyny, która zaraz spadnie mu na szyję.

Przytknął stalówkę do papieru i nabazgrał podpis. Całkiem niezłe, jak na razie. Teraz musiał napisać swoje imię drukowanymi literami. Napisał „F”. Jedna długa pionowa kreska, dwie krótkie poziome. Potem „i”. Krótka pionowa kreska zwieńczona kropką. Czuł, jak ośmioro oczu obserwuje każdy jego ruch. Usłyszał buczenie w uszach. Buczące, spocone uszy – kto by pomyślał. Podniósł wzrok i zobaczył, że chłopcy i Eliana wpatrują się w niego, wytrzeszczając oczy i z otwartymi ustami. Spojrzał na Herr Lorenza.

– Trzeba bardzo uważać z wiecznym piórem – powiedział z zawadiackim uśmiechem.

– Zgadza się – potwierdził Herr Lorenz. – Nie powinien pan tak mocno przyciskać. To delikatna stalówka.

Policzki Finna oblał rumieniec.

– Przepraszam.

– Trochę zgłodniałam – rzuciła Eliana do chłopców. – Zjemy coś? – Spojrzała na Finna. – Zobaczymy się za chwilę.

Finn poczuł ulgę, gdy wyszli. Zastanawiał się, czy Eliana zauważyła jego niepokój i celowo odciągnęła chłopców, aby zachował twarz.

Skończył pisać imię i spojrzał na swoje dzieło. Litery zaczynały się na linii, ale potem wznosiły się coraz wyżej, jakby wchodziły po schodach. Nie były doskonałe, ale nie najgorsze. A co z adresem? Postanowił podać swój adres z Fire Island. Zaczął pisać, ale nacisnął za mocno i zrobił kleks. A wyrazy „Ocean Bay Park” były za duże i musiał ścisnąć resztę. Ale w końcu napisał wszystko: Ocean Bay Park, Fire Island, Brookhaven, Nowy Jork.

Koniec, nareszcie, alleluja! Założył skuwkę na pióro.

Obficie się pocił. Wszędzie. Nie tylko na uszach.

Herr Lorenz podmuchał na papier, a wzrok Finna padł znów na książki.

– Wydaje się pan lubić książki – zauważył ojciec Eliany.

– Och, tak!

– Pozwoli pan, że pokażę panu swoje zbiory. To pozwoli mi oderwać myśli.

– Ależ nie chcę panu przeszkadzać – odparł szybko Finn.

Herr Lorenz zaczął zdejmować książki z półek.

– Proszę się nie martwić. To dla mnie żaden problem. – Położył książki na biurku. – Projektuję litery i fonty. Zdziwiłby się pan, jak wiele tu krojów pisma. Ta sama litera może wyglądać bardzo różnie, a jednak ją rozpoznajemy.

– Tak, wiem.

– Większość ludzi się nad tym nie zastanawia. – Spojrzał na Finna, który zauważył u ojca Eliany załazek uśmiechu. – Typografowie rzadko udzielają wywiadów w wieczornych talk-show.

Otworzył książkę, a potem następną, i pokazał Finnowi użyte w nich kroje pisma. Poprosił go, aby przeczytał na głos fragmenty i przekonał się, na ile łatwo lub trudno jest odszyfrować różne czcionki. Finn chętnie się zgodził. Następnie Herr Lorenz otworzył broszurę z kolumnami liczb.

– Widzi pan te cyfry? Łatwo je przeczytać, prawda? – Z dumą uśmiechnął się do Finna. – Używa się ich w rozkładach jazdy autobusów na przystankach w Berlinie.

– To pan je zaprojektował?

Mężczyzna przytaknął.

Finn pomyślał, że pismo Eliany prawdopodobnie było tak czytelne, ponieważ jej ojciec przykładał tak wielką wagę do słowa pisanego.

– To może pana zainteresować – powiedział Herr Lorenz.

Otworzył szufladę i wyjął kilka dużych książek w miękkiej oprawie. Otworzył jedną z nich i przekartkował. Finn ujrzał litery z małymi strzałkami, pokazującymi, w którą stronę je formować.

– Podręcznik do niemieckiego pisma – wyjaśnił ojciec Eliany. – Dla trzecioklasistów. Pod tytułem *Vereinfachte Ausgangsschrift*. – Rzucił Finnowi znaczące spojrzenie. – Tak pisze Eliana, prawda?

Finn poczuł, jak zalewa go fala gorąca. Jakby Herr Lorenz wiedział, że Finn czytał pamiętnik Eliany. Ale ta chwila szybko minęła i mężczyzna już otwierał kolejne ćwiczenia, *D'Nealian Handwriting*. Przekartkował je.

– Wiele amerykańskich dzieci, tak jak pan kiedyś, uczy się pisać według tej metody. – Rzucił Finnowi kolejne przeciągłe spojrzenie. – Zgadza się?

Finn odpowiedział mu słabym uśmiechem.

– Ale wolę tę – powiedział Herr Lorenz. – To italika. Wywodzi się z Europy, z piętnastego wieku. Niedawno odkryto ją na nowo i teraz uczy się jej w Stanach Zjednoczonych w niektórych szkołach. – Otworzył książkę. Nosila tytuł *Write Now*. – Jest prosta. Elegancka. I bardzo czytelna. – Podał tom Finnowi. – Chce pan zerknąć?

Finn był pewien, że ojciec Eliany podejrzewa, że on nie umie pisać. Pewnie uważał go za bezradnego głupca. Przekartkował książkę. Kursywa nie miała żadnych zawijasów, co ułatwiało czytanie. Łączenia liter, o czym wiedział z doświadczenia, najprędzej przyprawiały go o ból głowy.

– Rzeczywiście – potwierdził Finn. – Bardzo czytelne.

Mężczyzna skinął głową.

– Cóż, na pewno gdzieś ją pan znajdzie. W księgarni. W antykwariacie. Albo w internecie. A może w bibliotece? Albo...

Drzwi się otworzyły. To była Angelika Lorenz.

– Rudi – odezwała się – Gesline i moja mama już wychodzą.

Oma Uschi?, pomyślał Finn.

Herr Lorenz z powagą skinął głową i zwrócił się do Finna:

– Teściowie. Ciąg dalszy nastąpi.

Gdy wyszedł z pokoju, Angelika próbowała uśmiechnąć się do Finna, ale bez powodzenia. Z całej rodziny ona wydawała mu się najbardziej rozbita.

– Dobrze, że przyjechaliście – powiedziała. – Gdy was zobaczyłam dziś po południu, w pierwszej chwili cię nie poznałam. Myślałam, że to jakiś żołnierz mafii.

Ach. Nareszcie. Uśmiechnęła się.

Finn odpowiedział jej uśmiechem, mimo że nie wiedział, co to jest mafia. Coś związanego ze światem przestępczym, ale co? Żołnierz mafii. Domyślił się jednak, że tylko się z nim przekomarzała.

– Bardzo szykowny zestaw – ciągnęła. – Czarny garnitur, czarna koszula, czarny krawat. Greifswald do ciebie pasuje.

Rouge się ucieszy, gdy to usłyszy, pomyślał Finn.

– Właściwie jak dowiedzieliście się o pogrzebie? – zapytała.

– Zobaczyliśmy nekrolog w gazecie – odezwał się głos przy drzwiach. – Rozpoznaliśmy wasze imiona. Angelika i Eliana.

To Rouge odpowiedziała jej po niemiecku.

Angelika spojrzała na nią.

– Naprawdę? Jesteście za młodzi, żeby czytać nekrologi.

Rouge wzruszyła ramionami.

– Finn, niedługo musimy iść – powiedziała po angielsku. Spojrzała na matkę Eliany i przerzuciła się na niemiecki. – Musimy zdążyć na pociąg.

– Zjedzcie coś najpierw – rzekła Angelika Lorenz. – I weźcie coś na drogę. Nie wiem, co zrobimy z tym całym jedzeniem.



W połowie gazpacho Finn zaczął przysypiać.

– Przypuszczaliśmy, że tak będzie – szepnęła do niego Rouge cicho, aby nikt nie usłyszał. – Zmęczenie po podróży w czasie. Musimy cię stąd wyprowadzić.

Finn rozglądał się, szukając Eliany. Ostatni raz widział ją, gdy rozmawiała na balkonie z przyjaciółkami: Joyą, Johanną i Jill, ale już ich tam nie było.

– Idź – powiedziała Rouge. – Znajdź ją. Pożegnaj się.

Finn wstał i zakręciło mu się w głowie. Przytrzymał się stołu.

– Niedobrze – stwierdziła Rouge. – Musimy pójść razem. – Wzięła go pod rękę. – Profesor dał nam coś, co możesz zażyć, jeśli ci się pogorszy.

Szli pod rękę przez mieszkanie. Było duże i przypominało labirynt. Finnowi kręciło się w głowie. Usłyszeli głosy dziewczynek dobiegające z jednego z pokojów odchodzących od długiego korytarza na tyłach. Kiedy tam dotarli, drzwi były otwarte, ale Finn i tak zapukał. Zaskoczone dziewczynki jednocześnie podniosły głowy. Eliana wstała i podeszła do nich. Finn zauważył, że znów spięła włosy kłamrą.

– Niestety musimy już iść – powiedział Finn.

– A guma? – zapytała.

– Będzie musiała zaczekać.

Skinęła głową.

– W porządku. Już jest bezpieczna. – Podeszła do nocnej szafki i otworzyła szufladę. – Tutaj.

Finn poszedł za nią. Było tam małe pudełeczko. Ale obok ujrzał o wiele większą niespodziankę: jej pamiętniki. Wszystkie trzy! Różowy winylowy. W kolorze wina, z cielejącej skóry. I ostatni, w paski. Realność ich istnienia, zaledwie kilka centymetrów od niego, była tak dziwaczna, tak surrealistyczna, że Finn pomyślał, że może równie dobrze zemdleć albo odpłynąć w nieznane. Nawet jego słuch wydawał się słabnąć. Jak to możliwe, że te pamiętniki istniały tutaj, w tym pokoju, w czerwcu 2005 roku, a jednocześnie w jego czasach, w Katakumbach, w styczniu 2265 roku? Jak to było możliwe?

– Dobrze się czujesz? – spytała Eliana.

Finn odzyskał słuch. Znów mógł oddychać. Stał na obu nogach.

– Możemy poprosić o szklankę wody? – zapytała Rouge, szukając czegoś w torebce.

Wyjęła z niej tabletkę.

Jedna z przyjaciółek Eliany poderwała się ze swoją szklanką wody.

– Weź to. – Rouge podała Finnowi tabletkę.

Połknął ją i zobaczył, że dziewczynki przypatrują mu się uważnie.

– To przez ten upał – wyjaśnił. – Nic mi nie będzie.

– Wróciły ci kolorki – zauważyła Eliana. – Naprawdę powinieneś rozluźnić ten krawat. – Patrzyła przez chwilę na Rouge, po czym powiedziała: – Daj, ja to zrobię.

Podeszła do niego i podniosła ręce do jego krawata. Ale zanim rozluźniła węzeł, przez chwilę, z pewnością nie dłużej niż przez sekundę lub dwie, stali twarzą w twarz, oko w oko, i przyglądali się sobie. W tym oszalamiającym momencie Finn poczuł gwałtowną, głęboką czułość dla Eliany. Taką jak ta, którą czuł wobec swojej rodziny. Nigdy do nikogo innego. Jej intensywność go odurzyła. Ale wtedy ona pociągnęła za węzeł, a Rouge objęła Finna ramieniem i wszystko wróciło do normy.

– Finn – powiedziała z naciskiem Rouge – musimy już iść.

Eliana pochwyciła jego spojrzenie, a on skinął głową.

– Musimy.

– Napisz – poprosiła Eliana. – Masz adres. Albo zaczekaj. Tu masz mój numer. – Chwyciła długopis i kartkę, zapisała numer, złożyła ją i wsunęła mu do kieszeni.

Spojrzał na nią. Była tylko dzieckiem. Choć czarującym. Chciałby zapamiętać te oczy. Ich wilgotną czerń, obramowaną grubymi złotymi rzęsami.

– Jaki masz adres mejlowy? – zapytała.

Adres mejlowy?

– Eliano – powiedział łagodnie – na pewno cię znajdę. Nie martw się. – Ruszył w stronę drzwi, ale jeszcze na sekundę odwrócił głowę.

Objął Rouge, żeby nie stracić równowagi, i wyszli z pokoju. Gdy znaleźli się na korytarzu, Finn usłyszał głosy dziewczynek:

– A mówiłaś, że ona nie jest jego dziewczyną – odezwała się jedna z przyjaciółek Eliany.

– Tak mi powiedział – odparła Eliana.



W drodze na Kurfürstendamm, gdzie mieli złapać taksówkę, która zawiozłaby ich na dworzec Zoo,

do ich szafki i ubrań na podróż powrotną do domu, Finn i Rouge zatrzymali się w dziale mrożonek supermarketu, aby ochłonić. Oparcie się o groszek i marchewki przyniosło im obojgu ulgę. Odświeżeni, ruszyli w podróż powrotną do domu – do stycznia 2265 roku.

Finn rusza w kursywę

Finn znalazł go w trzewiach Góry Lodowej, Katakumbach, na dziewiątym poziomie podziemnym. Znajdował się w prawie zapomnianym pomieszczeniu z nieskatalogowanymi książkami na temat druku i produkcji książek. Na półkach było pełno różnych różności, od katalogów farb podkładowych i przewodników po krojach pisma, po podręczniki do projektowania trójwymiarowych rozkładanych książek. Finn ujrzał segregatory z próbkami cienkiego papieru, kartonu, papieru przebitkowego, a wszystko ułożone obok teczek z jedwabnymi zakładkami, wyklejkami i różnymi kolorowymi niemi do zdobienia oprawy. Szuflady były wypchane broszurami wyjaśniającymi, jak obliczyć koszt druku, szafki były pełne próbek okładek z lnu, bawełny i winylu, a wszystkie w starannie zaprojektowanych książkach, które otwierały się na różne pomysłowe sposoby. Ile tu skarbów! Finn czuł się jak dziecko w sklepie z zabawkami.

Zafascynowany przez kilka godzin bez powodzenia przetrząsał te stosy, aż w końcu znalazł go, wcisnięte pomiędzy *Sammlung der Feinen Papiere* i *The Pantone Book of Color*: pierwsze wydanie *Write Now* z 1991 roku, a raczej to, co z niego zostało. Klejona okładka liczącego dwieście siedemdziesiąt pięć lat zeszytu ćwiczeń rozpadła się, a strony fruwały luzem, niektóre podarte, wyblakłe lub ze śladami pleśni. Na szczęście tekst był czytelny. Finn odczytał napisane kursywą zdanie: „Dzieci muszą codziennie posługiwać się odręcznym pismem w szkole, a większość dorosłych używa go codziennie w pracy i w życiu osobistym – pismo odręczne nigdy nie przestanie być potrzebne”.

W rzeczy samej! Teraz go potrzebował. Chciał go. Gdyby zapytano go dlaczego, odpowiedziałby tak samo jak wtedy, gdy rozmawiał z profesorem Grossmannem o pogrzebie. Dla niego samego była to zagadka, ale po prostu musiał to zrobić.

Finn czuł wypełniającą go gorączkową radość. Nie mógł się doczekać, kiedy zacznie. Tylko od czego zacząć? Potrzebował narzędzia do pisania. Mógłby użyć pióra albo ołówka ze skrzynki z przyborami matki. Znajdował się tam też atrament, ale buteleczka była prawie pusta. Nagle przypomniał sobie o wiecznym piórze swojego przodka, leżącym w onyksowej szkatułce, tym z platynowymi gwiazdkami i złotą stalówką. Od razu wiedział, że to będzie jego narzędzie do pisania. Potrzebuje jeszcze atramentu. I papieru.

Autorzy podręcznika sugerowali, by czytelnik wodził po śladzie liter w ćwiczeniach, a gdy już to opanuje, aby przepisywał litery, wyrazy i zdania w liniijkach pod przykładami. Jednak ani wodzenie piórem po śladzie, ani pisanie w rozpadającym się zeszycie ćwiczeń nie było możliwe. Rozleciałby się od samego nacisku stalówki i zmienił w bezużyteczne skrawki papieru.

Czy powinien zlecić wykonanie faksymiliów zeszytu? Ale laboratorium na pewno przekazałoby zlecenie do autoryzacji doktorowi doktorowi Sriwanichpoomowi. Coś podpowiadało mu, że lepiej będzie, jeśli zachowa to hobby dla siebie. Może powinien poprosić Renka, aby zeskanował strony przy użyciu specjalnego sprzętu dostępnego w bibliotece? Ale jak by mu to wyjaśnił? Jego wycieczki w czasie miały pozostać tajemnicą. Czy przyjaciel przejrzałby tę półprawdę i chciał się dowiedzieć

więcej?

W końcu wysłał zamówienie do Raoula Aaronsona ze Sternwood Forest – na atrament, kalkę techniczną, liniowany papier do ćwiczeń i czysty biały papier osiemdziesięciogramowy na ewentualne wydruki skanów.

Finn zamierzał nauczyć się pisać!



Czekając na przesyłkę z papierem i atramentem, pilnie pracował nad tłumaczeniem pamiętnika w paski, dokumentacją życia Eliany z okresu od 25 kwietnia 2004 do 9 czerwca 2005 roku. Na początku pamiętnika autorka miała trzynaście lat i jedenaście miesięcy, a piętnaście lat i kilka tygodni na końcu – kiedy zmarła jej siostra Madeline. Trudno mu było oddzielić piętnastoletnią Elianę, którą teraz już znał, od trzynasto- i czternastoletniej Eliany – narratorki pamiętnika, który czytał.

Przeczytał o Robercie, który dostał na miesiąc szlaban po swojej eskapadzie w dniu szesnastych urodzin, i o „skutkach ubocznych” tej kary: jego średnia ocen podniosła się z 2,8 do 1,6 – „fantastyczne osiągnięcie”, napisała Eliana. „A co najdziwniejsze: nie pracował na tyle ciężko, żeby nie mieć czasu na zakochanie się w swojej partnerce z laboratorium naukowego, Lisie Anders”. Szczegółowo opisała rodzinną wycieczkę do Wiednia w Zielone Świątki 2004 roku, od przepięknie opakowanych lilipucich pralinek, które kupili na placu Graben, po ogromny diabelski młyn na Praterze i ekscytujące popołudnie, które siostry spędziły na oglądaniu witryn sklepowych po tym, jak niby przypadkiem oddzieliły się od rodziców i Roberta. Innym ważnym wydarzeniem była letnia rodzinna wyprawa nad Bałtyk, do Wustrow na półwyspie Fischland-Darß-Zingst, gdzie Eliana nauczyła Madeline skakać na główkę do Bodden tak, żeby „nie skrzyć karku”. Eliana pisała o szkolnym życiu, sprzeczkach z koleżankami i licznych zauroczeniach, ale to rodzinne wydarzenia wydawały się zajmować honorowe miejsce w jej pamiętniku. I właśnie te relacje, opisane w tak prosty sposób, lecz z wyjątkową dla niej ironią, sprawiały, że Finn zaczął przywiązywać się do tej dziewczyny, a jeszcze bardziej do jej rodziny. Pomyślał, że chciałby lepiej poznać Roberta – może porozmawiałby z nim o science fiction. I z chęcią pokazałby Herr Lorenzowi, że umie pisać odręcznie. Nie dbał o to, że sprawy zrobią się wtedy „śliskie”. Po prostu wiedział, co chciał, co musiał zrobić. To była zagadka. A te nowe zagadki zaczynały mu się podobać.



Finn się niecierpliwił. Chciał pisać. Już, teraz. Przejrzał te nieliczne książki, które miał w Berlinie, aby sprawdzić, czy z tyłu nie znajdzie jakichś pustych stron, które mógłby wykorzystać. Miał stary egzemplarz *Buszującego w zbożu* J.D. Salinger'a z 1969 roku, w miękkiej oprawie, odrestaurowany przez jego matkę. Z tyłu były dwie czyste kartki. Na początek starczy.

Finn znalazł narzędzie do cięcia w skrzynce z przyborami matki. Wyciął z książki te dwie kartki, zatemperował ołówek i zabrał wszystko do Greifswaldu, gdzie znajdował się zeszyt ćwiczeń. Nie wolno było bez pozwolenia wносить z budynku rzeczy należących do biblioteki. Będzie musiał ćwiczyć pisanie w swoim gabinecie.

Zastosował się do wskazówek w zeszycie ćwiczeń dotyczących prawidłowej postawy przy biurku

i właściwego ustawienia ołówka, pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Wzdrygnął się na myśl o swoim kącie prostym w gabinecie Herr Lorenza.

Zamierzał pracować z książką po kolei, krok po kroku, poczynając od prostej kursywy. Zaczął od najłatwiejszych liter, aż doszedł do tych z poziomymi kreseczkami, jak „f” i „t”. Ależ to była wspaniała zabawa! Pomyślał, że musiało być trudniej dzieciom, które dopiero uczyły się czytać, lecz dla dorosłych potrafiących czytać pisanie niełączonych liter było całkiem łatwe. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Dlaczego większość ludzkości straciła tę umiejętność? Chociaż Leśni pisali odręcznie o wiele rzadziej, niż pisano w dziewiętnastym i dwudziestym wieku, nadal posługiwali się pismem odręcznym obok pisania na klawiaturach komputerów i telefonów komórkowych.

Dość już! Zapamiętał, żeby w przyszłości poświęcić więcej uwagi tej kwestii, ale najpierw musiał odczytać i przetłumaczyć ostatni pamiętnik Eliany.

Dziwnie było cofnąć się w czasie teraz, kiedy wiedział o śmierci Madeline i poznał piętnastoletnią Elianę, ale doktor doktor Sriwanichpoom i Biblioteka Europejska czekali na pamiętnik. On również. Miał nadzieję, że gdy skończy ten, dostanie następny. I jeszcze jeden. I kolejny.

6 lipca 2004

Wczoraj Madeline i ja statystowałyśmy w filmie „Legenda o Franku i Franzi”, do którego Mama robi kostiumy. Akcja dzieje się w latach 1989–2002. Film opowiada o Franku, który ma piętnaście lat i pochodzi z Berlina Zachodniego, i Franzi, która ma czternaście lat i jest z Berlina Wschodniego, i o tym, jak się spotykają przy murze dzień po jego upadku i zostają przyjaciółmi, a potem parą, a potem, trzynaście lat później, się rozstają. Madeline i ja jesteśmy koleżankami Franzi z Prenzlauer Berg w roku 1989. Musiałyśmy nosić te naprawdę paskudne kurtki narciarskie. Moja była różowo-zielona, a Madeline fioletowa, i miałyśmy na nogach buty podobne do śniegowców, chociaż wcale nie było śniegu. Był tylko mur na niby, który zbudowali do filmu. Ja nawet miałam swoją kwestię. Kiedy Frank obejmuje Franzi, mówię: „Późno już, chodźmy!”. Musiałam to powiedzieć ze sto razy. Nie żartuję! Za każdym razem gdy to powiedziałam, ktoś podchodził i mierzył światło i odległość między moim nosem a kamerą. Mama powiedziała, że dobrze mi poszło, ale ja powiedziałam, że to mój nos wszystko zrobił. Właściwie po chwili zaczęłam się nudzić i właśnie wtedy postanowiłam, że nie zostanę aktorką filmową, gdy dorosnę. To zbyt nudne! Będę pisarką. I obiecuję, że nigdy, przenigdy nie napiszę zdania: „Późno już, chodźmy!”. Ani razu!

Finn się roześmiał. Była taka zachwycająca. Jak...

– Przyłapany na gorącym uczynku! – powiedział Renko.

Finn podniósł wzrok.

– Zawsze się zakradasz. Na jakim gorącym uczynku?

– Na śmiechu. – Renko ciężko opadł na fotel. – Ty niegrzeczny chłopcze. Śmiejesz się w pracy.

– To był chichot – uściślił Finn i zamknął pamiętnik.

Zeszyt do nauki pisania też leżał otwarty na biurku, ale był zbyt kruchy, żeby go po prostu zatrzasnąć.

– Chichot czy śmiech – odparł Renko – wszystko jedno. Oba są lepsze niż twoje fochy. – Skinął głową na pamiętnik. – Znowu ta dziewczyna, tak?

– Zauważ, że sprawozdania finansowe Deutsche Banku nie wywołują chichotu u tego czytelnika.

– Racja. – Renko przyglądał się pamiętnikowi. – Ale poważnie. Co może być tak fascynującego w trzynastolatce? To przekracza pojęcie tego mężczyzny.

– Na końcu tego pamiętnika ma piętnaście – powiedział Finn w jej obronie (i, jak się zorientował, także we własnej). Z łokciami na biurku oparł głowę na dłoniach i przez chwilę zastanawiał się nad pytaniem Renka. – Nie tyle fascynujące jest to, co ona robi i o czym pisze: że poszła do szkoły, poszła spać, pokłóciła się z mamą. Chodzi raczej o to, jak to robi. Do wszystkiego podchodzi z taką pasją. Jest bardzo bezkompromisowa.

– Bezkompromisowa – powtórzył Renko. – Ciekawe.

– Ale chodzi też o coś więcej. Każda smuga atramentu, każde słowo, które skreśli, każdy błąd ortograficzny, jej wszystkie wtrącenia, to, jak zapisuje cudzysłów, to, co notuje na marginesach, wszystko prowadzi tego czytelnika prosto do jej umysłu.

– Brzmi dość intymnie – powiedział Renko i zrobił minę, jakby ssał kwaśnego cukierka.

Finn nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiał, ale Renko miał rację.

– Tak. Rzeczywiście. To jest intymne. Ten czytelnik czuje, że ona jest mu dziwnie bliska. To bliskość emocjonalna, jaką ten mężczyzna znał tylko ze swojej rodziny. Dziwne. Naprawdę.

Siedzieli w milczeniu, słuchając cichego buczenia sterylizatora do rąk. Finn poczuł, że przyjaciel przyszedł powiedzieć mu coś ważnego.

– Tak? – zapytał.

– Gao myślała, że jest w ciąży – oznajmił Renko.

Finn wiedział, że od zimowego urlopu Renko i Gao starali się począć dziecko. Mimo to nagłe wyznanie przyjaciela zaskoczyło go.

– Naprawdę?

– Niestety wynik był negatywny. Ale mówią, że mamy szansę. Jedną na cztery. A jeśli się nie uda, spróbujemy in vitro. A jeżeli to się nie uda... Zobaczymy. Tak czy inaczej, zamierzamy zalegalizować ten związek.

– Żenisz się? – zapytał Finn i od razu uświadomił sobie swoje sprzeczne uczucia.

Poczuł radość, że Renko ułoży sobie życie, i jednocześnie niepokój, że przyjaciel go opuści.

– To rozsądne – odrzekł Renko. – Ma dobre geny, dobry umysł i będzie miała dobrą pracę. Czego więcej może chcieć bibliotekarz ze złymi genami, tępym umysłem i nudną pracą?

Finn uśmiechnął się szeroko. Będzie tęsknił za Renkiem.

– A więc jest tą jedyną?

– Co to ma znaczyć: jedyną? – zdziwił się Renko. – Na pewno są inne. Ale tak, jasne, jest idealnie odpowiednia.

– A gdzie będziecie mieszkać? – zapytał Finn.

Renko posłał mu szeroki uśmiech.

– Nie martw się! Ten bibliotekarz zostaje w Górze Lodowej. Zamieszkamy w Struckum, w kompleksie dla rodzin wielopokoleniowych, gdzie zawsze mieszkali Hoogeveenowie. Cztery razy dziennie z Flensburg do Greifswaldu odlatuje szybowiec.

Hoogeveenowie, rodzina Renka, mieszkali niedaleko Morza Północnego. Dzielili kompleks z kilkoma innymi wielopokoleniowymi rodzinami z północnych Niemiec: Kuddendiekami, Hansenami, Jensenami i Klotzami. Finn kiedyś odwiedził tam Renka i został ciepło przyjęty przez wszystkie cztery pokolenia jego rodziny, lecz większość pozostałych mieszkańców uznała za dziwne

to, że Finn wychował się w rodzinie dwupokoleniowej w osobnym domu. Traktowali go z najwyższą ostrożnością i Finn to czuł.

– Nie możemy się doczekać ślubu – powiedział Renko.

Finnowi wydawało się, że przyjaciel próbuje przekonać samego siebie, że nie może się doczekać, lecz on zdawał się tego nie zauważać. Przyglądał się Finnowi.

– Zastanawiasz się czasem, jak ona wyglądała? – zapytał.

– Ona?

– Och, Finn. – Renko westchnął i wskazał na pamiętnik.

– Eliana?

– Halo?

– Czy się zastanawiam? Nie, właściwie nie – odparł Finn.

I było to zgodne z prawdą. Finn nie musiał się zastanawiać, jak wyglądała Eliana. Już wiedział.

Zirytowany Renko rozsiadł się w fotelu.

– Dobrze, a więc gdybyś się zastanawiał, to jak by wyglądała? Ciemne włosy? Takie jak twoje?

– Ależ skąd! – odparł ze wzburzeniem Finn. – Zdecydowanie jest blondynką. Ma bujne, grube blond włosy. Długie. Układają się w loki.

Renko się zaciekawił.

– Bardzo szczegółowy opis. A oczy? Jak je sobie wyobrażasz?

– Ciemne. Właściwie czarne. Z bardzo jasnymi rzęsami.

– Rzadkie zestawienie. Ale nie niespotykane. Niska?

Finn westchnął.

– Dlaczego o to pytasz?

Renko tylko wzruszył ramionami.

– Średniego wzrostu – powiedział Finn i usiadł na krześle. Zamknął oczy i próbował przypomnieć sobie, jak wyglądała Eliana. – Ładna, ale nie klasycznie. Raczej bardziej charyzmatyczna niż piękna.

Czarująca. I rozbijająca. Pewna siebie.

– Trudne do spełnienia warunki.

– I bystra! Na pewno jest bardzo bystra jak na swój wiek.

Renko się poderwał.

– Bystra? Doskonale! Arietta Glorietta Mueller. Koleżanka Gao. Pasuje do opisu w każdym calu. Urocza dziewczyna. Interesują ją języki. Uczy obowiązkowego rosyjskiego w prowincji albańskiej.

Zobacz.

Finn przewrócił oczami.

Renko przechylił głowę w prawo i przesłał Finnowi fotografię.

Pojawiła się na ekranie móżgółacza Finna.

– Och, Renko – powiedział. – Proszę. Nie dziś.

– Okej. Wobec tego jutro. Zmiana tematu. Dobra wiadomość.

– Dawaj.

– Ten bibliotekarz – rzekł Renko nie bez dumy – znalazł sporo filmów, do których kostiumy projektowała Angelika Lorenz.

– Dobra robota, Sherlocku! – powiedział zachwycony Finn.

– „Dobra robota, Sherlocku”? – powtórzył Renko. – Sam to wymyśliłeś?

Finn poczuł, jak płoną mu policzki. Słowa po prostu wymknęły się z jego ust. Nauczył się tego zwrotu od Eliany. Powiedziała tak do Madeline w Dusenhuber. Czyżby Renko podejrzewał, że zaczerpnął to od niej?

– Ten czytelnik gdzieś to podłapał.

Renko skinął głową i ciągnął:

– Mamy dwa z tych filmów w magazynie działu celuloidów.

– Naprawdę? – Serce Finna już pognało tam korytarzem. Dok-Dok będzie podekscytowany, gdy usłyszy o tych badaniach. – Czy jednym z nich jest może *Legenda o Franku i Franzi*?

Renko przekrzywił głowę i sprawdził.

– Niestety nie. Dlaczego pytasz?

– Eliana w nim występowała.

– Wobec tego musimy go znaleźć! – Twarz Renka rozświetliła się niczym pas dozorca JoeJoe. – Ten bibliotekarz się tym zajmie. Niezwłocznie.

Renko uwielbiał pościg za nieosiągalnym. Zaczął skakać po pokoju.

– Może ten film trafił do Biblioteki Europejskiej w Bolonii. Albo do Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie. A może do jednej z bibliotek Leśnych. – W tym entuzjazmie jego wzrok padł na zeszyt ćwiczeń na biurku Finna. Zatrzymał się gwałtownie. – Co to jest?

Nadeszła chwila Finna.

– Ćwiczenia do nauki pisania. Wspomina o nich. Jej ojciec był typografem, projektantem krojów pisma. – Niczego takiego nie było w pamiętniku, ale Renko o tym nie wiedział. – Kurzyły się na dziewiątym poziomie podziemnym.

Renko rzucił Finnowi badawcze spojrzenie, po czym powiedział:

– Chcesz się nauczyć pisać.

Nie było to ani pytanie, ani stwierdzenie. Renko nie wydawał się zszokowany ani oburzony. Ale nie widać też było, aby go to zaintrygowało czy zachwyciło.

– Tak – odrzekł Finn tak beznamiętnie, jak potrafił. – Ten deszyfrant pomyślał, że przyda mu się to w pracy, ponieważ ułatwi odcyfrowywanie nieczytelnych słów.

Nie miał pojęcia, skąd mu przyszła do głowy ta odpowiedź. Nie zastanawiał się nad nią. A jednak się pojawiła. Ale po chwili namysłu uznał, że miała stuprocentowy sens. Nauka pisania jednym rodzajem pisma odręcznego mogła pomóc w nauczaniu się innych, blisko spokrewnionych. Deszyfranci za bardzo polegali na programach w swoich mózgołączach!

– Hm – odparł Renko, nie spuszczać wzroku z Finna.

Czyżby mu nie wierzył?

Renko odwrócił się na pięcie, włączył sterylizator do rąk, potarł pod nim dłonie, a następnie wrócił do biurka Finna. Pochylił się nad zeszytem ćwiczeń, a potem ostrożnie przewrócił stronę. Róg kartki odpadł.

– Tej książki nie da się czytać w tym stanie. Powinieneś poprosić laboratorium zajmujące się wiernymi replikami o nową.

– Dok-Dok się nie zgodzi. Uważa, że na razie jest dość pracy przy pamiętniku – powiedział Finn i uznał, że coraz lepiej idzie mu wciskanie kitu.

– To zaczekaj z tą kursywą.

– Ale pisanie sprawia przyjemność. W jakiś sposób przypomina medytację. Jest kojące.

Renko rzucił przyjacielowi kolejne badawcze spojrzenie – jakby miał rentgen w oczach i prześwietlał jego wnętrze, by upewnić się, co tak naprawdę nim kieruje. W końcu powiedział:

– Ten przyjaciel cieszy się, że znalazłeś coś, co pozwala ci oderwać myśli. Wolelibyśmy co prawda, aby uwagę odwróciła Arietta Glorietta Mueller. To by przyniosło korzyść tobie i Europie. Ale jeśli twoją odpowiedzią jest kursywa, niech tak będzie.

– Dzięki. Arietta Glorietta nie odejdzie w niepamięć. – Zniżył głos: – Renko, ty masz dostęp do skanerów. Czy mógłbyś...

– Zeskanować całą książkę? – wykrzyknął. – Ale...

– Tylko strony od pierwszej do sześćdziesiątej dziewiątej. Reszta mówi o historii pisma.

– Tylko?

Finn błagał go wzrokiem, aby się zgodził.

– Proszę.

Renko westchnął.

– Dobra, wariacie. Po godzinach. Skany zostaną przesłane do twojej skrzynki. – Skierował się do wyjścia. – A więc teraz...

– Renko?

Przyjaciel odwrócił się gwałtownie.

– Wydruki. Na studwudziestogramowym papierze.

– Postradałeś rozum, Finn? Siedemdziesiąt stron na studwudziestogramowym papierze? My nie...

– Raoul Aaronson ze Sternwood Forest produkuje papier. Przyślą go w tym tygodniu.

– Stać cię na to?

– Artu miał sklep pełen mebli z dwudziestego pierwszego wieku. Ten spadkobierca coś sprzeda. Znasz może jakichś tybetańskich mnichów? Albo zamożną wdowę lub dwie?



Dwa dni później przysłano papier z Kanady. Trzydzieści pięć kartek powędrowało prosto do Renka, który miał wydrukować siedemdziesiąt pięć skanów. Tymczasem Finn poprosił Cyklopa o radę, jak wyczyścić wieczne pióro. Znalazł potrzebne informacje, rozebrał pióro w gwiazdki i przygotował je do użycia. Był gotów zacząć, gdy tylko Renko skończy skanowanie.

Wrócił do pasiastego pamiętnika, do czternastoletniej Eliany i swojego tłumaczenia.

Sobota, 29 czerwca 2004

Spędziliśmy dzień w Lockowdamm. Najpierw Tata zawiózł Madeline do jej przyjaciółki Carolin, a potem zabrał mnie, Johannę i Joyę na basen. Było bardzo wcześnie, na długo przed pojawieniem się tłumów. Johanna, Joya i ja byliśmy praktycznie same w basenie dla nieumiejących pływać i zjechałyśmy po zjeżdżalni przynajmniej pięćdziesiąt razy bez czekania. Kiedy przyszły wszystkie małe dzieci i zaczęły sikać do wody, przeniosłyśmy się do basenu dla pływających, a potem do basenu do nurkowania.

Wczoraj Lucas powiedział Johanniemu, że będzie dziś w Lockowdamm z Maksem i Erikiem, więc kiedy tam przyjechaliśmy, szukałyśmy ich, ale pewnie było za wcześnie, bo ich tam nie było. Naprawdę byłam podekscytowana, że spotkam się z Maksem. On jest taki słodki. Podoba mi się, jak włosy wpadają mu do oczu, a dżinsy tuż pod pupą po prawej stronie ma rozcięte w poprzek i kiedy idzie, przecięcie otwiera się i zamyka – jakby jego spodnie uśmiechały się, a potem marszczyły. To przezabawne.

Siedziałyśmy na trawie, mniej więcej o drugiej, kiedy w końcu zobaczyłyśmy Maksa, Erika i Lucasa, którzy właśnie przechodzili obok nas. Nie mogłam uwierzyć, jak serce zaczęło mi wywijać salta. To było strasznie dziwne. Wirowało i wirowało jak w pralce. Zaczęłam chichotać i nie mogłam przestać. To było okropnie śmieszne.

Poszłyśmy za Maksem i Erikiem, i Lucasem bez ich wiedzy i zobaczyłyśmy, że idą na trampolinę. Szybko kupiłyśmy lody, a potem pobiegłyśmy na trampolinę i udawałyśmy, że wpadłyśmy na nich przypadkiem. „O, cześć, ale zbieg okoliczności!”, mówiłyśmy. Komiczne!

A potem też stanęłyśmy w kolejce. Max stał za mną. Jadłam lody waniliowe. A on podszedł naprawdę blisko, tak blisko, że czułam od niego zapach chloru, a on mnie objął. Dostałam gęziej skórki na całym ciele. Od głowy aż do palców stóp (paznokcie, tak w ogóle, pomalowałam na różowo). I przysięgam, czułam go przy sobie. Dokładnie przy sobie. To znaczy, czułam, jak się robi twardy przy mnie. I duży. Nie mieliśmy nic na sobie. Tylko stroje kąpielowe. Tak więc to oczywiste, że go czułam. Samo myślenie o tym teraz sprawia, że mój żołądek znowu wywija akrobacje jak w pralce.

I tak staliśmy. Ja i moje lody waniliowe (już zawsze będę uwielbiać lody waniliowe i zapach chloru), i Max, który robi się coraz większy i twardszy przy mnie. I było to takie przyjemne. Nie tylko dlatego, że go czułam przy sobie, ale też dlatego, że ja się czułam naprawdę dobrze. W środku. Jakby mokra. I było to takie podniecające...

Finn zatrzasnął pamiętnik. O rany! Potrzebował porządnego drinka, żeby przebrnąć przez ten fragment.

Właśnie przygotowywał spicer z odrobiną czegoś mocniejszego, kiedy na ekranie jego mózgołacza pojawiła się migająca ikona wiadomości. Od Renka. Zeszyt ćwiczeń był gotowy.



Finn robił postępy. Rozstaw liter i ich pochylenie wyglądały już całkiem nieźle. Najpierw łączył kropki w litery, potem samodzielnie pisał je w wyznaczonym miejscu. Pracował nad wielkimi literami. Najtrudniejszy był znak „et” (&), ale tylko go to zachęciło, żeby nauczyć się pisać ten znak prawidłowo. Potem zaczął kopiować całe zdania, które podawali autorzy. Kiedy się z nimi uporał, przeszedł do kursywy. Wiele z tych liter miało przedłużenia zwane szeryfami, od jednej litery do następnej, ułatwiające pisanie bez odrywania pióra od papieru. Niektóre miały cienkie szeryfy na początku, nadające im bardziej ozdobny wygląd i pomagające uzyskać równiejsze i szybsze pismo.

Finn przerabiał książkę w szybkim tempie, litera po literze, zdanie po zdaniu, strona po stronie. Mijały godziny, dni, tydzień, dwa. Nauczył się pisać kursywą, szeryf po szeryfie. I tłumaczył pamiętnik Eliany, wpis po wpisie, aż skończył. Dwa razy w tygodniu grał w slapbacka z Renkiem, chodził na drinka z Ariettą Gloriettą Mueller i na herbatę z inną koleżanką Gao, Morianną Knightley. Obie są doskonałe, pomyślał Finn, tylko nie dla niego.

Odłożył pióro. Ręka mu się zmęczyła. Poza tym był umówiony. Z Rouge i wirówką przeciążeniową.



Jechali robotaksówką do Instytutu Olgi Żukowej.

– Dlaczego uważasz, że musimy poćwiczyć na wirówce? – zapytał Finn.

Rouge wzruszyła ramionami.

– Wybacz – powiedział – ale wzruszanie ramionami nie działa już na tego podróżnika w czasie.

– Siła grawitacji – odparła po prostu. – Teraz lepiej?

– Przecież nie zostaniemy wystrzeleni w kosmos.

– W czas. Zostaniemy wystrzeleni w czas. I dlatego jesteśmy narażeni na skrajne przeciążenia.

– Ale podczas ostatnich trzech podróży nic nam się nie stało.

– Mieliśmy szczęście. Jednak ostatnio pojawiły się jakieś zakłócenia w atmosferze, które mogą sprawić, że zostaniemy narażeni na ekstremalne przeciążenia.

– Jakie zakłócenia?

– Jak ci to wyjaśnić... – Westchnęła, jakby skarżąc się, że musi to tłumaczyć prostaczkowi,

i zaczęła: – Nasza ziemia dzieli wspólną przestrzeń z kilkoma innymi alternatywnymi rzeczywistościami, innymi światami, które się od niej odgałęziły...

– Tak, tak – powiedział Finn. – Uczyliśmy się w szkole o światach równoległych.

– A więc dobrze – ucieszyła się. – Wiesz wszystko na ten temat.

– Czy istnieje ryzyko, że utkniemy w świecie, na przykład pełnym dinozaurów?

– Nie – odparła ze śmiechem. – To błędne rozumowanie. Te alternatywne rzeczywistości są teraz za daleko od nas.

– To o jakiej alternatywnej rzeczywistości mówimy?

– Ta podróżniczka w czasie nigdy żadnej nie doświadczyła. – Zaczynała się niecierpliwić. – I ty też nie doświadczysz. Omijamy te problemy dzięki ekstremalnemu gwałtownemu przeciążeniu.

– Dlatego ćwiczymy w wirówce?

– Między innymi. Kolejnym problemem jest to, że im dłużej zostaniemy w przeszłości, tym większe przeciążenie będzie nam potrzebne do powrotu. Dlatego ćwiczymy. Poza tym – dodała, posyłając mu kokietyjny uśmiech – ćwiczenia na wirówce ci się przydadzą. Dzięki nim staniesz się bardziej męski.

Po raz pierwszy od długiego czasu Finn usłyszał u niej uwodzicielski ton.

– Już się nie mogę doczekać – powiedział.

Wyprostował nogi, oparł się i splótł dłonie na brzuchu.

Rouge położyła ciepłą dłoń na jego ręce.

– Ta przyjaciółka tylko się droczy – rzekła łagodnie. Jej głos był przyjemnie ochryply.

Robotaksówka zatrzymała się przy Zburzonej Bramie na Pariser Platz, aby przepuścić długi sznur pojazdów turystycznych. Wiał chłodny marcowy wiatr, lecz w taksówce było przytulnie. Finn spojrzał na Rouge. Jej palce muskały teraz jego dłoń. Ich ramiona się dotykały. Byłoby tak łatwo, pomyślał Finn, tak łatwo powiedzieć: tak.

– Och, a to co? – zapytała, wodząc palcem wskazującym po małym bulwiastym odcisku, który powstał obok górnej kostki środkowego palca Finna.

Z zaciekawieniem spojrzał na wybrzuszenie, a potem na Rouge i wzruszył ramionami.

– Przykro mi, ale będziesz musiał się bardziej postarać – powiedziała Rouge, naśladując Finna. – Wzruszanie ramionami nie działa już na tę przyjaciółkę.

Roześmiał się. Głośno i szczerze.

– Poważnie! Ten mężczyzna nie ma pojęcia, skąd się to wzięło! – Naprawdę nie wiedział.

W tym momencie dojechali do głównej siedziby na Potsdamer Platz.



Później tego wieczoru, po wstrząsającym doświadczeniu w wirówce przeciążeniowej, podczas którego Finnowi wydawało się, że może stracić nie tylko życie, ale też zawartość żołądka, sprawdził w Cyklopie, co to może być za odcisk. Dowiedział się, że to „odgniotek pisarza”. A fakt, że pojawił się tak szybko, oznaczał, że za mocno ścisnął pióro. „Wyobraź sobie, że pióro to pisklę – pisała specjalistka od pisma odręcznego, Kate Gladstone, w 2011 roku. – Stalówka pióra to dzióbek, część przy palcu to szyja, oprawka to tułów pisklęcia. Twoim celem jest pisać tak, aby nie zmiażdżyć biedactwa”.

Finn pilnie ćwiczył. Był pewny, że nie miażdży wymyślanego pisklaka, a mimo to wyrzucenie pozostało.

Czasem zastanawiał się, czy ktoś mógłby się zorientować, że pisze, a nawet przyłapać go na gorącym uczynku. Drzwi do jego pokoju w akademiku zamykały się automatycznie, gdy wchodził lub wychodził. Ale tak jak we wszystkich apartamentach, drzwi do wspólnej kuchni i prysznic były otwarte. Zdarzało się, że Rouge, Yolanda czy Severin wpadali niespodziewanie. Gdyby Yo lub Sev przyłapali go na pisaniu, mogliby pomyśleć, że pracuje, ale Rouge od razu by się kapnęła. Wprawdzie nie łamał prawa, ale nie musiała o wszystkim wiedzieć. Nie był do końca pewien, na czym polegała jej rola w *Projekcie Czas*. Czy naprawdę była przyjaciółką? Czy wrogiem? A może jednym i drugim? Finn doszedł do wniosku, że najlepiej będzie pracować w domu, jego prawdziwym domu na Fire Island. Przesłał doktorowi doktorowi Sriwanichpoomowi tłumaczenie trzeciego pamiętnika Eliany. Miał nadzieję, że otrzyma czwarty, ale jeśli następny pamiętnik nie istnieje, prawdopodobnie dostanie jakieś inne zlecenie. Dlaczego by nie wybrać się do Ameryki Północnej przed następną wycieczką do Berlina z dwudziestego pierwszego wieku?



– To rozsądny pomysł, panie Nordstrom – powiedział profesor Grossmann. – Nie mamy nic przeciwko temu, by pracował pan w domu przez najbliższe dziesięć dni czy coś w tym rodzaju. Instytut cieszy się z pańskiego powrotu do zdrowia po ostatniej wyprawie. – Przez chwilę sprawdzał coś na ekranie swojego mózgołacza. – Zażywa pan witaminy i lekarstwa, które panu przepisaliśmy, panie Nordstrom?

Zaskoczony Finn podniósł wzrok.

– Oczywiście – odrzekł. – Oczywiście.

Przez cały lunch w stołówce instytutu, Cook'n'Geek, Finna rozpraszał krawat bolo profesora. Ale teraz, gdy zasłona z chmur rozstąpiła się i promienie słońca wpadły przez okna, w końcu mógł mu się dobrze przyjrzeć. Spinka była okrągła, o średnicy czterech centymetrów, płaski kawałek bursztynu z uwięzioną wewnątrz pszczołą. Przypominała Finnowi pierścienek jego przodka z czarnej onyksowej szkatułki, tyle że pszczoła w spince profesora była bardziej rachityczna i uległa

właściwie całkowitemu rozkładowi.

– Niezły okaz, prawda? – powiedział profesor.

– Fascynujący – przyznał Finn.

Rouge pochyliła się i też zerknęła.

– Ta pszczoła ma czterdzieści pięć milionów lat – wyjaśnił profesor. – Bardzo interesujące DNA.

– Niewyobrażalne – rzekł Finn.

Profesor podniósł dłoń i wezwał kelnera Wozniaka BER-OZI-cg72.

– Może coś do picia na koniec? – zapytał Rouge i Finna.

Skinęli głowami.

– Sir? – zapytał kelner Wozniak.

– Koktajl z owoców leśnych – poprosił profesor i spojrzął na Rouge i Finna.

– Cynamonowy zing – powiedział Finn.

– Wodę – rzekła Rouge.

Kelner Wozniak odszedł, a profesor znów zwrócił się do swoich towarzyszy:

– Dobrze, dzieciaki, czekają was jeszcze cztery wycieczki. Panie Nordstrom, proszę być przygotowanym na to, że skontaktują się z panem w ciągu siedmiu do dziesięciu dni w sprawie czwartej wyprawy do Berlina z pierwszego października dwa tysiące siódmego roku. Będzie to dwunastogodzinna wycieczka. Wyprawa piąta, prawdopodobnie do wiosny dwa tysiące dziewiątego, będzie trwała dwadzieścia cztery godziny, z noclegiem. Znaleźliśmy dla was miły hotel. – Wszedł do swojego mózgołacza i przeczytał z ekranu: – Jest. Hotel Clara w Wilmersdorf. – Spojrzął na Finna i Rouge. – Nie ma basenu, ale za to jest sauna, jeśli chcecie, z basenem z chłodną wodą, w którym można się zanurzyć. Oboje macie jedyńki. Wyprawa szósta potrwa tydzień. Jeszcze nie ustalono szczegółów.

– Tydzień! – wykrzyknął Finn. – To długo.

– Nie będziecie się nudzili – zapewnił go profesor i puścił do niego oko. – Niech nam pan zaufa.

– Możemy polecieć do Stanów Zjednoczonych! – rzekł Finn do Rouge. – Ten nowojorczyk chciałby zobaczyć miasto przed...

– Niestety, panie Nordstrom, to nie jest dozwolone – przerwał mu profesor. – Nie wspominaliśmy o tym wcześniej, ponieważ nie chcieliśmy was niepokoić, ale musicie pozostać w promieniu trzystu pięćdziesięciu kilometrów od miejsca wejścia. W tym przypadku w Berlinie. Przykro mi. – I dodał z uśmiechem: – Ale niech pan pozdrowi ode mnie Nowy Jork, kiedy będzie pan tam jutro. To takie uroczyste miasto.



Kiedy następnego dnia Finn dotarł na Fire Island, czekała na niego przesyłka: nowy pamiętnik Eliany. Czwarty. Właściwie trochę się go spodziewał. Wcześniej tego dnia na podniebnym terminalu w Berlinie wpadł na dyrektora Biblioteki Europejskiej, doktora doktora Rirkrita Sriwanichpooma. Dał mu on do zrozumienia, że w Nowym Jorku będzie na niego czekało coś godnego uwagi.

Finn pomyślał, że gdyby chodziło o sprawozdania finansowe Deutsche Banku, ten wyjątkowo bezpośredni człowiek z przyjemnością by mu o tym powiedział.

Ten notatnik, w elastycznej, papierowej czarnej okładce i z widocznym szyciem na grzbiecie, był najcieńszy ze wszystkich. Miał dwadzieścia cztery zwykłe kartki i szesnaście do oderwania z tyłu, a jedną z nich chyba już ktoś wyrwał. Przy trzeciej stronie okładki znajdowała się papierowa kieszonka – pusta. Na ostatniej stronie okładki wytłoczona była nazwa producenta: Moleskine®.

Finn obiecał sobie, że tym razem przeczyta to cienkie dzieło jak należy. Chciał delektować się biegiem czasu, cieszyć się życiem Eliany tak, jak ona je doświadczała, towarzyszyć jej od pierwszego wpisu przez kolejne, do ostatniego. Krótko mówiąc: żadnego wybiegania do przodu.

Otworzył pamiętnik. Na pierwszej stronie widniało nazwisko i adres Eliany, a poniżej inny adres, zapisany drobniejszym pismem: c/o Weiss, 742 Appletree Lane, Teaneck, New Jersey, 07666 USA.

New Jersey?

Pamiętnik zaczynał się 6 lutego 2007 roku. We wtorek.

Eliana miała szesnaście lat i dziewięć miesięcy. Jej pismo było nierówne i trudne do odczytania.

Wtorek, 6 lutego 2007

Dobra. Spróbuję. Spróbuję pisać. Przestałam. Ale pomyślałam, że powinnam znowu spróbować. Równie dobrze mogę zacząć teraz. W samolocie.

Aha! A więc pisała w samolocie. Może dlatego pismo było takie nierówne.

Mama kupiła mi dzienniki. Są trzy w paczce. Podoba mi się ich prostota. Pomyślałam, że nie muszę nawet pisać pełnych zdań. Tylko zwrot. Albo słowo. Kiedy na nie spojrzę, przypomnę sobie, co miałam na myśli, a gdy Mama i Tata zadzwonią, będę miała pod ręką listę wszystkiego, o czym chciałam im powiedzieć. Na przykład:

- 1. Lotnisko Heathrow / Nieskończoność*
- 2. Baileys*
- 3. Własny monitor*

Mogę im powiedzieć, że zajęło mi prawie godzinę, żeby przesiąść się do następnego samolotu na Heathrow, szłam i szłam, i szłam, i myślałam, że spóźnię się na samolot, bo musiałam czekać całą wieczność, żeby przebrnąć przez kontrolę bagażu podręcznego, ale w końcu i tak miałam czas, żeby kupić Nieskończoność w sklepie bezcłowym.

I mogę im opowiedzieć, że steward zaproponował mi po kolacji likier Baileys i nawet nie zapytał, ile mam lat! Ciekawe, czy stewardesa zrobiłaby to samo?

I mogę im opowiedzieć, że miałam swój własny telewizorek w samolocie. Wbudowany w oparcie fotela przede mną. Obejrzałam „Małą Miss”, jakieś brytyjskie seriale komediowe i...

Ups. Turbulencje. Nie mogę pis...

Finn przeczytał pamiętnik zdanie po zdaniu, śledząc życie Eliany na wymianie licealnej. Minęło piętnaście miesięcy od ich ostatniego spotkania. Dawno zniknął z jej pamięci, ale ona pozostała w jego. Chętnie wspominał tę krótką chwilę, kiedy rozluźniała węzeł jego krawata...

Eliana opisywała życie z rodziną Weissów na przedmieściach New Jersey. „Proszę, Mów Mi Wendy” Weiss, kiedyś nauczycielka wuefu w nowojorskim liceum, teraz prowadziła studio jogi w Englewood w New Jersey. Danny Weiss był profesorem psychologii na Uniwersytecie Rutgersa i dojeżdżał do pracy w niektóre dni, co zajmowało mu siedemdziesiąt minut. Ich córka, szesnastoletnia Sarah, była teraz nową najlepszą przyjaciółką Eliany.

Duża część tego, czego Finn dowiedział się o pobycie Eliany w New Jersey, została ujęta wyrywkowo, bo tak jak napisała wcześniej, notowała tylko hasłowe wyrazy i zwroty.

- *salatka z niskokalorycznym francuskim dressingiem co wieczór*
- *cockerpoo, Nick, uroczy*
- *Sarah depiluje woskiem włosy łonowe! Alé!*
- *sąsiedzi z domu obok: koszerni*
- *pan Weiss: chude nogi. Okulary. Bardzo bystry. Łysiejący.*

Co pewien czas Eliana pisała dłuższe fragmenty prozą: o tym, że spędziła trzy godziny w synagodze i prawie nic nie rozumiała; o pysznej kolacji pesachowej na początku kwietnia i o wszystkich krewnych i znajomych, którzy przynieśli coś do jedzenia. Zdumiewająco szczegółowo opisała rosół z kulkami macy, kugel marchwiowy i bezy z truskawkami i czekoladą. Jej wspomnienie o antrykocie, który pomogła przyrządzić, sprawiło, że Finn tak zgłodniał, że mógłby zaprzedać swoją wegetariańską duszę diabłu tylko po to, aby go skosztować. Poświęciła trochę uwagi wycieczkom z Sarah do centrum handlowego, podobnie jak ich weekendowym wyprawom na Manhattan. Chłopcy też zajmowali ważne miejsce w jej pamiętniku. Niektórzy byli „boscy”. Inni „dziwni”. Kilku było „super”. Większość była „totalnymi frajerami”. Ale jedno ich łączyło: „Nie potrafią się całować! Za bardzo nieporadnie. Bez serca”. To, jak wiedział Finn, od dawna było problemem Eliany.

Dni Finna były wypełnione. Rano przez godzinę lub dwie pracował nad pamiętnikiem, potem szlifował odręczne pismo. Zbliżał się do końca podręcznika i teraz ćwiczył łączenie liter. Po lunchu szedł na długi spacer po plaży, patrzył, jak fale dobijają do brzegu i odpływają. Przyglądał się trzcinom falującym na wietrze. Śledził wzrokiem mewy, wzbijające się i opadające gwałtownie. Czasem odważył się na krótką kąpiel w lodowatym morzu.

Popołudnia były zarezerwowane dla pamiętnika.

Dni stawały się coraz dłuższe. Wczesnym wieczorem Finn siadywał na tarasie i obserwował zachód słońca. Kucharz Carlo Canelli przyrządzał dla niego kolację. Później Finn ćwiczył pisanie. Czasem wieczorem znów przechadzał się po plaży i otulony kocem patrzył na gwiazdy.

Już prawie skończył czytać czwarty pamiętnik. Cieszył się szczęściem Eliany. Dobrze się bawiła za granicą. Od czasu do czasu pisała o Madeline: „Spodobałoby się jej centrum handlowe” albo: „Boli mnie, gdy pomyślę, że nigdy nie spacerowała po Central Parku w ciepły wiosenny dzień”.

A potem nagle pewnego popołudnia przeżył szok na widok własnego imienia.

Niedziela, 27 maja 2007

Byłam dziś na Fire Island! A było to tak.

W moje urodziny Wendy wspomniała, że kiedy była mała, mieszkała tylko o kilka przecznic od Atlantyku, w Far Rockaway. Pokazała mi to miejsce na mapie, a ja zobaczyłam, że graniczy z Long Island i od razu pomyślałam o Finnie Nordstromie, chociaż nie myślałam o nim przez jakiś czas. Znalazłam Fire Island na mapie. „Znam kogoś, kto mieszka właśnie tutaj!”, powiedziałam. I natychmiast stanęła mi przed oczami jego twarz. Te wyraziste oczy. I lekki cień zarostu na policzkach – taki seksowny. Pamiętam, że przez wiele dni po pogrzebie rozmawialiśmy z trzema J o tym, jaki jest super, o jego garniturze, włosach, uśmiechu, życzliwości. Był taki... sama nie wiem... taki... właściwy. Nie potrafię tego wyjaśnić. Tak czy inaczej Wendy Weiss powiedziała: „Jeździ na Fire Island w lecie?”. A ja odpowiedziałam: „Wydawało mi się, że

tam mieszka". A ona zapytała mnie, czy jego dom był przygotowany na zimę, a ja powiedziałam: „Chyba tak”. A potem powiedziałam jej, że prawie dwa lata temu kilka tygodni po pogrzebie dwa razy do niego napisałam, ale nie dostałam żadnej odpowiedzi, a kiedy sprawdziłam jego adres na mapach Google, znalazłam jego miejscowość, Ocean Bay Park, ale nie wiedziałam, na jakiej ulicy mieszka. I że po tym jakby wypchnęłam go z myśli. Wtedy Wendy zapytała mnie i Sarah, czy chcemy pojechać na Fire Island, ponieważ ona też chciałaby znów zobaczyć to miejsce – opiekowała się tam kiedyś dziećmi w lecie. Tak więc pojechaliśmy.

Było pięknie – mimo że strasznie wiało i odmroziłyśmy tyłki w letnich ciuchach. To miejsce tak bardzo przypominało mi Bałtyk i Fischland-Darß-Zingst, z tym cienkim pasem lądu z oceanem po jednej stronie, a płytką zatoką po drugiej.

Zastanawiam się, dlaczego Finn nie wpisał do księgi kondolencyjnej nazwy swojej ulicy. Kiedy szłam plażą, poczułam coś przedziwnego, jakby coś wirowało mi w żołądku. Czuję, że on tam jest, właśnie tam, tuż za rogiem albo za skałami, albo kupuje gumę do żucia w sklepie spożywczym. Miałam nadzieję, że może nagle przypadkiem na niego wpadniemy. Oczywiście tak się nie stało. Ale jestem pewna, że gdybym go zobaczyła, zapomniałabym, jaka byłam rozczarowana tym, że nigdy nie zadzwonił, i przytuliłabym go tak mocno, że by się udusił. Miałby za swoje!

Finn był oszołomiony. A jednak coś znaczył dla Eliany. Rozczarował ją. Już bardziej „ślisko” być nie mogło, prawda?

Przewrócił kartkę.

Wtorek, 4 czerwca 2007

Przeziębiam się. Apsik!

Sobota, 9 czerwca 2007

Druga rocznica śmierci Madeline. Trudno jest...

Czwartek, 14 czerwca 2007

Lecę w weekend do domu. Stęskniłam się za Mamą i Tatą, a nawet za Robertem. Wiozę mu całą masę książek science fiction.

Pozostała część strony była pusta. Finn otworzył na następnej. Też nic. Na kolejnej stronie przeczytał:

Poniedziałek, 24 września 2007

Tego ranka spieszyłam się i z jakiegoś powodu wzięłam nie ten czarny dziennik co trzeba, pierwszy zamiast drugiego. Och, cóż, równie dobrze mogę pisać teraz tutaj.

W tym semestrze w każdy poniedziałek o drugiej przychodzę do Staatsbibliothek. Uwielbiam bibliotekę, to, że jest pełna światła. Te wszystkie okna! Chmury! Siedzę na górze w czytelni Działu Map, patrzę w dół na wszystkie inne poziomy, obserwuję ludzi, którzy czytają, piszą i przeglądają książki. Tak stworzyłabym niebo, gdybym mogła – pełne światła, ludzi, książek. Wszędzie dookoła, gdziekolwiek spojrzę, widzę światy do odkrycia. Świat w każdej książce. Świat w każdym mężczyźnie, kobiecie, dziecku. Nawet gdybym żyła miliard lat, nie zdołałabym odkryć wszystkiego, co jest do odkrycia w każdym z nich.

Wtedy Finn zrozumiał, że prawdopodobnie nie był jedyną osobą, która czytała pamiętnik Eliany. Jego następna podróż do Berlina została zaplanowana na poniedziałek, 1 października 2007 roku. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nie był to zbieg okoliczności. Ktoś chciał, aby wybrał się do Działu Map Biblioteki Miejskiej w Berlinie i spotkał tam Elianę. Tylko kto? Profesor Grossmann? Doktor

doktor Sriwanichpoom? Rouge? Wszyscy? I dlaczego?

Niestety, zanim zdołaliby to rozgryźć, i tak byłoby właściwie za późno, żeby coś z tym zrobić.

Różne Ziemie i jedno Słońce

Finn i Rouge musieli zacisnąć pasa. Profesor Grossmann, zarządzający *Projektem Czas*, dostał upomnienie od kierownika działu finansowego Instytutu Olgi Żukowej, pana Ciucurescu: „Rezerwy Instytutu są niebezpiecznie niskie. Nie możemy dłużej tolerować takich ekstrawagancji jak prezenty w postaci 497 dolarów w gotówce dla przypadkowych osób na ulicy czy garnitury od drogich projektantów, jak Jil Boss i Hugo Sander. Ponadto produkcja wiernych replik jest bardzo kosztowna”.

Rouge nie była zadowolona z rozporządzenia, ale zaakceptowała sytuację. Nie miała wyjścia. W ramach rekompensaty otrzymała dostęp do Działu Historycznych Strojów i Akcesoriów Muzeum Kultury Europejskiej, gdzie upoważniono ją do wyboru ubrań dla niej i Finna. Przyjęła to nowe zadanie z typowym dla niej pedantycznym entuzjazmem.

Rouge wybrała dla siebie szarozielone wierzchnie okrycie – krawiec określił je jako bluzę z kapturem – oraz miętowozielony T-shirt z rękawami do łokcia i obciętym dołem, podkreślający jej szczupłą talię. Włożyła parę lekko wytartych dżinsów, których materiał został starannie rozdarty w poprzek na obu kolanach. Do tego zielono-niebieskie trampki.

Rouge dostarczyła Finnowi podobny zestaw. Jego bluza z kapturem była szara, koszulka ciemnoniebieska, o krótszych rękawach ukazujących bicepsy wykształcone dzięki słapbackowi, a ozdobne uszkodzenia dżinsów ograniczały się do jednego kolana i nogawek. Do tego miał skórzane niebieskie adidas. Na głowę założył miękką ciemnoniebieską czapkę ze sztywnym półokrągłym daszkiem. Kiedy Finn wyłonił się z przymierzalni, Rouge uważnie mu się przyjrzała. „Powinieneś złożyć wniosek o możliwość zatrzymania stroju po zakończeniu misji”, powiedziała, zerkając na jego bicepsy, gdy zdjął bluzę.

Oboje otrzymali niewielkie miejskie plecaki, a każdy zawierał portfel, dowód tożsamości, walutę, butelkowaną wodę, tabletki na zmęczenie po podróży w czasie oraz kopię wiernej repliki mapy Berlina. Finn znalazł tę mapę na piątym poziomie działu map w Katakumbach. Łatwiej się ich używało niż tych składanych, które kupił podczas drugiej wycieczki do Berlina w dwudziestym pierwszym wieku.

Finn stwierdził, że jego kostium jest nie najgorszy. Przynajmniej był zgodny z tym, co pamiętał z seminarium magisterskiego na temat studenckiego życia na przełomie tysiącleci. Przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze i pomyślał, że wygląda jak jeden z Leśnych. Czasem nosili podobne ubrania. Przekręcił czapkę tak, żeby daszek był z tyłu, a Rouge zachichotała. Pomyślał, że prawdopodobnie właśnie takiego stylu Eliana Lorenz i jej rodzina spodziewali się po młodym mężczyźnie.

Finn wiedział, że instytut wmanewrowywał go w kontakt z Elianą i jej rodziną. Jeszcze tylko nie wpadł na to, dlaczego im na tym zależało. Ale dopóki te spotkania były bezpieczne, sympatyczne, a nawet kształcące, nie chciał zawracać sobie głowy pytaniami. Jasne, mógłby go potrącić jeden z tych kurierów rowerowych przemykających między autami niczym fanatyczne pszczoły, ale czy

ostatnio o mało nie wpadła na niego czołowo robotaksówka? Dopóki płacono mu za udział w eksperymencie o społecznym, historycznym, a być może nawet naukowym znaczeniu (przynajmniej tak przypuszczał), a jego życie nie było wyraźnie zagrożone, po prostu mógł iść za ciosem.

Gdy Finn zapoznał się ze swoim nowym telefonem komórkowym (kolejny gratis z muzeum), zawartością plecaka i dokumentami tożsamości, profesor Grossmann po raz enty zaczął naciskać na niego podczas sesji przygotowawczej, aby podązał za swoim sercem. „Proszę pamiętać – powiedział profesor – niech pan robi to, co się panu podoba, póki nie przynosi to szkody panu ani *mademoiselle* Moreau, ani nikomu innemu”.

Rouge z kolei została poinstruowana, aby dała Finnowi trochę swobody. Z radością na to przystała, ponieważ sama miała kilka spraw do załatwienia, między innymi otwarcie jednego czy dwóch kont bankowych, działalność zwiadowczą dla instytutu oraz przeprowadzenie badań do swojej pracy doktorskiej. W związku z tym ostatnim zamierzała odwiedzić Muzeum Erotyki oraz Instytut Fizyki Cząstek Elementarnych na Uniwersytecie Humboldta.

– Muzeum Erotyki? – zapytał Finn. – Jaki to ma związek z badaniami?

– Finn, proszę – odparła. – To zbyt skomplikowane, żeby to wyjaśnić.

Finn i tak miał dosyć na głowie. Jak miał wytłumaczyć Elianie Lorenz swoje nagłe przybycie? Nie była dzieckiem. Miała siedemnaście lat. Stwierdził, że będzie improwizował. Pojawi się w Bibliotece Miejskiej o 14.30, uda zaskoczenie w związku z ich przypadkowym spotkaniem, a dalej się zobaczy.



Poniedziałek 1 października 2007 roku był jednym z tych typowych dla złotej jesieni dni, o których piszą poeci: ciepły, lecz z nutą chłodu, wskazującą na zbliżającą się zimę. Bezchmurne niebo i delikatny wietrzyk wprawiły Finna w euforię. Zawsze lubił zmianę pór roku.

Finn i Rouge wylądowali w Charlottenburgu na przedmieściach Berlina w szalecie miejskim na Savigny Platz o 11.45 i ruszyli pieszo dziesięć minut na północ do studenckiej stołówki Technische Universität. Na przystawkę wybrali mozzarellę z ziarnami orkisz, a potem sznycel warzywny z sosem grzybowym. Smakował zgodnie ze swoją nazwą.

A później Finn został sam.

Gdy zbliżył się do Biblioteki Miejskiej na Potsdamer Straße, po prawie dwóch godzinach i kilku kilometrach pieszego zwiedzania, pomyślał, że zobaczył już dość miasta jak na jedno popołudnie. Usłyszał dość ulicznego zgiełku, nawdychał się dość dymu tytoniowego i spalin paliw kopalnych, na całe życie. Nie mógł się doczekać biblioteki i jakiejś ulgi po zatruciu zmysłów. Jak człowiek dwudziestego pierwszego wieku mógł to wszystko znieść?

Jednak zaledwie kilkaset metrów od celu stanął przed ogromną, przypominającą kopułę budowlą z żagli tekstylnych, stali i szkła. W jaki sposób niższy dach Instytutu Olgi Żukowej zmateriałizował się w dwudziestym pierwszym wieku? Ale wtedy zorientował się, że Meduza musiała przetrwać Mroczną Zimę. Wszedł na chwilę do środka, żeby się rozejrzeć.

Meduza rozpościerała się nad tętniącym życiem otwartym dziedzińcem – daleko mu było do powściągliwej atmosfery instytutu. W budynkach dookoła mieściło się Muzeum Filmu, kina,

restauracje, sklep z klockami oraz sklep ze sprzętem elektronicznym, który jak się okazało, zajmował się maszynami dźwiękowymi i nazywał się „Sony”.

Ale dobiegała 14.30. Czas było znaleźć Elianę.



Strażnik przy wejściu do biblioteki rzucił Finnowi jedno spojrzenie i machnął, aby zszedł na bok.

– Przepraszam, ale nie może pan wejść. Nie z tym! – Pokazał palcem plecak Finna. – Szafki są tam. – Wskazał na szereg zamykanych na klucz schowków.

Finn nie chciał oddać swoich akcesoriów.

– Bez plecaka?

Strażnik spiorunował go wzrokiem.

– To biblioteka czy pole namiotowe?

Gdy Finn zastanawiał się nad pytaniem, mężczyzna przyglądał mu się spod zmrużonych powiek.

– Chwilę, czy ja pana skądś nie znam?

Skąd miałby go znać? Finn spojrzał na strażnika. Był to gładko ogolony mężczyzna około pięćdziesiątki, o jasnoniebieskich oczach i szpakowatych włosach.

– Nie sądzę.

– Cóż, proszę go odłożyć – zażądał mężczyzna.

Finn zrobił to, co mu kazano, zamknął plecak w szafce i wrócił do budki. Już miał się przecisnąć przez mechaniczną bramkę, złożoną z obracających się poziomych ramion przymocowanych do pionowego słupka, kiedy strażnik znów go zatrzymał.

– Pańska karta biblioteczna?

– Słucham?

– Nie wejdzie pan bez karty bibliotecznej.

Finn został skierowany do rejestracji na drugim końcu holu. Odstał chwilę w kolejce, dostał formularz rejestracyjny do wypełnienia, ale gdy odszedł od okienka, zorientował się, że nie ma żadnego przyboru do pisania. Znów stanął w kolejce, poprosił o „przybór do pisania”, dostał długopis od kobiety w typie matrony, która uśmiechnęła się do niego, jakby większość dnia spędzała na radzeniu sobie ze zdezorientowanymi studentami. Wypełnił formularz przy wysokim stole, uznał, że jego pismo jest całkiem dobre, znów stanął w kolejce, tym razem powiedziano mu, że potrzebny jest dowód tożsamości, wrócił do schowka po plecak, żeby wyjąć dowód, pobiegł do rejestracji, znów stanął w kolejce i cierpliwie czekał na swoją kartę biblioteczną. Wtedy zaczął się niepokoić, że może się minąć z Elianą – było kilka minut po trzeciej! Mogła już wyjść. Pobiegł do schowka, sprawdził swój plecak i znów stanął przed strażnikiem.

– Wie pan, gdzie jest czytelnia Działu Map? – zapytał.

– Dwa piętra wyżej. Tam proszę skręcić w lewo i iść aż do samego końca. Z tyłu zobaczy pan schody z ogromnym niebieskim globusem na górze.

– Globusem? A co to?

– Ziemia oczywiście! Gigantyczna. Z półtora metra średnicy. Nie może pan jej nie zauważyć. – Pochylił się do przodu. – Jest pan pewien, że nigdy się nie spotkaliśmy?

– Absolutnie – odparł Finn.

Strażnik wzruszył ramionami i przepuścił go.



Znalazłszy się na górze, Finn od razu rozpoznał przestronną, skąpaną w świetle budowlę. Wzniesiona na kilku poziomach, bez ścianek działowych, była tłem różnych scen na melancholijnych czarno-białych celuloidach, które kiedyś oglądał, o aniołach zamieszkujących niebo nad Berlinem. Jednym z ulubionych miejsc tych niewidzialnych istot była właśnie ta biblioteka. Anioły potrafiące czytać w myślach były oczarowane ludźmi, którzy tu pracowali i czytali.

Och, ilu tu było czytających! Finn poczuł ukłucie zazdrości. Jakim cudownym miejscem byłaby jego własna Biblioteka Europejska, gdyby ludzie przychodzili do niej i korzystali z jej zasobów, a nie tylko z jej barku w Nowy Rok.

Gdy zbliżył się do schodów z gigantycznym niebieskim globusem, uświadomił sobie, że jego oddech stał się płytki, głowa lekka, dłonie mu spotniały. Trochę jak wtedy, gdy unosił się na bungee w egzosferze Ziemi. Przerażony, a zarazem podekscytowany płynął w nieważkości.

Ruszył w górę po schodach, ze wzrokiem skupionym na globusie, gdy nagle w powietrzu poczuł zapach. Perfumy Eliany! Nieskończoność! Tak! Była tu! Ale wtedy pomyślał, że być może już wyszła i tylko ten zapach unosił się na schodach.

Znalazł się teraz na szczycie schodów. Napis głosił: „Czytelnia Działu Map”. Wszedł przez szklane drzwi.

I...

...zobaczył ją.

Siedziała sama przy stole pośrodku sali, pochylona nad książką. Pisała. Padające z góry światło złociło czubek jej głowy. Przestrzeń była otoczona z trzech stron balustradą sięgającą mu może do pasa. Pomieszczenie wydawało się zawieszone, jakby unosiło się na powierzchni morza. A na balustradzie umocowano globusy: różne Ziemie w wielorakich rozmiarach, Ziemie ze szkła, drewna, mosiądzu i cynku; Ziemie podświetlone, obracające się i z mapą plastyczną. Od tego widoku Finnowi zakręciło się w głowie: Eliana pośrodku tego wszechświata i te wszystkie Ziemie wirujące wokół niej, ich Słońca.

Finn miał wrażenie, że wszystko zaczęło się przechylać. Nie śmiał się poruszyć, odetchnąć, odezwać; bał się, że spadnie z krawędzi Ziemi, na której stał.

Wtedy ona podniosła wzrok. A wyraz jej twarzy, gdy obojętność zmieniła się w ciekawość, ta w rozpoznanie, zdziwienie, a na końcu w promienny uśmiech, sprawił, że Finn pomyślał, że nie miałby nic przeciwko temu, aby spaść z powierzchni Ziemi, jeśli tylko wylądowałby obok niej.



Drzwi do bibliotecznej kawiarni zamknęły się za nimi i Eliana w końcu się odezwała.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś?

Połowa gości podniosła wzrok, myśląc, że mówi do nich, ale potem wrócili do swoich przekąsek i napojów. Nic szczególnego, tylko małolaty, które jak zwykle za głośno rozmawiają.

Finnowi wciąż kręciło się w głowie. Był oszołomiony.

Nadal trzymała swoją dłoń w jego dłoni. Wcześniej przeciągnęła go przez całe piętro biblioteki do kawiarni i posadziła przy wolnym stoliku.

– Gdzie byłeś przez cały ten czas?

Finn nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Naprawdę wyłądował obok niej. Była podenerwowana, ale uśmiechnięta.

– Mów! – zażądała, śmiejąc się.

– Byłem w domu. Nie mogłem zadzwonić – odparł, co było oczywiście prawdą, choć kiepsko zabrzmiało.

– Dlaczego?

– Byliśmy za daleko od siebie – wyjaśnił i to też było prawdą. – To nie miało sensu. A poza tym miałaś tylko piętnaście lat.

Zaczerpnęła powietrza, a jej nozdrza się rozszerzyły. Pomyślał, że nigdy nie widział, aby nozdrza rozchyłały się tak cudnie jak u niej.

– Byłam tam. Byłam na Fire Island, wiesz? – powiedziała.

– Tak. – Oczywiście, że wiedział.

– Jak to: wiesz? Skąd mogłeś...

– To znaczy, tak, tak, Eliano, słucham.

– Było pięknie. Mieszkałam w New Jersey przez pół roku. Chodziłam tam do liceum. W Teaneck. A potem... – Urwała.

Oparł łokcie na stole, a twarz na dłoniach. Mógłby jej słuchać do końca życia.

Ona też oparła łokcie na stole, a twarz na dłoniach.

Patrzyli tak na siebie przez dłuższą chwilę. Mijały wieki. Epoka jury wyewoluowała w kredę, a oni ciągle na siebie patrzyli.

– Daj mi swój numer – powiedziała w końcu Eliana, przerywając ciszę. – Chcę twój numer domowy, numer komórki, numer do twoich rodziców, adres mejlowy, adres w Europie, adres twojej ciotki i wujka, gdziekolwiek i kimkolwiek są. Jesteś na Facebooku?

– Facebooku?

– Napijesz się czegoś? – Wstała. – Wezmę sobie latte. Co dla ciebie?

– To samo.

– Ja stawiam. – Podeszła do lady i pięć minut później wróciła z kawą. – Co tu robisz? – Usiadła.

Finn nie był pewien, czy miała na myśli Berlin, czy bibliotekę.

– Podróżujesz? Studiujesz? – zapytała i wypila łyk kawy.

– Tak. Tak – odparł Finn.

Obie odpowiedzi wydawały się sensowne. Skosztował kawy. Była letnia, jak spicery na wahadłowcu.

– Jak długo?

– Jestem tu tylko jeden dzień.

– Przyleciałeś z Nowego Jorku, żeby...

– Nie. Nie. – Co teraz? – Byłem w... Monachium. – A to skąd mu przyszło do głowy? Czy miało to

sens? – Prowadziłem badania. W Monachium. Przez dziesięć dni. Wczoraj wieczorem przyjechaliśmy na urodziny koleżanki. Tylko na jeden dzień. Jestem w Berlinie tylko przez jeden dzień.

– Tylko jeden dzień?! – zawołała.

Ludzie w kawiarni znów podnieśli wzrok, patrząc na nich ze zdziwieniem.

Przez nanosekundę jej twarz wyrażała absolutne zdruzgotanie. Ale to szybko minęło.

– A więc co tu robisz? – zapytała i zerwała się nagle. – Chodźmy.



Gdy podeszli do wyjścia, Finn zobaczył, że strażnik do nich macha.

– Już wiem! – zawołał. – To pan! Człowiek, który mnie uratował.

– Uratował pana? – zapytał nieco zakłopotany Finn. – Na pewno z kimś mnie pan pomylił.

– Wilmersdorfer Straße. Sierpień dwa tysiące trzeciego. Dał mi pan czterysta dziewięćdziesiąt siedem euro!

Oczywiście, że Finn go pamiętał! Jak mógłby zapomnieć? To był tamten brodaty mężczyzna o kwaśnym zapachu, z koszykiem na kółkach, z pełnymi zakupów torbami w środku! Ale się zmienił!

Eliana nie może się o tym dowiedzieć, pomyślał przestraszony. Jak mógłby wyjaśnić taki...

– Przykro mi – powiedział Finn – ale musiał się pan pomylić.

– Nie, nie – odparł mężczyzna. – To na pewno pan. Przez wiele godzin czekałem, aż pan wyjdzie.

Zniknął pan w jednej z tych toalet publicznych, z dziewczyną, z...

Finn ruszył przez bramkę. Znajdzie się w dużych tarapatach, jeśli mężczyzna powie jeszcze choć jedno słowo.

– Do widzenia – rzekł Finn i odszedł szybkim krokiem.

– Uratował mnie pan! – zawołał za nim mężczyzna. – Jestem dziś innym człowiekiem, czy chce pan o tym wiedzieć, czy nie! Dziękuję!

Ale Finn i Eliana byli już za drzwiami.



Pod ich stopami szeleściły czerwone, złote i brązowe liście. Po lewej stronie biegł kanał, za drzewami po prawej ciągnęła się ulica.

– A tu wrzucili zwłoki Róży Luksemburg – oznajmiła przewodniczka Eliana po angielsku, ćwicząc umiejętności językowe, które zdobyła podczas sześciu miesięcy spędzonych za granicą.

Szerokim ruchem ręki wskazała na wodę, a Finn poczuł woń Nieskończoności. Zakręciło mu się w głowie. Przez chwilę czuł, że zemdleje i wpadnie głową w dół do kanału. Ale ona poklepała go po ramieniu i wskazała na prawo.

– Tam są ambasady, a tam – spojrzała znów w lewo, na północ – jest hostel. Moi znajomi się tam kiedyś zatrzymali. Widzisz go?

– Ta przysadzista, nieopisywalna szara masa taniego, zniszczonego betonu i...

Zachichotała.

– No właśnie. Ale o ironio – rzekła, przechodząc przez pas drzew na prawo, w kierunku ulicy –

dokładnie po drugiej stronie kanału, naprzeciwko tej szarej masy znajduje się jeden z najpiękniejszych budynków w Berlinie. *Voilà*.

Zdumiewające! Finn rozpoznał falistą fasadę budowli po drugiej stronie ulicy.

– Fahrenkamp – powiedział.

Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– Nie wierzę, że znasz nazwisko architekta. Berlińczycy co najwyżej wiedzą, że mieszczą się tam biura GASAG. – Eliana znów przeszła na niemiecki.

W świetle Finna ten budynek był zabytkowym obiektem, stanowiącym południowo-wschodnie wejście do kampusu Instytutu Olgi Żukowej. Stacja wahadłowca, Fahrenkamp-Institut, znajdowała się zaledwie dwieście metrów dalej na północ.

– Przepraszam, panie Nordstrom – powiedziała Eliana. Trzymała teraz przy ustach zwiniętą w pięść dłoń udającą mikrofon, jak dziennikarka z celuloidów z wiadomościami. – Co sprawiło, że taki inteligentny Amerykanin zainteresował się historią Niemiec? – Podsunęła „mikrofon” do jego ust.

– Współczesną historią, koleżanko. Współczesną historią. Niemcy po prostu przypadkiem biorą w niej udział.

– I kiepsko im to idzie. – Jej mikrofon rozpląnął się w powietrzu.

Skinął głową. Pierwsza połowa dwudziestego wieku nie była jego ulubionym okresem w historii.

– A co sprawiło, że wybrałaś akurat Teaneck w New Jersey, aby tam pójść do szkoły? – zapytał.

– New Jersey! – powtórzyła, naśladowując jego intonację.

Roześmiała się. Miała uroczy śmiech. Chciałby go nagrać, aby móc słuchać w kółko. Z przyzwyczajenia wysłał nawet impuls do mózgołącza, co oczywiście nic nie dało.

Eliana szturchnęła go w ramię.

– Powiedziałaś „New Jersey” jak prawdziwy nowojorczyk, z taką pogardą. Ale to zabawne, wcale nie brzmisz jak nowojorczyk, kiedy mówisz po angielsku. Moja przyszywana matka z wymiany, pani „Proszę, Mów Mi Wendy” Weiss, tak mówiła. Pochodziła z Brooklynu, potem mieszkała w Queens. Brzmiała jak taksówkarz z filmów Scorsese. Jak kreda na tablicy.

Kreda na tablicy. Zastanawiał się, jaki to mógł być dźwięk.

– Ale ty... – ciągnęła. – Twój akcent jest... inny.

Wzruszył ramionami. Wkraczali na grząski grunt. Wykład na temat ewolucji języka angielskiego w okresie od dwudziestego pierwszego do dwudziestego trzeciego wieku nie może znaleźć się w jego popołudniowym planie.

– A ty? – zapytał. – Kim będziesz, gdy dorośniesz?

– Architektem... chyba – odrzekła.

– Naprawdę? – Zdumiewające, pomyślał, przecież nigdy nie wspomniała o tym w pamiętniku.

– Dlaczego tak cię to dziwi? – zapytała.

– Po prostu dziwi. A co będziesz projektować?

– Nie jestem pewna – odparła. – Chyba hostele.

Długo się potem śmiali.



Weszli na plac zabaw, otoczony ze wszystkich stron budynkami mieszkalnymi z przełomu wieków, ze spiralnymi schodami pożarowymi, oknami wykuszowymi i świetlikami w dachach. Było tam boisko do piłki nożnej, drabinki sznurowe, dwie zjeżdżalnie, pompa wodna i karuzela, która przypominała Finnowi wirówkę przeciążeniową w instytucie.

Zrobiło się chłodniej; słońce chyliło się już ku zachodowi. Byli sami na placu i mieli całą ławkę dla siebie. Opadli na nią ciężko, wyczerpani po spacerze. Finn spojrzał na rozświetlone okna, żółte prostokąty i kwadraty na tle ciemniejącego nieba. Patrzył na sylwetki mieszkańców wchodzących i wychodzących z pomieszczeń, przygotowujących kolację, włączających telewizory, szykujących maluchy do spania. Miało to własną choreografię i poczuł się, jakby wrócił do domu.

– Lubię zaglądać do okien – powiedziała Eliana. – Jest w tym pewna intymność. Nie sądzisz?

– Tak. Też o tym pomyślałem.

– To nasz dom. – Wskazała na białą fasadę na zachodzie.

– Nie wiedziałem.

– Nie czujesz zapiekanki ze słodkich ziemniaków, dzieła mojej mamy?

Finn powąchał powietrze. Pachniało tylko Elianą i jej Nieskończonością.

– Tak, chyba tak. Masło? I... – Zaciągnął się jeszcze raz. – Słodkie ziemniaki?

Dźgnęła go palcem w zębra.

– Cha, cha.

– Widzą nas stamtąd? – zapytał, spoglądając na budynek.

– Nie, to tylna część, za dziedzińcem. Nasze mieszkanie jest z przodu. – Poczuli podmuch wiatru i Eliana zapięła guziki kurtki. – Często przychodziliśmy tu z Madeline. – Jej słowa na chwilę zawisły w powietrzu... i odpłynęły z wiatrem. Spojrzała na Finna. – Tęsknię za nią. Okropnie. Przez cały czas. Chyba zawsze część mnie będzie za nią tęsknić.

Jej oczy napęłniły się łzami. Usłyszał, jak głośno przełyka ślinę, i poczuł, jak ściska go w gardle.

– Cieszę się, że miałeś okazję ją poznać – szepnęła.

Skinął głową.

Spojrzała mu prosto w oczy i zobaczył, jak smutek spływa z jej twarzy.

– Wiesz, wyglądasz całkiem tak samo – powiedziała już z uśmiechem. – Dokładnie! To przedziwne. Jakbyś nie był ani o jeden dzień starszy.

Ściśle rzecz biorąc, był tylko o dwa miesiące starszy niż wtedy, kiedy widziała go po raz ostatni, podczas gdy ona była starsza o dwa lata i prawie cztery miesiące. Poza tym kto myślałby o czymś takim w obecnej sytuacji?

– Masz tu taki niesforny włos – zauważyła. – O, tutaj. Dłuższy niż inne. – Wskazała na jego podbródek. – Mogłabym przysiąc, że widziałam go tu dwa lata temu. – Palcem wskazującym pogłaskała go po brodzie. – Tu. – Lekko połaskotała włos. – Czujesz?

O, jak on to czuł!

Niewiele myśląc, wyciągnął rękę, ujął dłoń Eliany i pocałował. Ucałował wnętrze dłoni, rozkoszując się jego miękkim zagłębieniem, pocałował każdy palec, każdą opuszkę, zadartą skórę,

którą zauważył na jej palcu wskazującym, nadgarstek, gdzie zapach Nieskończoności doprowadzał go do szaleństwa, delikatne kostki na dłoni. Gdy skończył, znalazł tę dłoń ze wszystkich stron.

Usłyszał, jak głęboko zaczerpnęła powietrza, i podniósł wzrok.

– Nikt nigdy nie całował mojej dłoni – powiedziała. – Nigdy.

– A ja nigdy żadnej nie całowałem. Nigdy. A na pewno tak uroczej jak twoja.

Przysuwali się coraz bliżej siebie, ich usta zmierzały do pocałunku. Jego serce było gotowe wyrwać się z piersi i chwycić jej serce... Nagle zadzwoniła jego komórka. Zaskoczeni odsunęli się od siebie. Finn niechętnie rozpiął suwak kieszeni bluzy.

– Ach – powiedział, patrząc na ekranik. To Rouge wysłała mu wiadomość z pytaniem, gdzie i kiedy mają się spotkać. – Krótka wiadomość tekstowa – oznajmił.

– Krótkie co?

– Krótka wiadomość...

– Ach – zrozumiała – masz na myśli SMS. – Spojrzała na telefon. – Wow! To iPhone! U nas jeszcze nie można ich kupić! Tata dostał jeden do przetestowania. Robert padnie z zazdrości!



– Biologię – powiedział Robert, kończąc jedzenie, które miał na talerzu. – Chyba będę studiował biologię. Genetykę. Ale najpierw muszę odbębnić służbę zastępczą. Do lipca.

– Odbębnić służbę zastępczą? – powtórzył Finn.

Wszyscy się roześmiali.

– Zamiast iść do wojska – wyjaśnił Robert. Wycelował broń na niby do zebranych przy stole. – To nie dla mnie. Więc zamiast tego trzeba popracować dla dobra ludzkości. Przez rok. Pracuję z dziećmi z biednych rodzin. Od dwunastego do szesnastego roku życia. W ośrodku dla młodzieży. Uczymy je teraz, jak pracować z drewnem. Robimy stoły i tym podobne. Jestem w tym coraz lepszy.

Zniecierpliwiona Eliana zwróciła się do matki:

– Czy Finn może mu teraz pokazać swój telefon?

– Dobrze już, dobrze. – Angelika Lorenz westchnęła.

Finn wyjął telefon, a Eliana wyrwała mu go z ręki.

– Patrzcie! Ma kamerę wideo. I flesz. Twój nie ma, tato. Zgadza się?

Rudolf Lorenz uniósł brwi.

– Kamerę? Nie. I nie ma też flesza do aparatu. – Wyciągnął swój telefon z kieszeni spodni. Porównał go z komórką Finna, która była cieńsza, a wejście na kartę SIM znajdowało się z boku, nie u góry. Herr Lorenz popatrzył na Finna. – Może powinieneś po prostu...

– Czekać, daj zobaczyć! – Robert wziął telefon do ręki i zaczął się nim bawić.

Eliana spojrzała na Finna, a on poczuł, że przenika go dreszcz. To było zdumiewające. Jego całe ciało zdawało się wyrywać do niej.

– Tato – Robert pochylił się do ojca – spójrz. Telefon Finna ma usługę 3G. Czy to możliwe? Tu jest napisane 3G. A twój ma tylko „E”, od Edge.

Rudolf Lorenz wstał.

– Finn, chodź ze mną. Chciałeś mi pokazać, jak piszesz kursywą.

– Nie! – Eliana zerwała się z miejsca. – Finn pójdzie na górę ze mną. Na taras.

– Nie pójdzie – wtrąciła Angelika Lorenz. – Idzie ze mną! Chcę mu dać coś do jedzenia na podróż do domu. A właściwie dokąd jedziesz? – zapytała Finna.

Zanim Finn zdążył jej odpowiedzieć, Herr Lorenz pociągnął go za sobą.



Była dziesiąta. Niedługo trzeba będzie iść, pomyślał Finn, patrząc na Berlin w dole. Rouge miała się z nim spotkać na końcu przecznicy, na skwerku przed kinem. Może już tam czekała.

Ale na razie był z Elianą.

Rudi był zadowolony z pisma Finna.

– Dobra robota – pochwalił go. – Dobra robota. – A potem zmierzwił mu włosy, tak jak robił to Artu, i ku jego całkowitemu zaskoczeniu objął go i dodał zagadkowo: – Wrócisz tu. Wciąż mamy się wybrać na żagle.

W tym momencie do pokoju wpadła Eliana.

– Czy wy dwaj już skończyliście? – zapytała i pociągnęła Finna długim korytarzem, gdzie wpadli na Roberta.

– Idę się spotkać z Lisą – powiedział Robert do Finna. – Ale następnym razem skoczmy na piwo. Umowa stoi?

Lecz Eliana już prowadziła Finna kręconymi schodami w górę i zanim się zorientował, stał na tarasie, skąd rozciągał się widok na Berlin. W końcu zostali sami, towarzyszyły im tylko światła miasta w dole i anioły w niebie nad nimi. Finn ujął twarz Eliany w dłonie i pocałował ją.

A ona oddała pocałunek.

A potem... cóż... trwało to bardzo długo, z pewnością mogłoby trwać wiecznie i właściwie trwało wiecznie.

Wieczność w godzinę.

Ale minęła już dziesiąta.

Opierali się o parapet, ramię przy ramieniu, biodro przy biodrze, udo przy udzie. Patrzyli na Berlin, Berlin, który Finn ledwo rozumiał, miasto, które, jak wiedział, za jedenaście lat zostanie zaatakowane przez śmiertcionośny wirus i spalone w 2050 roku, właściwie wymazane z powierzchni ziemi. Chciałby tego nie wiedzieć, chciał tu zostać na zawsze. Pomyślał, że gdyby w tej chwili umarł, byłoby okej.

Usłyszeli kroki na krętych schodach.

– Eliano! – zawołał z dołu Rudolf. – Masz gościa! Idzie do ciebie!

W głosie Rudiego Lorenza słysząc było napięcie. Najwyraźniej chciał ich przed kimś ostrzec.

Zanim Finn zdążył cokolwiek pomyśleć, na tarasie pojawił się młody mężczyzna.

– Niespodzianka! – oznajmił przybysz i chwycił Elianę w ramiona.

Podniósł ją, zakręcił nią i dał jej wielkiego, soczystego, wulgarnego całusa w usta.

– Sam – powiedziała Eliana bez tchu, chichocząc i próbując wyswobodzić się z uścisku. – Puszczaj mnie!

Jeszcze raz mocno pocałował ją w usta i postawił na ziemi, ale nie wypuścił jej z objęć.

Finn poczuł ostry ból w piersi.

Eliana unikała jego wzroku.

Finn nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu kogoś nienawidził, ale pomyślał, że gdyby miał okazję, którą akurat dostał w tej chwili, z łatwością mógłby obdarzyć nienawiścią tego niemożliwie przystojnego młodzieńca stojącego naprzeciwko niego. Wstrętnego Sama.

– Dali mi dwa dni wolnego! – powiedział Wstrętny Sam do Eliany. – Przenocujesz mnie? – Trącił ją nosem w szyję.

Finn pomyślał, że zaraz zwymiotuje. Albo spadnie z dachu. Właściwie mógłby po prostu z niego skoczyć.

– Finn – rzekła Eliana – to jest Sam.

Sam zrobił krok do przodu.

– Sam jest moim przyjacielem. On... och... kręci film w Monachium.

– Słyszałem, że jesteś Amerykaninem – powiedział Sam. – Nowojorczykiem.

Finn milczał. Bał się, że głos mu się załame.

– Hej – ciągnął nieustraszenie Wstrętny Sam – czy Elli i ja moglibyśmy się u ciebie zatrzymać, kiedy przyjedziemy w czerwcu? Zabieram ją na wycieczkę do Nowego Jorku na osiemnaste urodziny.

Elli?, pomyślał Finn. Ona nie lubi być nazywana Elli.

Sam z konsternacją zwrócił się do Eliany:

– Ten koleś nie umie mówić? Twój ojciec powiedział, że mówi po niemiecku.

– Sam, nie nazywaj mnie Elli, proszę – odezwała się. – A Finn oczywiście mówi po niemiecku.

Wstrętny Sam posłał mu aroganckie spojrzenie i zwrócił się znów do Eliany:

– Nie wygląda mi na to, żeby rozumiał...

– Finn? – zawołał Rudi Lorenz. Usłyszeli kroki na schodach i w progu stanął ojciec Eliany. Odchrząknął. – Właśnie dzwoniła Rouge Moreau. Powiedziała, że nie odbierasz telefonu. Obawiam się, że Robert mógł przypadkiem zmienić ustawienia. – Podał Finnowi swoją komórkę. – Mówi, że musisz przyjść. W tej chwili. To pilne.

Finn skinął głową i spojrzał na Elianę. Ona i Sam wciąż tam stali, on obejmował ją ramieniem. Ci dwoje, ze sztucznymi uśmiechami, wyglądali tak, jakby czekali, aż Finn zrobi im zdjęcie do czasopisma dla fanów. Akurat!

– Muszę iść – powiedział Finn do Eliany.

– Odprowadzę cię do drzwi – odrzekła i zostawiła Sama na tarasie.

Finn szybko zszedł po schodach. To jest śliskie, pomyślał. Dokładnie o to im chodziło, gdy mówili: „śliskie”. Śliskie, śliskie, śliskie.

W drzwiach odwrócił się do Eliany. Była wyraźnie zdenerwowana, ale nie wiedział, czy w związku z niespodziewanym przybyciem Wstrętnego Sama, czy też z powodu nagłego wyjścia Finna.

Sam zszedł za nimi po schodach, stanął przy drzwiach do salonu i zaczął gmerać przy swojej walizce.

– Przepraszam – szepnęła Eliana, nie chcąc, aby Sam to usłyszał. – Tak mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć.

– Zwyczajowo mówi się: „do widzenia” – zdołał odpowiedzieć Finn i wyszedł.

Zwyczajowo mówi się: „do widzenia”? Słyszał już wcześniej tę kwestię, pomyślał. Na celuloidzie. Ale w tej chwili drzwi zamknęły się za nim i całą energię włożył w to, by nie rozpaść się na kawałki.

Zakłócenia atmosferyczne

Rouge od razu się zorientowała, że coś jest nie w porządku. Finn nawet nie był zainteresowany jej opowieścią o Muzeum Erotyki.

– Nie interesuje cię to nawet z naukowego punktu widzenia? – zapytała.

Nie interesowało.

Podróż powrotna do Berlina z 2265 roku była wyboista, ale Finn ledwie to dostrzegął. Eliana kochała innego. Co mogło boleć bardziej niż to?



Profesor Grossmann i jego asystentka doktor Yuka Shihomi poddali Finna wszystkim obowiązkowym testom kontrolnym. Zbadali mu ciśnienie krwi, zgrali wspomnienia, zmierzili wzrost, sprawdzili napięcie mięśniowe i zajrzeli mu do uszu.

– I co z pańskimi instynktami? Słuchał ich pan? – zapytał profesor.

– Trudno jest jadać steki z polędwicy wołowej przy tych waszych cięciach budżetowych – nadąsał się Finn.

– Pracujemy nad budżetem.

Finn wstał.

– Czy to wszystko?

– Wydaje się pan jakiś nieswój.

Wzruszył ramionami.

– Podróż powrotna była trochę niespokojna.

– Nad tym też pracujemy. Zakłócenia atmosferyczne. – Profesor uśmiechnął się optymistycznie. – Może pan iść do domu.



Po powrocie do Rubika Finn przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze, badając wystający włos na podbródku, jakby skrywał on jakiś sekretny sposób na wymazanie wydarzeń z ostatnich kilku godzin. Połaskotał go czubkiem wskazującego palca, tak jak zrobiła to Eliana. Wspomnienie ukłuło go w serce. Wiedział, że to wszystko jego wina. Ostrzegali go.

Leżał w łóżku, z kołdrą naciągniętą pod brodę, cierpiał i zastanawiał się, jak długo jeszcze może tak cierpieć.

Kiedy obudził się następnego ranka, nadal cierpiał.

I następnego dnia też. I dzień później także.

Czasem w snach zapominał o bólu. Eliana uśmiechała się do niego, złota, jej oczy głębokie i ciemne jak laguna. Budził się tak szczęśliwy, że leżał jeszcze przez chwilę i zastanawiał się, czy to właśnie kiedyś nazywali „błogosławieństwem”.

Ale wtedy słyszał szum sanisuszarki z łazienki obok albo bębnienie kwietniowego deszczu o szybę,

albo dozorcę JoeJoe odkurzającego korytarz i odzyskiwał jasność umysłu, jego uszy się odykały i zdawał sobie sprawę, że się pomylił. Był sam. Całkiem sam. A Eliana zniknęła.

Jego niedoświadczone serce zaczynało boleć od nowa.

Ile jeszcze? Jak długo?

To było irracjonalne. Wiedział o tym. Nawet nie miał prawa jej kochać. Co mógłby jej zaoferować? Nic. Czy czekała ich wspólna przyszłość? Nie. Czy był dobrym kochankiem? Zdecydowanie nie. Pocałował jej skórkę! Zadartą skórkę! Cóż za żaloszny pokaz namiętności.

Jego przyjaciele zaczęli się niepokoić. Rouge, oczywiście. Severin i Yolanda, jego współlokatorzy z akademika. Renko i Gao. Nawet JoeJoe wydawał się chodzić w jego obecności na palcach – a nie było to łatwe zadanie dla robota, nawet najnowszej generacji. Nikt nie wiedział, co się dzieje z Finnem. A on nie chciał im powiedzieć. Kto by to zrozumiał?

Renko przysłał mu prezent, żeby go rozweselić.

– Znaleźliśmy go! – pisał. – *Legendę o Franku i Franzi*. W kolonii Leśnych Bayerischer Wald, w Lesie Bawarskim.

Ale gdy pojawiła się pierwsza scena, Finn zorientował się – och, co za koszmar! – że Wspaniały Frank z filmu był Wstrętnym Samem w prawdziwym życiu, Nieznośnym Samem, Niemożliwie Przystojnym Samem, który sprawił, że Eliana już nigdy nie pomyśli o Finnie. Albo – Finn próbował podejść do tego racjonalnie – Sam sprawił, że Eliana nigdy o nim nie pomyślała, aż do swojej śmierci, kto wie ile lat temu.

Finn doświadczył emocji tak gwałtownej, tak gorącej, że poprosił gospozię Hildburg, aby jak najszybciej przyniosła mu lodowaty kompres, żeby mógł się ochłodzić.

I od razu wiedział, że to właśnie mieli na myśli, mówiąc o zazdrości.

Potem sprawdził w Cyklopie aktora. Sam Maarten przeniósł się do Hollywood w 2012 roku, w wieku dwudziestu siedmiu lat, powiedziała mu encyklopedia. Ale później jego kariera załamała się i skończył jako lektor dubbingujący w filmach softporno obcokrajowców w typie nazistów. Brawo!, pomyślał Finn. Gratulacje.

Od razu wiedział, że to właśnie mieli na myśli Niemcy, gdy radośnie stworzyli złośliwe słowo *Schadenfreude*.

Ale przede wszystkim czuł się opuszczony. Nieszczęśliwy. Miał doła. Wrócił do domu na Fire Island, gdzie godzinami przesiadywał na plaży. Dni były coraz cieplejsze. Nocą gwiazdy świeciły jasno, lecz jemu nie przynosiło to żadnego pocieszenia.

Wiedział, że to właśnie starożytni nazywali nieodwzajemnioną miłością.

Pewnego ranka przysłano paczkę. Był to drugi dziennik Moleskine® Eliany.

Przeraził się.

Zastanawiał się, czy powinien go czytać.

Ale wiedział, że musi to zrobić.

Musiał się dowiedzieć. Było to wyłącznie naukowe zainteresowanie, wmawiał sobie, chociaż nie potrafił przekonać samego siebie. W głębi ducha czuł coś innego, coś dziwnie lekkiego i radosnego, co wisiało w tle wszystkich gnębiących go mrocznych emocji.

I od razu zrozumiał, że ludzie nazywali to niegdyś nadzieją.

Otworzył notatnik.

Niedziela, 17 czerwca 2007

Zmęczenie po podróży samolotem. Zzzz...

Jak dotąd nieźle, pomyślał Finn. Właśnie wróciła z Ameryki Północnej. Nie odwiedzi jej jeszcze przez kolejne trzy i pół miesiąca.

Wtorek, 19 czerwca 2007

Cieszę się, że jestem w domu i znowu mogę wszędzie dotrzeć spacerem. W Teaneck można było dojść tylko do samochodu zaparkowanego na podjeździe.

Zaczęłam biegać. Rytm snu zupełnie mi się rozregulował. Byłam już całkiem obudzona o szóstej, więc postanowiłam wstać i pobiegać. Kurfürstendamm jest piękna wczesnym rankiem. Prawie nie ma ruchu i jest bezpiecznie. Zwykle biegnę aż do Uhlandstraße, przechodzę na drugą stronę ulicy i wracam.

Czwartek, 21 czerwca 2007

Ostro się uczę do egzaminów końcowych, żebym nie musiała powtarzać jedenastej klasy. Dużo opuściłam, gdy byłam w Teaneck, ale myślę, że mi się uda. Robert, tak przy okazji, jest teraz oficjalnie absolwentem liceum. Ze średnią 1.4! Nie żartuję!

Sobota, 23 czerwca 2007

O! Mój! Boże!

Chyba umrę! To niesamowite! Fantastyczne! Nie może być prawdą! Ale jest! Pomocy!

Aaaaaa!!!!!!!!!!!!

Dziesięć wykrzykników? Co takiego mogło się wydarzyć?

Nie uwierzycie, kogo spotkałam wczoraj w Gold Barze! Sama Maartena!

Och nie. Już? Finn spodziewał się, że Wstrętny Sam pojawi się gdzieś w tym pamiętniku, ale tak szybko?

I pamiętał mnie! Pamiętał nawet zdanie, które musiałam wypowiedzieć we „Franku i Franzi”. Pamiętacie? „Późno już, chodźmy”. To było przezabawne. Siedzieliśmy przy długim barze, a on wypił łyk piwa i powiedział: „Późno już, chodźmy”. A wtedy ja wypilam łyk wina i powiedziałam: „Późno już, chodźmy”. W końcu naprawdę zrobiło się późno, więc wysłałam Mamie SMS i powiedziałam, że zostanę na noc u Johnny. A wtedy Sam wypił kolejny łyk piwa i pocałował mnie. A ja wypilam łyk wina i pocałowałam jego. Całowaliśmy się przez jakiś czas, a potem Sam powiedział: „Hej, wiesz co? Późno już, chodźmy”. Tym razem naprawdę miał to na myśli. I poszliśmy.

I wtedy zrobiliśmy to.

Jak mogłabym tego nie zrobić? W końcu to Sam Maarten!

Zgadnijcie, kto nie poszedł pobiegać dziś rano. Hmm...

Finn nawet nie musiał się nad tym zastanawiać. To był odruch. Cisnął notatnikiem przez pokój z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć. Pamiętnik Eliany poszybował w powietrzu jak stary śpiewający UFO-discO Finna i wylądował w zimowym ogrodzie. Po drodze strącił kolendrę i bazylię, aż ziemia i liście rozsypały się po podłodze. Była to potężna siła G. I zrobiła niezły bałagan.

Chwilę później pokojówka Magda NY-FI-Nord7, odpoczywająca w szafie w piwnicy, otrzymała SOS z czujnika ogrodu zimowego. Odłączyła się od stacji dokującej i uruchomiła pas z narzędziami. Popędziła na górę, aby posprzątać bałagan.

A potem Finn zabrał notatnik z kuchennego blatu, gdzie rozsądnie położyła go Magda, nalał sobie kieliszek wina i zdrzemnął się na sofie w pokoju na poddaszu.



Na korzyść Eliany świadczyło to, że nie wdawała się w szczegółowe opisy swojego życia erotycznego. Finn był jej za to wdzięczny. Och, pisała o randkach z Samem i o tym, co miała na sobie i kogo spotkała, gdy byli razem, co jadła, i o tym, że „nocowała” u niego – już to wystarczająco bolało, kiedy o tym czytał – ale dopóki Finn nie musiał rozmyślać o zwrotach takich jak „i wtedy to zrobiliśmy”, był w stanie funkcjonować. Raz, w połowie czerwca 2007 roku, po zakończeniu roku szkolnego, gdy zdała wszystkie egzaminy, wspomniała o pocałunkach ze Wstrętnym Samem. Ku uciesze Finna była to negatywna reakcja.

Zaczyna mnie męczyć całowanie popielniczki. Powiedziałam mu o tym. A on obiecał rzucić palenie.

Jak się okazało, Sam naprawdę rzucił palenie, ale ponieważ Eliana nie wspomniała już więcej o całowaniu go, Finn doszedł do wniosku, że albo ostatnio nie robili tego zbyt często, albo aktor, jak wszyscy inni chłopcy w życiu Eliany, po prostu nie powalał na kolana, jeśli chodziło o sztukę pocałunku.



Finn czytał dalej. Strona po stronie. Było tam dużo o trzytygodniowej podróży po Krecie w czerwcu, z dwiema z trzech J: szczegółowe wskazówki, gdzie znaleźć najlepszy jogurt, najfajniejszą plażę i najprzystojniejszych facetów. W sierpniu pisała o rodzinnym wyjeździe na coroczne wakacje do Fischland-Darß-Zingst nad Bałtykiem. Sam przyjechał tam do niej na chwilę i flirtował z dziewczyną Roberta, Lisą, co rozwścieczyło Elianę, ale pogodzili się, a on zaprosił ją na premierę jednego ze swoich filmów. Rozpoczął się rok szkolny – pogoda się zmieniła.

Finn czuł narastający niepokój w związku z datą swojego przyjazdu, pierwszym października. Wrzesień już się kończył. Później zaczął się i skończył trzydziesty wrzesień. Finn poczuł ból w piersi. Brakowało mu powietrza. Ręka mu drżała. Odwrócił stronę.

1 października 2007

Kretynka!

Kretynka. Kretynka. Kretynka.

Jak mogłam? Jak mogłam?

Cholera!

Finn zatrzymał się na chwilę przy tym mocno wybuchowym wpisie, przeczytał go jeszcze raz i jeszcze. Nie był pewien, co powinien o tym myśleć, ale podejrzewał, że Eliana była na siebie zła.

W papierze zobaczył dziurę – w miejscu, gdzie wiecznym piórem napisała wykrzyknik po słowie „Cholera”. Odwrócił kartkę. Atrament przebił na drugą stronę, był rozmazany, a Eliana przekreśliła stronę od góry do dołu dużym „X”. Otworzył na następnej. Ta była pusta, ale sztywna i pomarszczona, jakby spadło na nią kilka kropel wody i wyschło. Kolejna strona też była pomarszczona i sztywna. A na kolejnej przeczytał:

Czwartek, 4 października 2007

Wylałam wszystkie łzy. Nic już nie zostało. Robert mówi, że powinnam wypić szklankę wody – może to pomoże wyprodukować trochę roztworu soli. Dupek.

Płakała. Ale dlaczego? Dlaczego płakała?

Finn wpatrywał się w pustą stronę. Czy to jej łzy na nią spadły? Czy dlatego papier był taki szeleszczący i pomarszczony? Przez sól? Podniósł notatnik i potrząsnął kartką. Wydawała grzechoczący dźwięk. To dźwięk jej łez, stwierdził. Zawstydział się, że tak pomyślał, ale była to muzyka dla jego uszu. To były jej łzy, tak jak pamiętnik należał do niej. Jasne, otrzymał tylko wierne repliki, ale i tak były to skarby.

Łzy skarbem? Poczul ból, gdy pomyślał, że płakała. Wiele by dał, aby scałować te łzy.

Scałować łzy! Ależ sentymentalnym sukinsynem się stał!

Niedziela, 7 października 2007

Byłam taka głupia! Głupia, głupia, głupia. Wstyd mi to przyznać, ale byłam. Jestem. Powinnam odprawić Sama w chwili, gdy przyszedł na taras. Był taki chamski wobec Finna. Taki chamski. „Ten koleś nie umie mówić?”, zapytał mnie, jakby Finna w ogóle tam nie było. A potem bezczelnie zapytał Finna, czy możemy się u niego zatrzymać w Nowym Jorku. Jakby wszyscy byli na każde skinienie Sama.

Dlaczego pozwoliłam mu się zaślepić? Mama i Tata nigdy nic nie powiedzieli, ale wiem, że nie lubili Sama. Od samego początku.

Sam. Grrr!

Grrr?

Ale najgorsze jest to, że Finn myśli, że jestem dziewczyną Sama. A nie jestem. Już nie. Byłam. Czas przeszedł. Bardzo przeszedł. Szkoda, że...

Już nie była dziewczyną Sama? Finn przeczytał to jeszcze raz.

Ale najgorsze jest to, że Finn myśli, że jestem dziewczyną Sama. A nie jestem. Już nie. Byłam. Czas przeszedł. Bardzo przeszedł. Szkoda, że nie widzieliście miny Sama, kiedy odprowadziłam go do drzwi. Występ zasługujący na Oscara, ale nie dałam się nabrać.

Wystawiła go za drzwi!

Tak!

Finn poczuł, jak coś w nim wzbiera. Jego pierś zdawała się rozszerzać. Wypełniała się... co to było? Była to ta niezwykła rzecz zwana nadzieją. Zalewała go. Chlupotała w jego wnętrzu, upajając go.

Więcej. Więcej.

Niestety zerwanie z Samem nie zmienia faktu, że Finn zniknął. Nawet nie mam jego numeru. Ani mejla. Ani Facebooka. Nic. Nie mogę się z nim skontaktować. Już nigdy mi się to nie uda.

Pytanie brzmi: czy jeszcze kiedyś go zobaczę? Serce mi pęka, gdy pomyślę, że może nie, że być może nigdy nie będę miała szansy powiedzieć mu, jak dobrze się czułam, idąc obok niego, że nigdy nie czułam się bardziej sobą, nigdy nie czułam się bardziej błyskotliwa ani zabawna. I bardziej godna pożądania. Boże, jak on na mnie patrzył! Czułam to wszędzie. Naprawdę WSZĘDZIE.

Ale staram się nie myśleć o nim zbyt wiele. Staram się nie myśleć, że przez kilka godzin pewnego złotego październikowego dnia kogoś kochałam. A potem go straciłam.

Finn podskoczył, wyrzucił ręce do góry, a z głębi jego wnętrza wyrwał się okrzyk:

– Kocha mnie! Kocha!

Zatkało go. Mnie? Kocha mnie? Hm. Czy można to było powiedzieć inaczej, bez użycia zaimka pierwszej osoby liczby pojedynczej? Finn zastanawiał się nad tym przez chwilę. Jakie były opcje?

Ona kocha Finna.

Ona kocha tego mężczyznę.

Ona kocha jego.

Żadna z nich nie wydawała się odpowiednia.

– Ona mnie kocha – powiedział.

Tak. To brzmiało dobrze.

– Ona mnie kocha! – powtórzył głośniej.

To brzmiało jeszcze lepiej.

– ONA MNIE KOCHA! – krzyknął. – ONA MNIE KOCHA! – Doszedł do wniosku, że wykrzyczenie tego brzmi najlepiej.

Ponownie przeczytał ostatni akapit, rozkoszując się nim. Jego serce stało się nadzwyczaj zachłannym czytelnikiem.

Ale staram się nie myśleć o nim zbyt wiele. Staram się nie myśleć, że przez kilka godzin pewnego złotego październikowego dnia kogoś kochałam. A potem go straciłam.

Z drugiej strony, co za dupek?! Co to za tajemnice? Pojawia się. Wyjeżdża. Jest tutaj. Potem go nie ma. To takie frustrujące. Nie muszę tolerować tego gówna! Postanowiłam zapomnieć o nim. Kropka.

Xo

Eliana

Zapomnieć o nim? Kropka? Finn wiedział, że musi do niej wrócić. I to szybko.

PS A tak przy okazji, zapomniałam nadmienić, że Finn wspaniale całuje. To, niestety, będzie bardzo trudno zapomnieć. Ale poważnie, nikt nigdy nie całował mnie tak jak Finn. Nigdy. I nigdy nikogo już tak nie pocałuję.

To było cudowne.

On był cudowny.

My byliśmy cudowni.

„PS”? Ta ostatnia informacja była warta jedynie „PS”, „a tak przy okazji” i „zapomniałam

nadmienić”?

Halo?

To była wiadomość z ostatniej chwili! Finn Nordstrom cudownie całuje!



Finn był rozgorączkowany. Czuł się tak, jakby opanował go jakiś wirus, zainfekował jego ciało, pożarł stare zmęczone komórki i stworzył nowe, które dostarczyły mu wigoru, jakiego nigdy sobie nie wyobrażał. Zarażał się od nowa dwa razy dziennie, aby upewnić się, że wirus będzie się dalej w nim rozprzestrzeniał: każdego ranka po przebudzeniu otwierał maleńką fiolkę, którą zabrał ze sobą z Berlina, i wachał Nieskończoność Eliany. Każdego wieczoru przed pójściem do łóżka ponownie wdychał ten zapach.

Przez cały czas szaleńczo pracował. Gdy odszyfrowywał, a potem tłumaczył drugi czarny pamiętnik, trzy razy w tygodniu udawał się na Manhattan, aby wypociec to na wirówce przeciążeniowej w instytucie, i dalej ćwiczył pisanie, zyskując biegłość w szybkości i formie. Wysłał pamiętnik Dok-Dokowi i otrzymał trzeci z serii Moleskine®, szósty dokument Eliany.

Pisała o swoich przygotowaniach do matury, o książkach, które przeczytała, o świadectwie szkolnym, na które czekała. W weekend osiemnastych urodzin ona i trzy J udały się do Paryża i zatrzymały się w hostelu, przypominającym jej „sowieckie więzienie” z filmu, który kiedyś widziała. Czasami pisała o randkach z młodymi mężczyznami, co Finn czytał ze strachem, ale zawsze czuł ulgę, gdy nigdy więcej nie wspominała o Nicku, Feliksie, Pablu czy kimkolwiek w danym tygodniu. Należało im się!

Nigdy nie pisała o nim. Ale czuł, że pozostał w jej myślach, i pewnego dnia jego podejrzenia się potwierdziły.

Środa, 1 października 2008

Minął rok, odkąd Finn tu był. Staram się tego nie robić, ale często o nim myślę. Czasem, tuż przed zaśnięciem, układam małe scenariusze opisujące szczegółowo nasze następne spotkanie. Wiem, co mam na sobie, z kim jestem, gdzie jesteśmy, co wszystkie postacie mówią. W jednym z nich mam na sobie moją nową czarną sukienkę bez pleców i szpilki Mamy od Christiana Louboutina. Wybieramy się na otwarcie gali filmowej, ona i ja, idziemy po czerwonym dywanie, wszyscy myślą, że jestem gwiazdą, nawet paparazzi, i nagle widzę Finna, a on przedziera się przez kordon policyjny, biegnie do mnie i woła: „Eliano, to ja!”. Ochroniarz już ma go odciągnąć, ale mama mówi: „Co pan robi? On jest z nami”. A wtedy Finn i ja całujemy się, a potem nie jestem pewna, co się dzieje – wiem tylko, że zostaje ze mną do końca życia.

Wiem, to strasznie głupie, ale poprawia mi humor.

Dziś wieczorem przy kolacji Robert powiedział, że jego zdaniem Finn jest tajnym agentem, dlatego ciągle znika i ma iPhone'a, którego nikt inny nie ma. Mama powiedziała, żeby nie gadał głupot, tajni agenci nie noszą garniturów od Hugo Bossa – a przynajmniej nie nosili w żadnym filmie, przy którym pracowała. A poza tym, mówiła, jest zbyt przystojny na tajnego agenta. W prawdziwym życiu tajni agenci nie wyglądają jak Daniel Craig, Matt Damon czy Finn Nordstrom. Tata spojrział na mnie, uścisnął moją dłoń i powiedział: „Kochanie, on wróci. Zaufaj mi”.

Naprawdę chciałam wierzyć w to, co powiedział Tata. I przez chwilę tak było.

Xoxo

Eliana

– Kiedy następna wycieczka? – zapytał Finn Rouge.

Nie mógł się doczekać, kiedy znów zobaczy Elianę, więc umówił się na holospotkanie z Rouge. Siedział w 3-D Diner na północnym wybrzeżu Long Island niedaleko Sag Harbor. Kucharz Carlo Canelli był w naprawie, więc Finn przyszedł tutaj na lunch. Rouge była u siebie w Rubiku.

– *Projekt Czas* ma drobne problemy – odparła. – Pewne zakłócenia atmosferyczne, które zaobserwowaliśmy, muszą zostać przeanalizowane przed naszą podróżą. Wyprawa została trochę odroczone.

– Odroczone? – Finn był wyraźnie rozczarowany.

Usłyszał jęk w swoim głosie. Rouge też usłyszała.

– Hej, przestań. Trzeba najpierw wygładzić parę supelków, Finn. To tylko zwykłe zakłócenia. Nie martw się.

Finn się nie martwił. Niecierpliwił się. Minęły tygodnie od jego ostatniego spotkania z Elianą. Z drugiej strony ona czekała na niego o wiele dłużej. Powinien wziąć z niej przykład. Czy ona ciągle narzekała? Nie.

– Te nieprawidłowości są dość powszechne – ciągnęła Rouge. – I to dobrze, że dały o sobie znać teraz, a nie później. – Uśmiechnęła się promiennie. – Lepiej wyglądasz, Finn. Morskie powietrze przywróciło ci kolorki. Ta przyjaciółka się z tego cieszy.

Rzeczywiście wygląda na zadowoloną, pomyślał Finn.

– A co u ciebie? – zapytał.

Opowiedziała mu. Wszystko. Było to do niej niepodobne. Zachwycała się wycieczką, na którą wybrała się z rodzicami, ambasadorami globalnego rządu, do prowincji równikowych na kontynencie południowoamerykańskim. Nigdy wcześniej nie wspominała ani o nich, ani o dzieciństwie, które spędziła ze swoją wielopokoleniową rodziną w Marsylii. Potem opowiedziała mu o przyjemnej próbnej wycieczce za miasto z Yolandą i Severinem na rowerach, które zaprojektował Severin, i o wyczerpującym spotkaniu ze sztywnym panem Ciucurescu z administracji finansowej instytutu, dotyczącym finansowania jej doktoratu.

– Przez cały czas łupał orzechy włoskie – powiedziała. – To było takie irytujące. Do biurka przymocował imadło i za każdym razem gdy rozłupywał orzech, zgadnij, komu pojawiała się w głowie wizja własnej głowy rozłupanej w tym przyrządzie?

Finn się roześmiał.

– A jeśli orzech nie wychodził z łupiny nieskalany – ciągnęła – wyrzucał go! I to on tnie nasz budżet, rozrzutnik!

Znów się roześmiał. Poczucie humoru nie było mocną stroną Rouge, lecz teraz go rozbawiła.

– Miło słyszeć twój śmiech – powiedziała. – Martwiliśmy się trochę o ciebie. Dobrze się czujesz, prawda?

– W dechę.

– Możesz powtórzyć?

– W dechę. Świetnie.

Rouge zapisała zwrot w osobistym słowniku mózgołacza i upiła łyk herbaty. Wyglądała tak, jakby czekała, aż Finn się odezwie.

Zastanawiał się, czy powinien powiedzieć jej o Elianie, lecz coś go powstrzymało. Czy naprawdę może jej ufać? Lepiej nie. Nie zawsze była z nim szczerą. Ostrożności nigdy za wiele.

Ale komuś musiał powiedzieć o Elianie. Zaczął mówić do siebie. Czasem podczas długich spacerów po plaży wspominał o tym krabom w piasku. „Ona mnie kocha”, mówił do nich, a one rozbiegały się, aby roznieść radosną nowinę. Mijając zabląkaną meduzę podczas kąpieli w morzu, wołał do niej: „Hej, słyszałaś? Ona mnie kocha!”. A meduza machała parzydełkami w odpowiedzi. Nocą szeptał do gwiazd: „To tak między nami, ale ona mnie kocha. Bardzo”. A gwiazdy mrugały do niego.

Lecz jakoś go to nie zadowalało. Musiał powiedzieć więcej, bardziej. Tak jak Eliana w swoim pamiętniku. Ona z radością...

I wtedy wpadł na niezwykle pomysł.

Dlaczego by też nie zacząć pisać pamiętnika? Albo książki?



Raoul Aaronson był rozbawiony. Znał Finna Nordstroma niemal przez całe życie i uważał go za jednego ze swoich ulubionych Mieszczuchów. Mimo to pisarska pasja Finna zdumiała go. Nigdy nie znał żadnego Mieszczucha, nawet sympatycznego, który tak interesowałby się sztuką odręcznego pisania. Jego pięcioletni syn Colin też był wyraźnie zauroczony Finnem, gdy patrzył, jak ten pisze „C”, „o”, „l”, „i”, a potem „n”. A dalej jego nazwisko.

– Tato, zobacz – powiedział Colin. – Napisał moje imię.

– Niedługo ty też będziesz się tego uczył w szkole – odparł Raoul.

– Napisz imię mamy – poprosił Colin Finna. – Carmine Marion Aaronson.

Imię zawisło na chwilę w powietrzu. Wszyscy trzej słuchali jego brzmienia niczym pieśni ptaka.

Carmine zmarła dwa lata wcześniej w wyniku komplikacji okołoporodowych. Nikt się tego nie spodziewał. Gdyby tak było, Raoul z pewnością zawiózłby ją do szpitala w Toronto. Należał do tych nowoczesnych Leśnych, którzy nie mieli nic przeciwko najnowszej technologii, jeśli mogła uratować komuś życie. Ale było za późno, by mogli pomóc Carmine czy ich nowo narodzonej córeczce. Od tamtego czasu Raoul poświęcał się wychowywaniu Colina i prowadzeniu firmy – nie żeby kobiety z kolonii Leśnych z całego świata nie chciały go poślubić. „Jeszcze nie jestem gotowy”, mówił i wracał do pracy. Czasem opuszczał Sternwood Forest, aby poznać nowe technologie, które poprawiłyby wydajność przedsięwzięć drukarskich i wydawniczych w kolonii Leśnych. Nieufnie podchodził do najbardziej zaawansowanych innowacji, ale rozumiał wiele idei i czasem wracał do domu zainspirowany.

Raoul skoczył i chwycił synka na ręce.

– Hej, Colly Dolly, Finn musi już iść. Musi zdążyć na wahadłowiec do Nowego Jorku.

Finn wstał, a Raoul wręczył mu notatnik.

Był oprawiony w skórę w kolorze koniaku, co skojarzyło się Finnowi z barwą perfum Eliany, gdy spojrział na nie pod światło. Otworzył notatnik i przesunął palcami po kremowobiałej kartce.

– Carmine go zrobiła – oznajmił Raoul. – Ręcznie. Mamy jeszcze kilka sztuk. Dla przyjaciół.

Finn powąchał papier.

– Tintoretto Crema, stuczterdziestogramowy – powiedział Raoul.

– Będę go traktował jak najdroższy skarb – rzekł Finn. – Zwłaszcza teraz, gdy wiem, że zrobiła go Carmine.

Finn przytulił Colina na pożegnanie, a potem poszedł z Raoulem ścieżką na przystanek e-busa przy drodze.

– Właściwie po co ci ten notatnik? – zapytał Raoul.

– Żeby w nim pisać – odparł Finn. – Historię.



Przez kilka dni Finn zastanawiał się, od czego powinien zacząć swoją opowieść. Gdy usiadł przy stole 3 maja 2265 roku, wiedział, że chce, aby była to jak najwierniejsza relacja z jego życia w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Rozpocząłaby się w dniu, kiedy po raz pierwszy usłyszał o odkryciu z Bodden – gdy Rouge odwiedziła go na Fire Island.

Finn zdjął skuwkę wiecznego pióra z platynowymi gwiazdkami, otworzył notatnik i zaczął pisać.

Finn dostrzegł gwiazdny ekspres wiozący geologów na Marsa i dalej. A może wracali do domu na święta? Z tej odległości trudno było to stwierdzić. Widział tylko błyskające zielone reflektory pojazdu, który być może pozdrawiał w ten sposób statek wycieczkowy SunTeam, zapewne z kompletem pasażerów na pokładzie – spragnionych kosmicznych wrażeń amatorów skoków na bungee. Finn wzdrygnął się na samą myśl o tym. Nie przepadał za swobodnym spadaniem.

Finn pisał dalej. Słowo po słowie, zdanie po zdaniu, akapit po akapicie. Wkrótce była to strona po stronie i rozdział po rozdziale.

W połowie maja dotarł do pamiętnika Eliany:

Miał różową okładkę. Jaskraworóżową. Kiedyś ten kolor nazywano „hot pink”. Albo neonowym różem. Był to brzydki, błyszczący, krzykliwy, różowy plastik. A może winyl. Były na nim nadrukowane maleńkie czerwone serca. Serduszka i kwiatki, i motyle. Notatnik miał też niezbyt solidną niewielką klódeczkę z wetkniętym w nią złotym kluczykiem, przez który przepleciono cienką satynową różową wstążkę. Finn nie wiedział, co ma o tym myśleć. Spojrzał na doktora doktora Rirkrita Sriwanichpooma.

– Co to jest? – zapytał.

– Pamiętnik – odparł dyrektor. – Oczywiście napisany odręcznie.

– Pamiętnik? – powtórzył zaskoczony Finn...

Wtedy zadzwonił profesor Judd W. Grossmann.

– Panie Nordstrom – powiedział – jesteśmy gotowi.

Plask! Trzask! Chlup! Plusk!

Coś było nie tak. Zdecydowanie nie tak.

Początkowo podróż do Berlina 2009 roku przebiegała gładko. Finn doświadczył „chwili przed”, tej przerażającej mieszanki lęku i podniecenia, a potem jak zwykle poczuł się tak, jakby rozciągano go w spaghetti i – ziuuu! – wessało go przez maleńki otwór do długiego tunelu. Ale gdy tym razem został wystrzelony z tunelu, znów we własnym ciele, poczuł, że coś go podnosi i ciska nim o ścianę. Raz. Dwa razy. Trzy. Jak jajko rozbijane o brzeg miski. Została z niego tylko żółtawa maź i rozbita skorupka.

Ostatnia myśl Finna dotyczyła Eliany: nawet nie wiedziała, że on ją kocha. Kto jej teraz o tym powie?



Finn otworzył oczy. Leżał z policzkiem w kałuży wody. Nie. To była kałuża moczu. Poczł kwaśny odór i zrozumiał, że to jego własne wymiociny. Nie mógł się ruszyć, jego ciało było pogruchothane. Ale potem zobaczył, że może poruszać palcami, i wsparł się na łokciach.

– Rouge? – zapytał.

Cisza.

Usłyszał szloch. Rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu. Nie zobaczył Rouge. I nagle zrozumiał, że to on szlocha.

Dźwignął się na kolana. Potem powoli wstał. Kręciło mu się w głowie. Zemdliło go. Odwrócił się gwałtownie do toalety i wymiotował.

Kiedy w jego wnętrzościach już nic nie zostało, wyczerpany oparł się o umywalkę. Odkręcił kran. Umył twarz i pozbył się kilku kropel wymiocin z bluzy. Otworzył drzwi.

– Rouge? – zawołał.

Nikogo tam nie było.

Gdzie się znalazł? Było za ciemno, by mógł cokolwiek zobaczyć. Dlaczego była noc? I dlaczego na ziemi leżał śnieg? Był mróz. Wył wiatr. Powinno być południe. Łagodny kwietniowy dzień. Dwudziesty siódmy kwietnia. Ludwigkirchplatz był ich punktem wejściowym. Czy to był Ludwigkirchplatz?

Oczy Finna przyzwyczyły się do ciemności. Rozpoznał Wilmersdorfer StraÙe. Ale deptak wyglądał jakoś inaczej.

Wrócił do szaletu miejskiego i usiadł. Co teraz? DwadzieÙcia cztery godziny to duÙo czasu, jeśli utknął w niewłaściwym miejscu bez wsparcia. Miał na sobie letnie ubranie: dÙziny, T-shirt i bluzę z kapturem, a na dworze była zima.

Okej, pomyślał, zrobi to, co zaplanował: odwiedzi Elianę. Mieszkała niedaleko stąd, kilka minut piechotą.

Podniósł się.

Ale znów usiadł. Gdzie był jego punkt wyjścia? Tutaj? Czy na Ludwigkirchplatz? I gdzie się podziała Rouge? Może powinien po prostu poczekać tu do rana. Rozejrzył się. Myśl, aby spać w tym miejscu, nie była zbyt zachęcająca.

Wstał i otworzył drzwi.



Skręcił w lewo w Wilmersdorfer Straße. Ale nie była to ulica, którą znał. Ujrzał pustkowie. Wybite szyby. Śmieci rozrzucone na chodniku. Osypujące się fasady. Skrzypiące drzwi, które otwierały się i zamykały. Ludzie leżeli na progach, okryci gazetami mającymi ochronić ich przed zimnem. Głęboki lęk opanował Finna. Czyżby wylądował w czasach Mrocznej Zimy? Z szelestem przeleciała obok niego jakaś gazeta. Pobiegł za nią i spojrział na datę.

26 kwietnia 2009 roku.

Poczuł ulgę. Wczorajsza gazeta.

A jednak coś było nie tak. I to bardzo.

Śnieg pod koniec kwietnia?

Chwiejnym krokiem minęli go dwaj pijani mężczyźni, głośno śpiewając. Donośny warkot samotnego motocykla odbijał się echem po całej Kantstraße. W górze przejechał niebieski pociąg S-Bahn szybkiej kolei miejskiej, i zahamował z piskiem. Czy pociągi S-Bahn w Berlinie nie były żółto-czerwone? Usłyszał kroki. Czy ktoś go śledził? Odwrócił się szybko i ujrzał wysokiego mężczyznę w szarym płaszczu i szarej fedorze – jednym z tych kapeluszy, które nosił Indiana Jones, bohater celuloidów. Mężczyzna sięgnął do kieszeni. Finn nie chciał się dowiedzieć, co nieznajomy z niej wyciągnie. Zaczął uciekać. Aż znalazł się na Giesebrechtstraße. Przed domem Eliany.

Tylko że to nie był jej dom. Okna i drzwi zabito deskami. Domofon wisiał na gołych drutach, poruszając się na wietrze i obijając o osypującą się fasadę budynku. Finn spojrział na nazwiska. Znalazł wśród nich „Lorenz”, lecz zostało wykreślone.

Usłyszał rechotliwy śmiech po drugiej stronie ulicy. Grupa nastolatków stała przed barem.

Marzył. Sportowe buty miał przemoczone od śniegu. Zęby mu dzwoniły.

Przeszedł na drugą stronę ulicy.



W barze unosił się zapach papierosów i piwa. Ale przynajmniej było ciepło. Z tyłu zobaczył jakichś mężczyzn, na oko dwudziestoparoletnich, stojących wokół dużego stołu. Mieli długie cienkie kije i uderzali nimi w coś. Może w piłki? Usłyszał dźwięk toczącego się przedmiotu i „pac, pac, pac”. Coś ze stukotem wpadło do dziury.

Finn usiadł przy barze i zamówił gorącą herbatę.

– Co takiego? – zapytał barman.

Pochylił się do przodu i Finn zobaczył tatuaże na jego ramionach.

Finn odchrząknął. Może zamawiając „gorącą”, prosił o zbyt wiele.

– Poproszę herbatę – powiedział.

– Hej, Es Em – zawołał barman w stronę stołu bilardowego. – Słyszałeś to? Mały lord chce

herbaty. Mamy herbatę? – Roześmiał się i odwrócił znów do Finna. Wyższym głosem, który miał zabrzmieć kobieco, zapytał: – Z kopru włoskiego? Miętową? Rumianek? – Wyraźnie kpił.

– O co chodzi? – warknął głos za plecami Finna.

– Przepraszam – rzekł Finn, odwracając się. – Ja tylko...

Szok! To był Wstrętny Sam. A raczej ktoś, kto wyglądał jak aktor Sam Maarten. Jednak ten młody mężczyzna miał wielki brzuch i ogoloną głowę. Brakowało mu kilku zębów, a te, które zostały w jego ustach, wyglądały jak porośnięte pleśnią.

– Nie sprzedajemy herbaty – powiedział młody mężczyzna zwany Es Em. – I co ty sobie myślisz, do cholery, żeby tu przyłączyć? – Chwycił Finna za kaptur. – Ech. Śmierdzisz, zarzygańcu. Wynocha. – Zdjął Finna ze stołka i popchnął go w kierunku drzwi. Finn usłyszał szczekanie psa na zewnątrz i drzwi się otworzyły. Do środka wbiegł pitbul, warcząc i szczekając. Za nim weszła jego właścicielka. To była Eliana.

– Eliana! – zawołał Finn.

Poczuł taką ulgę na jej widok, że nawet nie zauważył, że jej włosy były skołtunione i brudne, na twarzy miała grubą warstwę makijażu, do tego sztuczne rzęsy i dziwaczny strój. Ubrana była w skórzaną kurtkę, obcisłą czarną skórzaną spódniczkę i czarne wysokie kozaki z lakierowanej skóry. Zmrużyła oczy i spojrzała na Finna.

– A ty co? – warknęła. – Zjeżdżaj!

Finn wyciągnął dłoń do jej ramienia.

– Ale...

Odsunęła się.

– Odpietrz się, dupku!

– Eliana! To ja, Finn.

Odepchnęła go.

– Mam na imię Helena!

Ktoś chwycił Finna od tyłu i odwrócił go. Robert! A jednak jakby nie on. Miał na sobie srebrno-zieloną kurtkę lotniczą, spodnie moro i ciężkie buty.

– Zadzieras z moją siostrą.

– Rolli! – powiedziała Helena do brata. – Daj spokój z tymi idiotyzmami o siostrze. Sama umiem o sobie zadbać.

Finn zobaczył, że pitbul pokazuje zęby. Chciał skoczyć komuś do gardła. Finn miał nadzieję, że nie poluje na jego tętnicę szyjną.

– Mattie! – zwróciła się Helena do psa. – Siadaj, dziewczyno!

Mattie nie usiadła.

– Siad!

Mattie grzecznie usiadła i Finn znów mógł oddychać – ale długo nie cieszył się spokojem. Ktoś go popchnął i Finn wyleciał przez otwarte drzwi. Poczuł na piersi uderzenie czyjejs pięści. Poślizgnął się na lodzie i usłyszał chrupnięcie w małym palcu lewej ręki. Rozległy się krzyki. Ktoś stanął mu na obojczyku – dwa razy! – a potem podniósł go i cisnął nim o ścianę. Kolejny napastnik wymachiwał kijem. A może to była rurka? Cokolwiek to było, boleśnie uderzyło Finna. Coś chlapnęło mu na

twarz. Mózg? Jego własny? A może tylko krew? Albo śnieg?

– Zostawcie go! – huknął głos. – Natychmiast!

– Co jest, ku...

– Powiedziałem: zostawcie go!

Napastnicy się wycofali.

Finn leżał w śniegu. Spojrzał w górę i ujrzał mężczyznę w płaszczu i fedorze. Najwyraźniej tamci bali się tego człowieka.

– Zjeżdżać mi stąd! – rozkazał.

Finn zauważył teraz, że wymachiwał bronią.

Napastnicy zniknęli w barze.

– Nic mu nie będzie? – usłyszał pytanie Finn. Jego wzrok podążył za głosem. To była tamta dziewczyna, Helena. Ta, która przypominała Elianę. Przyglądała mu się z góry. – Cholera. Ale oberwał. – Gwizdnęła.

– Spieprzaj – rzucił mężczyzna.

Warczący pies poszedł za dziewczyną do baru.

Mężczyzna pochylił się nad Finnem. Ten skupił wzrok. Czyżby śnił? To był strażnik z Biblioteki Miejskiej na Potsdamer Platz. Bezdomny, któremu Finn pomógł w 2003 roku.

– Biedak – powiedział do Finna.

– Uratował mnie pan – rzekł Finn.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

Syrena była coraz bliżej. Samochód zahamował, drzwi się otworzyły. Mężczyźni w bieli otoczyli Finna. Położyli go na noszach. Stracił przytomność. Po chwili ją odzyskał. Ludzie w zieleni. Ostre światła.

– Zszyjemy cię – oznajmiła kobieta.

Znów stracił przytomność. A gdy ją odzyskał, zobaczył Rouge.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Finn.

– Ćśś – powiedziała. – Zabieramy cię do domu.

„Ja” mojego serca

Finn szybko dochodził do zdrowia.

Pierwszego dnia dali mu nowiutki lewy mały palec, połatali dwa środkowe żebra, wszczepili implant przedniego zęba, nastawili nos i usztywnili złamany w dwóch miejscach obojczyk. Rany na twarzy goiły się dość dobrze już drugiego dnia. Trzeciego dnia lekarze zmniejszyli dawki środków uspokajających. Czwartego dnia Finn ocknął się z zamroczenia spowodowanego lekami przeciwbólowymi z trzeźwą głową i nietkniętymi wspomnieniami. Jego ludzką opiekunkę, pielęgniarkę Bettinę, zastąpiła robopomoc RN Ursula-BER-MV-MedC49. Lekarze uprzedzili go, że jedynym problemem będzie obojczyk. Śmiech mógł mu sprawiać ból jeszcze przez kolejny dzień lub dwa. Finn i tak nie przypuszczał, by w najbliższym czasie było mu do śmiechu, więc się tym nie przejmował.

Po wczesnym lunchu Finn czuł się już na tyle dobrze, aby przyjąć Rouge, doktora doktora Sriwanichpooma i profesora Grossmanna na post mortem. Usiedli wokół jego łóżka, z minami wyrażającymi poczucie winy, głowy zwiesili jak szczeniaki, które wiedzą, że nasiusiały na piękny perski dywan, i czekają na wyrok.

Profesor Grossmann, jak zwykle w brązowym sztruksowym garniturze i w krawacie bolo, tym razem ze spinką w kształcie srebrnego wilka, odchrząknął.

– Nie będziemy owijać w bawełnę – powiedział. – Pomyliliśmy się.

– Zapewniamy – dodał doktor doktor Sriwanichpoom – że wynagrodzimy to panu. Co pan powie na dodatkowy tydzień urlopu w tym roku?

Finn patrzył na niego w milczeniu. Dyrektor był złośliwy czy szczodry? Trudno było stwierdzić.

– Oczywiście zdajemy sobie sprawę – ciągnął profesor Grossmann – że na pewno ma pan mnóstwo pytań. Niech pan zaczyna.

– Kiedy następna wyprawa? – zapytał Finn.



Finna interesował jedynie powrót do Eliany, do jego Eliany. Nie miał pojęcia, jak by to miało między nimi wyglądać, gdyby znalazł się obok niej. Prawdopodobnie mało optymistycznie, biorąc pod uwagę okoliczności, ale musi chociaż ją zobaczyć i powiedzieć jej, co do niej czuje.

Profesor Grossmann bardzo chciał mu wyjaśnić, dlaczego przerwano ostatnią podróż w czasie, lecz Finn nie miał ochoty słuchać o równoległych wszechświatach. Gdy minął pierwszy szok związany ze spotkaniem Heleny, wydało mu się oczywiste, że nie wylądował na swojej Ziemi. Wszyscy wiedzieli o istnieniu alternatywnych światów – uczyli się o nich w szkole – ale większość ludzi poświęcała im niewiele uwagi. Podobnie jak teleportacja, która jeszcze nie została skomercjalizowana, czy podróże w czasie, zwykle zarezerwowane dla żądnych przygód kwarków, równoległe wszechświaty nie odgrywały żadnej roli w życiu większości ludzi, również historyków i tłumaczy paleografów, a już na pewno marzycieli i poetów.

Ale profesor Grossmann nalegał. Chciał, aby Finn zrozumiał, o jakie problemy chodzi. Przesłał do jego mózgołacza kolorowe diagramy przedstawiające to, w jaki sposób szalety miejskie funkcjonowały jako bramki lub mosty pomiędzy Ziemią 2264–2265 a Ziemią z przełomu tysiącleci. Niebieskie kule przedstawiające Ziemię ozdobioną strzałkami wskazującymi górę i/lub dół tańczyły na ekranie mózgołacza Finna. Inny diagram przedstawiał Ziemię alfa z odgałęzzeniami subalfa, beta i subbeta, aż do subsubomega i tak dalej, do nieskończoności. Nie trzeba mówić, że Finn nic z tego nie rozumiał.

– Niektóre z tych światów łączą silne historyczne związki z naszą Ziemią – powiedział profesor. – Inne słabsze. Ten, który pan odwiedził, był podobny do naszego.

Eliana i Helena podobne do siebie?, pomyślał Finn i zbladł. Były zupełnie inne.

– Tak naprawdę są bardzo podobne – dodał profesor. – Należą do naszej podgrupy alfa. Gdyby nie ta paskudna sprzeczka w barze, być może wszystko poszłoby gładko. Na szczęście *mademoiselle* Moreau trafiła do tego samego świata co pan, tego samego dnia, w tym samym czasie, tyle że w innym miejscu Berlina, w...? – Spojrzał na Rouge.

– Neukölln – powiedziała. – To elegancka dzielnica, głównie wille i ambasady, ale żadnych taksówek z powodu opadów śniegu. Minęło trochę czasu, zanim udało się wezwać pomoc. Policja pomogła nam cię odnaleźć.

– Ale stróże prawa nie zawsze są pomocni – rzekł doktor doktor Sriwanichpoom z tym swoim urywanym akcentem. Posłał Finnowi wyniosły uśmiech. – Wszystko zależy od...

– Kiedy następna wyprawa? – przerwał mu Finn.

Wszyscy troje zrobili zdziwione miny.

– Czy mamy rozumieć, że chciałbyś kontynuować podróżę w czasie? – spytała Rouge, z trudem skrywając zachwyty.

– Tak – potwierdził Finn.

Na twarzach całej trójki pojawił się wyraz niewiarygodnej ulgi.

– Panie Nordstrom – powiedział profesor. – Czy jest pan całkowicie przekonany, że chce pan to zrobić? Oczywiście doceniamy pańskie chęci. Także *mademoiselle* Moreau jest bardzo wdzięczna, ponieważ stawką jest jej doktorat. Ale zrozumiemy, jeśli teraz wycofa się pan z projektu.

I miałby już nigdy nie zobaczyć Eliany? W życiu! Jedynym problemem było bezpieczeństwo. Myśl, że coś by mu się mogło stać i nie zdołałby jej wyznać, że ją kocha, była otrzeźwiająca.

– Czy to będzie bezpieczne? – zapytał, wiedząc, że może ma nadzieję na zbyt wiele.

– Musimy być całkiem szczerzy – rzekł profesor. – Ten problem może znów wystąpić, a nie wiadomo, czy pańskiej koleżance uda się z panem skontaktować tak szybko.

Finn przełknął gulę w gardle.

– Co się wtedy stanie? Czy ten podróżnik w czasie może utknąć na zawsze na jakiejś Ziemi subgamma czy subipsylon? – zapytał.

– „Na zawsze” to lekka przesada – odparł profesor. – Na ogół odnajdujemy nasze zguby.

– Na ogół?

– Cóż, mamy kilka niezamkniętych spraw... – Urwał, ale szybko dodał: – Jesteśmy optymistami, jeśli chodzi o drugi sierpnia dwa tysiące jedenastego roku. Nie widzimy żadnych zakłóceń

atmosferycznych, chociaż będziemy potrzebowali kilku tygodni na zdobycie wszystkich informacji z Muchy.

– Drugi sierpnia dwa tysiące jedenastego? A co z kwietniem dwa tysiące dziewiątego? Przecież wtedy lecimy.

– Niestety ta szansa przepadła i portal nie otworzy się aż do... – Wyglądał, jakby sprawdzał pliki w swoim mózgołacu. – Aż do dwa tysiące dwieście dziewięćdziesiątego trzeciego. Za dwadzieścia dziewięć lat. W listopadzie dwa tysiące dwieście dziewięćdziesiątego trzeciego otworzy się przejście do dwudziestego siódmego kwietnia dwa tysiące dziewiątego. Chętnie wpiszę pana na listę oczekujących.

Finn otworzył usta ze zdumienia.

– Pan żartuje, prawda?

– Nie do końca. – Puścił do niego oko. – Nie mamy takiej listy.

Czy przeniesienie się do dnia 2 sierpnia 2011 roku jest jego jedyną szansą, aby mógł znów zobaczyć Elianę? To by oznaczało, że czekałaby na jego powrót cztery lata. Nie mógł na to liczyć. Na pewno ją straci. Będzie miała wtedy dwadzieścia jeden lat. Może wyprowadzi się z Berlina. Wyjdzie za mąż. Urodzi dzieci. Pokocha kogoś innego. Nie mógł znieść tej myśli, to było dla niego zbyt wiele. Gdyby tylko istniał sposób, aby się z nią porozumieć.

– Trochę się pan niecierpliwi? – zapytał doktor doktor Sriwanichpoom.

– Dlaczego dwa tysiące jedenasty? To niesprawiedliwe! – powiedział Finn. Usiadł. Poczł ból w obojczyku i skrzywił się. – Dlaczego nie wcześniej?

– Panie Nordstrom – rzekł profesor z rzadką u niego surowością. – Jak powiedział jeden z moich przodków, prawa fizyki to prawa fizyki. Nie musi ich pan lubić, ale będzie się pan do nich stosował.



Wczesnym rankiem następnego dnia Finn pedałowal ścieżką do swojego domu na Fire Island. Był koniec maja, w ciepłym powietrzu unosiły się zapachy kwiatów – styrak japoński rywalizował z europejskimi peoniami, dzikie róże konkurowały z ogrodowymi.

Godzinę później Finn siedział na tarasie i patrzył na fale rozbijające się o brzeg. Przed nim na stoliku leżał siódmy pamiętnik Eliany. Był najładniejszy ze wszystkich, oprawiony w błyszczący zakardowy jedwab z delikatnym wzorem *paisley*, z czerwonymi i różowymi barwami prześwitującymi przez złoto. Liniowany papier był dobrej jakości: „bezkwasowy, trwały leśny papier”, napisano z tyłu. Po szybkim przekartkowaniu Finn zorientował się, że pamiętnik obejmował okres od 11 listopada 2008 do 22 czerwca 2011 roku. Eliana miała osiemnaście lat i sześć miesięcy na początku, a dwadzieścia jeden na końcu.

Wtorek, 11 listopada 2008

Zawsze gdy zaczynam pisać nowy pamiętnik, patrzę na te wszystkie puste strony i zastanawiam się, jak zdołam je wypełnić. Czy moje życie jest aż tak interesujące? Ten konkretny notatnik ma 352 strony. To mnóstwo stron do zapelnienia. Być może kiedy ostatnia z nich zostanie zapisana słowami, będę zupełnie inną osobą niż teraz.

Przejrzałam niedawno niektóre ze swoich starych pamiętników. Różowego nie otwierałam od lat. A kiedy to zrobiłam, poruszył mnie do łez. Myślę, że częściowo przez to, jaką byłam dziewczynką. Była urocza. Taka słodka. Ale ona zniknęła

i stała się mną, tą osiemnastoletnią zrzędką, która siedzi przez cały dzień nad książkami i narzeka na nauczycieli i na to, ile ma pracy.

Ale płakałam głównie dlatego, że to Madeline mi go dała. Pamiętam, jaka była podekscytowana, kiedy otworzyłam prezent, jaka dumna, że wybrała dla mnie idealną rzecz. (Tak się cieszę, że nigdy jej nie powiedziałam, jak strasznie śmierdział ten różowy winyl!).

Finn złapał się na tym, że śmieje się w głos. A! Obojczyk!

Nadal za nią tęsknię. Nie ma dnia, żebym nie myślała o Madeline. W naszym budynku mieszkają dwie siostry. W domu na tyłach, na czwartym piętrze, po przeciwnej stronie od nas i piętro niżej. Mają może dziewięć i jedenaście lat. Kiedy wyglądam przez okno swojego pokoju, widzę, jak się bawią, odrabiają lekcje i przygotowują do snu. Czasem mnie to pociesza. Ale też smuci. I czuję zazdrość. Tak bardzo im zazdroszczę, że mają siebie.

Ale dobrze się czytało te pamiętniki. Z jednej strony dzięki nim zobaczyłam, jak bardzo się zmieniłam, lecz z drugiej przypomniały mi, kim byłam i pewnie wciąż jestem gdzieś w głębi duszy. Tak bardzo się śmiałam z tej trzynastolatki: tego całego szumu, podekscytowania, obietnic! Zupełnie zapomniałam o koślawych ciastach Johanny! I o tym, jak Robert upił się w swoje szesnaste urodziny. Z drugiej strony: o rany! Ja i Moritz Teichgräber – ten ujarany kretyń! I Alex Landuris. I Max. Ja i Max na basenie. Żenujące. Umarłabym, gdybym się dowiedziała, że ktoś to przeczytał. Albo czyta. Po prostu...

Finn zamknął notatnik. Oczywiście miała rację. Nie miał prawa czytać jej pamiętnika. Inaczej było wtedy, gdy jej nie znał, ale teraz, gdy już ją poznał, czuł się jak najgorszy podglądacz.

Odłożył pamiętnik Eliany i sięgnął po własny notatnik oprawiony w skórę, swoje rozpoczęte dzieło. Zaczął czytać:

Finn nasunął na oczy transfokatory lunarne. Nad jego głową lekko skrzyło się ciemne wieczorne niebo.

Czytał dalej. Popołudnie zmieniło się w wieczór. Zebrały się chmury i zaczęło siąpić. Gdy nastał zmierzch, odłożył notatnik i odchylił się na krześle, patrząc na deszcz.

Czuł, że to, co napisał, było zadowalającą relacją. Prawdziwą. A jego pismo było czytelne. Jednak czegoś brakowało. Czegoś, co pamiętnik Eliany zdawał się posiadać, a jego tekst nie miał. Włączył światło i dalej czytał jej pamiętnik. Czy był podglądaczem, czy nie, czytanie go było jego pracą.

Eliana była w trakcie egzaminów maturalnych, które ciągnęły się tygodniami i miesiącami. Finn nie do końca rozumiał, jak to działało. Miała ważniejsze i mniej ważne przedmioty, coś było warte trzydziści procent w końcowej ocenie, a coś innego dwadzieścia. Mogła zamienić A na B, a może wybrać C, ale wtedy D by się nie liczyło. Mama obiecała jej wspólny długi weekend w spa w Alpach Bawarskich po zakończeniu wszystkich egzaminów. Eliana zaprzyjaźniła się z Renée i Fritzi, dziewczynami z sąsiedztwa, które widywała w okolicy niemal przez całe życie. Pewnego dnia zaczęły ze sobą rozmawiać na ulicy przy Café Richter. Rankami przed siódmą Eliana zwykle uprawiała jogging, a w poniedziałki jak dawniej chodziła do Biblioteki Miejskiej.

Odłożył pamiętnik i wyobraził sobie Elianę w Bibliotece Miejskiej. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek o nim myślała. Czy miała nadzieję, że znów pojawi się niespodziewanie w Dziale Map? Czy dlatego tam chodziła?

Finn potrząsnął głową. Rozmyślanie o tym wydawało się bezcelowe. Czytał dalej.

Pisała o randkach z Emilem, studentem inżynierii na Uniwersytecie Technicznym. Potem spotykała

się z Timem, który studiował scenopisarstwo na Niemieckiej Akademii Filmu i Telewizji. Powstrzymała się, podobnie jak w przypadku Sama Maartena, od podawania szczegółów. Finn zastanawiał się nad tym. Opisywała z detalami wszystko, lecz nie mężczyzn w swoim życiu – jakby czuła, że on czyta jej pamiętnik.

Finn złajał siebie za ten niedorzeczny pomysł. Dlaczego miałyby nadal o nim myśleć?

Przeleciał przez miesiące od stycznia do marca 2009 roku. Eliana pisała przeważnie o codziennych sprawach, o niczym zbyt emocjonalnym ani osobistym.

To była lekka lektura. Ale nagle, pewnego dnia, zrobiła się trudna.

Środa, 1 kwietnia 2009

Półtora roku. Minęło półtora roku. Był tutaj, a potem już go nie było. Chyba zwariowałam, skoro myślę, że Finn wróci. To chore, chore. Nic, absolutnie nic nie wskazuje na to, że będzie inaczej. Marnuję swoje życie, czekając na niego i...

Och, koniec z tym dramatyzowaniem! Przecież wcale NIE marnuję życia, czekając na niego. Robię wszystko to, co powinnam robić. Właściwie nawet więcej. Na liście „101 rzeczy, które chcę zrobić przed śmiercią” być może odfajkowałam tylko 29, ale zamierzam żyć jeszcze przynajmniej osiemdziesiąt lat, a poza tym i tak zaliczyłam już więcej od Renée i Fritzi. A są ode mnie o rok starsze! I z nas trzech tylko ja odhaczyłam „Poznanie Kamasutry i wcielenie teorii w życie”.

Czy to brzmi, jakbym marnowała życie?

Kamasutra? Czy to coś, czego miała się nauczyć do matury? Sprawdzi to później w Cyklopie.

Ale mimo wszystko. Zniknął, a ja muszę przestać o nim myśleć i przyznać, że Tata się mylił. „Kochanie – powiedział Tata sześć miesięcy temu – on wróci. Zaufaj mi”. Ale Tata nie miał racji. Finn nie wrócił. I nie wróci. Nigdy. To w każdym razie mówi mi mój rozum.

Z kolei moje serce... To zupełnie inna historia. Moje serce mówi mi, że jest blisko. To idiotyczne. Wiem. Romantyczny nonsens. Wiem. Wiem. Wiem.

Aresztujcie mnie.

Ale to naprawdę dziwne. Czasem mam przedziwne uczucie, jakby on mnie słuchał, na przykład teraz słucha słów, które wypowiadam w sercu.

Halo? Finn?

Jesteś tam?

Gdziekolwiek jesteś, jestem tu i wołam do ciebie. „Ja” mojego serca wita „ty” twojego.

Xoxo

Eliana

Finn długo siedział, wpatrując się w kartkę i napisane na niej słowa. „Gdziekolwiek jesteś, jestem tu i wołam do ciebie. «Ja» mojego serca wita «ty» twojego”.

Przeczytał je. Jeszcze raz. I kolejny. A potem wypowiedział je na głos. „Gdziekolwiek jesteś, jestem tu i wołam do ciebie. «Ja» mojego serca wita «ty» twojego”.

I wtedy wszystko połączyło się w całość. Finn wiedział, czego brakuje jego książce. Podeszedł do czarnej onyksowej szkatułki i wyjął z niej wieczne pióro w platynowe gwiazdki. Wyszedł na taras i otworzył swój dziennik na nowej, czystej stronie. Przytknął złotą stalówkę do papieru i zaczął pisać:

Długo siedziałem, wpatrując się w kartkę i napisane na niej słowa.

Dobra. Jest. Pierwsza osoba liczby pojedynczej. Dalej.

Przeczytałem je. Jeszcze raz. I kolejny. A potem wypowiedziałem je na głos. „Gdziekolwiek jesteś, jestem tu i wołam do ciebie. «Ja» mojego serca wita «ty» twójego”.

I wtedy wszystko połączyło się w całość. Podeszedłem do czarnej onyksowej szkatułki i wyjąłem z niej rodzinną pamiątkę, wieczne pióro w platynowe gwiazdki. Wyszedłem na taras i otworzyłem swój dziennik na nowej, czystej stronie. Przytknąłem złotą stalówkę do papieru i zacząłem pisać.

Zdumiewające, co może zrobić taka drobna zmiana. Dosłownie czułem, jak moja pierś się rozszerza, wypełnia tym całym światłem i lekkimi „ja”. Ja i ja, i ja, i ja. Zakreśliło mi się w głowie.

Owszem, używałem tego słowa podczas swoich podróży w czasie, czytałem je w książkach i słyszałem mnóstwo razy z ust Leśnych. Ale dziwnie się czułem, myśląc „ja”, „ja” mojego serca, i gdy później je pisałem. Wydawało mi się takie dominujące i natarczywe. Wszystko, czego kiedykolwiek się nauczyłem, mówiło mi, że „my” jest ważniejsze od „ja”, a tu nagle zamiast go unikać, bawiłem się tym „ja”, flirtowałem z nim, szturczałem je łokciem.

Wiedziałem, że zajmie mi chwilę uporanie się z ambiwalencją. Byłem dzieckiem swoich czasów. Wierzyłem, że ocalenie naszego świata, samej przyrody, jest naszym najważniejszym zadaniem. Ziemia była naszym „my”. Naszym domem.

Podświadomie jednak czułem też, i to pewnie od dawna, że w każdym z nas jest „ja” naszego serca, które utraciliśmy po drodze. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego tak się stało. Ale trudno było pojąć, dlaczego nadal je ignorowaliśmy. To też był nasz dom, prawda?

Ale dość już! Musiałem na razie odłożyć te myśli na bok. Za chwilę kolacja. Słyszałem, jak nasz nowo naprawiony kucharz Carlo Canelli szykuje lasagne z polentą.

Poszedłem do kuchni.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytałem.

Kucharz Carlo długo mi się przyglądał. Jego pas migał, starając się wybrać odpowiedź na moje pytanie.

– Carlo nie potrzebuje twojej pomocy – powiedział w końcu – ale możesz pomieszać polentę, jeśli chcesz.

Tak więc wymieszałem polentę. A potem pomogłem mu z winegretem do sałatki. Nigdy nic mi tak nie smakowało – oczywiście z wyjątkiem zapiekanki ze słodkich ziemniaków, zrobionej przez mamę Eliany.



Po kolacji i kąpieli w morzu usiadłem nad pamiętnikiem Eliany przy orzechowym stole w pokoju na poddaszu.

W połowie kwietnia 2009 roku Eliana miała już większość egzaminów maturalnych za sobą. Znowu zaczynała oddychać. Zrobiło się cieplej i każdego ranka biegała. Czytałem dalej, szczęśliwy jej szczęściem, czując w jej życiu obietnicę. Była gotowa wyjść i zmieniać świat.

A potem w jej życiu, i w moim, nastąpił nagły zwrot.

Poniedziałek, 27 kwietnia 2009

Coś bardzo dziwnego przydarzyło mi się dziś rano, gdy poszłam pobiegać. Wracając, tuż przed siódmą, zatrzymałam się przy kiosku na Schlüterstraße po gazetę. Był jeszcze zamknięty, ale zobaczyłam, że właścicielka otwiera tylne drzwi, i postanowiłam zaczekać. Stałam tam, gdy jakaś kobieta wyszła z szaletu miejskiego obok kiosku. Rozglądała się, jakby oszołomiona, więc pomyślałam, że to ćpunka i poszła do WC dać sobie w żyłę. Ale kiedy jej się lepiej przyjrzałam, zobaczyłam, że nie może być narkomanką. Była zbyt piękna i wyglądała zbyt zdrowo. Była w moim wieku, może trochę starsza, miała długie, gęste i lśniące czarne włosy i szczupłe, ale bardzo jędrne i umięśnione ciało. Miała prawie dwa metry wzrostu. Była też ubrana z klasą i zastanawiałam się, co, na Boga, robiła w toalecie miejskiej w poniedziałek o siódmej rano, kiedy kioskarka otworzyła okienko i zapytała, czego chce. Gdy odwróciłam się, żeby jeszcze raz spojrzeć na kobietę z toalety, ona już zniknęła.

Zapomniałam o tym drobnym epizodzie, gdyby nie to, że kiedy tego popołudnia siedziałam w Bibliotece Miejskiej i się uczyłam, zobaczyłam ją znowu. Przypadkiem podniosłam wzrok i zauważyłam, że mi się przygląda. Zbieg okoliczności, uznałam. Ale ona się uśmiechnęła i pomyślałam, że skądś ją znam. Nie tylko z szaletu miejskiego. Wtedy ona odwróciła się i zaczęła schodzić po schodach. Może chciała, żebym za nią poszła? Zrobiłam to. Zobaczyłam, że wchodzi do kawiarni, więc weszłam za nią.

Siedziała sama przy stoliku, z tyłu sali. Usiadłam naprzeciwko niej. W ogóle nie wydawała się zaskoczona. „Widziałam cię dziś rano – powiedziałam do niej – na Kurfürstendamm”. A ona odparła: „Mów, proszę, po angielsku, nie znam niemieckiego”. Powtórzyłam po angielsku to, co wcześniej powiedziałam, a ona odpowiedziała: „Tak. Wiem. Ja też cię widziałam”. A potem podała mi rękę. „Lucia”, przedstawiła się. Powiedziałam jej, jak mam na imię, i zapytałam: „Czy my się już kiedyś nie spotkałyśmy?”. Tylko wzruszyła ramionami. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Przyglądała mi się, jakby nie mogła się napatrzeć. To było naprawdę dziwne. A potem powiedziała: „Jesteś taka piękna”. A ja roześmiałam się i odparłam: „To samo pomyślałam o tobie”. A wtedy ona się rozplakała – delikatnie i cicho. Chciałam ją pocieszyć, wziąć w ramiona. Ale jak mogłam to zrobić? Dałam jej chusteczkę. Spojrzała na nią z taką miną, jakby nigdy w życiu nie widziała nic takiego. Wzięłam ją od niej z chichotem i otarłam jej łzy. Podziękowała mi. I wtedy – to najdziwniejsze ze wszystkiego – wzięła mnie za rękę i powiedziała: „On przyjedzie. Chce, abyś wiedziała, że to chwilę potrwa – może dwa lata – ale będzie tutaj”. Zapytałam: „O kim mówisz? Kto przyjedzie?”. A ona odparła: „Nie mogę powiedzieć. Ale ty wiesz kto. Wiesz”. Na całym ciele wyskoczyła mi gęsia skórka. Ależ to było dziwne i przerażające! A potem zerwała się z krzesła i powiedziała: „Muszę już iść. Proszę, nie idź za mną”. A ja powiedziałam: „O to się nie martw. Nie pójdę. Przez ciebie robię w portki ze strachu”. Roześmiała się i ja też się roześmiałam. A wtedy ktoś powiedział: „Ćśś”, i już jej nie było.

Co mam o tym myśleć? Czy to szaleństwo? A może ja oszalałam? A może Finn próbuje mi powiedzieć, żebym czekała? Może jest szpiegiem i pracuje jako tajniak w Pakistanie albo Iranie, albo coś.

Parafrazując Elianę, ja też robiłem w portki ze strachu. Kiedy skończyłem czytać ten wpis, moje kolano podskakiwało w niekontrolowany sposób, tak jak wtedy w Nowy Rok, kiedy po raz pierwszy odkryłem, że pisała o mnie w pamiętniku. Serce waliło mi tak wściekle, jakby miało przebić się przez pierś, rzucić w stronę szafy i w niej zamknąć. Tak bardzo byłem przerażony. Coś tu się działo, coś o wiele większego niż ja i Eliana.

Musiałem to przemyśleć.

Okej. Wiedziałem od profesora Grossmanna, że w 2293 roku otworzy się okno do Berlina z 27 kwietnia 2009. A wpis w pamiętniku Eliany pochodził właśnie z 27 kwietnia 2009. Ale mogło to być też tak, że ktoś dwadzieścia dziewięć lat od teraz, w roku 2293, próbował skontaktować się z Elianą, żeby dać jej znać, że nie zapomniałem o niej i że za dwa lata przyjadę. Przebiegł mnie dreszcz.

Było tak wiele pytań. Kim była Lucia? Kto pociągał za sznurki? Czy był to on, czy ona? Przyjaciół? Wróg? Przeszło mi przez myśl, że mogłem to być nawet ja. Może za dwadzieścia dziewięć lat od dziś ja będę chciał powiedzieć coś Elianie. A jeśli tak, co...

Koniec! Dość! To było zbyt skomplikowane. Istniało za wiele możliwości. Pytania i odpowiedzi na nie mogły się ciągnąć w nieskończoność. Jedyne, czego byłem pewny, to że tkwi w tym po uszy.

Tamtego wieczoru wypilem mnóstwo wina. A gdy pierwszy promień różowego światła przeciął plażę na wschodzie, padłem na łóżko. Ale zanim wyłączyłem mózgołacze, przypomniałem sobie, żeby sprawdzić w Cyklopie Kamasutrę. Nietrudno było to znaleźć. Hasło zostało wspaniale zilustrowane. Och, pomyślałem, och, och, och. Ja też nie mogę się doczekać, kiedy wcielę teorię w życie. 1 czerwca 2265 roku w końcu dostałem swoją szansę.

Słoneczniki

Rouge i ja bezpiecznie dotarliśmy do Berlina. Ale czy to było to miejsce – i ten Berlin? Nie miałem pewności, lecz cieszyłem się, że jestem w jednym kawałku i że tym razem przynajmniej nie wylądowałem w kałuży moczu czy wymiocin. Jeśli chodzi o moje trampki, to zupełnie inna historia, ale taki już ich los.

Rouge była bardziej pewna ode mnie, że znaleźliśmy się dokładnie tam, gdzie chcieliśmy: na Ludwigkirchplatz, w berlińskiej dzielnicy Wilmersdorf, 2 sierpnia 2011 roku. Jeśli rzeczywiście byliśmy w tym miejscu, zaledwie piętnastominutowy spacer dzielił nas od dwupokojowego wakacyjnego apartamentu wynajętego dla nas przez instytut, tuż za rogiem budynku, w którym mieszkali Lorenzowie.

– Już przestań się martwić – powiedziała Rouge. Odwróciła się do lustra i poprawiła szminkę. – Wszystko idzie zgodnie z planem.

Przemknęło mi przez myśl, i to nie pierwszy raz, że Rouge wiedziała więcej ode mnie o tym, co się wydarzy. Wciąż nie było dla mnie jasne, czy pamiętnik Eliany był od początku częścią planu Instytutu Olgi Żukowej, czy nie, lecz na pewno dla Rouge było oczywiste, po popołudniu i wieczorze, które spędziłem z Elianą podczas czwartej podróży, że Eliana stała się najważniejsza w moim doświadczeniu z podróżą w czasie. A ponieważ moje doświadczenie wiązało się w pewien sposób z doktoratem Rouge, wydało mi się logiczne, że zbadała ten aspekt. Nie byłaby sobą, gdyby tego nie zrobiła.

Ostatni wpis w zakardowym pamiętniku Eliany nosił datę 22 czerwca 2011 i był także ostatnim, który przeczytałem. Miała dwadzieścia jeden lat i studiowała architekturę. Mieszkała z rodzicami, ale zastanawiała się nad wynajęciem mieszkania ze swoimi przyjaciółkami, Renée i Fritzi. Czasem chodziła na randki, ale nie była z nikim związana na stałe. Jeśli istniał następny pamiętnik, dopiero miałem go zobaczyć. Ale być może Rouge już go widziała? Nie mogłem uwierzyć, że tylko i wyłącznie ja czytałem dokumenty z Bodden. Ktoś gdzieś był o krok przede mną, byłem tego pewien. Może więc Rouge wiedziała, że spotkam dziś Elianę.

Albo że jej nie spotkam.

Niejeden raz zastanawiałem się, czy nie zapytać Rouge, co wie, ale też więcej niż raz doszedłem do wniosku, że wcale nie chcę się dowiedzieć. Czułem, że im mniej wiem, tym lepiej. Jeden niewłaściwy ruch i mógłbym wszystko sknocić. Kto chciałby się przyczynić do powstania kolejnej równoległej odnogi Ziemi? Dlatego stwierdziłem, że jeśli Rouge faktycznie miała te informacje, było rozsądne z jej strony, że mi o tym nie mówiła.

Takie to myśli przebiegały mi przez głowę tuż po naszym przybyciu do szaletu miejskiego. Przypominałem sobie właśnie naszą pieszą trasę na planie miasta, który wziąłem ze sobą, podczas gdy Rouge poprawiała makijaż. Misja zakończona, skinęła potwierdzająco głową. Położyłem kciuk na przycisku „Otwórz drzwi” – zszszsz – i wyszliśmy w gorące, parne sierpniowe południe.

Usłyszeliśmy głosy dzieci. Za szaletem znajdował się plac zabaw, gdzie dzieci z piskiem wbiegały

pod zraszacz i wybiegały spod niego, pompowały wodę do budowy zamków z piasku, wspinały się na drabinki. Włączyliśmy telefony komórkowe. Pojawiła się data: 2.08.2011. Wyglądało na to, że jesteśmy tam, gdzie trzeba.



– Będiesz sam – powiedziała Rouge. Otworzyła drzwi do pokoju z podwójnym łóżkiem. W komodzie znajdował się zapas T-shirtów i bielizny. Dżinsy i letni garnitur wisiały w szafie. – Możesz tu spać, jeśli chcesz – dodała. – Ale jeśli nie, to nie.

– A ty? – zapytałem.

Otworzyła drugie drzwi do większego pokoju, podobnie umeblowanego.

– *Voilà.*

Piliśmy herbatę w maleńkiej kuchni.

– Spotkamy się tu znów w przyszły wtorek, dziewiątego sierpnia o dziesiątej rano – powiedziała Rouge. – Nie później.

– Nie martwisz się, że ten podróżnik w czasie postanowi nie wracać do dwa tysiące dwieście sześćdziesiątego piątego roku? – zapytałem, drocząc się z nią.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Dlaczego miałbyś to zrobić?

No tak. Dlaczego miałbym zostać tutaj, uwięziony w promieniu trzystu pięćdziesięciu kilometrów od Berlina, tylko po to, by paść ofiarą epidemii niemieckiej dżumy?

Rouge wręczyła mi klucze do apartamentu.

– Będziemy się kontaktować codziennie. Przez SMS-y. Albo telefoniczne rozmowy na żywo. I powinieneś wiedzieć, kiedy jest następna wyprawa – dodała. – Na wypadek gdyby padło pytanie.

Czyżby insynuowała, że będę musiał podać tę informację Elianie? Może.

– Dawaj.

– Ósmy września dwa tysiące jedenastego. To alternatywna data, gdyby zakłócenia atmosferyczne okazały się za duże dla tej misji.

To była dobra wiadomość. Nigdy dotąd nie mogłem powiedzieć Elianie, kiedy wrócę. A poza tym to tylko miesiąc od poprzedniej wyprawy.

– I pamiętaj – ciągnęła Rouge – im dalej będziesz od Berlina, tym większe prawdopodobieństwo bólów i zawrotów głowy, zmęczenia. Masz tabletki.

– A jeśli pojawi się duży problem? Jak ostatnio. Jeśli ten mężczyzna wpadnie w kłopoty, jak ty go...

– Finn, podróżujemy w czasie. Latamy na Marsa. Jesteśmy praktycznie nieśmiertelni. Naprawdę wydaje ci się, że cię nie znajdziemy?



Wiedziałem z pamiętnika Eliany, że zwykle kończy swoją dorywczą pracę w biurze projektowym Sonntagarchitekten o drugiej po południu. Biuro znajdowało się na Xantener Straße, tylko kilka minut spacerem od Lorenzów. Wiedziałem też, że Eliana jest sama w domu. Jej rodzice i Robert jak co

roku pojechali nad Bałtyk. Eliana miała do nich dołączyć w weekend.

Kiedy żegnałem się z Rouge, niebo miało szarobłękitną barwę. Słońce próbowało się przebić przez mgłę, ale wyglądało na to, że przegra tę walkę. Powietrze było gęste, lepkie od wilgoci i upału, przechodnie ciężkim krokiem przemierzali ulice, jakby brnęli przez błoto. Ale mnie przepęłniała radość, gdy skręcałem w Giesebrechtstraße, unosząc się w mojej prywatnej egzoprzestrzeni. W mojej strefie był czerwiec roku 2265 – nie widziałem Eliany od ponad dwóch miesięcy, od końca marca. Byłem ogromnie podekscytowany. Miałem jednak świadomość, że dla Eliany od naszego ostatniego spotkania minęły prawie cztery lata. Zażąda wyjaśnień. Przygotowałem je. Powiem jej, że myślałem, iż kocha Sama, i nie chciałem stawać między nimi. Miałem nadzieję, że o niej zapomnę, lecz gdy przyjechałem do miasta na tydzień, nie mogłem się oprzeć, by jej nie odwiedzić.

Okej. Wiedziałem, że brzmi to jak jedno z opowiadań z serii *Doktor Norden* z działu czytań archiwum niemieckiego, ale chyba nie byłem całkiem nieszczerzy, prawda? Poza tym trudniej byłoby uwierzyć w prawdę niż w to połowiczne kłamstwo.



Poczułem ulgę, gdy ujrzałem przed sobą ulicę Eliany, dokładnie taką, jaką zapamiętałem: senną, zadbaną, uroczą. Gdziekolwiek spojrzeć, balkony upstrzone były doniczkami i ceramicznymi naczyniami, z których bujnie wyrastało geranium, chabry i nagietki. Małe kino wciąż było na swoim miejscu, tak samo jak sklep spożywczy i kawiarnie. Pojawiła się nowa księgarnia. Drzwi do budynku Eliany były zamknięte na klucz. Nie spodziewałem się, żeby już wróciła do domu, ale i tak nacisnąłem guzik domofonu. Nikt nie odpowiedział. Usiadłem przy stoliku na tarasie kawiarni obok. Z tego miejsca widziałem ulicę i wejście do budynku. Zamówiłem herbatę i zapłaciłem, gdy ją przyniesiono.

A potem czekałem.

Dwadzieścia po drugiej dostrzegłem złotą postać, która wyłoniła się z tłumu na Kurfürstendamm, skręciła w Giesebrechtstraße i szybko zbliżała się do kawiarni. Jechała rowerem z zamocowanym z przodu koszykiem pełnym słoneczników. Gdy podjechała bliżej, zobaczyłem, że ma na sobie bladożółtą letnią sukienkę. Kiedy mijała kawiarnię, mignęły mi jej plecy, nagie i opalone, i jej długie płowe loki, w których odbijało się słabe słońce. Zerwałem się z krzesła, gdy skierowała się do swojej bramy.

– Eliana! – zawołałem.

Nie odwróciła się. Nie usłyszała mnie. Otwierała kluczem drzwi.

– Eliana! – powtórzyłem głośniejszym głosem, idąc do niej.

Znów nie usłyszała. Dlaczego?

Pomyślałem z nagłym lękiem, że jestem w niewłaściwym świecie, na niewłaściwej Ziemi. Ta piękna młoda kobieta, która zniknęła za ciężkimi drewnianymi drzwiami na tej pięknej ulicy, wcale nie była moją Elianą. Dlatego się nie odwróciła. Nie znała mnie, nie chciała mnie poznać, w ogóle jej nie obchodziłem.

Popchnęła drzwi biodrem i wprowadziła rower do środka.

Drzwi zaczęły się zamykać.

– Eliana! – Byłem już tylko kilka metrów od wejścia.

Ciężkie drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. Stałem i gapiłem się na nie.

Nagle otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem.

I była tam. I ja tam byłem.

Spojrzała na mnie. Ja spojrzałem na nią. Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Usta się rozchyliły. Zobaczyłem kroplę potu spływającą po jej czole.

– Wróciłeś – powiedziała.



Opierałem się o parapet, plecami do otwartego okna. Słyszałem głosy dziewcząt w dole, na podwórku, ktoś ćwiczył gamy na pianinie. Wiatr uderzył w drzewa, niebo pociemniało. Rozległ się grzmot.

Eliana napełniła wodą wysoki wazon, skróciła łodygi słoneczników o dwa centymetry i oberwała część liści. Wstawiła kwiaty do szklanego wazonu i ułożyła je. Patrzyłem na nią, spijając ją tak, jak te kwiaty chłonęły wodę. Spojrzała na mnie, pokręciła głową w geście wyrażającym irytację, jakby mówiła, że nie ma pojęcia, co ma o mnie myśleć, po czym wzięła wazon i wyszła z kuchni.

Za oknem błysnęło.

Słyszałem oddalające się ode mnie kłapanie sandałów Eliany na parkiecie. A potem zaczęła się zbliżać. Odsunęła krzesło – zgrzytnęło o terakotę – i usiadła. Czajnik zagwizdał. Zerwała się, nalała wodę do imbryka i wróciła do stołu. Założyła ręce na piersi.

Na dworze zaczął padać deszcz, dużymi oleistymi kroplami.

– Ale mimo wszystko! – odezwała się nagle i pochyliła się do przodu. Góra jej sukienki była głęboko wycięta, jak biustonosz. Jej opalone piersi lśniły od potu. – Mimo wszystko. Mogłeś zadzwonić. Napisać. Znaleźć mnie na Facebooku. Cokolwiek. Czy tamten dzień nic dla ciebie nie znaczył? W końcu moja matka nakarmiła cię swoją zapiekanką ze słodkich ziemniaków! Samo to musiało coś dla ciebie znaczyć!

Była rozbrajająca. Urzekająca.

– I znaczyło – powiedziałem. – Zdecydowanie. Wszystko bym dał, żeby znów spróbować tej zapiekanki.

Eliana westchnęła. Głośno i bardzo teatralnie. Chyba zdała sobie z tego sprawę, bo przewróciła oczami. Jej stanowczość zaczynała słabnąć. Może to był sygnał dla mnie?

Podszedłem szybko i usiadłem naprzeciwko niej.

– Tęskniłem za tobą. Strasznie.

Udała, że nie słyszy.

– Powiedziałeś, że zostajesz tu na tydzień?

Skinąłem głową.

Nie wiedziała, co począć z dłońmi. Położyła je na stole, potem na kolanach, a potem zaczęła się bawić włosami.

– A ja nie. Za dwa dni jadę nad morze. W czwartek. – Starła się przybrać nadąsany ton, ale nie najlepiej jej to szło.

Jej dłonie znów znalazły się na stole. Spojrzałem na nie. Były urocze. Dziś nie miały żadnych zadartych skórek.

– Moi rodzice już tam są. Robert też. Ja zostałam z powodu pracy.

– Pracy?

– Pomagam jednemu architektowi, na pół etatu. To znajomy moich rodziców. Prawie skończyliśmy.

– W takim razie robisz to, co chciałaś. Jesteś architektem. Doskonale.

Wzruszyła ramionami.

– Właściwie jeszcze nie. Dopiero za rok będę miała licencjat, a potem... – Urwała.

Widziałem jednak, że jest z siebie dumna. Spojrzała na swoje dłonie na stole. Potem podniosła wzrok. Co teraz?

– To nie jest sezon na słodkie ziemniaki – oznajmiła, a tej niespodziewanej uwadze towarzyszył pierwszy cień uśmiechu.

Czy powinienem teraz wziąć ją za rękę?

Zerwała się z krzesła.

– Herbata – powiedziała i podeszła do blatu. Wyjęła filtr z imbryka, włożyła go do zlewu i odwróciła się do mnie. – Zerwałam z Samem, wiesz? Tuż po twoim wyjeździe.

– Naprawdę? – Nie podobało mi się, że udaję, iż słyszę to po raz pierwszy.

– Był wobec ciebie okropny. I strasznie nadęty.

Lewe ramiączko jej letniej sukienki opadło i teraz leżało na jej ramieniu. Widziałem pasek białej skóry, nieopalonej słońcem.

Zauważyła, że się jej przyglądam, i nasze oczy się spotkały. Jakże pragnąłem jej dotknąć.

Jej sukienka zwężała się w pasie, a dalej rozkwitała w pełną spódnicę. Tak bardzo chciałem objąć Elianę w talii.

Odwróciła się znowu, żeby nalać herbatę. Włosy opadły jej na kark. Takie grube. Takie gęste. Pod spodem musiała być cieplarnia.

Mruknęła coś pod nosem.

– Hm? – zapytałem. Wstałem i podeszedłem do niej. Wciąż stała odwrócona plecami. – Nie dosłyszałem, co powiedziałaś.

Delikatnie odsunąłem jej włosy na bok i trzymałem je w dłoni. Poczulem zapach Nieskończoności. Jej kark lśnił od kropelek potu. Pochyliłem się i pocałowałem ją w szyję. Usłyszałem, jak zaczerpnęła powietrza. Przeniosłem ciężar ciała na drugą nogę, a moja dłoń się osunęła. Jej włosy wymysknęły się i delikatnie pacnęły mnie w policzek.

Zachichotała.

– Słodzisz? – zapytała, odwracając się do mnie.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Słodzisz? – powtórzyłem, obejmując ją teraz w talii... tej uroczej talii.

– Pytałam, czy słodzisz herbatę.

Pocałowałem czubek jej ramienia, z którego zsunęło się ramiączko.

– Nie – odparłem.

– Herbaty?

– Właściwie nie – powiedziałem. – Nie, dziękuję.

Znów zachichotała.

– Ja też nie mam ochoty.

Moje dłonie znalazły się na jej ramionach. A potem na plecach. Miała gorącą skórę. I taką gładką.

Nie mogłem pojąć, że naprawdę stoję tu z Elianą, tą niewiarygodnie czarującą kobietą.

Całowaliśmy się. Bardzo długo.

Potem Eliana zrzuciła sandały, wzięła mnie za rękę, poprowadziła przez salon i dalej korytarzem na tyły mieszkania. Kiedy otworzyła drzwi do swojego pokoju, przeciąg sprawił, że podwójne okna w środku stuknęły jedno o drugie. Parapet był mokry od deszczu. Zamknęła okna, zasunęła zasłony.

Odwróciła się do mnie. Jej oczy błędziły od mojej twarzy po rękę i pierś. Rozpiąłem spodnie.

Powinienem zdjąć jej sukienkę? Czy ona ją zdejmie? A może zostanie w niej? Jaki jest zwyczaj? Nigdy nie uczyłem się o takich rzeczach, gdy studiowałem historię kultury w okresie przed Mroczną Zimą. I przez te wszystkie miesiące nie przyszło mi do głowy, aby sprawdzić to w Cyklopie. Na ilustracjach Kamasutry, które oglądałem, ciała były nagie. Przez chwilę próbowałem sobie przypomnieć, jak to robili na celuloidach, ale nie mogłem zebrać myśli. Nie mogłem nawet...

– Ma schowany suwak – powiedziała Eliana. – Tutaj.

Ach, tu. Z boku górnej części sukienki znajdował się ukryty suwak. Był delikatniejszy od suwaków naszych bluz czy moich džinsów. Miał bardzo drobne, blade żółte ząbki. Gdy go rozsuwałem, mruknął cicho: zzz.

– Mm – mruknęła Eliana, jakbym ją wyswobodził ze stalowego odlewu.

Kiedy ściągnąłem jej sukienkę przez głowę, podszewka spódnicy zaszeleściła jak liście na drzewach. Na podłogę opadła słoneczna plama koloru.



Słońce rozświetlało pokój Eliany przez tiulowe zasłony gęstym, ciepłym, czerwonawopomarańczowym światłem. Po południu odrobinę się ochłodziło. Powietrze pachniało świeżością, tą soczystą, wilgotną świeżością po silnym deszczu, kiedy cała przyroda – liście, kwiaty, drzewa, ziemia – są całkiem przemoczone.

Widok Eliany obok mnie, z gęstymi blond włosami w szalonym nieładzie, ciemnymi oczami uśmiechającymi się do mnie, napełniał moje serce największą radością, jaką kiedykolwiek w życiu czułem. Oparłem się na łokciu, aby pocałować Elianę, i poczułem, jak oplata mnie nogą i przyciąga do siebie. Kątem oka zobaczyłem nasze nagie nogi splątane na łóżku, jej złote, moje wciąż białe po długich zimowych miesiącach. Przysunęła mnie do siebie i zaczęliśmy się całować.

– Pamiętasz cztery lata temu? – zapytała po chwili. – Pierwszy października dwa tysiące siódmego. – Powiedziała to tak, jakby to był tytuł jej ulubionej piosenki.

Przytknąłem palec do podbródka w geście namysłu i spojrzałem na sufit, jakbym z trudem próbował sobie coś przypomnieć. W końcu potrząsnąłem głową z westchnieniem.

– Cztery lata temu? Przykro mi. Obawiam się, że nie. Odśwież mi pamięć.

Szturchnęła mnie łokciem w zębra.

– Pamiętasz, jak pocałowałeś moją dłoń?

– Ach, o to chodzi – powiedziałem.

Ona też wsparła się teraz na łokciu.

– Pamiętasz, jak pocałowałeś moją zadartą skórę?

– Naprawdę to zrobiłem? – Oho, nigdy mi tego nie wybaczyła, wiedziałem.

– To była najbardziej seksowna rzecz, jaką ktoś mi zrobił. Do tego popołudnia oczywiście. –

Zaśmiała się gardłowo. – Zaraz wracam – rzuciła i wstała.

Patrzyłem za nią, jak niemal bezszelestnie wychodzi z pokoju. Położyłem dłoń na miejscu obok mnie. Wciąż czułem ciepło jej ciała. Naszych ciał. Zwinąłem się w kłębek po jej stronie łóżka i najwyraźniej musiałem zasnąć. Ale minutę czy dwie później wróciła i byłem już zdecydowanie obudzony.



Ile czasu spędziliśmy w łóżku? Wiele godzin, na pewno. Na dworze wciąż było jasno, ale z podwórka słyszałem raczej wieczorne dźwięki: brzęk naczyń, głosy z telewizorów, kuchenną krzątaninę. Wstałem i podszedłem do okna. Po przeciwnej stronie podwórka, gdzie okna wychodziły na północ, świeciły się światła. Spojrzałem w prawo, na skos, i zobaczyłem Elianę w kuchni, w kimonie, krojącą ser.

Rozejrzałem się po jej pokoju. Był przestronny, w ciepłych barwach. Znajdowały się w nim drewniane półki, mnóstwo książek, zdjęcia przyjaciół, rodziny, Madeline, Madeline, kolejne zdjęcie Madeline, regał pełen książek dla dzieci. Na ścianie wisiał plakat z tą słynną fotografią przedstawiającą mężczyzn jedzących lunch na rozporze wiszącej nad Manhattanem. Biurko Eliany miało gruby sosnowy blat z mechanizmem umożliwiającym przechylenie go tak, aby środkowa część zmieniła się w stół kreślarski. Mój ojciec sprzedawał podobne stoły. Na biurku piętrzyły się długie rolki rysunków architektonicznych, ołówki, długopisy, był też laptop, czarny notes, być może szkicownik z zajęć na architekturze? Mój wzrok padł na nieułożoną kostkę Rubika, trzy na trzy. Wzięłem ją do ręki, przyniosłem do łóżka i właśnie miałem ją ułożyć, ale zmieniłem zdanie. Może ona chciała, żeby tak zostało?

– Umiesz ją ułożyć? – zapytała Eliana.

Weszła do pokoju z tacą i postawiła ją na łóżku. Przyniosła coś do przegryzienia i dwie parujące kawy.

– Latte jest okej? Mamy nowy ekspres.

– Dzięki – odparłem.

Upiłem łyk latte i przyjrzałem się kostce Rubika. Układanie jej należało do ćwiczeń, których uczono dzieci z nowo wszczepionym mózgołączem. Nigdy jej nie układałem bez mózgołącza, ale byłem pewien, że potrafię to zrobić.

– Chyba umiem – powiedziałem. – Ale później. – Wrzuciłem do ust kawałek sera.

– To właśnie ten projekt, nad którym pracuję – rzekła Eliana. Wróciła do łóżka i też wzięła kawałek sera. – Z tym architektem.

Spojrzałem na nią.

– Projekt?

– Na konkurs. – Wsparła się na łokciach. – Nie uwierzysz. Pamiętasz, jak pierwszego października dwa tysiące siódmego roku, tego dnia, którego nie pamiętasz, pokazałam ci hostel po drugiej stronie budynku Fahrenkampa?

– Tak.

– I powiedziałam, że pewnie w przyszłości, gdy zostanę architektem, będę projektować hostele.

Skinąłem głową i oderwałem kawałek bagietki.

– No cóż, możesz wierzyć lub nie, ale to konkurs na projekt hostelu – powiedziała Eliana i wzięła do ręki kostkę Rubika. – Ten gość, dla którego pracuję, Jacob Sonntag, został zaproszony do udziału. A ja wpadłam na to, żeby zaprojektować hostel jak nieułożoną kostkę Rubika. Naprawdę spodobał mu się ten pomysł. Oczywiście zostanie zgłoszony pod jego nazwiskiem, ale co z tego? To i tak świetne doświadczenie. I mogę je wpisać do CV. – Z roztargnieniem bawiła się kostką, przesuwając kolorowe kwadraty tu i tam. – Pomyślałam, że kostka Rubika zwróci uwagę nastolatków i młodych ludzi. Z jednej strony skojarzy się im z dzieciństwem, bez troską, jak zabawka, lecz z drugiej ma też wymiar intelektualny. Dorosły. Zgadza się? – Wskazała na kostkę. – Widzisz, to mogą być balkony. Tu są okna... – Przerwała w połowie zdania. – Nic ci nie jest?

Miałem gęsią skórę na całym ciele. Czy to możliwe, że mój dom w 2265 roku został zaprojektowany przez Elianę? Nieprawdopodobne.

– Gdzie ma stanąć ten budynek? Tu? W Berlinie? – zapytałem.

– W północnej części Berlina. Reinickendorf.

Reinickendorf? Nazwa brzmiała znajomo, ale nie, mój Rubik stał w...

– W Märkisches Viertel – dodała, wstając.

Niewiarygodne!

Podeszła do biurka i zaczęła przerzucać papiery.

– Märkisches Viertel to osiedle w Reinickendorf. To parę szkiców.

Wróciła z kilkoma płachtami papieru kreślarskiego. Podała mi jedną z nich. Wziąłem ją od niej, ale jeszcze zanim to zrobiłem, wiedziałem już, że to Rubik. A potem spojrzałem. Nie myliłem się.

– Na pewno nic ci nie jest? – zapytała Eliana. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Nie, wszystko w porządku. – Pocałowałem jej dłoń. – To genialny pomysł. Wygracie. Jestem pewien. A młodzi ludzie będą tam mieszkali przez kolejne stulecia.

Eliana parsknęła.

– Tak, tak. – Uderzyła pięścią w poduszkę za sobą, aby ułożyła się odpowiednio do jej ciała, i oparła się. – Okej. Twoja kolej. Nie wiem o tobie zupełnie nic. Poza tym, że masz paskudny fetysz skórek. – Zachichotała w typowy dla niej gardłowy sposób.

Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał coś o sobie opowiedzieć. Teraz nadszedł ten moment.

– Co chciałabyś wiedzieć? – zapytałem i też uderzyłem w poduszkę.

– Na początek, ile masz lat?

– Dwadzieścia sześć. W sierpniu mam urodziny.

– Naprawdę? Kiedy?

– Siódmego.

– W niedzielę.

– W niedzielę?

– Halo?

Ach tak, racja! Zapomniałem. Wciąż byłem w czerwcu 2265 roku.

– Zgadza się. W niedzielę. Siódmego sierpnia.

– Zgadza się – powiedziała, przedrzeźniając mnie. – Uwielbiam twój niemiecki. A więc w niedzielę będziesz o sześć lat starszy ode mnie.

– Najwyraźniej.

– Najwyraźniej. – Zachichotała. – Dobra, przepraszam. Przestaną się już nabijać z twojego niemieckiego. Cieszę się, że wyjaśniliśmy kwestię wieku. Dalej, mam następne pytanie.

– Proszę.

– Domyślam się, że masz pracę?

– Tak. Jestem historykiem.

– Uczysz?

– Nie. Pracuję... dla... pewnej instytucji. Odszyfrowuję stare, pisane ręcznie teksty i tłumaczę je na angielski.

– Łał. Jak stare?

Z trudem przełknąłem ślinę.

– Bardzo stare. Dwustuletnie. Dwustupięćdziesięcioletnie.

– Naprawdę? Potrafisz przeczytać dawny niemiecki? Kurrentschrift?

Nie chciałem kłamać.

– Cóż, to niełatwe, ale...

– A jakie teksty? – dopytywała. – Listy Goethego? Albo Schillera? Heinricha Heinego?

– Przeważnie zwykłych ludzi. Nikogo sławnego. To, co znaleziono. Dokumenty. Dzienniki.

– Czytasz cudze dzienniki? – Szeroko otworzyła oczy. – Czyjeś osobiste przemyślenia?

– Tak.

– Niepublikowane dzienniki? To, co ci ludzie trzymali w tajemnicy?

Zauważyłem, że to delikatny temat.

– Czasami. Tak. I szukam informacji na temat ludzi, o których wspominają. Próbuję zrozumieć, jak żyli. W co wierzyli. Chcę zrozumieć, jak kształtowali świat wokół siebie. – Nigdy nie poświęcałem temu wiele uwagi, ale tak, dokładnie tego chciałem się dowiedzieć.

Czy sprawili, że coś się zmieniło? Choćby w najmniejszym stopniu.

– Zrozumieć, jak kształtowali świat wokół siebie – powtórzyła z namysłem. – Chyba każdy by tego chciał. Mieć jakieś znaczenie dla świata. Zrobić coś. Każdy na swój własny mały sposób. – Uśmiechnęła się do mnie.

– Masz rację – przyznałem.

I miała. Ja też tego pragnę.

– A jednak to trochę przerażające – powiedziała. – Jakbyś ich prześladował. Zmarłych. Czytał ich osobiste myśli. Wchodził im do głów. Śledził ich.

Gdyby tylko wiedziała, jak bliska była prawdy.

– No tak, chyba można na to spojrzeć jak na prześladowanie.

– Literacki drapieżnik, który rzuca się na biednych niewinnych pisarzy i pożera ich... – Przerwała w pół zdania, zmrużyła oczy, a następnie ujęła moją głowę w dłonie. – Wciąż masz ten dłuższy włos na brodzie. – Pocałowała mój podbródek i znalazła językiem dłuższy i grubszy włos. – Jak ty to robisz? Ten jednodniowy zarost?

– Czy to należy do przesłuchania?

– Zdecydowanie.

Odchrząknąłem i postukałem palcem w policzek.

– Nazywa się to zarostowaniem. Poszedłem do fryzjera, który wmasował mi coś w skórę, jakąś chemiczną miksturę. Wyrecytował magiczne zaklęcie. A następnego ranka obudziłem się z tym.

Przewróciła oczami.

Pocałowałem ją w ucho, przygryzając płatek, zaciągnąłem się jej zapachem, tą wyjątkową mieszanką potu i Nieskończoności, pocałowałem w usta i poczułem smak camemberta. Może zapomni o tym jednym włosku.

– Ja też cię śledziłam – powiedziała i odsunęła się. – Wpisałam cię w Google. Ale nic nie znalazłam. Tylko amerykański sklep odzieżowy Nordstrom. Na Facebooku też cię nie ma.

Wzruszyłem ramionami.

– A więc jesteś jednym z tych przemądrzałych arogantów, którzy nie wierzą w Facebooka? – zapytała.

Czy Facebook był czymś, w co się wierzyło lub nie?

– Twoim zdaniem nie powinniśmy marnować na to czasu, co? – Podwinęła włosy do góry i spięła klamrą, którą wyjęła z kieszeni. – Pocę się.

– No cóż... – zacząłem.

– Pewnie masz rację. – Przeskoczyła na drugą stronę łóżka, a jej kimono podwinęło się do góry, odsłaniając pupę. Poglaskałem ją po udzie i patrzyłem, jak pojawia się gęsia skórka. Odwróciła się na plecy i pacnęła mnie w rękę. – To jeszcze nie koniec przesłuchania. O co chodzi z tym twoim niemieckim? Moim zdaniem to wymierający język.

– Chyba masz rację.

– Może zacznę się uczyć chińskiego.

– Dobry wybór – powiedziałem.

– A więc tak po prostu postanowiłeś nauczyć się niemieckiego? Tego wymierającego języka?

– Moja mama знаła niemiecki. I czytała nam po niemiecku. Poza tym mieliśmy w Kanadzie znajomych, którzy mówili w tym języku. Odwiedzaliśmy ich raz do roku i rozmawialiśmy z nimi po niemiecku.

– A więc twoja mama jest Niemką?

– Nasi... przodkowie pochodzili z Niemiec. Tak.

– Przodkowie? Masz na myśli dziadków? Wyjechali przed drugą wojną światową? Musieli wyemigrować?

– Cóż...

Usiadła.

– Byli Żydami?

– Nie, byli...

Jej oczy zrobiły się okrągłe.

– Komunistami?

Roześmiałem się.

– Nie, nie. Po prostu pochodzili z Niemiec.

– Och. – Pogryzała kolejny kawałek sera. – A czym zajmują się twoi rodzice?

Wiedziałem, że i tego pytania nie da się uniknąć. Ale nie byłem pewien, jak na nie odpowiedzieć.

– Moja mama zajmowała się renowacją starych książek. A ojciec miał sklep z antykami.

Spojrzała na mnie. Jej oczy się zwężyły. Pewnie zastanawiała się, dlaczego użyłem czasu przeszłego, ale była zbyt taktowna, by zapytać.

– Odeszli – oznajmiłem tak obojętnie, jak tylko zdołałem. – Zginęli w... katastrofie lotniczej.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– To się stało kilka miesięcy przed naszym spotkaniem w Dusenhuber.

– Och. To straszne! – Objęła mnie mocno i wcisnęła mocno głowę w moje ramię. – Straszne.

Pamiętam, jak moja mama powiedziała, że wydajesz się taki smutny. I uduchowiony. Nic dziwnego. Dopiero co straciłeś rodziców.

W moim gardle pojawiła się bolesna gęła – jakby utkwiała w nim piłka do słapbacka.

– Miałam trzynaście lat – powiedziała. – Czyli ty miałeś dziewiętnaście. To bardzo wcześnie, by stracić rodziców.

Ściśle rzecz biorąc, miałem dwadzieścia sześć. I stało się to niespełna rok temu.

Odsunęła się i spojrzała na mnie. Chciała mnie o coś zapytać, ale wiedziałem, że się waha. Coś w mojej twarzy sprawiało, że obawiała się zadać pytanie.

– Ale... – zaczęła powoli. – Nie jesteś sam, prawda? Powiedziałeś, że mama czytała...

– Nam. Tak. Powiedziałem, że mama czytała nam.

Zmrużyła oczy.

– A więc masz... rodzeństwo?

– Zginęli razem z nimi. Mój brat Mannu. Był o dwa lata starszy ode mnie. I siostra Lulu. O dziesięć lat młodsza. Wszyscy odeszli.

Eliana przytuliła mnie mocno do siebie. Kołysała mnie do przodu i do tyłu. Do przodu i do tyłu. Mógłbym się tak kołysać przez całą wieczność.

Rozdział 21

Bodden

Niebo nad Brandenburgią wisiało nisko, szare i groźne, gdy pociąg zmierzał z Berlina do Rostocku nad Bałtykiem, skąd Robert miał nas odebrać. Panoramiczne okna wagonu były upstrzone kroplami deszczu, ale na chwilę przestało padać. Byłem w 2011 roku od dwóch dni i już nauczyłem się między innymi robić balony z gumy do żucia.

– Ten będzie niezły – stwierdziła Eliana.

Pomogłem sobie językiem i nadmuchałem balon, który rósł i rósł... Aż nagle pękł.

– Wystarczy – powiedziałem i zawinałem lepką kulkę w papierek, który wrzuciłem do śmietniczki pod oknem. – Faj! – Skrzywiłem się.

Było to jedno z nowych słów w moim słowniku.

Eliana przysunęła się do mnie i zamknęła oczy. Byliśmy wyczerpani. Ostatnie dwa dni spędziliśmy głównie w łóżku – ale nie spaliśmy. Eliana wstała wczoraj na kilka godzin, żeby pójść do pracy, a ja poszedłem spotkać się z Rouge w apartamencie wynajętym dla nas przez instytut, przebrać się i kupić zapas gumy do żucia. I prezerwatyw. Do jednego i drugiego musiałem się przyzwyczaić.

– Opowiedz mi o sobie coś, o czym nie wiem, a co jest naprawdę dziwne – poprosiła Eliana z zamkniętymi oczami.

Jej głos był chropawy ze zmęczenia.

– Co takiego na przykład? – zapytałem.

– Jak mogę ci powiedzieć, skoro nie wiem, co to jest?

– Racja. Dobra, daj mi pomyśleć.

Zasypiała. Jej głowa leżała ciężko na moim ramieniu.

– Okej – odezwałem się cicho, prawie szeptem, nie chcąc jej obudzić, jeśli rzeczywiście drzemała. – Rozmawialiśmy z bratem, nie używając pierwszej osoby liczby pojedynczej. Ani zaimków typu „ja”, „mnie”, „mój”.

Eliana się ocknęła.

– To naprawdę dziwne. Dlaczego?

Roześmiałem się.

– Myślałem, że śpisz.

Wzruszyła ramionami.

– Po co to robiliście?

– Żeby sprawdzić. Dla zabawy. Tak robią w marines. W obozach szkoleniowych. To sposób na umocnienie spójności grupy.

– Aa! Ta stara sztuczka z pozbyciem się poczucia własnego ja u każdego, tak?

– No właśnie. Z drugiej strony może się to okazać konieczne w wyjątkowych sytuacjach. Na przykład na wojnie albo w przypadku krajowej czy międzynarodowej katastrofy. Spójność grupy może być naprawdę istotna, kiedy przetrwanie społeczności staje się ważniejsze od dobra jednostki.

– Przetrwanie społeczności ważniejsze od dobra jednostki – powtórzyła Eliana ze śmiechem. – To

nie brzmi zbyt amerykańsko, co? Zalatuje raczej azjatycką filozofią. Buddyzmem. Tak czy siak, nie wyobrażam sobie, aby wszyscy się zgodzili zrezygnować z „ja”.

– A jeśli przetrwanie całego świata zależałoby od jednośc grupy? – zapytałem.

– Jak zmusiłbyś użytkowników wszystkich języków na świecie do porzucenia pierwszej osoby liczby pojedynczej?

– Nie musiałyby to być wszystkie języki. Mówiłem o angielskim. A gdyby udało się to z angielskim, inni też chcieliby to zrobić. Mogłoby to trwać wiele lat, a nawet stuleci. Ale gdyby się udało i dzięki temu sytuacja by się poprawiła, ludzie dostrzegliby sens takiej zmiany. Poza tym język łatwo dostosowuje się do tego, co dzieje się wokół. Ciągłe się zmienia. Wcale nie jest tak trudno pozbyć się słów.

– Ale „ja”? To przecież część ludzkiej natury. Poza tym, czy gdzieś ktoś nie mówiłby „ja”? Nie wyobrażam sobie żadnej obejmującej całą planetę ideologii, która nie miałaby przeciwników.

– Być może – przyznałem. – Może byliby to mieszkańcy lasów, zamknięci w swoich wspólnotach.

– Żywiący się orzeszkami, jagodami i zaimkiem pierwszej osoby.

Szturchnąłem ją lekko w bok.

– Kpisz sobie z...

– Tak, owszem – powiedziała figlarnie, wkładając w to „owszem” całą siebie. – Po prostu ta zmiana języka wydaje się drastycznym środkiem. Wyobraź sobie, że nikt nie używa zaimka „ja”. To dziwne. I nienaturalne.

– Ale tylko jeśli uczyłaś się języka z tym zaimkiem. Jeśli nie, to ci go nie brakuje.

– Nie? Nieważne. Jestem zbyt zmęczona, by się dalej sprzeczać. Po prostu chcę posłuchać.

Opowiedz.

– Chcesz posłuchać, jak ludzie mówią, nie używając pierwszej osoby liczby pojedynczej?

Skinęła głową.

– Tak, właśnie tego chcę posłuchać. Zrób to dla mnie.

– To nie takie trudne. W większości sytuacji możesz bez problemu to obejść. Nawet teraz. Powiedzmy, że jedziesz pociągiem do Fischland-Darß-Zingst nad Bałtykiem, żeby spędzić tam długi weekend. I chcesz usłyszeć, jak druga osoba radzi sobie bez użycia pierwszej osoby liczby pojedynczej.

– Okej. Zrozumiałam. Dalej. Zrób to.

– Trochę rozmawiacie.

– Taaak...

– I zaczynasz się niecierpliwić.

– Zaczynam się niecierpliwić. – Zachichotała.

– Bo czekasz, aż ta osoba w końcu ci pokaże, jak się mówi bez pierwszej osoby liczby pojedynczej.

– Bla, bla, bla. Czekam – powiedziała Eliana.

– I nawet się nie zorientowałaś, że przez cały czas mówił do ciebie i ani razu jej nie użył.

Eliana popatrzyła na mnie. Zmrużyła oczy.

– Ups. Naprawdę jej nie użyłeś?

– Nie. A ty tak, pięć razy.

– I co z tego? Poza tym uważam, że...

– Znowu! – przerwałem jej.

Roześmiała się.

– Poza tym na pewno istnieją – zaczęła, z całych sił starając się pominąć pierwszą osobę liczby pojedynczej – sytuacje, kiedy musisz jej użyć. Gdzie by jej brakowało.

– Na przykład?

– Na przykład gdy chodzi o miłość. Jak inaczej powiedziałbyś, że kogoś kochasz? „Kocham cię” to „kocham cię”. Jak możesz być z kimś blisko bez „ja”? Dlatego nawet gdyby ludzie nie wiedzieli, że słowo „ja” istnieje, brakowałoby im go. Stworzyliby je, ponieważ byłoby im potrzebne.

– Twoim zdaniem nie można wyrazić miłości bez użycia pierwszej osoby?

Potrząsnęła głową.

– Nie można.

– Cóż, można by powiedzieć... – Przerwałem, żeby się nad tym zastanowić.

To była niezła zagwozdka. Poza tym byłby to mój pierwszy raz, nieważne, czy w pierwszej, czy w trzeciej osobie. Zebrałem myśli.

– Na przykład: „Ten mężczyzna kocha cię tak, jak żaden mężczyzna nie kochał kobiety”. Albo: „Ten mężczyzna kocha cię tak, jak nigdy dotąd nikogo nie kochał”.

Przyglądała mi się przez chwilę. Zapadła długa cisza. Ale nagle Eliana usiadła i nastrój prysł.

– Neeee – skwitowała. – Niezłe, ale się nie nadaje. Nie jest wystarczająco osobiste.

Znowu wtuliliśmy się w siebie.

Zamknąłem oczy, gotowy odpłynąć w sen.

– Wiesz, może wcale za tym nie tęsknią – powiedziałem. – Może po prostu nie ma miłości tam, gdzie nie używają pierwszej osoby liczby pojedynczej.

– Przypomnij mi, żebym nigdy nie wstępowała do marines.

– Zgoda.

– Hm – mruknęła. Była senna, ale wciąż zastanawiała się nad tym, o czym rozmawialiśmy. – To byłoby naprawdę smutne miejsce, nie sądzisz? Tam gdzie się nie używa „ja”.

Zwróciłem się do niej i nasze oczy się spotkały.

– Tak – potwierdziłem. – Tak, byłoby. Z pewnością.

Czułem bicie jej serca. I swojego. Ich zgrany rytm. Wiedziałem też, co mówią. Ale czy ja mógłbym to powiedzieć?

Pocałowaliśmy się.

Potem zasnęliśmy, kołysani jednostajnym ruchem pociągu.

Obudził nas konduktor. Byliśmy w Rostocku.



Półwysep Fischland-Darß-Zingst był dla mnie zaskoczeniem. Znałem go tylko z lotu ptaka – przelatywały nad nim wahadłowce do Kopenhagi i Oslo. W 2265 roku był to jeden z ostatnich regionów północnej części Europy podlegający przesiedleniom i wciąż pozostawał wielkim placem budowy. Ale tu, siedem lat przed początkiem Mrocznej Zimy, w sierpniu 2011 roku, był zatłoczonym,

świetnie prosperującym ośrodkiem przyciągającym turystów jak magnes. Osobliwym, lecz komfortowym.

Dom Lorenzów był ceglanym budynkiem z pruskiego muru krytym strzechą, charakterystycznym dla niemieckiego wybrzeża Bałtyku. Należał do babci Angeliki Lorenz, a po jej śmierci, tuż po zjednoczeniu Niemiec w 1989 roku, odziedziczyła go Angelika i jej siostra Gesine. Przez lata dwie rodziny samodzielnie odnowiły dom, kawałek po kawałku, a teraz razem spędzały tu wakacje. Przejeżdżający turyści robili mu zdjęcia, zauroczeni oknami w żółtych i zielonych framugach, drzwiami wejściowymi z misternymi drewnianymi rzeźbieniami, dębową półokrągłą ławką w kolorze żółci i miętowej zieleni i uroczym ogrodem pełnym nagietków, kosmosów, fioletowych hortensji i słoneczników sięgających mi do ramion. Tył domu wychodził na ogromną lagunę Saaler Bodden. Był tam taras, trawnik, drewniany schowek na rowery członków rodziny i obszerna szopa na narzędzia oraz pomost z łodzią wiosłową.

Pierwszej nocy dobrze nam się spało. Byłem wyczerpany, nie tylko z powodu braku snu, ponieważ dało o sobie znać zmęczenie związane ze zmianą czasu – byliśmy ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Berlina. Rouge uprzedziła mnie, abym zażył przepisane lekarstwo. Zrobiłem to, bo kto miał czas na zmęczenie? Na pewno nie ja.

Rodzina Lorenzów co do minuty zaplanowała mi życie na kolejne trzy dni. Rudi Lorenz zaklepał mnie sobie pierwszy. W piątek w południe zaprowadził mnie do drewnianego schowka za domem, żeby poszukać roweru. Razem obie rodziny miały niezłą kolekcję. Właśnie znaleźliśmy jakiś odpowiedni dla mnie, gdy nagle w rogu szopy zauważyłem solidną czarną walizkę zrobioną z jakiegoś syntetycznego materiału. Gdzie to ja ją wcześniej widziałem? Serce znowu zaczęło mi walić.

– Świetny sprzęt – powiedział Rudi, podążając za moim wzrokiem. – Skrzynia transportowa. Ludzie zabierają takie na różne wyprawy i safari. Kiedy jedziemy na żagle, pakujemy do niej laptopy, aparaty i najważniejsze rzeczy. Jest wodoodporna, nie przepuszcza piasku ani powietrza. Niezniszczalna. Zrobiona tak, żeby przetrwała wieki.

Serce wciąż mi łomotało. Jeszcze zanim sam się zorientowałem, ono wiedziało już, skąd znam tę walizkę. To była ta sama skrzynka, którą wyłowiono z Bodden z pamiątkami Eliany. Widziałem ją na zdjęciu, które przysłał mi Dok-Dok.

Było to dla mnie spore odkrycie. Powinienem się tego spodziewać, w końcu pamiątki znaleziono właśnie w Wustrow, ale konfrontacja z rzeczywistością okazała się zupełnie inną sprawą. Zbiła mnie z nóg.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Mijały dni, a jedno odkrycie za drugim wychodziło na światło dzienne, najpierw niepostrzeżenie, a potem z gwałtownością, której nie mogłem już dłużej lekceważyć.



Kilka minut po tym, jak odkryłem czarną skrzynkę, pojechaliśmy z Rudim na rowerach na południe zacięną drogą Lorenzów, Barnstorfer Weg, po prawej graniczącą z jeziorem Bodden, a po lewej z polami kukurydzy i pszenicy. W końcu zaczęło do mnie docierać, że przemierzam okolicę, gdzie

znaleziono pamiętniki. Była to podniecająca, a zarazem dziwna i przerażająca myśl.

Dojechaliśmy do krańca półwyspu, a potem popedałowaliśmy kilka minut na północ drugim brzegiem jeziora Bodden, które znów znalazło się po naszej prawej stronie. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, aż dotarliśmy do miejsca odpoczynku z drewnianą ławką. Patrzyliśmy na wodę, na wiatraki w oddali, opalaliśmy się.

Gdy siedziałem tam, chłonąc ten dzień, ogarnęło mnie przedziwne uczucie, jakbym już tu kiedyś był albo może to widział. Spojrzałem na prawo. Te drzewa, dwie grupy topoli, wyglądały znajomo. Z tyłu, na zachodzie, zobaczyłem miasteczko Wustrow z kościelną wieżą. Uderzyło mnie, że być może właśnie w tym miejscu znaleziono skrzynkę. Przypomniałem sobie zdjęcie zrobione z wody, z miejsca odkrycia. W tle chyba było widać ruiny kościoła.

– Jaką głębokość ma Bodden? – zapytałem Rudiego.

– Jest płytkie – odparł. – Góra trzy metry.

– Naprawdę? Tylko tyle?

Byłem zawiedziony. Rouge powiedziała mi, że w miejscu, gdzie znaleziono walizkę, głębokość wynosiła prawie sześć metrów.

– Ale tam – Rudi wskazał na wschód, na drugą stronę jeziora – pokażę ci któregoś dnia, podpłyniemy łódką... Jeśli nie w ten weekend, to innym razem... Tam ma pięć metrów głębokości.

– Aha – powiedziałem, podążając wzrokiem za jego wyciągniętą ręką.

A więc może to było tutaj!

– Poza tym – ciągnął Rudi – jezioro wciąż się zmienia. Kto wie, jak będzie wyglądało za sto czy dwieście lat. Na pewno w niektórych miejscach będzie głębsze, przy tym globalnym ociepleniu. Podejrzewam, że za dwieście pięćdziesiąt lat będzie tam miało przynajmniej sześć metrów głębokości.

Poczułem, jak włoski stają mi dęba. Czyżby coś sugerował?

– Ale kto wie? – dodał. – Może cały półwysep zniknie pod wodą. Był Fischland-Darß-Zingst i nie ma!

– Och, nie – powiedziałem. – Do tego nie dojdzie.

– Skąd ta pewność? – zapytał i zmierzwił mi włosy.

– Intuicja.

Przyglądał mi się przez chwilę. A ja jemu. Jego oczy rozświetliło słońce i błękit zmienił się w zaskakujący odcień turkus. Nie pamiętam, żebym u kogokolwiek widział taką barwę oczu, nawet w moim świecie, gdzie każdy mógł na zamówienie zrobić sobie oczy w dowolnym kolorze tęczy. Miał gęste rzęsy, prawie kobiece, jego twarz miała w sobie tę surową męskość, była ogorziała od nadmorskiego słońca i naznaczona głębokimi bruzdami.

Pochylił się do mnie.

– Eliana powiedziała nam, że straciłeś rodzinę. Kilka lat temu. – Mówił rzeczowo, lecz w jego głosie słyhać było serdeczny ton. – Musiało ci być bardzo ciężko.

– Było ciężko – potwierdziłem, poruszony jego nagłą życzliwością. – Wciąż jest.

– Chcę, abyś wiedział, Finn, że możesz nas wynająć, kiedykolwiek zechcesz. – Uśmiechnął się do mnie. – Jeśli będziesz potrzebował rodziny.

Te słowa sprawiły, że ścisnęło mi się gardło. Mogłem tylko pokiwać głową.

Rudi, czując mój smutek, odwrócił wzrok i spojrzał na Bodden.

Siedzieliśmy tak przez chwilę w milczeniu. Patrzyłem na pszczoły, przelatujące z maku na mak, słuchałem szumu topoli kołyszących się na wietrze, śledziłem wzrokiem promy płynące na drugą stronę jeziora.

– To wyjątkowe miejsce – zwróciłem się do niego. – Czuję to.

– Tak myślałem, że ci się spodoba. To także jedno z naszych ulubionych miejsc. Madeline lubiła tu pływać i patrzeć na wiatraki. A Eliana uwielbia maki. Nigdy nie wiadomo, kiedy zakwitną. Angelika jednak zawsze wolała ocean. Robert tak samo. W przyszłym roku w lecie chce popłynąć jachtem do Anglii. A ty? Co wolisz?

– Lubię jedno i drugie. Dorastałem i z tym, i z tym. W równym stopniu. Na Fire Island. Jest tam i zatoka, i ocean.

– Najlepsze z obu światów, co?

– Tak – powiedziałem. – Zdecydowanie. Najlepsze z obu światów.



Eliana, Angelika i ja zamierzaliśmy spędzić popołudnie na plaży. Robert się wykręcił. „Mam mnóstwo roboty”, powiedział przy obiedzie. Tej jesieni miał zacząć studia magisterskie na Wydziale Inżynierii Genetycznej i czuł, że to ostatnia okazja, by popracować nad swoim ulubionym projektem. Od czasu rocznej służby zastępczej, gdy uczył dzieci z biednych rodzin, jak pracować z drewnem, stolarka stała się jedną z pasji Roberta. Za domem, w szopie na narzędzia, budował stół do swojego nowego mieszkania, niespodziankę dla Lisy, która miała do nas dołączyć następnego dnia po południu, w sobotę. Jeszcze nikt nie widział tego arcydzieła. „Dziś wieczorem go wam pokażę – oznajmił – ale ani słowa Lisie”.



Tłumy na plaży były dla mnie nowością: mężczyźni i kobiety leżeli nieruchomo na piasku, smażyli się na słońcu, koc przy kocu, z trudem można się było przecisnąć pomiędzy nimi. Scena przypominała mi salony wystawowe z androidami, gdzie różne modele robotów umieszczano jeden obok drugiego na jasno oświetlonych półkach.

Angelika uparła się, żebym się posmarował kremem z filtrem.

– Zapobiega też alergii słonecznej. To strasznie swędzi, możesz dostać wysypki, a nawet pęcherzy – uprzedziła, sama obficie smarując się kremem.

Żałowałem, że nie mogę jej zapewnić, że moja skóra – podobnie jak skóra prawie wszystkich ludzi w moim świecie, nawet Leśnych – została poddana zabiegom, które sprawiły, że stała się odporna na uszkodzenia wywołane promieniowaniem ultrafioletowym. Ale oczywiście nie mogłem jej tego powiedzieć, więc wycisnąłem kulę żelowego lotionu z plastikowej tubki, którą mi podała, i z zapałem wsmarowałem w ciało. O ironio, wszystko zaczęło mnie natychmiast swędzieć.

Podobały mi się tradycyjne wiklinowe kosze plażowe z baldachimami w paski, z małymi składanymi stolikami i podnóżkami. Przydawały się, zwłaszcza dla ochrony przed wiatrem.

Pomyślałem, że po powrocie sprawdzę, czy ktoś mógłby zrobić dla mnie coś takiego do domu na Fire Island.

Na plaży było wiele rzeczy, które mnie bawiły, ale hitem popołudnia okazał się młody chłopak o gęstych, długich włosach zaplecionych w warkoczyki, który przewijał się przez tłum, powłócząc stopami, jakby miał zemdleć od upału. Miał sandały i kwieciste spodnie w tureckim stylu, a za sobą ciągnął przyczepkę. Jego głos był słaby i musiałem się wysilić, żeby dosłyszeć, co sprzedawał. „Kokosowe jajka”, mruknął, mijając nas. „Ktoś ma ochotę na kokosowe jajka?”. Eliana, Angelika i ja długo się z tego śmialiśmy.



Wszyscy z niecierpliwością czekali na odsłonięcie stołu Roberta. Po kolacji zaprowadził nas przez trawnik na tyłach domu do szopy z narzędziami. Gdy tylko otworzył drzwi, jeszcze zanim zapaliło się światło, poczułem intensywny zapach trocin oraz mieszaniny stęchlizny i potu. Skojarzył mi się ze Sternwood Forest i Leśnymi, z ojcem i Mannu. Zawsze była to dla mnie przyjemna, pokrzepiająca woń, ale teraz, po śmierci mojego ojca i brata, miała w sobie nutę melancholii.

Robert zapalił światło. Zobaczyłem stół. Chyba bezwiednie krzyknąłem, bo nagle wszyscy na mnie spojrzeli.

– To przez to światło – wyjąkałem.

Ale wcale nie chodziło o światło. To ten stół. Choć zrobiony z drewna sosnowego, poza tym był dokładną repliką orzechowego mebla stojącego na poddaszu mojego rodzinnego domu na Fire Island. Podobieństwo było zdumiewające. Kiedy Robert pokazał nam sekretną szufladę, która wysuwała się spod blatu, poczułem gęsią skórę.

– Czy ten wzór jest teraz popularny w Niemczech? – zapytałem.

Wybuchnęli śmiechem.

– Finn – powiedziała Eliana, starając się zachować powagę – uważaj, co mówisz, bo Robert się obrazi.

– To jest mój wzór – oznajmił z dumą Robert. – Ale nie obraziłem się.

Mógłbym uznać to wszystko za zwykły zbieg okoliczności, gdyby nie sobota i szereg innych „zbiegów okoliczności”, które doprowadziły mnie w końcu do poznania prawdy o mojej własnej przeszłości.



W sobotę było chłodno, niebo zasnuły chmury. Eliana pojechała samochodem do Rostocku z ojcem i Robertem, rzekomo aby odebrać Lisę, ale ponieważ nie chciała zabrać mnie ze sobą, przypuszczałem, że uknuła z ojcem, że kupią mi prezent urodzinowy. Angelika i ja pojechaliśmy na północ do Zingst, gdzie miała coś do załatwienia.

Zingst było zatłoczoną miejscowością wakacyjną z kawiarniami dla turystów i restauracjami, bungalowami do wynajęcia, sklepikami i rejwachem na promenadzie. Angelika wpadła na swoją koleżankę z Berlina. Musiałem się uśmiechnąć, bo kobiety wyglądały jak bliźniaczki: opalone, w dużych okularach, czarnych sandałach, czarnych letnich sukienkach, czarnych kaszmirowych

kardiganach. Gdy Angelika rozmawiała z koleżanką, zauważyłem kilka sklepów z biżuterią oferujących duży wybór bałtyckich bursztynów. Zwykle by mnie to nie zainteresowało, ale na wystawie dostrzegłem wśród pierścionków z bursztynami jeden, który bardzo przypominał moją rodzinną pamiątkę z czarnej onyksowej szkatułki. Wszedłem do sklepu.

– Lubisz bursztyny? – zapytała Angelika, gdy znów stanęła obok mnie.

– W mojej rodzinie od dawna jest stary pierścionek z bursztynem, takim samym jak ten – powiedziałem, wskazując na pierścionek z przezroczystym, bardzo złotym bursztynem. – Tyle że nasz ma w środku trzmiela. A bursztyn otaczają nie różnokolorowe bursztyny, tylko czarne kamienie. Obsydiany.

– Ciekawe. Ale ten, na który patrzysz, to sztuczny bursztyn – powiedziała Angelika.

– Naprawdę?

– Bawiłam się tym kiedyś. Łatwo go zrobić. Potrzebny jest tylko barwnik, trochę silikonu i żywica. Możesz nawet w nim coś zatopić, na przykład martwego owada albo cokolwiek. Zaczekaj, pokażę ci. – Jej dłoń zanurkowała w torbie i wyłoniła się z małą plastikową torebką. Był na niej napis: „Hotel Majestic”. Angelika wyciągnęła ze środka coś, co przypominało szczotkę do włosów. – Projektantka kostiumów jest zawsze przygotowana. To służy do usuwania włosów z ubrań. Gratis z hotelu. – Zdjęła jedną nitkę ze szczotki i położyła na blacie. – Prawdziwy bursztyn elektryzuje się po potarciu wełnianą tkaniną i przyciąga różne włókna. – Wzięła do ręki inny pierścionek. – To jest prawdziwy bursztyn. – Potarła go swoim swetrem i zbliżyła do nitki. Pierścionek przyciągnął ją jak magnes. – Widzisz? – Potem wzięła pierścionek, który oglądałem, i potarła. Nic się nie wydarzyło.

– Ciekawe.

– Teraz już wiesz, jak sprawdzić, czy twoja rodzinna pamiątkę to prawdziwy bursztyn.

– Tak zrobię. Dziękuję.

Nieważne, czy bursztyn był prawdziwy, czy nie. Chodziło o wzór. Według mnie pierścionek w sklepie wyglądał tak, jakby zrobiono go u tego samego jubilera co ten, który miałem w domu. Zapamiętałem, jak wyglądał.

Po drodze na plażę Angelika kupiła na targu rękodzieła ręcznie wykonane saszetki z lawendą i lniany obrus. Właśnie mieliśmy pójść do supermarketu, kiedy moją uwagę zwrócił stragan z różnymi ozdobami do domu. Zobaczyłem szachy i świeczniki, kielichy i popielniczki, a potem, ku swojemu ogromnemu zdumieniu, zauważyłem czarne onyksowe szkatułki. Gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że ich wieczka są ozdobione mozaikowym kwiatowym motywem, a jedna z nich miała wzór słonecznika! Była to szkatułka, którą znałem z rodzinnego domu, ta, w której znajdował się pierścionek i czarne wieczne pióro! Wziąłem ją do ręki, przyjrzałem się jej, otworzyłem wieczko. Tak, to była taka sama szkatułka. Żółty słonecznik, ze środkiem z czarnych onyksów, i zielona łodyga.

Zbieg okoliczności był niezmierny. Jedno to odkryć skrzynkę i miejsce, gdzie znaleziono ją dwieście pięćdziesiąt lat później, lecz inną rzeczą jest odkrywanie przypadków z historii własnej rodziny: stół Roberta, pierścionek z bursztynem, a teraz ta onyksowa szkatułka.

– Śliczna, prawda? – powiedziała Angelika.

– Tak. – Próbowałem zachować zimną krew, chociaż byłem naprawdę wstrząśnięty. – Mam taką w domu. – Zdziwiłem się, że w ogóle mogę mówić.

– Ach tak?

– Od rodziców.

– Eliana uwielbia słoneczniki – powiedziała.

Kiwnąłem głową.

– Chyba kupię jej tę szkatułkę – stwierdziła. – Na pewno jej się do czegoś przyda.

– Tak – zgodziłem się. – Na pewno.



Po powrocie do domu Lorenzów po raz pierwszy od wielu dni zostałem sam. Położyłem się na łóżku, by spokojnie zastanowić się nad znaczeniem stołu, pierścionka i onyksowej szkatułki, kiedy nagle na brzegu łóżka usiadła Eliana i obudziła mnie pocałunkiem. Przespałem ponad dwie godziny.

– Lisa już przyjechała – oznajmiła. – A mama upiekła ciasto.

– Co to oznacza? – Końcami palców pogłaskałem jej rękę, od krągłości opalonego ramienia po delikatny nadgarstek. Usłyszałem, jak przetyka ślinę, i podniosłem wzrok. Miała zarumienione policzki i zamknięte oczy. Poczulem, jak rosnę.

– To oznacza – odparła – że gdy skończymy tutaj, powinniśmy zejść do nich na dół.

Wciągnąłem ją do łóżka.



Nietrudno było zrozumieć, dlaczego Robert zakochał się w Lisie. Była ironiczna jak jego matka. I nawet wyglądała jak Angelika: ciemnowłosa, zadbana i stylowa. Lisa, która studiowała zarządzanie mediami i kulturą i pracowała na pół etatu jako przewodniczka w Muzeum Żydowskim, miała wyrobioną opinię na wiele tematów, od amerykańskich turystów emerytów w tenisówkach po najlepsze miejscówki na koncerty rockowe w Londynie. Robert, który przypominał Rudiego nie tylko z wyglądu, ale także z temperamentu, z radością tylko siedział, pozwalał jej mówić i cieszył się tym.

Angelika dokroiła sernika.

– Ktoś ma ochotę na dokładkę? Finn?

Byłem objedzony.

– Zwykle nie jadam ciasta trzy dni z rzędu. Jest pyszne, ale naprawdę już nie mogę, dziękuję.

– Muszę ci powiedzieć – odezwał się Robert – że w tej rodzinie dziedziczy się gen kawy i ciasta. –

Sięgnął po następny kawałek sernika.

– Oho, mam nadzieję, że ja go nie odziedziczyłam – rzekła Eliana i odsunęła talerzyk.

– Żartujesz, prawda? – zwróciła się Angelika do Roberta. – Czy naprawdę istnieje gen, który...

– Mamo! – zawołał Robert ze śmiechem i pokręcił głową. – Nie bądź taka łatwowierna.

– Wobec tego nie wygaduj głupstw – odparła cierpko. – Myślałam, że chodziło ci o jakiś gen, który odpowiada za apetyt na słodczyce albo coś w tym stylu.

Eliana spojrzała na mnie.

– Mama uważa, że tylko ona w rodzinie ma prawo do żartów.

– Wybacz – rzekł Robert do matki. – Zgrzeszyłem. – Klasnął w dłonie, żeby zwrócić na siebie uwagę. – Panie i panowie, mam ważne obwieszczenie. Gen kawy i ciasta nie został

zidentyfikowany... jeszcze.

Roześmialiśmy się.

– Chociaż zdziwilibyście się, ile już wiadomo na temat genomu człowieka – ciągnął poważniejszym tonem. – Za parę lat wszyscy będziemy chodzić z naszą własną małą instrukcją obsługi, która powie nam, jak zostaliśmy zrobieni, jakie mamy słabe i mocne strony, na jakie choroby musimy uważać i jakie lekarstwa przyjmować, żeby ich uniknąć. – Podniósł szklanę i dopił wodę. – I wszyscy będziemy zamrażać i przechowywać swoją ślinę, na prawo i lewo, ponieważ będziemy chcieli się klonować. A przed śmiercią zostawimy swój majątek własnym klonom.

– O mój Boże – powiedziała Angelika. – Na to nie wpadłam. Świetny pomysł. Zostawić majątek swojemu klonowi.

– Wyobraźcie sobie tylko – wtrąciła Lisa. – Jeśli nie macie dziecka, możecie sklonować siebie, a potem się wychować. To dopiero narcyzm.

– Bardzo intrygujące – zauważyła Angelika. Zwróciła się do Roberta: – Możesz zamrozić próbkę mojej śliny w tym swoim instytucie genetyki?

– Właściwie komórka krwi byłaby lepsza.

Angelika spojrzała na Rudiego.

– Chcesz mu dać trochę krwi?

– Jasne!

– Moment! – powiedziała Eliana do ojca. – Myślałam, że to Robert i ja dziedziczymy wasze miliony.

Rudi potrząsnął głową.

– Uhm. Już nie.

– Pomyśl: gdyby cię sklonowano – rzekł Robert do Rudiego – i powiedzmy, mama by cię urodziła, byłbym starszy od swojego ojca, a mój ojciec byłby też moim młodszym bratem.

Wszyscy się roześmiali. Nawet ja. Ta myśl oczywiście wydawała się niedorzeczna, chociaż nie była aż tak daleka od rzeczywistości. Mimo coraz ostrzejszych praw dotyczących klonowania w moim świecie, na większości kontynentów wciąż można było znaleźć prowincję czy dwie, gdzie luki w prawie pozwalały na szarą strefę. Co jakiś czas pojawiały się plotki, a czasem potwierdzone informacje o osobach wychowujących własne klony.

Nigdy jednak nie słyszałem o dziedziczeniu przez klony. Biorąc pod uwagę wysoki odsetek poważnych chorób psychicznych wśród memoklonów, może jeszcze minąć pewien czas, zanim ich dawca będzie się czuł bezpiecznie, przekazując im swój majątek. A po co ktokolwiek miałby zostawiać swoje oszczędności zwykłym klonom, będącym wyraźnie wymierającym gatunkiem, z dowiedzionym niskim poczuciem własnej wartości? Kultura Eliany zmierza w stronę Mrocznej Zimy, lecz Kompleks Klona to mrok, którego na szczęście ani ona, ani nawet jej wnuki nie dożyją.

Wszyscy mówili jednocześnie. Eliana postukała łyżeczką o kubek, aby zwrócić naszą uwagę.

– Mam pytanie. Powiedzmy, że przekazałeś jakieś komórki swojego ciała do zamrożenia i wydałeś dyspozycję, żeby po śmierci cię sklonowano. Klon będzie miał twoje ciało i wygląd, ale nie będzie tobą, prawda? Klon nie będzie miał twoich wspomnień. Zgadza się?

– Tak – potwierdził Robert. – Rozwiązanie problemu pamięci zajmie chwilę, ale pracujemy nad

tym. I to się stanie.

– Ale czy te magazyny genów są odporne na zniszczenie? – zapytała Lisa. – Czy wojna atomowa mogłaby je zniszczyć?

– Spójrz, co się stało w Japonii – powiedziała Eliana. – W Fukushima po trzęsieniu ziemi przez wiele tygodni nie było prądu. To samo mogłoby się zdarzyć w magazynie genów, prawda? Te wszystkie zamrożone komórki, nasza przyszłość, po prostu by się roztopiły i umarły.

Nie mieli pojęcia, że właśnie to wydarzyło się podczas Mrocznej Zimy – albo się wydarzy, zależnie od punktu widzenia.

– Ale możesz zrobić kopię zapasową swojego DNA – powiedział Robert i podszedł do lodówki. – Możesz umieścić wszystkie informacje na mikrozipie i przechowywać je bezpiecznie gdzieś dla potomności. Mały, maleńki mikrozip. Wielkości rodzynki. Nawet mniejszy. Coś jak ziarno soczewicy. – Wyjął z lodówki butelkę i nalał sobie szklankę wody mineralnej. – Po prostu umieszczasz go w bezpiecznym miejscu i upewniasz się, że ktoś wie, gdzie jest, żeby mogli cię przywrócić do życia. Trzeba tylko wymyślić, jak zgrywać i wgrywać wspomnienia, i jesteśmy w domu. Witaj, nieśmiertelności.

Słowa Roberta dźwięczały mi w uszach, jakby niosły ważny przekaz, który trzeba było rozszyfrować. Właśnie zamierzałem się nad tym zastanowić, kiedy uderzyło mnie coś, co powiedziała Lisa. W jednej chwili jej słowa zburzyły prawie wszystko, co wiedziałem o swojej przeszłości.

A było to tak.

Robert odstawił wodę do lodówki i właśnie miał zamknąć drzwi, kiedy Lisa podniosła dzbanuszek do mleka

– Zaczekaj, Flo – powiedziała. – Możesz dolać?

Robert spełnił jej prośbę.

Flo? Imię odbijało się echem w moich uszach.

– Flo? – powtórzyłem.

Robert przewrócił oczami i podał Lisie dzbanuszek.

– Tak mam na drugie. Florian. Robert Florian Lorenz.

– To piękne imię – powiedziała Angelika i wytarła usta serwetką.

Lisa pocałowała Roberta w policzek i spojrzała na mnie.

– Nazywam go Flo, bo mój brat też ma na imię Robert, a kto chce nazywać swojego chłopaka imieniem swojego brata? Stąd Flo.

Prawie nie słuchałem. Nie miałem siły. Całą energię wkładałem w to, aby nie zemdleć z wrażenia.

Stół. Onyksowa szkatułka. Pierścionek. Żaglówka. Flo. Lorenz-Lawrence.

Czy to możliwe, że Robert Lorenz to Florian Lawrence?

Tak, pomyślałem. To było możliwe.

A Lisa? Czy to możliwe, aby jej pełne imię brzmiało Alisa?

Prawdopodobnie.

Z początkiem Mrocznej Zimy Robert opuści Niemcy z onyksową szkatułka, przepłyynie ocean z Alisą, ale ją straci. Lata później w Ameryce zamerykanizuje swoje imię i nazwisko – Florian

Lawrence – zrobi orzechowy stół, ożeni się, osiadzie i założy rodzinę. Moją rodzinę.
Robert Lorenz był moim przodkiem.

Rozdział 22

Prezent

Niedziela, 7 sierpnia 2011 roku. Kończę dwadzieścia siedem lat.

Ledwo wstałem. Była to wina zmęczenia po długim locie i emocjonalnego przeciążenia. Wisiały nade mną ważne pytania, tak złożone, że już samo zadawanie ich zużywało całą moją energię: Jaką misję miałem tak naprawdę w dwudziestym pierwszym wieku? Czy odkrycie historii mojej rodziny miało z nią coś wspólnego? Wydawało mi się, jakby kroki, które podejmowałem w życiu – i te, które przede mną podejmowali moi przodkowie – były wymyślnym tańcem w czasie, który bezwiednie tańczyliśmy. Dokąd ta choreografia zaprowadzi rodzinę Lorenzów – i mnie?

– Finn? – To Eliana potrząsała mną, żeby mnie obudzić. – Finn?

Otworzyłem oczy, ale minęła chwila, zanim udało mi się skupić wzrok.

– Dzień dobry.

Łóżko było nakrapiane promieniami słońca. Plamki światła skakały wokół nas w rytmie podmuchów wiatru delikatnie poruszającego zasłonę. Za oknem szeleściły liście drzew. Eliana zdjęła sukienkę i wsunęła się pod kołdrę.

– Już prawie południe. Za chwilę obiad. To nasz ostatni dzień tutaj.

Zmrużyłem powieki i spojrzałem na zegar. Była 10.43.

– Zawsze jecie obiad tak wcześnie?

Roześmiała się i przyciągnęła mnie do siebie. Poczułem ciepło jej ciała. Zaczęliśmy się całować. Nigdy mi się to nie znudzi.

Eliana przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Zasnąłeś przed północą, nie zdążyłam ci złożyć życzeń...

– Naprawdę...?

Patrzyłem na grę światła w jej włosach, na złote kosmyki na czubku jej głowy.

– Finn?

– Tak?

– Znowu zasnąłeś.

Otworzyłem oczy. Och. Miała rację. Musiałem się zdrzemnąć.

– Czy teraz jest już pora obiadu?

– Prawie – odparła i zachichotała. – Jesteś całkiem jak mój ojciec.

Wsadziłem nos w jej szyję.

– Dlaczego?

– Zawsze tu długo śpi. Mówi, że to przez morskie powietrze. Ale mimo że morskie powietrze go męczy, nie chce pojechać nigdzie indziej. Czasem podróżujemy bez niego. Francja. Anglia. Włochy. Ameryka. Albania.

– Albania?

– Chciałam tylko sprawdzić, czy znowu nie zasnąłeś.

To był sygnał dla mnie.

– Zaraz wracam.

Musiałem ochlapać twarz wodą. Zrobiłem to – i pomogło. Połknąłem też tabletkę na zmęczenie po podróży w czasie. Wzrok mi się wyostrzył, a krew postanowiła znów zacząć krążyć.

– Lepiej? – zapytała Eliana, gdy wróciłem.

– Zdecydowanie. – Udowodniłem jej to.



Teraz już naprawdę zbliżała się pora obiadu. Ale choć lubiłem spędzać czas z rodziną Lorenzów, wciąż chciałem mieć Elianę tylko dla siebie.

– Co myślisz o tym, że Robert zmienił imię na Florian? – zapytałem, popijając kawę, którą mi przyniosła.

– Kto powiedział, że je zmienił?

– No wiesz, w pewnym sensie.

Wzruszyła ramionami.

– Oba mi się podobają. – Usiadła na łóżku i oparła się o wezglowie. – Imię Robert oznacza „jaśniejący sławą”. Którą cieszył się w szkole. I będzie się nią cieszył w przyszłości, z takim umysłem. A Florian oznacza kwiat.

– Którym akurat nie jest.

– Ale i tak mi się podoba.

– Powiedz mi – ośmieliłem się zapytać – czy Lisa to skrót od Alisa?

– Uhm.

A więc miałem rację.

– A Finn? – zapytała. – Pewnie wiesz, co oznacza Finn.

– „Jasny” – odparłem. – „Blond”, co właściwie do mnie nie pasuje.

– Ale Finn może też oznaczać „wędrowiec”, a to do ciebie pasuje. W tej książce napisano, że ma związek z „find”, czyli „znaleźć”. Chyba wędrowca uważano za pewnego rodzaju odkrywcę, kogoś, kto wyruszał na poszukiwanie czegoś i to znajdował. – Wyciągnęła się na łóżku.

Wsparłem się na łokciach.

– Finn Wędrowiec. Podoba mi się.

– A Eliana oznacza światło.

– Wiedziałem to. Oznacza też „promieniejąca”. – Pocałowałem ją. – I „lśniąca”. – Pocałowałem ją znów. – I „córka słońca”. – Kolejny pocałunek.

Zachichotała.

– A więc pewnie wiesz, że mnóstwo imion oznacza „światło”.

– Naprawdę się w to wczytałaś, prawda?

– Eliana. Helen. Clara. Ilona. Ellen. Claire. Hm... Brunhilde. Edeltraut. Gretel.

Szturchnąłem ją lekko palcem w zębra.

– Brunhilde, Edeltraut, Gretel?

– Tylko sprawdzam twoją czujność. – Zachichotała. – A Helena? Co myślisz o Helenie?

Helena. Czarna skóra i botki na szpilce. Poczułem znów trzask własnych kości – ałć.

Eliana musnęła palcami zarost na moim policzku.

– Rodzice o mało nie nazwali mnie Helena.

– Powiem im, jaki jestem zachwycony, że tego nie zrobili! – Nigdy się nie dowie jak bardzo.

– Ale ja ci powiem, które imię „światlista-promienista-lśniaca-córka-słońca” jest moim ulubionym – powiedziała Eliana. – Oczywiście poza Elianą. – Usiadła i przekręciła się w moją stronę. Odrzuciła koc i zsunęła go z łóżka. Skrzyżowała nogi w pozycji lotosu.

Kiedy ujrzałem ją przed sobą, siedzącą tak nago, też usiadłem.

– Dalej. Powiedz mi.

– Lucia – odrzekła Eliana.

– Lucia?

– Tak.

Odplynęła gdzieś wzrokiem i zastanawiałem się, czy myśli o tamtej tajemniczej młodej kobiecie, która odwiedziła ją przed dwoma laty. Kim właściwie była ta Lucia?

Och, pomyślę o tym później. Przysunąłem się do Eliany.

– Lucia to piękne imię.

Zaczęliśmy się całować. Nasze ramiona i nogi splotły się ze sobą. Słyszałem głośnie bicie naszych serc, ale nie potrafiłem odróżnić jej serca od własnego.

– Jeśli kiedyś będę miała córkę – powiedziała Eliana – chyba nazwę ją Lucia.

Córkę? To była szalona, szalona myśl.

– Lucia brzmi świetnie.

Zabrzmiało to prawie jak obietnica. Obietnica, której nie mogłem dotrzymać.

A może mogłem?

Przez okno wpadł podmuch wiatru i okrążył nas. Zastłony wydymały się i opadały z cichym trzepotem. Widziałem, jak pierś Eliany unosi się i opada. Ująłem jej głowę w swoje dłonie.

– Kocham cię.

Stało się. Najprościej, jak to możliwe. Powiedziałem to.

Skinęła głową.

Ale było więcej do powiedzenia. Tylko jak? Jak to powiedzieć?

– Kocham cię... tak... niewinnie, jak mężczyzna kocha swoją pierwszą miłość.

Znowu kiwnęła głową.

– Tak... nieustraszenie, jak bohater kocha bohaterkę, tak... skromnie, jak słonecznik kocha słońce.

Tak...

Położyła dłoń na moich ustach.

– Ja też – powiedziała. – Dokładnie tak samo. Czy teraz mógłbyś, proszę, otworzyć swój prezent urodzinowy?

Sięgnęła na drugą stronę łóżka i wzięła do ręki paczkę. Zmieściłby się w niej duży garnek z zupą – była taka duża. Szkoda, że wydała pieniądze, nie mogłem przecież zabrać nic ze sobą do domu. Nawet ziarenka piasku. Prezent był ślicznie zapakowany w błyszczący pomarańczowy papier w jasnożółte słoneczniki.

Eliana położyła paczkę przede mną.

– Ojciec pojechał ze mną, żeby pomóc mi wybrać, i powiedział: „Tak, to jest to”. Więc je wzięłam. Obejrzałem pudełko ze wszystkich stron, zastanawiając się, jak je otworzyć, nie niszcząc papieru.

– Jak mam to otworzyć?

Roześmiała się.

– Rozerwij!

– A papier? Przecież można go użyć jeszcze raz!

Przewróciła oczami.

– W takim razie zdejmij taśmę klejącą. – Wskazała na przezroczysty pasek.

Aha, teraz już wiedziałem, jak to otworzyć.

Poczułem ulgę, gdy w środku, zamiast garnka, znalazłem inne, mniejsze pudełko, owinięte w żółtą bibułę z ciemnoróżową kokardą. W nim było kolejne pudełko, wąskie, długości mojej dłoni, owinięte w zieloną bibułę z turkusową kokardą. Kiedy zdjąłem papier i kokardę, zobaczyłem wąskie, eleganckie, czarne kartonowe pudełeczko. Zdjąłem wieczko. Wewnątrz, na czarnej aksamitnej poduszeczce, leżało coś, co dobrze znałem, co ujrzałem po raz pierwszy jako mały chłopiec. Była to rodzinna pamiątka, zabytkowe pióro w gwiazdki – ale to było nowe.

Jego czarna powierzchnia nie miała ani jednego zadrapania. Gwiazdki lśniły. Na platynowej obwódce wokół skuwki widniała inskrypcja, ale inna od tej, którą znałem. Wszystkie litery były wyraźne, kompletne i na miejscu.

Zawsze sądziliśmy, my, Nordstromowie, że pióro ma napis: „Dla Floriana, w imię wiecznej miłości, Alisa”. Wypełnialiśmy w ten sposób brakujące litery historią rodziny. Ale nienaruszona inskrypcja brzmiała:

Dla Finna,

w imię wiecznej miłości,

Eliana

sierpień 2011

Tabletka na zmęczenie po podróży w czasie równie dobrze mogłaby być okruchem czerstwego chleba. Poczuję się tak, jakbym przeskoczył przynajmniej pięćdziesiąt wieków i wylądował w pustej przestrzeni, gdzie nie mogłem się niczego uchwycić, a moje emocje zostały wywrócone na lewą stronę.

Najpierw poczułem się kompletnie dezorientowany. Wieczne pióro było zagadką. Jak mogło być tutaj, a jednocześnie w moim pokoju w Rubiku? Ale oszołomienie ustąpiło podekscytowaniu. Przeszył mnie dreszcz związany z odkryciem wszystkich zdumiewających sekretów, jakie może kryć nasz świat. A potem ogarnął mnie niesamowity lęk, co te odkrycia mogą oznaczać. Spojrzałem na Elianę. Przyglądała mi się z uśmiechem. Uderzyło mnie, że nigdy nie wyobrażałem sobie, że człowiek może być tak szczęśliwy i nie umrzeć od tego. Kręciło mi się w głowie ze szczęścia. Ale już po chwili ta radość zmieniała się w głęboki smutek – ponieważ uświadomiłem sobie, że moja ukochana kobieta jest skazana na śmierć, a ja nie mogę jej o tym powiedzieć.

- Jesteś moją miłością – powiedziała Eliana. – Na zawsze.
- Ty moją też. Absolutnie.

Amorivirus nordstromi

Profesor Grossmann pochylał się i tak gwałtownie potrząsał moją dłoń, że krawat bolo obijał się o jego pierś, postukując metalowymi końcówkami.

– Witamy w domu, panie Nordstrom! Witamy w domu! Jak się pan czuje?

– W porządku. Świetnie. Właściwie fantastycznie.

Prawdę mówiąc, czułem się lekko dezorientowany, co często mi się zdarzało po powrocie. Jakbym został nagle wyrwany ze snu i przypominał sobie wszystkie szczegóły po kolei, zderzając się najpierw z tym, a potem z innym, i próbując coś z nich zrozumieć. Ale jaki to był sen!

– Dobra robota!

Profesor uśmiechnął się od ucha do ucha, a jego krawat w końcu się uspokoił. Holograficzna spinka z początku dwudziestego pierwszego wieku przedstawiała krowią czaszkę leżącą w pustynnym piasku. Wzruszyłem ramionami, nie do końca rozumiejąc, za co te gratulacje.

Przyglądał mi się przez chwilę.

– Co się stało? Jest pan jakiś taki... radosny!

Co się stało? Miłość, ot co. Ale tego nie mogłem mu powiedzieć. Nie zrozumiałby.

– Ten podróżnik odwiedził przyjaciół, którzy stali się mu bliscy. Na północy. Na wybrzeżu Bałtyku.

– Czy zechciałby pan przedstawić szczegóły?

Nie chciałem odpowiedzieć, więc tylko znów wzruszyłem ramionami.

– Czy ma to jakiś związek z tą młodą damą z pamiątnika? – zapytał przebiegle profesor.

Poczułem, jak gorący rumieniec rozlewa się od czubka mojej głowy na policzki i dalej na szyję. Udałem, że ziewam, żeby ukryć zażenowanie.

– Która tu jest godzina? – zapytałem, udając, że nie usłyszałem jego pytania, bo byłem pewny, że jeśli jest naprawdę ważne, zada je jeszcze raz i wtedy się z nim uporam.

– Minęły mniej więcej dwie godziny, odkąd nas pan opuścił i udał się do dwa tysiące jedenastego roku. Nadal jest czwartek, pierwszy czerwca dwa tysiące dwieście sześćdziesiątego piątego, dokładnie trzynasta trzydzieści siedem.

W dwie godziny przeżyłem cały tydzień. Dojrzałem przez ostatnie kilka dni. Chyba nawet zacząłem jaśniej myśleć – czy też bardziej twórczo – ponieważ tknęła mnie wyjątkowa myśl.

– Czy byłby możliwy powrót do momentu przed wyruszeniem na wyprawę?

Myślałem o swoim wiecznym piórze. Zostawiłem je u Eliany, wyjaśniwszy jej, że przez następne cztery tygodnie będę w podróży i bezpieczniej mu będzie u niej do mojego powrotu we wrześniu. Gdyby moje wieczne pióro znajdowało się w dwóch miejscach jednocześnie, u Eliany w sierpniu 2011 i w Rubiku w czerwcu 2265 roku, czy ja także mógłbym przebywać w dwóch miejscach naraz? Wyruszyłem do 2011 roku dwie godziny temu, o 11.30. A co, gdyby sprowadzili mnie z powrotem nie o trzynastej trzydzieści siedem, ale o dziewiątej rano? Czy wpadłbym na samego siebie przygotowującego się do podróży?

– Ten problem, panie Nordstrom, wiąże się z matematyką, której się pan pewnie nie uczył. Ale

odpowiadając nietechnicznym językiem, krótko i węzłowato: nie, nie może pan wrócić do chwili przed wyjazdem. – Otoczył mnie ramieniem. – Niestety teraz nie możemy się zagłębić w szczegóły. Dopiszmy tę rozmowę do naszej listy rzeczy do zrobienia, dobrze? W tym momencie naszym priorytetem jest zajęcie się tym, aby zadomowił się pan na powrót w teraźniejszości. Zbadamy pana i zawieziemy do memolaboratorium. – Profesor uważnie przyjrzał się mojej twarzy. – Nabrał pan kolorów. Świetnie! – Odwrócił się do Rouge. – Kiedy pan Nordstrom składa sprawozdanie, *mademoiselle* Moreau?

– Jutro późnym popołudniem.

Znów spojrzał na mnie.

– Panie Nordstrom, dyrektor Biblioteki Europejskiej, doktor doktor Sriwanichpoom, przesyła serdeczne pozdrowienia i wyraża nadzieję, że spotka się z panem jutro w swoim gabinecie. Gdy tylko uruchomi pan swoje mózgołacze, znajdzie pan oficjalną prośbę i konkretną godzinę.

Profesor miał spotkanie i nie mógł mnie zbadać sam. Jego podwładni zaprowadzili mnie szybko do centrum badań na zwykły zestaw testów. Tym razem badała mnie osobista asystentka Grossmanna, doktor Yuka Shihomi. Widywałem ją już często wcześniej – gdy pędziła korytarzami za profesorem, trzymając się blisko ścian, jakby nie miała odwagi wejść na otwartą przestrzeń, i gdy w milczeniu badała mnie z profesorem. Dziś po raz pierwszy usłyszałem od niej coś więcej niż tylko ciche: „Dzień dobry” czy: „Profesor Grossmann chciałby pana teraz zobaczyć” albo: „Proszę się odwrócić w lewo”. Trajkocząc radośnie, Yuka zaprowadziła mnie do kabiny memolaboratorium, a technicy przygotowali mnie do skanowania. Gdy zgrywali moje wspomnienia, błądziłem myślami.

Ojciec Eliany, Rudolf Lorenz, był prawdziwą zagadką. Czasem jakby dawał do zrozumienia, że wie, kim naprawdę jestem – ale niby skąd miałby to wiedzieć? Może czuł, że jestem inny, a może za dużo chciałem wyczytać w jego słowach. A jednak podczas naszej ostatniej rozmowy bardzo się starał przekonać mnie, abym pomyślał o powrocie do Berlina – nie tylko we wrześniu, ale na stałe. „Młody człowiek, taki jak ty, nie będzie miał problemu ze znalezieniem tam pracy – powiedział. – Pomogę ci na początku. Co masz do stracenia?”

Do stracenia miałem bardzo wiele: dom na Fire Island, styl życia, pracę, przyjaciół i prawdopodobnie swoją nieśmiertelność. Zyskałbym miłość – być może najwspanialszy z darów – a jednak wszystko, co do tej pory o niej słyszałem, podpowiadało mi, że miłość jest niepewna. Czy mógłbym zrezygnować z tego, co miałem tutaj, i postawić wszystko na jedną kartę? Myśl ta wydała się w tamtej chwili absurdalna. Podziękowałem Rudiemu, ale nie ciągnąłem tematu.

Jednak w pociągu do Berlina, gdy Eliana spała z głową opartą o moje ramię, złapałem się na rozmyślaniach, jak wyglądałoby moje życie z nią. Jedna część mnie wyobrażała sobie słoneczny dom pełen pizatych, roześmianych dzieci, które nie zostałyby poddane indoktrynacji kazającej im myśleć, że wyciszony pragmatyzm jest jedynym kluczem do wewnętrznej równowagi. Ale inna część mnie zastanawiała się, czy naprawdę bylibyśmy szczęśliwi. Moja największa umiejętność – odczytywania odręcznego niemieckiego pisma – i moja specjalizacja, czyli okres przed rozpoczęciem się Mrocznej Zimy, były bezużyteczne w Niemczech przełomu tysiącleci. Czy znalazłbym pracę? Albo...

– Przepraszam? – usłyszałem czyjś głos.

Otworzyłem oczy. Drzwi do kabiny memoskanera były otwarte, a do środka zaglądała Yuka

Shihomi.

– Śniesz na jawie? – zapytała.

Czyżby Rouge wspomniała jej o moich „snach na jawie”?

– Tak, właściwie tak.

– Naprawdę? – Wydawała się zaskoczona.

Wyszedłem z memoskanera.

– Czy to takie dziwne? Co wy, kwarki, macie przeciwko odrobinie fantazjowania?

Zarumieniła się.

– Nic. Zupełnie nic. Wręcz przeciwnie. Ta doktor jest niezwykle zaintrygowana.

– Nie jesteś kwarkiem?

– Jestem. Ale także doktorem medycyny podróży w czasie.

Lekarze, pomyślałem, byli trochę bardziej otwarci od kwarków czystej krwi.

– To zdrowe dla organizmu. Lekarze powinni o tym wiedzieć – powiedziałem przekornie.

Nerwowo splotła dłonie.

– Chciałbyś o tym pogadać? Może przy kolacji?



Yuka Shihomi i ja rozmawialiśmy przy kolacji o naszej pracy, ale chyba nie okazałem się najlepszym kompanem. Myślni byłem gdzie indziej. Rozmyślałem o pierścionku z bursztynem: gdzie mógłbym znaleźć jakieś włókno, żeby sprawdzić autentyczność bursztynu? Trudno byłoby mi wyjąć je z moich ubrań. Nasze nowoczesne tkaniny rzadko miały cienkie nitki oddzielające się od materiału. Ale może jeden z robotów domowych w Rubiku natknął się gdzieś na nie? Właśnie zapisałem w mózgołęczu, aby zapytać dozorcę JoeJoe, gdy przypomniałem sobie o torbie włókien w skrzynce z przyborami mojej matki, z zestawu do robienia papieru. Była tam też wełniana szmatka.

Po powrocie do domu wyjąłem włókno i ściereczkę, a potem obejrzałem onyksową szkatułkę. Teraz, gdy miałem porównanie, zauważyłem, że rodzinnej pamiętce przyda się porządne czyszczenie. Sam się tym zajmę. Programator gosposi Hildburg rzadko się psuł, ale nie chciałem powierzać maszynie cennej szkatułki. A gdyby coś się z nią stało? Mogłoby to zmienić bieg historii, spowodować, że od ziemi jak bańka mydlana oderwałby się kolejny świat.

Otworzyłem szkatułkę i uważnie obejrzałem pióro. Tak, to było to samo pióro, brakowało tylko jednej gwiazdki i kilku liter z wygrawerowanej inskrypcji. Dlaczego jedne litery zniknęły, a inne nie, było zagadką, ale obawiałem się, że nigdy jej nie rozwiążę.

Obok leżał pierścionek z bursztynem. Był autentyczny czy nie? Położyłem włókno na stole, potarłem bursztyn wełnianą ściereczką i zbliżyłem do włókna. Nic. Powtórzyłem cały proces, ale bursztyn po prostu nie chciał przyciągnąć nitki. Doszedłem do wniosku, że zrobiono go z jakiegoś syntetycznego materiału z dwudziestego pierwszego wieku. Co opętało Roberta (alias Floriana), aby przywieźć go aż do Ameryki w szkatułce Eliany, razem z moim piórem? Czy te przedmioty miały wartość sentymentalną? Spojrzałem na trzmiela uwięzionego w pierścionku. Może on też nie był prawdziwy. A jeśli nie była to skamielina, dlaczego go tam umieszczono? Może coś w nim było? Na pierścionku widniała data 20.08.2018. Dziesięć dni przed wybuchem epidemii. Czy istniał tutaj jakiś związek?

Odłożyłem szkatułkę z piórem i pierścionkiem do szuflady, otworzyłem kosmetyczkę i wyjąłem fiolkę Nieskończoności. Jedna leżała w szufladzie mojego biurka w Górze Lodowej, druga w szufladzie nocnej szafki. Trzecia znajdowała się na Fire Island. Wyciągnąłem korek, zamknąłem oczy i wdychałem zapach, aż zakręciło mi się w głowie. Tęskniłem za Elianą. Okropnie. Kiedy ją zobaczę? Następną podróż do Berlina, 8 września 2011, mogła równie dobrze zostać zaplanowana na za rok. Zapytam o to Rouge jutro, gdy się spotkamy na spisanie sprawozdania.

Delikatnie skropiłem poduszkę perfumami, zamknąłem szczelnie fiolkę, włożyłem ją pod poduszkę i zasnąłem.



Rouge obudziła mnie rano filiżanką herbaty.

– Yuka Shihomi się do mnie odezwała – oznajmiła. – Nie chciała ci przeszkadzać, żebyś mógł się wyspać. Powiedziała, że wczoraj wieczorem zapomniała cię uprzedzić, żebyś przez najbliższe parę dni nie pił zingów ani spicerów. Zwłaszcza dziś. Powiedziała, że najlepsza będzie herbata pu-erh.

– To coś nowego – rzekłem.

– Co, herbata?

Usiadłem na łóżku.

– Nie. To, że lekarze wysyłają osobiste porady. Nie, dzięki. Pu-erh smakuje jak błoto.

Rouge się roześmiała.

– I tak samo śmierdzi. Ale powiedziała, że to utrzyma twój organizm w formie po tak poważnej podróży.

– Yuka jest urocza. Ale te rady lekarzy to same bzdety.

Przewijała swój słownik.

– Czy „banialuki” i „bzdety” to coś podobnego do „bzdur”?

Roześmiałem się.

– Owszem.

– Nauczyłeś tego tę przyjaciółkę dwa lata temu.

– Świetnie byś się nadawała do dwudziestowiecznych komedii. Mogłabyś idealnie wypowiadać poważne kwestie, które dają partnerowi pretekst do żartu.

– To ty teraz zażartowałeś?

Już otworzyłem usta, aby jej odpowiedzieć, ale zmieniłem zdanie.

– Dzięki za lekcję – powiedziała, wstając. Zabrała herbatę. Zmarszczyła nos, gdy poczuła jej zapach. – Yolanda i Severin chcą zjeść z tobą śniadanie. Przyłączysz się?

– Jasne.

– Zing zamiast tego?

– Potrójny.



Cieszyłem się, że znów jestem w Greifswaldzie. Mogłem podjechać rowerem te kilka przecznic dzielących stację wahadłowca od Biblioteki Europejskiej, ale wybrałem spacer. Był piękny

czerwcowy poranek. Byłem zakochany. Co mogło być przyjemniejsze niż spacer przez park sam na sam z myślami?

Przed sobą zobaczyłem robosprzedawcę oferującego pierwsze słoneczniki w tym sezonie i zatrzymałem się, żeby kilka kupić. Właśnie zakończyłem transakcję i szedłem promenadą, podziwiając aksamitne złoto płatków kwiatów, kiedy obok mnie ostro zahamował rower. Renko szybkim ruchem zdjął okulary przeciwsłoneczne.

– Rany! Gdzie się tak spaliłeś?

– Fire Island – odparłem, ściskając jego dłoń. – Nie bez powodu tak się nazywa.

Renko zsiadł z roweru.

– Ale chyba powinieneś niewolniczo harować, jak reszta nas, sługusów, a nie się opalać.

Zaprogramował rower, aby pojechał bez niego do Góry Lodowej. Klepnął go po siodełku, tak jak kowboj z celuloidowego westernu klepnąłby konia.

– Ruszaj – powiedział, a rower zakręcił kołami i odjechał. Renko spojrzał na mnie, gdy ruszyliśmy promenadą. – Byliśmy z wizytą u dalszej rodziny w Struckum. Hej, lecimy dziś wieczorem do Pragi pokręcić się po knajpach. Pisziesz się?

– Ty i Gao?

Potwierdził, a ja pomyślałem, że gdyby Renko i Gao mniej czasu poświęcali na pracę i chodzenie po pubach, mogliby spędzać więcej czasu w łóżku i mieliby większą szansę na spłodzenie potomka.

– Przepraszam cię – odparłem. – Dziś wieczorem nie dam rady. Późna konferencja.

Ściśle rzecz biorąc, miałem się spotkać z Rouge, aby złożyć sprawozdanie, ale nie mogłem mu o tym powiedzieć. Nic mu nie mogłem powiedzieć. Stawałem się wyrafinowanym twórcą półprawd.

Gdy tak szliśmy, wetknąłem nos w słoneczniki. Pachniały ziemią, ale słodko, jak miód z kroplą wanilii. Pomyślałem o Elianie i o naszej ostatniej wspólnej nocy.

Renko się roześmiał.

– Co się z tobą dzieje?

– Dlaczego pytasz?

– Właśnie westchnąłeś jak pensjonarka.

– Naprawdę?

– I wyglądasz jakoś... inaczej. Jesteś taki... ożywiony. Coś tu jest grane.

– Nic nie jest grane! – To już nie była półprawda. To było jawne kłamstwo. Spojrzałem na promenadę, w kierunku biblioteki, aby uniknąć słynnego rentgenowskiego spojrzenia Renka.

– Mów! Co się dzieje? – Szturchnął mnie ramieniem.

Wyraźnie coś podejrzewał.

– Renko, nic się nie dzieje. Naprawdę. Nic, o czym moglibyśmy pogadać. To...

– Dalej! Co się stało?

– Miłość się stała! – wyrzuciłem z siebie.

No i proszę. Wymusnęło mi się. Ale chyba chciałem, żeby do tego doszło. Musiałem komuś powiedzieć. Dlaczego nie najlepszemu kumpłowi? Zakochanie się nie było przestępstwem – było tylko wyjątkowo dziwnym zachowaniem.

Renko przystanął.

– Miłość?

Skupiłem się.

– Tak. To niewiarygodne, ale to prawda.

– Kim ona jest? To ktoś z Nowego Jorku?

Za żadne skarby nie mogłem mu powiedzieć o Elianie.

– Dowiesz się we właściwym czasie.

– Czy ona też cię kocha?

– Tak, to wzajemne uczucie.

Jego oczy otwierały się coraz szerzej.

– Co to... znaczy? Miłość?

– To znaczy... – zacząłem. Cóż, właściwie co to znaczy? – Miłość oznacza... że znalazłeś tę jedną osobę, która napełnia twoje serce radością.

Gapił się na mnie.

– To wszystko?

– To bardzo wiele!

– Nie. Chciałem zapytać, czy to jedyny sposób, aby to wyjaśnić?

Podniosłem rękę w geście bezradności, szukając odpowiednich słów.

– Miłość oznacza... że wszystko w niej napełnia twoje serce radością. Jej głos. Jej śmiech. Jej smak. Zapach. Zadarte skórki. Puszące się włosy. To, jak jej sandałki kłapią po podłodze.

Renko szeroko otworzył usta.

– To, jak jej sandałki kłapią po podłodze?

Skinąłem głową.

– Tak. Cudowny dźwięk.

– No dobra... – powiedział wolno, jakby próbował znaleźć w tym wszystkim sens.

Wyprostował się i ruszył przed siebie.

Szliśmy dalej w milczeniu.

– Ale jakie to jest uczucie? – zapytał po kilku chwilach. – W środku?

Zastanawiałem się nad tym przez moment. Szukałem właściwych słów.

– Miłość sprawia, że możesz góry przenosić.

Nie wiedział, co tak konkretnie miałem na myśli. Ja sam też nie bardzo wiedziałem.

– Jakbyś był niepokonany – dodałem. – I mógł żyć wiecznie. To wszystko.

– Niepokonany? Jak android? – zapytał.

Westchnąłem.



To było dziwne. Prawie wszyscy zauważyli, że coś się we mnie zmieniło: Yolanda i Severin wspomnieli o tym tego ranka przy śniadaniu. Potem Renko. Recepcjonistka w bibliotece przy głównym wejściu powitała mnie słowami: „Świetnie pan dziś wygląda!”, a koledzy w stołówce poklepywali mnie po plecach i dopytywali, czy dostałem awans. Nawet mój ulubiony przełożony, doktor doktor Rirkrit Sriwanichpoom, dostrzegł różnicę.

– Panie Nordstrom – powiedział na powitanie – jaki eliksir pan wypił? Ten mężczyzna też chciałby go spróbować. Dwudziesty pierwszy wiek panu służy. – Podeszedł do regału, który się rozsunął. – Pańskie nowe zlecenie.

Nie mogłem powstrzymać łomoczącego serca, ale chciałem, aby robiło to najciszej, jak się dało. Ręka Dok-Doka sięgnęła do regału i wyłoniła się z czarną książką. Widziałem ją na biurku Eliany, ale myślałem, że to jakiś notatnik ze studiów. Czy znajdę tam jej przemyślenia o tygodniu, który spędziliśmy razem?

Patrzyłem, jak Dok-Dok siada ostrożnie, aby nie pognieść białego jedwabnego garnituru, i kartkuje pamiętnik długimi spiczastymi palcami, pieszcząc strony. Chciałem się zerwać i wyrwać mu pamiętnik z rąk. Zamiast tego odchrząknąłem.

Podniósł wzrok.

– Ach, przepraszam. Czytanie niemieckiego pisma nie jest łatwe. – Pochylił się do przodu i rzucił mi jeden z tych swoich przymilnych uśmiechów. Przypomniała mi się łasica albinoska, którą kiedyś widziałem. – Wspomina o... – Zerknął znów do pamiętnika. – Kokosowych jajkach? Wie pan, co to takiego?

Udawałem, że się zastanawiam.

– Pierwsze słyszę – odparłem.

Wiedział, że zatajam informacje?

Pogroził mi palcem.

– Czyżby zatajał pan informacje?

Niech go szlag! Ile wiedział? Nie pierwszy raz pomyślałem, że Dok-Dok może znać treść pamiętnika i wiedzieć o mojej roli w życiu Eliany. Czy ktoś przeczytał pamiętnik przede mną? Może doktor Beyer ze Stralsund, archeolog, który ponoć jako pierwszy przeglądał pamiętniki?

– Dobrze więc – powiedział Dok-Dok. Odłożył notatnik i wstał. – Przekażemy to panu do jutra. Będzie pan pracował tutaj? Czy w Berlinie? A może w Nowym Jorku?

Nie byłem przygotowany na to pytanie.

– Jeszcze nie zostało to rozważone.

– Proszę nas powiadomić. – Podał mi rękę.

To wszystko? Dlatego poprosił, żebym przyszedł? Żeby mi powiedzieć, że pamiętnik jest gotowy?

– Tak – rzekł. – To wszystko. Ten dyrektor tylko chciał zobaczyć pana na własne oczy po pańskiej podróży.

Ponieważ przywykłem już do tego, że czytał w moich myślach, skinąłem tylko głową i skierowałem się do wyjścia. Ale wiedziałem, że mnie zawoła. Zawsze to robił.

– Ach, panie Nordstrom?

Odwróciłem się.

– Ma ładny charakter pisma – powiedział. – Czy jest tak ładna, jak można by sądzić?

– Jest czarująca – odparłem.

I moja, dodałem w myślach.

Byłem pewien, że je odczytał, głośno i wyraźnie, ponieważ jego twarz spochmurniała i odwrócił się, żebym tego nie widział.



- Co zrobiłeś Yuce? – zapytała Rouge, kiedy usiedliśmy, aby spisać sprawozdanie. – Na lunchu ciągle o tobie mówiła.
- Co ten mężczyzna jej zrobił? Nic. Zjedliśmy tylko wczesną kolację po memoskanie i testach. Rozmawialiśmy o pracy. A dlaczego? Co powiedziała?
- W ogóle nie wspomniała o spotkaniu. W tym rzecz. – Zachichotała. Nigdy się tyle nie śmiała. – Ciągle tylko paplała o...
- O czym?
- Przewróciła oczami. To też było do niej niepodobne.
- O tobie! O kolorze twoich włosów. O twoich oczach. Bicepsach. O tym, jaki jesteś czarujący.
- Czarujący?
- Tak! Wyobraź sobie. Ty? Czarujący?
- Roześmiałem się.
- Teraz się droczysz z tym przyjacielem.
- Bystry. O tak. Finn jest taki bystry. Taki uduchowiony. Taki przystojny. – Przedrzeźniała Yukę. Dziwnie się słuchało kobiety z francuskim akcentem naśladowującej japońską kadencję, ten jednostajny rytm, który przypominał metronom odmierzający sylaby.
- Użyła słowa „uduchowiony”?
- Zadurzyła się. Jak nastolatka. – Usiadła prosto. – Ale dość już. Trzeba się zabrać do pracy. – Rouge znów przybrała rzeczowy ton. Spojrzała na mnie tymi przenikliwymi oczami drapieżnika. – Dobrze. Zaczynaj od początku.
- Przywykłem do sposobu, w jaki Rouge przeprowadzała wywiad. Była profesjonalna i bezstronna. Zadawała pytania, a ja odpowiadałem. Co jadłeś? O czym rozmawiałeś? Gdzie byłeś? Dziś nie było inaczej. Ale z każdą kolejną podróżą coraz trudniej przychodziło mi odpowiadać na jej pytania. Im bardziej pogłębiała się intymność łącząca mnie z Elianą, tym mniej chciałem odkryć przed Rouge. Zwykle dawała mi spokój, ale dziś, mniej więcej po godzinie miłej pogawędki, chciała poznać więcej szczegółów. Czy Eliana stosowała antykoncepcję? Jaki rodzaj antykoncepcji? Jak często? I co miała na sobie podczas sto...
- Do czego ci to potrzebne? – Skrzyżowałem ręce na piersi. Chroniłem siebie? Czy Elianę? Czy nas oboje?
- To część doktoratu. Nie martw się, Finn. To anonimowa ankieta.
- A co z profesorem? I Dok-Dokiem? A teraz Yuką?
- Co miała na sobie, Finn?
- Z trudem przełknąłem ślinę.
- Nic.
- A ty?
- Pas na narzędzia świecący w ciemności.
- Może nawet mi uwierzyła.



Rouge potwierdziła, że za dwa tygodnie, 19 czerwca, odbędzie się spotkanie ze wszystkimi uczestnikami *Projektu Czas*, mające na celu przedyskutowanie szczegółów naszej ostatniej podróży do Berlina z dwudziestego pierwszego wieku. Dziesięciodniowa podróż miała przypaść na wrzesień 2011 roku. Mieliśmy wyruszyć stąd pod koniec lipca 2265. Oznaczało to, że zostało mi mniej więcej sześć tygodni na odczytanie i przetłumaczenie ostatniego pamiętnika Eliany. Ale co ważniejsze, miałem sześć tygodni na uporządkowanie chaosu mojego życia uczuciowego i znalezienie odpowiedzi na najważniejsze pytanie: jak mam się pożegnać z Elianą? Ta ostatnia podróż będzie wymagała zamknięcia, zakończenia, rozwiązania. Bałem się tego. Ale bardziej niż pożegnania bałem się przeczytać w pamiętniku o tym, co wydarzyło się później.

Gdy dostarczono notatnik Eliany, sprawdziłem, kiedy dokonała ostatniego wpisu. Poczułem ulgę, gdy zobaczyłem datę 7 września 2011, dzień przed moim planowanym przybyciem podczas ostatniej podróży. Oszczędzono mi, przynajmniej na razie, wiedzy o tym, co wydarzyło się po naszym ostatnim pożegnaniu. Co ciekawe, na końcu zostały puste strony. Dlaczego nie pisała dalej? Czy miało to jakiś związek ze mną? Czy istniał następny pamiętnik?

Przyznaję, kusilo mnie, żeby przeskoczyć do tamtego sierpniowego tygodnia, który spędziliśmy razem, ale ostatecznie przeważyły skrupuły. Prawdę mówiąc, i tak czułem się jak prześladowca, gdy ślezczałem nad pamiętnikiem Eliany, a czytanie o sobie i o jej najbardziej intymnych przemyśleniach na mój temat graniczyło z perwersją. Zamknąłem wierną replikę na klucz i pracowałem w mózgołaczku na cyfrowych obrazach. Zeskanowałem wpisy od 23 czerwca do 1 sierpnia 2011 roku. Ostatnia data przypadała na dzień przed moim przyjazdem i naszą wycieczką nad Bałtyk. Dzięki temu będę przez chwilę zajęty. Zeskanowałem także wpisy między 2 sierpnia a 7 września, ale imię „Finn” zastąpiłem we wszystkich miejscach imieniem „Swen”, skasowałem dwa razy „Nordstrom” i przekonwertowałem pliki na dokumenty, które mój przyjaciel Raoul Aaronson mógł przeczytać na swoim przestarzałym komputerze, jakich używali Leśni. Przesłałem mu je z prośbą o odczytanie i przetłumaczenie z niemieckiego na angielski w wolnej chwili. Napisałem, że jestem zawałony pracą i że odwdzięczę mu się za jego pomoc.

Pracowałem pilnie nad pamiętnikiem Eliany. Pisała o studiach, sporadycznych randkach, flirtach, wyjściach do kina, jakichś koncertach. Ani razu nie wymieniła mojego imienia na tych stronach – nie widziała mnie od czterech lat. Pisała trochę o swoim projekcie hostelu na konkurs, a nawet naszkicowała kilka rysunków Rubika z różnej perspektywy. To tak naprawdę był dowód jej twórczego talentu. Zastanawiałem się, czy ta publikacja może jej przynieść jakąś pośmiertną sławę. Niewiele znalazłem w Encyklopedii Universa na temat samego budynku, ale wysłałem zapytanie do Renka. Miał swoje tajne źródła poza Cyklopem i mógł zdobyć więcej informacji.

Rzadko widywałem ludzi. Dwa razy poszedłem na kolację z Renkiem i Gao, ale przeważnie byli zajęci. Yolanda i Severin, od niedawna para, włączyli się po niemieckiej prowincji na nowych rowerach zaprojektowanych przez Severina, a Rouge utonęła w projektach naukowych. Yuka odezwała się do mnie kilka razy, ale czułem, że nie w porządku byłoby ją zachęcać.

Czerwiec na północy prowincji niemieckiej był chłodny i deszczowy. To ułatwiało pracę. Ale

pewnego ranka w Górze Lodowej, kiedy ślęczałem nad raportem o stanie zaawansowania prac dla Dok-Doka, przedstawiającym szczegółowe informacje na temat Rubika i roli Eliany w jego stworzeniu, słońce w końcu przebiło się przez chmury. Pracowałem bez przerwy od prawie dwóch tygodni – wolne popołudnie dobrze mi zrobi.

Od kilku dni nosiłem się z myślą, by odwiedzić Fischland-Darß-Zingst i okolice miejsca, gdzie kiedyś było miasto Wustrow. Wsiadłem do samolotu do Zingst z grupą architektów morskich i studentów inżynierii z Uniwersytetu Europejskiego w Greifswaldzie i znów znalazłem się na półwyspie.

Zingst nie był już tętniącym życiem ośrodkiem turystycznym. Przeistoczył się w metroport dla techników, inżynierów i budowniczych, którzy zmieniali półwysep w ośrodek zajmujący się górnictwem morskim. Znalazłem rower i pojechałem w swoją stronę.

Fischland-Darß-Zingst zmieniło się przez wieki. Mroczna Zima i brak porządnej ochrony wybrzeża zostawiły ślady. Zmiana poziomu morza, sztormy, wiatry i powodzie spowodowały erozję gleby i utworzenie nowych pasm górskich i wysp. Fischland było teraz odcięte morzem od Darß, lecz niedawno połączono je z nim mostem. Wustrow, na ile mogłem to stwierdzić, było nienaruszone, lecz nic nie zostało z prosperującej osady między zatoką a morzem, którą znałem. Natknąłem się na nieutwardzoną drogę do domu Lorenzów i podekscytowany szukałem budynku z pruskiego muru, z zielonymi i żółtymi oknami. Ale ten i wszystkie okoliczne domy zniknęły. Trudno było powiedzieć, czy to czas je zniszczył, Mroczna Zima, czy może globalny rząd swoimi planami przesiedlenia.

Usiadłem na chwilę w miejscu, gdzie jak sądziłem, stała kiedyś szopa na narzędzia na tyłach domu. Patrzyłem na Bodden i próbowałem przypomnieć sobie zapach trocin z warsztatu stolarskiego Roberta, smak sernika Angeliki, gardłowy śmiech Eliany. Nic, absolutnie nic nie zostało po tej rodzinie. Przeraziło mnie to. I zasmuciło w swej bezwzględności. Uderzyło mnie, że skończoność naszego życia, świadomość śmierci była fundamentem, na którym budowaliśmy swoje życie. Ale teraz znaleźliśmy się na rozdrożu. Zalecaliśmy się do nieśmiertelności. Moje pokolenie być może będzie żyło wiecznie, ale o ironio, po drodze straciliśmy dar życia. Nie uważałem, że świat Eliany był lepszym miejscem, ale wiedziałem, że intensywniej go odczuwano. Tęskniłem za tą intensywnością, chciałem znów jej doświadczyć.

To tam, w tej właśnie chwili, zrozumiałem, co zrobić.

Ucieknę.

Czy daliby mi spokój, gdybym zniknął? A może znaleźliby mnie i więzili w szalecie miejskim, dopóki nie mogliby mnie przerzucić z powrotem do roku 2265? Roześmiałem się na tę myśl.

Wstałem.

Tak. Zrobię to, pomyślałem.

Niestety przyszłe siły przygotowały dla mnie coś innego.



Spotkanie w Instytucie imienia Olgi Żukowej w dniu 19 czerwca jeszcze się nie zaczęło, ale już w chwili gdy przedstawiono drobną postać siedzącą w kącie ze skrzywioną miną, wiedziałem, że wszystko może się zdarzyć. To był pan Ciucurescu, kierownik działu finansowego instytutu. Profesor

Grossmann zwrócił się do niego:

– Miał pan wieści z kapitolu?

– Tak – odrzekł piskliwym głosem Ciucurescu. – La Palma potwierdziła, że *Projekt Czas* został odwołany. Globalny rząd przestał go finansować.

Co? Spojrzałem na Rouge, ale ją nagle bardziej zainteresował jej lakier do paznokci niż spotkanie. Spojrzałem na profesora Grossmanna, doktora doktora Sriwanichpooma i Yukę Shihomi – wszyscy unikali mojego wzroku. Wyraźnie wiedzieli więcej ode mnie.

– Odwołany?! – zawołałem. – Co to oznacza? Odwołany do kiedy?

– Niestety – powiedział profesor Grossmann – na zawsze. Oznacza to, że nie możemy kontynuować naszego eksperymentu. I to akurat w chwili, kiedy pojawiły się bardzo ciekawe rezultaty.

W sali zapadła zupełna cisza. Poczułem, jak ziemia usuwa mi się spod nóg.

– To niemożliwe! – krzyknąłem.

Profesor skrzywił się i spojrzał na Rouge.

– Jak już mówiliśmy, nie będzie to miało wpływu na pani doktorat, ale... – Zwrócił się znów do mnie: – Niemożliwe czy nie, Niestety nie będzie ostatniej podróży.

Poczułem, że zaraz zwymiotuję. Zwalczyłem odruch i zerwałem się z krzesła.

– Nie będzie ostatniej podróży? O czym pan mówi? Nie możecie tego zrobić!

Musiałem wrócić. Eliana na mnie czekała. Jak mogłbym nie przyjechać? Jak mogłbym ją zawieść? To by ją zraniło, zabiło. I zabiłoby mnie. Nie mogłem znieść tej myśli. Czułem, jak moje serce rozdziera się na szwie.

– Panie Nordstrom, proszę nas wysłuchać – powiedział Dok-Dok tym swoim suchym nosowym głosem. – Rozumiemy, że może pan być rozczarowany...

– Roczczarowany?

– ...biorąc pod uwagę więzi z osobami, które pan poznał podczas pracy w terenie. Ale ponieważ jesteśmy wyjątkowo zadowoleni z wkładu, jaki pan wniósł w cały projekt, z radością zrekompensujemy panu ten zawód.

– Kogo obchodzi rekompensata?

Dok-Dok zignorował mój wybuch.

– Nie tylko planujemy w bibliotece nową wystawę, na której zostaną pokazane pamiątki, tytuł roboczy to *Miłość w czasach kawy latte*, ale postanowiliśmy też awansować pana na starszego historyka. Jak pan wie, to spory zaszczyt dla kogoś, kto nie ma jeszcze statusu dorosłego, doktoratu ani partnerki i...

– Chyba nie mówi pan poważnie! – zawołałem. – Sporządzono plany! Są rzeczy do rozwiązania! Musi pan pozwolić na tę podróż!

Rouge spojrzała na kierownika finansowego instytutu.

– Czy naprawdę nie ma sposobu, żeby...

– *Mademoiselle* Moreau, nie ma! – odparł Ciucurescu, wstając. – Decyzja jest ostateczna. – Zwrócił się do profesora Grossmanna: – Skończyliśmy?

– Dziękuję – rzekł profesor. – Nie będziemy już pana potrzebować. – Westchnął ciężko i potarł czoło.

Drobny człowieczek ruszył w kierunku drzwi.

– Niech pan zaczeka! – zawołałem i podskoczyłem do niego. Chwyciłem go za ramię. – Nie może pan tego przemyśleć? Proszę!

Ciucurescu skurczył się, gdy go dotknąłem. Rzucił mi przerażone spojrzenie i prędko wymknął się z sali.

– Młody człowieku – rzekł Sriwanichpoom.

Odwróciłem się do niego.

– Sporządzono plany? – powiedział, przedrzeźniając mnie. – Poważnie wierzy pan, że pańskie osobiste wyczyny są najważniejsze?

– Osobiste wyczyny? To była misja. Powiedział pan: „Niech pan idzie za swoim sercem”. I tak się stało. A teraz nagle mówi pan: „Proszę je wyłączyć”? W co pan gra?

Zapadła cisza, którą przerwał tylko Dok-Dok, nalewając sobie z bulgotem szklanek wody. Wypił łyk.

– Jak brzmi pańska odpowiedź? – prowokowałem dalej.

– Panie Nordstrom – powiedział Dok-Dok i beknął. – Wiedzieliśmy, że ma pan głowę w chmurach, ale nie sądziliśmy, że porzuci pan swoje wzniosłe ideały dla podrzędnego melodramatu. Naprawdę. Niech pan usiądzie. Ostatnią rzeczą, jakiej tu potrzebujemy, są pańskie sceny. Wystraszył pan biednego pana Ciucurescu.

– Sceny? – zagrzałem. – To gniew! Frustracja!

– Otóż to. Jesteśmy praktycznymi ludźmi, którzy rozwiązują problemy. Nie tworzymy ich. Zwłaszcza nie porywczością.

– Cóż, to przecież wy, do cholery, stworzyliście ten problem! – wykrzyknąłem i uderzyłem dłonią w swoją pierś, w której łomotało moje oszalałe serce. – Co tu się dzieje? W jaką grę graliście?

Profesor podniósł rękę i zwrócił się do Dok-Doka:

– Rirkrit, chwileczkę, proszę. Może czas wyjaśnić to panu Nordstromowi.

– Może? – rzuciłem.

Przyznaję, powinienem być ostrożniejszy. Jeśli w ogóle była jakaś nadzieja na moje spotkanie z Elianą, moją jedyną szansą był prawdopodobnie profesor Grossmann. Miał po swojej stronie swój ojcowski autorytet, który wszyscy respektowali.

Na szczęście profesorowi chyba nie przeszkadzał mój wybuch. Patrzyłem, jak rozluźnia krawat bolo i kołnierzyk.

– Krótco i węzłowato – zaczął profesor Grossmann. – *Projekt Czas* był wspólnym przedsięwzięciem Biblioteki Europejskiej i Instytutu Olgi Żukowej w europejskim konkursie akademickim sponsorowanym przez globalny rząd. Jego motywem przewodnim było hasło: „W poszukiwaniu płodności”. Konkurs ogłoszono po to, aby znaleźć sposoby przeciwdziałania spadkowi wskaźnika urodzeń na kontynencie. Jak pan wie, panie Nordstrom, naukowcy na całym świecie gorączkowo pracują nad udoskonaleniem naszych technik klonowania, jednej z naszych najbardziej obiecujących strategii w rozmnażaniu ludzkiej rasy. Ale wyrażono nadzieję, że możemy podejść do problemu płodności z kilku różnych perspektyw, aby znaleźć bardziej naturalną i mniej kosztowną procedurę rozmnażania. Stąd konkurs zorganizowany przez globalny rząd. *Mademoiselle*

Moreau, czy mogłaby pani wyjaśnić swoją główną tezę?

Rouge wciąż nie chciała mi spojrzeć prosto w oczy.

– Nasza główna teza – zaczęła – mówi, że chociaż miłość między rodzicem a dzieckiem w pierwszych piętnastu latach życia do pewnego stopnia była promowana w naszym nowoczesnym społeczeństwie, miłość między mężczyzną a kobietą, miłość romantyczna, jeśli wolicie, przepadła dla nas. Ale pomyśleliśmy, że miłość, bezinteresowna, namiętna miłość, należy dodać, będąca w przeszłości potężną siłą, może sprzyjać płodności i rozmnażaniu. Gdyby udało nam się sprowadzić miłość z przeszłości, dzięki podróżom w czasie, na przykład przez nosiciela, ten nosiciel mógłby zarazić ludzi tutaj tym, jak by to nazwać... bakcylem miłości. To...

– Nie jest to infekcja w zwykłym medycznym znaczeniu – wtrąciła żywo Yuka Shihomi – ale mieliśmy nadzieję, że tak samo jak wirus może się łatwo roznosić przez kontakt między ludźmi i zapewnić bardziej sprzyjające warunki do rozmnażania.

– Dziękuję ci za twój wkład, Yuka – powiedziała Rouge ze sztucznym uśmiechem. Zwróciła się znów do mnie: – Wniosek jest taki, że nasz świat i wszystkie nasze fizyczne układy są ze sobą połączone, inaczej mówiąc, splątane, i że na głębokich poziomach emocji mogą oddziaływać na siebie nawzajem. Innymi słowy, ciało jednej osoby może pozytywnie reagować na silne emocje innej. Ta emocjonalna energia, zwłaszcza namiętność, nazywana falami miłości, inaczej *Undulus amori*, wchodzi w interakcję z naszymi ciałami i ułatwia rozmnażanie.

Profesor Grossmann wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło.

– Dziękuję. To tyle, krótko i węzłowato. – I dodał, zwracając się do mnie: – To wyjaśnienie dla laika oczywiście.

Zwaliło mnie to z nóg.

– Bakcyl miłości? Żartujecie, prawda?

– Wiele można o nas powiedzieć – rzekł profesor – ale nie to, że jesteśmy skorzy do żartów.

Gdybym nie był taki zdenerwowany, roześmiałbym się.

– Miłość jak infekcja wirusowa? To raczej lekarstwo, jeśli w ogóle.

– Och, przecież jest wiele pożytecznych wirusów! – zawołała Yuka.

Profesor przytaknął.

– Doktor Shihomi wie, co mówi. Mimo to spieszmy dodać, że nasz bakcyl miłości nie jest prawdziwym wirusem, chociaż podobnie się zachowuje. Nasze odkrycie ma tyle samo wspólnego z fizyką i matematyką splątania kwantowego co z biologią. – Uśmiechnął się do swojej asystentki. – Doktor Shihomi opracowała przystępny raport szczegółowo przedstawiający najnowsze badania dotyczące fizjologii ciała i tego, w jaki sposób procesy chemiczne i impulsy elektryczne zostają uaktywnione, kiedy ktoś się zakochuje, i w jaki sposób wchodzi to w interakcję z ciałem, tworząc układ stosowny dla rozmnażania. Być może chciałby pan go przejrzeć. Doktor Shihomi?

– Transmisja ukończona – powiedziała Yuka Shihomi, patrząc na mnie maślanym wzrokiem.

Na ekranie mojego mózgołącza pojawiła się ikona wiadomości.

– Współpracowaliśmy z niewielkim zespołem biologów – oznajmiła Yuka – między innymi z żoną doktora doktora Sriwanichpooma, doktor doktor Gwyneth Elwyn.

– Wspaniała kobieta! – powiedział profesor Grossmann do Dok-Doka. – Bardzo kompetentna!

– Dziękuję – rzekł Dok-Dok. – Wspominała, że mieliście przyjemność, jak by to ująć... blisko współpracować. Niech pani kontynuuje, doktor Shihomi.

– Nasz zespół – znów spojrzała na mnie – nadał tej nowej, wyjątkowo zakaźnej infekcji dwie nazwy. Potocznie będzie się nazywała bakcylem miłości. Ale jej oficjalna nazwa łacińska brzmi *Amorivirus nordstromi*, czyli miłosny wirus Nordstroma. To...

– Nazwaliście ten tak zwany bakcyl miłości nazwiskiem tego mężczyzny? – przerwałem rozwścieczony. – Jak śmiecie? Kto dał wam prawo?

Yuka wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem.

– Sądziliśmy, że to panu schlebi – wtrącił Dok-Dok. – Myśleliśmy...

Jemu także przerwałem.

– To absurd! Czy zamierzaliście zrobić z tego zwyczajnego mężczyzny stojącego tu przed wami...

– Ale wcale nie jesteś zwyczajny! – zaprotestowała Yuka. – Jesteś poetą, artystą. Masz silne instynkty. I mieliśmy dowody na to, że posiadasz dar miłości, właściwą energię do tego, aby generować głębokie uczucia czułości. Sądziliśmy, że twoja miłość będzie mogła zaludnić świat. To...

– Ochłoń, Yuka – przerwała jej Rouge i rzuciła koleżance z pracy miażdżące spojrzenie.

Twarz Yuki przybrała odcień różu.

– Twarde dowody? – spytałem.

– Finn – odezwała się Rouge – porozmawiajmy o tym dziś wieczorem, kiedy się uspokoisz. Tyle jest do opowiedzenia. Do wyjaśnienia.

– A dlaczego nie teraz? – Zwróciłem się znów do Dok-Doka: – Chcecie powiedzieć, że zamierzaliście zrobić ze zwyczajnego historyka jakiegoś bożka płodności z dwudziestego trzeciego wieku? Jakie mieliście dowody na to, że...

– Bożka płodności? – powtórzył dyrektor. – Nie mów głupstw, chłopcze. To nie jest voodoo.

– To bufonada, ot co! – krzyknąłem.

– Finn – rzekła Rouge – ale się udało! Nie minęły nawet trzy tygodnie od twojego powrotu, a Severin i Yolanda spodziewają się dziecka! Dowiedzieli się w piątek. Spędziłeś z nimi czas. Zaraziłeś ich.

– I twój przyjaciel także – dodał Dok-Dok. – Renko Hoogeveen i jego przyszła partnerka, Gee Dingding-Johnny.

– Gao Dongsheng-Johnson – poprawiłem go.

Renko i Gao będą mieli dziecko?

– A skoro już o tym mowa – powiedział profesor – możemy też dodać do tej listy Grossmannów. Pani Grossmann jest w ciąży. Wczoraj się dowiedzieliśmy.

– Ach, cudownie! – zawołała Yuka.

– Wierzymy, że nie jest to przypadek! – powiedziała do mnie Rouge. – Rozmawiałeś z profesorem Grossmannem tuż po przyjeździe i musiałeś przenieść swoje *Undulus amori*. Bardzo zaraziłeś. A on zaraził swoją żonę.

– Wobec tego zainteresuje was wiadomość – wtrącił Dok-Dok – że pani Sriwanichpoom też spodziewa się dziecka.

– Dobra robota! – pogratulował profesor.

– Widzisz? – rzuciła z satysfakcją Rouge. – Spotkałeś się z dyrektorem dzień po swoim powrocie.

– Niestety – dodał kwaśno Dok-Dok – nie zaszła w ciążę ze swoim mężem. – Zwrócił się do Finna: – Pański bakcyl miłości nie przeniknął do organizmu tego mężczyzny podczas naszego ostatniego spotkania.

– To nie jest zaskakujące – powiedziałem z lekką pogardą dla mojego przełożonego.

Dok-Dok spojrział znacząco na profesora.

– Ale wygląda na to, że twój bakcyl przeniknął do jej organizmu.

– Ups – rzekł profesor wyraźnie zażenowany. – To był przypadek, Rirkrit. Nic osobistego.

Pracowaliśmy do późna.

Przez chwilę, gdy tak w milczeniu kipiał ze złości w kącie, Dok-Dok wydawał się bez mała ludzki, a nawet godny pożałowania. Ale zaraz to minęło.

– Cokolwiek jest korzystne dla projektu – oznajmił – nie przeszkadza dyrektorowi Biblioteki Europejskiej.

– Powariowaliście! – wybuchnąłem. – Tu jest jak w domu opieki dla klonów! Ale powiedzmy, że to prawda. Ten historyk nie rozumie tylko, dlaczego wstrzymano ten projekt, skoro osiągnął taki sukces.

– Ach! – powiedział profesor, ciesząc się ze zmiany tematu. – To znakomite pytanie, panie Nordstrom! Doktor Shihomi, może pani ma najlepsze kwalifikacje, aby udzielić odpowiedzi?

– Oczywiście – rzekła i prawie bezgłośnie prychnęła do Rouge. Zrozumiałem, że te dwie kobiety rywalizują ze sobą. Yuka posłała mi uśmiech. – Właśnie się dowiedzieliśmy, choć nie ogłoszono jeszcze tego publicznie, że po eksperymentach na subkontynencie z tymczasowymi przeszczepami macicy zatwierdzono je do stosowania u mężczyzn. Skomplikowana kontrola równowagi hormonalnej między matką a dzieckiem, a w tym przypadku między ojcem a dzieckiem, zakończyła się powodzeniem. A co zdumiewające, udało nam się doprowadzić do dojrzałości płodu u mężczyzn bez niepożądanych ubocznych skutków hormonalnych ani innych u gospodarza. To spory przełom, który oznacza, że nasze szanse na zwiększenie populacji się podwoiły.

Profesor Grossmann odchrząknął.

– Tu, w Instytucie Olgi Żukowej, wciąż wierzymy, że naturalne poczęcie w biologicznej macicy matki prowadzi do narodzin najzdrowszych dzieci, jednak globalny rząd uznał, że fundusze powinny teraz zostać zainwestowane głównie w Projekt MM.

– MM? – zapytałem.

– Męska Matka. – Spojrział na mnie. – Krótko i węzłowato: właśnie dlatego odcięto nam fundusze na podróże w czasie. To oczywiście rozumiałe. Podróże w czasie są kosztowne, skomplikowane i czasochłonne. – Puścił do mnie oko. – Gra słów przypadkowa.

Może i był to ważny przełom naukowy, ale wciąż był jak cios w podbrzusze – gra słów zdecydowanie zamierzona. Co miałem zrobić? Byłem zrozpaczony i nadal nie rozumiałem, dlaczego wybrali właśnie mnie.

– Nie powiedzieliście mi, skąd macie twarde dowody świadczące o kwalifikacjach tego mężczyzny jako tak zwanego nosiciela waszego rzekomego bakcyła miłości.

Profesor Grossmann wstał. Przywołał na twarz życzliwy uśmiech.

– Panie Nordstrom, nasza koleżanka Rouge Moreau już z radością zaoferowała, że poda panu więcej szczegółów dziś wieczorem. Bardzo nam przykro z powodu cięć i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc panu uśmierzyć rozczarowanie. Niech pan nam zaufa. – Rozejrzył się po sali. – Możemy zakończyć to spotkanie?

Szansa na to, że dowiem się dziś od nich czegokolwiek więcej, była bliska zeru. Zwróciłem się do Rouge:

– Dzisiaj wieczorem?

Skinęła głową.

– Niech pan zaczeka – rzekł Dok-Dok. – Nie może pan tak po prostu wyjść.

Spojrzałem na niego.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ jest pan naszym głównym nosicielem *Undulus amori* – powiedział profesor – i chcielibyśmy znać miejsce pańskiego pobytu. Tylko element projektu polegający na podróży w czasie został anulowany, nie projekt jako taki.

– W rzeczy samej – dodał Dok-Dok, przejmując pałeczkę. – Zamierzamy kontynuować nasze badania z panem.

Naprawdę sądzili, że teraz będę z nimi pracował? Teraz, gdy odebrali mi szczęście?

– Rozchmurz się, chłopcze! – powiedział Dok-Dok. – Żyjesz na najlepszym ze wszystkich światów! Pomyśl tylko: teraz możesz się znów zakochać.

– Co za nedorzeczny pomysł! – zawołałem. – To tylko świadczy o tym, jak niewiele wiecie o miłości!

– Och, panie Nordstrom, ma pan głowę nabitą takimi głupstwami.

– A pańska, Dok-Dok, jest pełna bzdetów! – Ruszyłem do wyjścia.

– Dok-Dok? – usłyszałem jego oburzony głos. – Nazwał dyrektora Biblioteki Europejskiej Dok-Dokiem?

– Bzdety? – zapytał profesor Grossmann.

Otworzyłem drzwi.

– Synonim bzdur – wyjaśniła Rouge.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Spadająca gwiazda w siatce na motyle

Tylko gniew sprawiał, że się jeszcze nie rozsypałem. Trzymałem się go każdym nanogramem siły, jaka mi pozostała – przez całą drogę do Greifswaldu, a potem jeszcze trzydzieści pięć kilometrów dalej na północny zachód do Stralsund.

Spotkanie z naukowcem w sprawie tajnego projektu – zwłaszcza bez uprzedzenia pracodawcy – było poważnym naruszeniem protokołu. Ale w tej chwili, pomyślałem, protokół zasługiwał na poważne naruszenie. Poza tym wydawało mi się, że Biblioteka Europejska nie potrzebuje już moich usług. Biblioteka i Instytut Olgi Żukowej spiskowały, aby mnie oszukać, od początku mojego udziału w tym projekcie. Potrzebowałem teraz szczerzej odpowiedzi w sprawie tajemnicy otaczającej pamiętniki. Podejrzywałem, że to one stanowiły „twarde dowody”, o których mówiła Yuka Shihomi.

Miałem szczęście. Doktor Cornelius Beyer pracował przy wykopaliskach na wyspie Rügen, po drugiej stronie mostu łączącego ją ze Stralsund. Podczas gdy jego studenci pałętali się za naszymi plecami po ruinach domu i garażu z artefaktami datowanymi na lata 1935–1989, siedzieliśmy przy niewielkim drewnianym stoliku ze schłodzonymi spicerami. Doktor Beyer wydawał się drobniejszy, niż go zapamiętałem, i starszy – dobiegał już dziewięćdziesiątki – ale umysł miał bystry jak zawsze, a pamięć nadal iście słoniową, jak Elfint-100gz.

– Tak – powiedział archeolog – znaleźliśmy pamiętniki na dnie jeziora Bodden. Były zamknięte w czarnej skrzynce. Ścianki i uchwyt skrzynki wykonano z żywicy epoksydowej, a uszczelniono ją neoprenem. Była uwięziona pod wrakiem niewielkiego samolotu wojskowego: piątej generacji SL-0815 BabySpinoFighter. Ten Spino pewnie został zestrzelony w dwa tysiące pięćdziesiątym szóstym, podczas ataków Sojuszu Skandynawskiego na niemieckie wybrzeże Bałtyku. Jednak... – Zaciśnął powieki, starając się sobie przypomnieć. – Tak. Określiliśmy moment zatopienia skrzynki w zatoce mniej więcej na dwa tysiące osiemnasty, na podstawie badania warstw osadów, które powstały na znalezisku. Widać było, że umieszczono ją tam celowo.

– Celowo?

– Tak. Była obciążona ciężkimi blokami z nierdzewnej stali. Każdy blok ważył około pięciu kilogramów i przylutowano je do pokrywy skrzynki: po jednym bloku w każdym rogu, a następnie wszystko umieszczono w specjalnie dorobionej piankowej wyściółce. Dzięki temu pamiętniki przetrwały. – Spojrzał na mnie. – Trudne zadanie te pamiętniki, co?

– Tak, bardzo. Ale chyba nie tak trudne jak zbudowanie takiej skrzynki – powiedziałem z uśmiechem.

Skinął głową.

– Tak. Starannie to przemyślano. Czy pamiętniki były warte zachodu?

– Zdecydowanie. – Bardziej niż ten archeolog kiedykolwiek się dowie.

– Czy ona przeżyła Mroczną Zimę?

– Nie wiemy. Jeszcze.

– Znalazł pan imię?

– Tak. Eliana. Eliana Lorenz. – Głos mi się załamał.

Archeolog przez chwilę przyglądał mi się uważnie, jakby właśnie wykopał jakieś szczególnie kłopotliwe znalezisko.

Poczułem gorący rumieniec na twarzy. Odchrząknąłem.

– Studiowała architekturę – dodałem pozornie lekkim tonem, popijając spicer.

– Te wszystkie serduszka i uśmiechnięte buźki – rzekł Cornelius Beyer, postanowiwszy zignorować mój pokaz emocji. – Te wszystkie głupotki. Kto by pomyślał, że zostanie architektem? A więc wybrali pana, aby to pan odszyfrował i przetłumaczył pamiętnik? Dobry wybór. Był pan bystrym gościem. Wciąż pan jest... mam nadzieję?

Wzruszyłem ramionami.

– Nadal taki skromny?

Ponownie wzruszyłem ramionami.

Złożył palce dłoni w piramidkę przed sobą i patrzył na mnie, czekając na następne pytanie.

– Pamięta pan, ile było pamiętników? – zapytałem.

– Osiem.

A więc ten pamiętnik, nad którym pracowałem, był faktycznie jej ostatnim. Prawdopodobnie ostatnim cieniem dowodu jej istnienia.

– Zaczynały się w dniu jej trzynastych urodzin – powiedział archeolog – a kończyły na początku września dwa tysiące jedenastego roku. Czy ten bęcwał Sriwanichpoom przekazuje panu te notatniki po jednym? Dlatego pan pyta?

– Cóż...

– Trzyma się zasad jak rzep psiego ogona – przerwał mi. – Jest genialny, ale za sztywny. W przypadku pewnych projektów należy nagiąć zasady. Czy ten archeolog ma zamienić z nim słowo?

– Nie, nie, oczywiście, że nie. I tak już prawie skończyliśmy tłumaczenie. Ten historyk tylko się zastanawiał, czy będą jeszcze następne.

– Czy to wszystko w takim razie? – zapytał Beyer, wstając, gotowy wrócić do swojej pracy.

– Jeszcze tylko ostatnie pytanie. Czy kiedykolwiek czytał pan te pamiętniki? – rzuciłem tak nonszalancko, jak tylko zdołałem.

– Nie. Ten archeolog przejrzał je pobieżnie oczywiście, przeczytał jakieś fragmenty tu i tam, zobaczył, że ktoś, kto specjalizuje się w przełomie tysiącleci, byłby bardziej odpowiednią osobą do ich tłumaczenia, i przekazał je szybko do Greifswaldu.

Nie miałem powodu, by mu nie wierzyć. Co teraz?

Towarzyszył mi do ścieżki, która prowadziła do głównej drogi.

– Ale dlaczego tyle czasu zajęło im znalezienie tłumacza? – zapytał. – Po co ta zwłoka?

– Zwłoka?

– Odkryliśmy te pamiętniki sześć lat temu.

– Sześć lat temu?

Mój żołądek zrobił salto do tyłu. Gdyby doktor Beyer mnie nie podtrzymał, mógłbym zanurkować w wykopanym dole i wylądowałbym na prawie kompletnej karoserii trabanta, którego właśnie znaleźli.

– Tak – potwierdził profesor. – Znaleźliśmy te pamiętniki w lecie dwa tysiące pięćdziesiątego dziewiątego. Siedemnastego sierpnia. Mówił pan, że kiedy zaczął tłumaczenie?



Pięć lat! Biblioteka Europejska miała te pamiętniki przez pięć lat, zanim poprosili mnie, abym przejął projekt. W tym czasie ktoś musiał je odczytać i przetłumaczyć. Kto? I kto czytał tłumaczenie? Na pewno Dok-Dok. Może profesor Grossmann? Może nawet Rouge. I dlaczego trzymali to w tajemnicy przede mną? Im więcej o tym myślałem, tym wyraźniej to widziałem: zawsze byłem częścią ich planu. Może nawet Biblioteka Europejska zatrudniła mnie cztery lata temu, mając na uwadze ten plan. Ale na czym on polegał? Czy chodziło tylko o sprowadzenie ze mną tego tak zwanego bakcyła miłości, a może o coś więcej? Ta druga możliwość wydawała się o wiele bardziej prawdopodobna. Wirus miłości był jakiś nieprzekonujący. Może był tylko ubocznym produktem misji, ale coś mi podpowiadało, że szło o większą stawkę. Tylko co nią było?

Nad tymi i innymi pytaniami zastanawiałem się w drodze powrotnej do Berlina w wahadłowcu, kiedy na ekranie mózgołącza pojawiła się migająca ikona wiadomości. To byli Renko i Gao. Całkiem o nich zapomniałem. Podłączyłem się do kamery dźwiękoszczelnej w kabinie.

– Cześć, cześć! – rozkrzyczeli się.

Wyglądali na bardzo szczęśliwych.

– Finnkins! Ale mamy dla ciebie wiadomość! – zawołała Gao.

– Będziemy mieli dziecko! – ryknął Renko. – To chłopiec!

Pogratulowałem im i oczywiście nie dałem poznać, że już wcześniej wiedziałem. Gao przesłała mi buziaka.

– Muszę iść, Finnkins. Dzin nie może czekać. Uczcijmy to jutro!

– Zgoda – powiedziałem.

– Nie uwierzysz – dodał Renko, kiedy Gao wyszła. – Jesteśmy zakochani! – Puścił do mnie oko. –

To niewiarygodne, ale prawdziwe, że zacytuję dobrego przyjaciela.

– Zakochani! – To była zdumiewająca wiadomość.

Może jednak coś było w tym wirusie.

– Ten przyjaciel... Ten przyjaciel nie mógł zapomnieć tego, co powiedziałaś o miłości. A im więcej... im więcej o tym myślał, tym bardziej do niego docierało, że Gao jest tą jedyną. A kiedy... kiedy to przemyślał, łatwo było mu już wejść w tryb miłości i naprawdę to poczuć.

– A więc... jakie to uczucie, ten tryb miłości? W środku? – droczyłem się z nim łagodnie. – Że zacytuję dobrego przyjaciela.

Renko zamknął oczy, wyraźnie starając się skupić, a potem z wielką czułością powiedział:

– Wyobrażać sobie życie bez niej to jakby wyobrażać sobie życie, którego się nie przeżyło.

Prawie się rozplakałem.

– Trafnie to ująłeś, Renko. Trafnie. „Wyobrażać sobie życie bez niej to jakby wyobrażać sobie życie, którego się nie przeżyło”.

Uśmiechnął się promiennie.

– Dzięki, stary. Ale niestety, twój oddany przyjaciel sam tego nie wymyślił. To z jakiejś książki.

A może z celuloиду. Nie pamiętam dokładnie. – Przekrzywił głowę na prawo w tym swoim dziwnym stylu, przeszukując mózgołęczę. Wzruszył ramionami. – Nie mogę znaleźć. A ty? Brzmi znajomo?

– Raczej nie. – Ale wiedziałem, że to uczucie było osadzone głęboko w moim sercu.



– Gdybyśmy ci wyjaśnili, że „słuchaj głosu swojego serca” oznacza „zakochaj się”, co byś zrobił? – zapytała Rouge.

Nie odpowiedziałem. Kipiałem ze złości.

– Powiedziałbyś: „Nie, dzięki”.

Przedzieraliśmy się przez ogród angielski, zmierzając nie wiadomo dokąd. Spotkaliśmy się w Rubiku, ale tamto miejsce za bardzo mnie ograniczało. Potrzebowałem powietrza, ruchu, przestrzeni.

Był łagodny wieczór, dzień przed letnim przesileniem. Chociaż dochodziła dziesiąta, niebo wciąż było jasne. Różowe chmury przypominały mi watę cukrową, którą ja i Mannu jedliśmy kiedyś na spółkę na zabawie karnawałowej u Leśnych. Ale wspomnienie rozplynęło się niemal tak szybko jak tamten różowy puch w naszych ustach.

– Poza tym – ciągnęła Rouge – byliśmy świadomi, że miłość to wyjątkowo kruche zjawisko. Gdybyśmy coś powiedzieli, mógłbyś się poczuć nieswojo i wszystkie nasze plany mogłyby runąć. Tak wiele zależało od tego, czy się powiodą.

– Co od tego zależało? Twój doktorat?

To była wredna uwaga. Ale zasłużyła na nią i wiedziała o tym. Wcześniej potwierdziła, że znała treść pamiętników, jeszcze zanim ja ją poznałem. Celowo mnie oszukała! Jak wszyscy!

– Finn, wierzyliśmy, że przetrwanie Europy zależy od powodzenia projektu.

– Finn Nordstrom, zbawiciel Europy? Co za nonsens!

Przed sobą ujrzałem otoczoną morzem kwitnących lilii altanę muzeum: dwudziestowieczną półkopułę z kutego żelaza, którą wszyscy nazywali Żelazną Klatką dla Ptaków. W środku nikogo nie było. Wbiegłem po schodkach, po dwa naraz, i padłem na ławkę. Rouge usiadła obok mnie.

Potrząsnąłem głową.

– To wszystko nie ma sensu! Każdy, kto czytał ten pamiętnik, wiedział, że Eliana poznała kogoś o nazwisku Finn Nordstrom i się w nim zakochała. Mielicie „twarde dowody”. Wiedzieliście, że to się wydarzy. Dlaczego więc martwiliście się, że plany runą?

– Multiwszechświat jest bardzo wrażliwy. Jeszcze nie wszystko rozumiemy. Niepokoiłoby się, że możesz się nie zakochać i odgałęzimy się w alternatywną Ziemię. Poza tym nigdzie w pamiętniku Eliany nie było napisane: „Finn powiedział mi dzisiaj, że mnie kocha”.

– Właściwie kto przetłumaczył dla was te pamiętniki?

Rouge wzruszyła ramionami.

– Ta badaczka nie wie. Ale nawet jeśli gdzieś w pamiętniku byłoby napisane, że powiedziałeś, że ją kochasz, kto mógłby stwierdzić, że Eliana właściwie odczytała sytuację? Musieliśmy cię obserwować.

– „Musieliśmy cię obserwować” – przedrzeźniłem ją. – Obiekt laboratoryjny A: zakochany facet. –

Wstałem i zacząłem chodzić po altanie w tę i z powrotem. – Prawie dostaliście obiekt laboratoryjny B: martwy zakochany facet. Dlaczego, do cholery, wysłano nas do dwa tysiące dziewiątego, jeśli z pamiętnika wyraźnie wynikało, że nawet tam nie dotarliśmy?

– Profesor miał nadzieję, że wylądujemy w wyjątkowo cudownym alternatywnym Berlinie, i bardzo chciał dostać relację. Jest wyjątkowo ambitny, chociaż zwykle dobrze to ukrywa. A poza tym wiedzieliśmy, że wyjdiesz z tego żywy, bo Eliana pisała o twojej wizycie w sierpniu dwa tysiące jedenastego.

– Ten odwiedzający w dwa tysiące jedenastym mógł być klonem Finna Nordstroma. Memoklonem – zaryzykowałem.

Zrobiła zbolałą minę.

– Wystarczająco trudno jest skłonić normalnego człowieka, żeby się zakochał, po co mielibyśmy używać memoklona? Możesz przestać chodzić?

Jej prośba tak mnie zaskoczyła, że się zatrzymałem.

– Poza tym – powiedziała – nigdy nie zrobilibyśmy twojego memoklona. – Wytrzymała przez chwilę mój wzrok i uśmiechnęła się do mnie sucho. – Przynajmniej dopóki nie pozbylibyśmy się wszystkich skaz. Jeśli kiedyś uda się to osiągnąć, przyda nam się armia Finnów Nordstromów.

Zarumieniała się. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej to u niej widział. Czy grała na moim współczuciu? Stwierdziłem, że tak. Znow zacząłem chodzić, a woń lilii krążyła wokół mnie.

Rouge westchnęła.

– Jeszcze raz: myśleli, że wylądujemy na lepszej Ziemi. Ale tak się nie stało. To był błąd. Wielki błąd. Uczymy się z każdą wyprawą.

– A ten podróżnik w czasie po każdej wyprawie dostaje nowy zestaw żeber. Nie żeby jeszcze kiedyś miał podróżować w czasie.

Powstrzymałem tę myśl przez całe popołudnie i wieczór, ale gdy wypowiadałem to ostatnie zdanie, beznadziejność mojego położenia przeszła mnie i napełniła taką rozpaczą, że nie mogłem nabrać powietrza, jakbym tonął.

Zdawało mi się, że Rouge naprawdę mi współczuła. Byłem zdezorientowany. Czy była moją przyjaciółką? Czy wrogiem? Czy byłem dla niej za ostry? Patrzyłem, jak nerwowo przeczesuje palcami sprężyste rude loki.

– Finn, nie wiedzieliśmy, że ostatnia podróż zostanie odwołana. Chcieliśmy rozwiązania. Chcieliśmy, żebyś tam wrócił.

– Dlaczego więc nie możemy wrócić? – zapytałem podniesionym głosem. Przechodnie przystanęli na chwilę, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Usiadłem obok Rouge i odeszli. Nic nie miało sensu. – Rouge, bądź ze mną szczerą. Czy naprawdę chodziło tylko o wirus? – zapytałem, tym razem łagodniej, prawie błagalnie.

Planowanie zajęło ponad pięć lat. Wydaje się to zbyt zawiłe, zbyt przebiegłe, aby chodziło tylko o pracę doktorską na temat wirusa miłości na konkurs uniwersytecki. Czy chodziło o coś jeszcze?

Rouge długo milczała.

– Finn – odezwała się w końcu ostrożnie, jakby ważyła każdą sylabę, zanim ją wypowiedziała – nasz wszechświat zawiera nieskończoną liczbę zagadek. Na niektóre otrzymuje się odpowiedź za

życia, na inne nie. Ta badaczka nie może nic więcej powiedzieć.

Sfrustrowany wstałem znowu i spojrzałem na ciemniejące niebo. Przywarłem palcami do ozdobnej żelaznej klatki, która nas otaczała. Chodziło nie tylko o wirus miłości, ale jakie to miało znaczenie? Pragnąłem jedynie wrócić do Eliany. Mój umysł uczeplił się słów Rouge: „Chcieliśmy rozwiązania. Chcieliśmy, żebyś tam wrócił”. Jeśli potrzebne jest rozwiązanie, Rouge, przekonaj ich, żeby wysłali nas z powrotem w ostatnią podróż.

Czy istniała jeszcze szansa, żebym mógł wrócić i się pożegnać, a może nawet – bałem się sformułować tę myśl – zostać w czasach Eliany?

Rouge wstała i podeszła do mnie.

– Finn, ta badaczka wie, o czym myślisz. Nie ty pierwszy... – Odwróciła wzrok.

– Co?

Nie odpowiedziała. Usiadłem.

– Co takiego, Rouge?

Milczała.

Mijały sekundy. Słyszałem świst przejeżdżających rowerów i bulgotanie wody w trypoziomowej fontannie naprzeciwko nas.

– To byłoby szaleństwo, Finn – powiedziała cicho. – Szaleństwem byłoby tam zostać.

A więc wiedziała.

– Potrzebujemy cię tutaj – rzekła.

– Wcale nie! Po co? Żebym „rozprzestrzenił miłość”? Yolanda i Severin, i Renko mogą to teraz dla was robić. I profesor Grossmann. Wygląda na to, że ma w tym kierunku szczególny talent.

– Nie miałbyś swobody podróżowania. Strasznie byś cierpiał przez zmęczenie po podróży w czasie. Poza tym nie jesteś taki jak oni. Myślisz, że się zakochałeś, ale...

– Myślisz? To ogromna zniewaga.

Szukała słów.

– Teraz jest dobrze, kiedy wszystko jest wciąż nowe i świeże, ale... pomyśl o... krzykach. Płaczu. Nie jesteś na to gotowy. Trzaskaniu drzwiami. Tych wszystkich...

– Drzwiach, które się otwierają! – przerwałem jej. – A poza tym co ty wiesz o miłości?

Nasze oczy na moment się spotkały.

– Finn, za siedem lat świat, który byś poznał, zniknie. Umarłbyś straszną śmiercią.

– Wiesz to? – zapytałem zszokowany.

– Nie, nie. – Gwałtownie potrząsnęła głową. – Oczywiście, że nie. Absolutnie.

– No więc? Możemy przeżyć! Życie w dwudziestym pierwszym wieku trwało dalej. Ziemia nie przestała się kręcić. Wyprodukowano transfokatory lunarne, badano przestrzeń kosmiczną, człowiek odtwarzał się, część ciała po części ciała. – Zabrzmiało to cynicznie. Ale niekoniecznie. – Eliana, jej rodzina, jej przyjaciele zamieszkiwali tamten świat. Byli dobrymi ludźmi. Niektórzy ludzie przeżyli, Rouge. Dobrze im się wiodło. Budowali domy, łączyli się w pary, rodziły się im dzieci, które wyrastały na życzliwych, porządnym ludzi i sprowadzały na świat kolejnych życzliwych, porządnym ludzi. Mroczna Zima nie była wyłącznie mroczna.

Wykręcała sobie palce. Nigdy nie widziałem jej tak zrozpaczonej.

– Ale możesz nawet tam nie dotrzeć! W tym rzecz. Nie mamy sposobu, żeby się tego dowiedzieć. Nie posiadamy żadnych dowodów.

– Co masz na myśli?

– Pamiętniki się urywają, więc nie wiemy, czy docierasz na miejsce, czy nie. Szukaliśmy. Nie możemy cię znaleźć. Ani jej. Wysłanie cię tam z powrotem jest zbyt niebezpieczne. Portal do ósmego września dwa tysiące jedenastego jest pełen zakłóceń atmosferycznych. Te zakłócenia są bardzo nieuchwytnie. Dawniej był to mniejszy problem, ponieważ mieliśmy dotacje i mogliśmy odszukać zaginionych podróżników w czasie. Ale bez pieniędzy jeśli gdzieś utkniemy, nikt po nas nie przyjdzie. Nigdy nie wrócimy do domu.

– A co, jeśli ten mężczyzna wcale nie chce wrócić do domu?

Poderwała się i kucnęła naprzeciwko mnie.

– Finn, nie słuchasz uważnie. Możesz nie trafić tam, gdzie chcesz. Multiwszechświat jest pełen zagadek. I pełen dziwnych światów. Niektóre z nich, a właściwie większość, są nieprzewidywalne.

W końcu do mnie dotarło. Moja sytuacja była beznadziejna.

– Co robić? – zawodziłem jak ranne zwierzę.

Jak te umierające bestie z celuloidów, które Renko i ja tak lubiliśmy. King Kong. Godzilla. Potwór z Czarnej Laguny. Słyszałem szum w uszach. A mój kark był mokry od potu. Zapach lilii nagle stał się tak mdlący, że pomyślałem, że stracę przytomność.

Znowu zacząłem chodzić. Czy nie istniały żadne dowody na to, że udało mi się wrócić do Eliany? Robert przepłynął ocean z onyksową szkatułką. Dlaczego zabrał ją ze sobą? I dlaczego schował w sekretnej szufladzie? Co w niej było tak cennego? Pióro było piórem. Ale pierścionek? Czy był to tylko zwykły pierścionek? Co w nim było? Trzmiel. Czy coś było w trzmielu?

Musiałem przeoczyć jakiś szczegół, o czymś zapomnieć. Tylko o czym? Co jeszcze wiedziałem? Chodziłem po altanie, próbując zmusić swoją pamięć, aby coś odnalazła. O czym nie pamiętałem? Może coś w pamiętniku Eliany. Coś, co napisała? Coś...

Tak.

Lucia.

Eliana powiedziała, że gdyby miała córkę, nazwałaby ją Lucia, wspominając tajemniczą kobietę, która w 2009 roku znalazła ją i powiedziała jej, żeby na mnie zaczekała. Eliana nie miała pojęcia, kim była nieznajoma, ale czuła, że łączy je więź. Miałem powód, aby sądzić, że kobieta przybyła z mojego świata. A jeśli...

Wyjątkowa myśl zaczęła nabierać kształtu. Patrzyłem, jak rośnie i frunie nade mną, zawisa w powietrzu jak koliber, jakby stała w miejscu, tak gorączkowo machając skrzydełkami, że były praktycznie niewidoczne. Potem poczułem, jak siada na moim ramieniu i ćwierka mi do ucha.

Lucia.

Tak! Lucia była naszym dzieckiem.

Lu-ci-a. W tych trzech sylabach usłyszałem dźwięk odsuwającego się rygła śmierci. Odpadały kolejne głązy i drzwi się otworzyły. Znalazł się klucz.

Lucia urzeczywistniła naszą miłość. Nasza miłość miała uczynić Lucię rzeczywistą.

Ale jeśli była naszą córką, to jak się znalazła w moim świecie?

Zardzewiałe tryby w mojej głowie zaczęły się obracać.

Czy zastosowałem się do sugestii Roberta w 2018 roku? Czy umieściłem genom Lucii w mikroczipie, który włożyłem do sztucznego trzmiela, aby podróżował w czasie, przez stulecia, w onyksowej szkatułce? Może. Być może był w nim również genom Eliany. Co dobrego by z tego wynikło i po co miałbym to robić – a raczej po co to zrobiłem – tego jeszcze nie byłem pewien. Ale miało to sens, a co najważniejsze, oznaczałoby, że byłem w roku 2018. To był dowód, którego potrzebowałem. Kto jak nie ja wiedziałby, że ten pierścionek trzeba ocalić, włożyć do onyksowej szkatułki i ukryć w szufladzie orzechowego stołu? To pewnie ja powiedziałem Robertowi, aby zabrał ze sobą te przedmioty na drugi brzeg oceanu. Ja sprawiłem, że w jego głowie zakiełkował pomysł, aby zbudować orzechowy stół z sekretną szufladą. I to ja umieściłem pamiętniki Eliany w skrzynce.

Przynajmniej w to chciałem wierzyć, bo oznaczałoby to, że wróciłem. I zostałem. To był dowód. Musiałem w to wierzyć.

– Finn?

Zorientowałem się, że siedzę na schodkach altany. Nie wiem, jak się tam znalazłem. Rouge była obok mnie.

– Tak?

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Skinąłem głową oszołomiony.

– Myślałeś właśnie o czymś? O czymś, czego możesz się trzymać?

Powinienem jej powiedzieć?

Potrząsnąłem głową.

– Nie – odparłem, odwracając wzrok. – O niczym.

Zapach lilii owionął nas, teraz słodki i pieprzny. Zapadła ciemność i pojawiły się gwiazdy. Noc była cudowna.

– Rouge – zapytałem cicho – jak myślisz, jaka jest szansa na znalezienie idealnego partnera? Tej jednej osoby, którą pokochasz i która pokocha ciebie?

– Chciałbyś usłyszeć ścisłą matematyczną odpowiedź?

Uśmiechnąłem się – była taka przewidywalna.

– Przybliżona wystarczy.

– Szanse są dość nikle. Bliskie zeru. Zwłaszcza tutaj. Ale tam, w przeszłości, też.

– Tak. To niemożliwe, prawda? – Patrzyłem na wielkie czarne niebo. – Jakby próbować złapać spadającą gwiazdę siatką na motyle.

Siedzieliśmy tam przez kilka chwil, w ogrodzie angielskim Muzeum Kultury Europejskiej, słuchając bulgotania fontanny, otulając się wonią lilii, obserwując taniec gwiazd.

– Jedna na dwieście osiemdziesiąt pięć tysięcy – oznajmiła Rouge.

– Hm? – Zaskoczyła mnie.

– Masz jedną szansę na dwieście osiemdziesiąt pięć tysięcy, aby znaleźć tę jedną osobę, która będzie dla ciebie całym światem i która uzna, że ty jesteś całym światem dla niej. Ale tutaj prawdopodobieństwo jest o wiele mniejsze.

Patrzyłem na nią i ujrzałem, że jej oczy są pełne łez. Jej usta drżały. Zwilżyła je językiem.

– Rouge?

Oddychała ciężko.

Wzięłam ją za rękę.

– O co chodzi?

Czegoś nie chciała mi powiedzieć.

– Rouge?

– Ta przyjaciółka nie może patrzeć, jak odjeżdżasz! – zaszlochała.

Ukryła twarz w dłoniach, nadal splecionych. Trzymała je tak mocno, że kostki zrobiły się białe.

– Kocham cię – powiedziała, jakby sama z trudem mogła w to uwierzyć. – Zawsze cię kochałam, nie wiem, jak to się stało. Ale tak jest. Teraz wiesz. I na tym się kończy.

Nie wiedziałem, czy bardziej zdumiało mnie jej wyznanie, czy to, że użyła pierwszej osoby liczby pojedynczej, ale byłem kompletnie zaskoczony.

– Zawsze? Ale... jak? Jak mogłaś...?

– Proszę! Nigdy więcej o tym nie mówmy. Obiecujesz? – Spojrzała na mnie hardo.

Byłem zdezorientowany. Ale skinąłem głową.

Siedzieliśmy tak długo, jej dłoń w mojej dłoni, patrząc na gwiazdy. W końcu usłyszałem, jak głęboko zaczerpnęła powietrza. Usiadła, wyprostowała plecy i z odważnym uśmiechem powiedziała do mnie:

– Okej. Zobaczymy, co da się zrobić. Czekać na znak.

Niebo jakby pochyliło się i przytuliło mnie. Poczułem ucisk w gardle.

– Dziękuję, Rouge. Jesteś dobrą przyjaciółką.

– Dobrą przyjaciółką? – Wstała. – Bzdury – powiedziała i odeszła w ciemność, ani razu nie obejrzawszy się za siebie.



Wtedy po raz ostatni widziałem Rouge.

Następnego ranka wysłała krótką wiadomość, że powinienem powiadomić swoich kolegów z Biblioteki Europejskiej, gdzie będę kończył ostatni pamiętnik. Nawet nie przyszło jej do głowy, że być może teraz nie będę chciał skończyć tłumaczenia dla biblioteki. Poprosiła mnie, żebym się nie wychylał i w żadnym razie nie rozmawiał z nikim o moich planach. Operacja mogła się powieść lub nie, ale i tak należało utrzymać ją w tajemnicy.

Dwa dni później byłem w Ameryce Północnej. Wyszedłem ze swojego pokoju w Rubiku dokładnie tak, jak stałem, wzięłam tylko skrzynkę z przyborami mojej matki, transfokatory lunarne Mannu, misia Lulu, raketę ojca do slapbacka i onyksową szkatułkę. Zabrałem je z powrotem na Fire Island, gdzie było ich miejsce. Wierne repliki pamiętników Eliany, moje ćwiczenia do nauki pisania i flakon Nieskończoności znalazły swoje miejsce w regale w pokoju na poddaszu domu Nordstromów. Ta odręcznie napisana książka, czarne wieczne pióro w platynowe gwiazdki i fiołka z perfumami udały się ze mną do kolonii Leśnych w Sternwood Forest, gdzie miałem nadzieję dokończyć pracę nad tą książką bez zakłóceń.

Raoul Aaronson zaprosił mnie, abym zamieszkał w studiu jego zmarłej żony, niewielkim

drewnianym budynku stojącym za jego domem. Carmine zmarła prawie trzy lata wcześniej, lecz jej papierowa sztuka wciąż była wszędzie: rozkładane trójwymiarowe książki, ryciny i szkice. Codziennie siadałem przy jej biurku i kończyłem odczytywanie ósmego pamiętnika Eliany, nie dla Dok-Doka, lecz dla siebie, a potem zająłem się tą książką, używając pióra, które Eliana podarowała mi ponad dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej. Opisywałem swoją historię litera po literze, słowo po słowie, zdanie po zdaniu, dość porządnym pismem, jeśli sam mogę to ocenić.

Każdego wieczoru przed położeniem się do łóżka otwierałem fiolkę z Nieskończonością, skrapiałem poduszkę i wdychałem zapach Eliany, mojego słońca, mojego światła, mojej miłości. Czy znajdę do niej drogę? Czy Rouge będzie w stanie nam pomóc?

Był lipiec i kanadyjskie lasy pełne były wspomnień o Mannu i moim ojcu i o naszych corocznych wycieczkach do kolonii. Czasem, gdy Raoul pracował, zabierałem małego Colina na spacer. Jednego dnia gotowaliśmy polentę, innego narzucaliśmy stare peleryny niewidki i bawiliśmy się w chowanego, a któregoś popołudnia pokazałem mu, jak puszczać kaczki na stawie za domem.

Pewnego chłodnego deszczowego poranka, w trzecim tygodniu lipca, odwiedzili mnie Raoul z Colinem.

– Te strony, o które prosiłeś, są gotowe – powiedział Raoul, pokazując teczkę. – Rozszyfrowane i przetłumaczone. Przesłałem je do tego twojego mózgołacza. Po wyjeździe z kolonii je dostaniesz. Chcesz wydruk?

„Te strony” to były wpisy w pamiętniku Eliany z czasu mojej ostatniej wizyty i po niej. Moje palce tak bardzo pragnęły chwycić teczkę. Ale odwróciłem się. Uczucie, że nadużywam jej zaufania, było zbyt silne.

– Nie, dzięki – odparłem. – Będą bezpieczne w skrzynce odbiorczej. Ktoś ma ochotę na koktajl z owoców leśnych?

– Ja! Ja! – zawołał Colin, po czym zapytał, czy może się pobawić moim piórem.

Potrafił już napisać swoje imię i godzinami mógł siedzieć i rysować linie i litery. Wyciągnął się na podłodze i zaczął gryzmolić.

– Ostre teksty tam są – powiedział Raoul, postukując w teczkę.

– Ostre? – zapytałem, mieszając różowy koktajl Colina.

– Gorące. Naprawdę gorące – dodał ciszej. – Przyznaję, że niektóre fragmenty nieźle mnie nakręciły.

– Naprawdę?

– Może nie powinienem ci mówić o takich rzeczach.

– Dlaczego nie?

– Cóż, to chyba jasne, że was, Mieszczuchów, to nie interesuje. To znaczy robicie to oczywiście, kiedy znajdziecie czas, ale chyba bardziej z obowiązku. Zgadza się?

– Nie jesteśmy robotami, Raoul.

Poczerwieniał.

– Wybacz. Nie chciałem powiedzieć nic złego.

Zająłem się koktajlem Colina, ale przez cały czas czułem na sobie wzrok Raoula.

Kiedy przyniosłem Colinowi napój, zobaczyłem, że całą stronę zapisał swoim imieniem: dużymi,

grubymi literami. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się z takim zadowoleniem, że schyliłem się i uściskałem go. Przytulił się do mnie.

– Ładnie pachniesz – powiedział.

Może to przez Nieskończoność z mojej poduszki.

– Jak to pachnie? – zapytałem.

Wetknął nos w moją szyję i powąchał.

– Jakbym mógł cię przytulać już zawsze.

Raoul i ja wybuchnęliśmy śmiechem.

Słońce wyjrzało zza chmury i promienie padły na buzię Colina. Jego oczy jakby rozbłyły i ze zdumieniem zobaczyłem, że przybrały żywy odcień turkus. Turkusowe oczy. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem. Przypominały mi...

– Hej! – powiedział Raoul. – A ja nie dostanę koktajlu?

Wróciłem do blatu, żeby zrobić dla nas napój. Kiedy odwróciłem się z dwiema szklankami, zorientowałem się, że Raoul znów mi się przygląda.

– O co chodzi? – zapytałem. – Coś ci chodzi po głowie.

– Nic. – Długo pił ze szklanki. Koktajl zostawił na jego opalanej skórze szerokie czerwone wąsy, które zlizął. Pochwycił mój wzrok i postukał w teczkę. – Jesteś pewien, że nie chcesz tego przeczytać? To naprawdę ciekawe. – Otworzył teczkę. – Dziewczyna się zakochała. Do szaleństwa. I wygląda na to, że szczęśliwie. Opisuje tego gościa, Swena. – Spojrzał na mnie. – Przypomina mi ciebie.

Przełknąłem ślinę.

– Ach tak?

– Opisuje jego wygląd. Włosy, skórę, bicepsy, jego... No cóż, nie tylko to, jak wygląda. – Jego wzrok skupił się na zaroście na moim podbródku, tym pojedynczym długim włosku. – Chodzi też o to, jaki on jest. O jego aurę i to, co mówi. Jak to mówi.

– Hm – mruknąłem niezobowiązująco.

– Pisze miłe rzeczy. I jest dobra. Napisała coś, co przypomniało mi Carmine i to, co do niej czułem.

– Co takiego?

Kartkował strony.

– Tylko jedno zdanie, dobrze? Mogę ci przeczytać jedno zdanie?

– Dawaj.

– Pisze tak, i dokładnie to czułem do Carmine. – Znów spojrzał na mnie. – Dobra, mam. Pisze: „Wyobrażać sobie życie bez niego to jakby wyobrażać sobie życie, którego się nie przeżyło”. – Podniósł wzrok. – Ładne, co?



Raoul i Colin pomogli mi posprzątać bałagan, który zrobiłem: rozlany koktajl i potłuczone szkło na podłodze. Sam byłem jednak dość bezużyteczny, nie tylko dlatego, że nigdy w życiu nie sprzątałem rozlanego napoju, ale też dlatego, że trzęsły mi się ręce.

Renko! Mój najlepszy przyjaciel! To on przetłumaczył pamiętniki! Zaczerpnął to zdanie o miłości

od Gao z tłumaczenia, które skończył pewnie pięć lat temu.

Dlaczego Renko ukrywał przede mną swoją pracę nad pamiętnikiem? Czy mnie zdradził? A może chciał przed czymś chronić? Jaką rolę odegrał w tym całym planie? I na czym polegał plan? Pewnie nigdy się tego nie dowiem, ponieważ nie było czasu, aby z nim o tym porozmawiać. Zaledwie kilka minut po tym, jak to odkryłem, odezwał się dzwonek telefonu. Raoul sięgnął do kieszeni i wyciągnął komórkę. To była Rouge.

Dziwnie mi się rozmawiało z Rouge przez telefon komórkowy w roku 2265. Stałem pod wierzbą niedaleko stawu. Jej głos ciągle się urywał – co doprowadzało mnie do szału – i musiała powtarzać co trzecie zdanie. Ale zrozumiałem, że muszę być w Berlinie, w instytucie, następnego popołudnia, dwudziestego drugiego lipca. Rouge tam nie będzie. Doktor Yuka Shihomi przeprowadzi ostatnie przygotowania do podróży i zgranie wspomnień.

– Na wszelki wypadek – powiedziała Rouge.

– Na wypadek czego?

– Gdyby wehikuł czasu zwariował i odrzuciło cię do nas z powrotem z połamanymi wszystkimi kośćmi w twoim głupim ciele. Yuka nigdy wcześniej tego nie robiła.

– Co takiego? – zawołałem zszokowany. – Poważnie?

– Och, Finn. To był żart. Rozchmurz się.

Musiałem przyznać, że Rouge Marie Moreau stawiała się całkiem interesującym kwarkiem. Nawet mi matkowała, ponaglając, niczym zręczą matką, żebym wziął tabletki na zmęczenie po podróży w czasie i sprawdził, czy mogą mi je zrobić na zamówienie, kiedy wyląduję. Przypomniała mi, że wakacyjna kwatery tuż za rogiem od mieszkania Lorenzów – jeśli wyląduję na miejscu oczywiście – była opłacona do 30 września 2011. Znajdę tam ubrania, przybory toaletowe i zestaw startowy z laptopem, kontem na Facebooku, adresem e-mail, informacjami dotyczącymi konta bankowego i najnowocześniejszą elektryczną szczoteczką do zębów. W plecaku miałem tabletki na zmęczenie po podróży w czasie, amerykański paszport do przedłużenia w roku 2017, gotówkę w euro, złotą kartę American Express, smartfon i gumę balonową.

– Zastanawiałeś się już, jak jej wyjaśnisz, dlaczego nie napisałeś do niej mejla ani nie zadzwoniłeś między siódmym sierpnia a ósmym września? – zapytała Rouge.

– Jeszcze nie.

– To lepiej się zastanów.

Rouge podała mi najświeższe informacje o różnych wydarzeniach: kilka prestiżowych kampusów Uniwersytetu Europejskiego, między innymi Berlin, Bolonia, Praga i Castrup-Rauxel, złożyło petycję przeciwko decyzji globalnego rządu o odwołaniu konkursu *W poszukiwaniu płodności*. Sprzeciw został rozpatrzony pozytywnie. Niestety nie przywrócono finansowania konkursu, ale jego zwycięzcy otrzymali stypendia. Zgłoszenie Rouge: *Stąd do płodności* nie zdobyło głównej nagrody, ale otrzymało honorową wzmiankę jako „Najbardziej oryginalny pomysł”. Co, jak powiedziała Rouge, to „bardzo dobrze wygląda w CV”.

Instytut Olgi Żukowej, powiedziała jeszcze Rouge, miał nadać doktorowi doktorowi Rirkritowi Sriwanichpoomowi honorowy doktorat za jego wkład w ten projekt. Odtąd będzie zwany dr dr dr h.c. Rirkrit Sriwanichpoom. Rouge czuła, że profesor Grossmann maczał palce w decyzji o przyznaniu

Dok-Dok-Dokowi honorowego doktoratu – w ramach pewnej rekompensaty za ciężę żony dyrektora biblioteki, doktor doktor Gwyneth Elwyn.

Tak czy inaczej, wszystkie płody rozwijały się zdrowo: u Gwyneth, Gao, Yolandy i pani Grossmann. Tuzin mieszkańców akademika w Märkisches Viertel też się teraz spodziewał dzieci, połowa w samym Rubiku, epicentrum wybuchu epidemii.

Tak zwany bakcyl miłości otrzymał inną nazwę i teraz znany będzie jako *Amorivirus grossmanni*. Poczuję ulgę, że moje nazwisko zostało usunięte.

– To by było tyle, Finn – powiedziała.

Z bólem serca żegnałem się z Rouge. Pozostanie dla mnie zagadką. Kim była? Jaką władzę posiadała, że udało jej się znaleźć sposób, aby przesznułować mnie poza ten świat? Im więcej o tym myślałem, tym bardziej czułem, że nie była tym, kim się wydawała. Czy kiedykolwiek się dowiem prawdy o niej?

Na dworze znów mżyło i nie byłem pewien, czy moja twarz jest mokra od deszczu, czy od łez.

– Nic ci nie jest? – zapytała.

– Smutno mi. I...

– I?

– Boję się. Bardzo.

– I słusznie. Ta badaczka też się o ciebie boi. Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

Pomyślałem o Elianie, która na mnie czekała.

– Tak.



Piszę teraz te ostatnie strony mojej książki. Kiedy skończę, skropię je Nieskończonością, jak Eliana swój pamiętnik. Potem owinę notatnik w papier, zakleję i dam Raoulowi. Poproszę, aby przekazał go Rouge w Berlinie i powiedział jej, że chciałbym, aby go przeczytała. Jeśli przecucie mnie nie myli, wychowa klon Lucii i da jej tę książkę do przeczytania, gdy Lucia podrośnie.

Dwaj Aaronsonowie odprowadzą mnie do e-busa. Raoul i ja obejmiemy się w ten lekko niezręczny sposób, typowy dla facetów. Poklepiemy się po plecach, uściśniemy się i powiemy: „Trzymaj się”. Mały Colin zrozumie, że wyjeżdżam na długo. „Kiedy wrócisz?”, zapyta zmartwiony, z czołem zmarszczonym jak u małego buldoga, a jego oczy staną się turkusowe w promieniach słońca.

„Nie wiem”, odpowiem.

„Ale zobaczę cię jeszcze, prawda?”.

A ja wezmę go na ręce i przytulę.

„Mam nadzieję, Colin. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo bym chciał”.

Pojadę e-busem do Toronto, stamtąd polecę wahadłowcem na Manhattan, a potem samolotem na Fire Island, gdzie pokojówka Magda robi wokół mnie zamieszanie, a kucharz Carlo Canelli przyrządzi makaron z homarem.

W pokoju na poddaszu wyczyszczę i wypoleruję wieczne pióro, a potem położę je obok pierścionka na aksamitnej poduszeczce, zamknę czarną onyksową szkatułkę z intarsją ze słonecznikiem i schowam do sekretnej szuflady orzechowego stołu.

Później usiądę na plaży. Piasek będzie nadal rozgrzany popołudniowym upałem, powietrze ciężkie od soli, bryza przyniesie zapach jaśminu z ogrodu sąsiada. Popatrzę, jak grzywy fal różowieją na świetle zachodzącego słońca, a potem stają się srebrne, gdy wszędzie księżyc. Ostatni raz spojrzę na gwiazdy świecące nad tą wyspą, zanurkuję w morzu, podpłynę do boi i wrócę na brzeg.

Posnuję się po domu, żegnając to życie, moją rodzinę, moją przeszłość. Wystroję misia Lulu – może Lucia go znajdzie i przygarnie. Potem położę się na łóżku, w którym spałem jako chłopiec, z fiolką Nieskończoności pod poduszką i będę rozmyślał o nieskończonych tajemnicach życia, z których, jak powiedziała Rouge, jedne rozwiązujemy, a inne, jak oszustwo Renka i miłość Rouge, pozostają zagadką.

O świcie polecę do Berlina, przejdę się uliczkami BAD PAD, udam się do Instytutu Fizyki Stosowanej imienia Olgi Żukowej, oddam się w ręce doktor Yuki Shihomi, która powie mi, jak jest jej przykro z powodu mojego wyjazdu. A potem, drogi czytelniku, moje życie i moja miłość będą zdane na łaskę czasu...

Epilog

Wielki uwodziciel

W maju 2266 roku, dziesięć miesięcy po zniknięciu Finna, ktoś zapukał do drzwi Rouge w Rubiku. Dziwne, pomyślała. Goście zawsze zawiadamiali o swoim przybyciu przez mózgołące. Oderwała się od pracy, przypuszczając, że to gosposia Hildburg albo dozorca JoeJoe zepsuli się i zabłądzili, i gwałtownym ruchem otworzyła drzwi ze słowami:

– Uhm. Co tym razem?

Rouge zdziwiła się na widok mężczyzny i małego chłopca, którzy stali naprzeciwko niej. Mężczyzna był zdumiewająco podobny do JoeJoe – tylko nie miał brody. Był też równie wysoki jak tamten i dobrze zbudowany. Jego wyraziste rysy i potężna postać, nieco konfundujące u maszyny takiej jak JoeJoe, u człowieka wręcz oszałamiały. Rouge rzadko widywała taką surową męskość. A jednak mężczyzna miał w sobie pewną łagodność. Może chodziło o to, jak opiekuńczo trzymał za rękę chłopca? Spojrzała na ich ubrania: T-shirty i dżinsy. Mieli także czapki z długim, sztywnym daszkiem. Czapka chłopca miała z przodu biały symbol. A może to były litery – N i Y? Strój przypominał jej kostium Finna z podróży w czasie w latach 2007–2011. A potem dotarło do niej, że mężczyzna jest jednym z Leśnych. Spotkała ich kilku podczas podróży przez amazońskie lasy deszczowe i pewnego lata w Szwecji.

Co Leśny robił pod jej drzwiami?

Jednak ani nagłe pojawienie się mężczyzny z chłopcem, ani jego podobieństwo do JoeJoe, ani jego ubrania, ani nawet to, że był Leśnym, nie były tak zdumiewające, jak jej reakcja na jego obecność. Rouge poczuła coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła, chemiczną reakcję, falę hormonów, która o mało nie ścięła jej z nóg. To było niesamowite. Jej całe ciało było zaalarmowane... pragnieniem. Minęły nie więcej niż cztery sekundy od chwili, gdy spojrzała na tego mężczyznę, ale kręciło jej się w głowie od oczekiwania. Czuła już kiedyś coś podobnego z Finnem. Ale w jego przypadku emocje skradały się do niej powoli. To uczucie teraz było nietypowe w swej gwałtowności i intensywności.

– Rouge Marie Moreau? – zapytał mężczyzna.

Jego głos, donośny, pełny, owinał się wokół niej.

– Tak – potwierdziła.

Wyciągnął dłoń. Podała mu swoją.

– Raoul – przedstawił się. – Raoul Aaronson. – Spojrzał na chłopca. – A to mój syn. Colin Aaronson-Aiello.

Colin wyciągnął drobną rączkę.

– Miło mi panią poznać – powiedział z uprzejmą ostrożnością.

Rouge zmusiła się do uśmiechu, ale niemal całą energię zużywała na uspokojenie swoich kolan, które zaczęły dziwnie drżeć. Ale przynajmniej wiedziała, kim jest ten mężczyzna. W lipcu zeszłego roku, eony temu, jak się wydawało, Finn dał jej numer komórki Raoula. Mówił coś o jego żonie. Jakaś tragedia. Ona...

– Jesteśmy przyjaciółmi Finna Nordstroma – powiedział mężczyzna.

– Tak – rzekła Rouge. – Zatrzymał się kiedyś u was.

Ach tak. Przypomniała sobie. Jego żona zmarła podczas porodu.

– W lipcu zeszłego roku, zanim Finn odszedł, poprosił nas, abyśmy coś pani przekazali.

– Wejdźcie – powiedziała i cofnęła się, aby wpuścić ich do swego mieszkania... i do swojego życia.



– Książka. – Rouge upuściła brązowy papier pakowy na podłogę. Przez chwilę wodziła palcami po skórzanej koniakowej okładce, po czym otworzyła książkę. Zobaczyła słowa, tysiące, tysiące słów na gładkich kremowych kartkach. Spojrzała na Raoula. Siedział kilka metrów od niej w fotelu, ale wyglądał głupio na pojedynczym siedzeniu. Był na nie za duży. Jego kolana i łokcie odstawały na wszystkie strony. – Jest napisana odręcznie.

Pochylił się do przodu.

– Tak. Wiem.

„Tak. Wiem”. Większość Leśnych mówiła jak Mieszczuchy, załatwiając z nimi interesy. Ale użył pierwszej osoby liczby pojedynczej – a to wywołało kolejną falę hormonów, która przepłynęła przez jej ciało. Najwyraźniej nie panowała nad swoimi emocjami. Zawstydzona spojrzała na otwartą stronę. Dlaczego, u licha, Finn dał jej książkę? Próbowwała przeczytać słowa, mrużyła oczy, układała wargi w litery.

– Nie-skoń – zaczęła, ale poddała się. – Wie pan, co tu jest napisane? – zapytała. – Bardzo trudno się to czyta.

Raoul wstał, wyprostował się na całe swoje dwa metry i podszedł do Rouge, która siedziała na sofie. Colin, wyciągnięty na podłodze przy panoramicznym oknie, z kubkiem czekoladowego mleka, spojrzał na nich, ale szybko wrócił do stron, które czytał. Były kolorowe i pełne obrazków z dymkami nad głowami bohaterów, gdzie można było przeczytać, co oni myślą i mówią.

Rouge podała Raoulowi oprawioną w skórę książkę.

Wyglądało to tak, jakby Raoul nie mógł się zdecydować, czy powinien usiąść na sofie, czy nie. Podjął decyzję, że jednak nie, i wrócił na fotel, zabierając książkę ze sobą. Przeczytał słowa.

– Tu jest napisane: „Nieskończoność”. To tytuł.

– Tytuł?

– Książki.

– A co jest pod spodem?

Raoul się roześmiał.

Rouge się zarumieniła. Najwyraźniej uważał, że to absurdalne, że inteligentna kobieta nie potrafi czytać odręcznego pisma.

Chyba zauważył jej zażenowanie.

– Przepraszam. – Wyprostował się. – Pod spodem jest napisane: „Pióra Finna Nordstroma”.

– To jego książka? – wykrzyknęła Rouge. – To on ją napisał?

– Tak. Widziałem go przy pracy.

Wyciągnęła dłoń. Wstał i oddał jej książkę. Przekartkowała ją. Niesamowite. Dużo wiedziała o Finnie, ale tego się nie spodziewała. Nieskończoność, pomyślała. Finn zatytułował książkę, którą napisał, na cześć perfum Eliany. Gdy przeglądała strony, poczuła ich woń. Czyżby skropił je nimi tak, jak Eliana skrapiała swój pamiętnik? Rouge знаła ten zapach. Znalazła małą fiolkę z perfumami w nocnej szafce Finna. Była teraz w jej nocnej szafce.

– Nieskończoność to perfumy – powiedziała, odwracając kartkę i próbując odczytać litery. – Rozdzi-i-i-a-ał... pi-i-er-w-szy... – Spojrzała na Raoula i pokręciła głową. – Bardzo trudne.

Raoul skinął głową.

– Ale on chce, żeby to pani przeczytała.

– Tej fizyk nie uczono czytania odręcznego pisma.

– Pani jest kwarkiem?

Skinęła głową, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Nowoczesna kobieta – powiedział lekko, choć nie bez pewnego szacunku.

Ich oczy się spotkały.

– To książka mojej mamy – oznajmił Colin. – Ona ją zrobiła.

Dorośli spojrzeli na niego zaskoczeni.

Chłopiec stanął obok Rouge.

– Carmine.

– To ładne imię – powiedziała Rouge.

– Wiem.

Rouge przyglądała się malcowi. Coś w nim wydawało się znajome. Uśmiechnął się do niej, a ona pomyślała, że jest całkiem uroczy. O rety, roztkliwia się nad małym chłopcem!

– Moja żona zajmowała się papierem – wyjaśnił Raoul.

– Finn o tym wspominał. – Wzrokiem dała mu do zrozumienia, że wie o śmierci jego żony.

– Już się dobrze czujemy – powiedział. – Przez większość czasu.

Skinęła głową.

Napił się herbaty, którą dla niego zaparzyła.

Rouge pogładziła dłonią okładkę książki.

– Czy zechciałby pan przeczytać na głos? – zapytała.

– Dla pani?

Przytaknęła.

– Czy Finn wiedział, że nie potrafi pani czytać odręcznego pisma?

– Oczywiście. A kto potrafi? – Och... Obraziła go? – Z wyjątkiem Leśnych – dodała szybko. –

I kilku wykształconych ekspertów.

Raoul zdjął czapkę i dłonią przecesał włosy. Były gęste i falujące.

– Może są w niej osobiste informacje, których nie powinienem znać.

Jego włosy lśniły w słońcu. Były bujne i brązowe. Rouge pomyślała, że chciałaby wsunąć w nie palce.

– Przyjaźniliście się – rzekła. – Pewnie nie miałby nic przeciwko temu, aby poznał pan jej treść.

Raoul znów spojrział jej prosto w oczy.

– Gdzie on jest? Dokąd pojechał? Wie pani? Wróci?

– Proszę przeczytać. Odpowiedź może być w środku.

– Czy to szantaż? – zapytał z uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech.

– Tak jakby.

– A jeśli nie ma jej w środku?

– Dowie się pan.

Rozsiadł się w fotelu.

– A to szelma z niego. Mógł to pani wysłać. Ale chyba chciał, żebym ją pani przeczytał. Dlatego dał ją mnie, żebym ją pani przekazał.

– Tak – powiedziała. – Na to wygląda.

Oboje uśmiechnęli się szeroko.



Raoul wynajął pokój gościnny w Rubiku, odwiózł Colina do krewnych do Lasu Bawarskiego i następnego ranka zabrali się do pracy.

Na początku relacji, kiedy Rouge po raz pierwszy zostaje przedstawiona czytelnikowi i gdy Finn opisuje swoje sprzeczne uczucia, które do niej żywi, Raoul zapytał, czy jest absolutnie pewna, że chce, aby jej to czytał. Zbyła jego pytanie machnięciem dłoni.

– Na pewno?

– Proszę czytać dalej – powiedziała.

Nie chciała, by przerywał. Nigdy nie słyszała tak pięknego głosu. Był jak aksamit. Złapała się na tym, że zastanawia się, jak by to było zasnąć, słuchając głosu Raoula.

Siedział w fotelu, a ona na sofie. Zrobili przerwę na lunch, podwieczorek i kolację. Zanim udał się na odpoczynek, wspomniał, że zaintrygowało go to, co czytał o Instytucie Olgi Żukowej, i chciałby go zwiedzić. Odparła, że sprawdzi, czy byłoby to możliwe. Tak minął pierwszy dzień ich pracy.

Drugiego dnia on siedział na jednym końcu sofy, a ona na drugim. Kiedy czytał, że Finn został podstępem zwabiony do podróży w czasie, podniósł wzrok znad książki z oburzoną miną.

– Nie byliście z nim szczerzy – powiedział.

– Nie. Nie byliśmy. To było niemożliwe.

Pod koniec dnia już mówili sobie po imieniu.

Trzeciego dnia oboje siedzieli na środku sofy. Raoul ochrypl już od czytania i mówił cicho, ale Rouge się to podobało. Gdy czytał, wdychała jego dziwny ziemny zapach. Było w nim coś mrocznego, zakazanego, ale podniecającego.

Zrobili przerwę na wycieczkę po instytucie. Rouge nie była zaskoczona tym, jak szybko Raoul chwycił naukowe i techniczne idee. Gdy zapadł wieczór, poszli na leniwy spacer po ogrodach Muzeum Kultury Europejskiej, ignorując spojrzenia – nieczęsto widywano Leśnych w BAD PAD. Niedaleko kolekcji Gartenzwerger znaleźli wolną ławkę i czytali dalej. Pod koniec trzeciego dnia, gdy zapadł zmrok, siedzieli tak blisko siebie, że przechodzący omyłkowo brali ich za partnerów – ale pożegnali się tylko uściskiem dłoni.

Czwartego i ostatniego poranka leżeli na brzuchu obok siebie, na łóżku Rouge. Wiedzieli, że gdy książka się skończy, rozstaną się.

– „A potem, drogi czytelniku – przeczytał Raoul – moje życie i moja miłość będą zdane na łaskę czasu”. – Zamknął książkę i położył się na plecach.

Rouge zrobiła to samo.

Patrzyli na sufit, obserwując przez świetlik przepływające po niebie chmury.

– No i? – odezwał się w końcu Raoul, spoglądając na nią. – Powiedz mi. Udało mu się czy nie?

Odwróciła się do niego.

– Jest bezpieczny.

Twarz Raoula pojaśniała.

– Czy jest tam, gdzie chciał być?

– Tak.

– Z Elianą?

– Tak.

Usiadł.

– Skąd wiesz?

– Wysłaliśmy kogoś do dwa tysiące osiemnastego. Czwartego czerwca dwa tysiące osiemnastego.

Dwa miesiące przed rozpoczęciem się Mrocznej Zimy.

– Dlaczego do dwa tysiące osiemnastego?

– To był jedyny portal, jakim dysponował instytut. A chcieliśmy się dowiedzieć. Ale jest tam od września dwa tysiące jedenastego. Dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy.

– My? Czyli kto?

– My wszyscy.

Raoul patrzył na nią przez chwilę, aż ta informacja do niego dotarła. Potem wrzasnął:

– Rany, udało mu się, cholera! Dostał to, czego chciał! Udało mu się! – Nie mógł przestać się śmiać.

Rouge przyglądała mu się. Nigdy nie widziała, aby ktoś śmiał się tak szaleńczo. Mężczyźnie aż łzy płynęły po policzkach. Sięgnął do kieszeni džinsów i wyciągnął paczuszkę ze złożonymi papierowymi chusteczkami. Kupiła taką kiedyś w sklepiku Leśnych w Szwecji. Na pamiątkę. Przyglądała się Raoulowi, który wytarł twarz, wydmuchał nos, a potem schował chusteczkę do kieszeni.

– Wiedzieliśmy, że takie rzeczy się dzieją – powiedział. – A ja trochę podróżuję, usłyszę coś czasem tu i tam. Wszyscy wiedzieliśmy, ale... a niech to! To dopiero wiadomość. – Potrząsnął głową. Przez chwilę wydawało się, że znów wybuchnie śmiechem, ale zapytał: – I co mówili? Gdzie go widzieli? Co robił?

– Ostatni raz widziano go w Charlottenburgu, w supermarkecie z ekologiczną żywnością.

– W supermarkecie z ekologiczną żywnością. – Uśmiechnął się szeroko. – Ho, ho.

– Był z Elianą. Kupowali świeże szparagi.

Raoul milczał przez chwilę.

– Świeże szparagi. – Podniósł wzrok. – To wszystko?

– Sprawdzał też, czy melony są dojrzałe. Naciskał je, a potem wąchał.

– Powiedzieli coś o ich wyglądzie? Czy...

– Szparagów czy melonów?

Raoul znowu ryknął śmiechem.

– Co? – zapytała zdezorientowana Rouge. – O co chodzi?

– Finna i Eliany! Czy powiedzieli coś o tym, jak oni wyglądali? Dobrze? Są zdrowi? Szczęśliwi?

– Ach... – Rouge się zarumieniła.

Raoul się roześmiał.

– Jakie to urocze – powiedział, pieszcząc wzrokiem jej twarz.

Rouge przełknęła ślinę, zanim się odezwała.

– Doniesiono – rzekła – że Finn i Eliana wydawali się zgrani. On niósł niemowlę w chuście – dodała po chwili.

– Niemowlę. Dobra robota. Lucia?

– Eliana mówiła do dziecka „ChiChi”.

– A więc happy end. Brawo.

Rouge zmarszczyła brwi.

– Niezupełnie...

– Hej, przestań! Uda im się. Na pewno. Już Finn będzie wiedział, co zrobić. To bystry gość. Pewnie zaszyje się na wybrzeżu Bałtyku. Z teściami. O co chodzi z tym ojcem? Jaka jest jego rola?

Rouge wzruszyła ramionami.

– Może żadna.

Raoul położył się i splótł dłonie pod głową.

– A więc DNA małej ChiChi znajduje się w pierścionku z bursztynem, a młoda kobieta, która siedziała z Elianą w kawiarni przy bibliotece, to dorosły klon ChiChi?

– Najwyraźniej.

– Ale kto stworzy ten klon? I po co? Myślałem, że klony są kłopotliwe.

– Zwykle klony wyrastają na całkiem zdrowych ludzi, pod warunkiem że pielęgnuje się ich poczucie własnej wartości. Ale to samo dotyczy wszystkich dzieci.

– To prawda. – Raoul usiadł. – A więc DNA z pierścionka zostanie wykorzystane do stworzenia klona.

– Być może. Tak. Ale nie będziemy wiedzieli na pewno, dopóki nie sprawdzimy, czy rzeczywiście coś jest w tym pierścionku. – Rouge spojrzała na niego. Znow poczuła jego ziemny zapach. Może to pot sprawiał, że był bardziej intensywny. – Gorąco ci?

– Tak. – Spuścił nogi z łóżka. – Zaraz wrócę. Muszę ochłapać twarz wodą. – Przybrał poważną minę. – Tylko mi nie zniknij. Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Zabrzmiało to jak łagodna groźba. W ogóle jej to nie przeszkadzało. Otworzyła szufladę nocnej szafki i skropiła nadgarstki i skórę za uszami Nieskończonością. Założyła na szyję stoper, ale po krótkim namyśle zdjęła go i skropiła perfumami miejsce między piersiami. Potem poszła do kuchni po dwie szklanki lodowatej wody. Kiedy wróciła, Raoul chodził w tę i z powrotem po pokoju.

– To wszystko jest dla mnie trochę zbyt surrealistyczne – powiedział. – Jakby przykręcić sobie

głowę tył na przód i próbować iść do przodu. Samo myślenie o tym przyprawia mnie o ból głowy. – Znów przeczesywał włosy palcami. – I nie mogę przestać myśleć o tym, że w waszej mocy jest wrócić i ich uratować! Czuję to. Wiem, że możecie! Prawda?

Potrząsnęła głową

– To już nie jest w naszych rękach, Raoul. To fizyka czasu. Pamiętaj: prawa fizyki to prawa fizyki. Nie muszą ci się podobać, ale będziesz im posłuszny. To samo dotyczy czasu.

– Nie jestem do końca przekonany – odparł Raoul.

Na razie, pokonany, opadł znów na sofę.

Siedzieli tak w milczeniu przez kilka minut, zastanawiając się nad tym.

W końcu Raoul przerwał ciszę.

– Ładnie pachniesz – rzekł. – Co to?

– Nieskończoność.

– Ach. Nieskończoność. Wielki uwodziciel.

Ich oczy się spotkały.

– Ty też ładnie pachniesz – powiedziała.

Roześmiał się.

– Potem. I pewnie cedrem. Używamy saszetek z cedrem, żeby ubrania ładnie pachniały.

– Cedr – powtórzyła Rouge, jakby nigdy przedtem nie słyszała tego słowa. – Cedr.

A więc pachniał lasem. Oczywiście.

Raoul usadowił się wygodnie i położył rękę na oparciu sofy.

– Muszę powiedzieć, że jest w tobie coś przebiegłego.

Czuła ciepło jego dłoni obok swojej szyi. Spojrzała na niego.

– Nie wyglądasz na zmartwionego.

Jego dłoń opadła na jej ramię.

– Bo nie jestem. Intryguje mnie to.

Musnął palcami skórę na jej karku. Chciała je poczuć wszędzie. Wszędzie.

Czytając w jej myślach, przyciągnął ją do siebie.

I pocałował.

Podziękowania

Dziękuję mojej wspaniałej przyjaciółce Judith Grossmann za długie (i mam nadzieję miłe) liczne chwile spędzone na lekturze wczesnych, późniejszych i jeszcze późniejszych wstępnych wersji mojego oryginalnego angielskiego rękopisu. Dziękuję Katharinie Naumann za jej zdumiewającą umiejętność zmiany procesu redakcji niemalże w zabawę; Christiane Steen za to, że wspierała mnie przez cały czas, od początku do końca; Ulrike Wasel i Klausowi Timmermannowi za ich entuzjazm i genialny przekład na niemiecki; Kate Gladstone za jej zdumiewającą wiedzę o sztuce, historii i odręcznym piśmie, a także za jej sokoli wzrok, gdy chodziło o moją interpunkcję i gramatykę emigrantki. Dziękuję doktorowi Wolfgangowi Cromowi za dostarczenie informacji i wycieczkę po Dziale Map w Staatsbibliothek na placu Poczdamskim oraz wszystkim pierwszym czytelnikom mojego powstającego dzieła za ich wkład, wsparcie i szczerą krytykę: Noahowi Deliusowi, Williamowi Grossmannowi, Wiebke Hellebrand, Tanii Oster, Joachimowi Pietzschowi, Jonie Pomerance i Anke Sterneborg.

Specjalne słowo podziękowania należy się Eberhardowi Deliusowi, który wytrwał przy mnie, trzymał mnie za rękę i gotował wspaniałą barszcz. Jak zawsze, bez niego: potop.